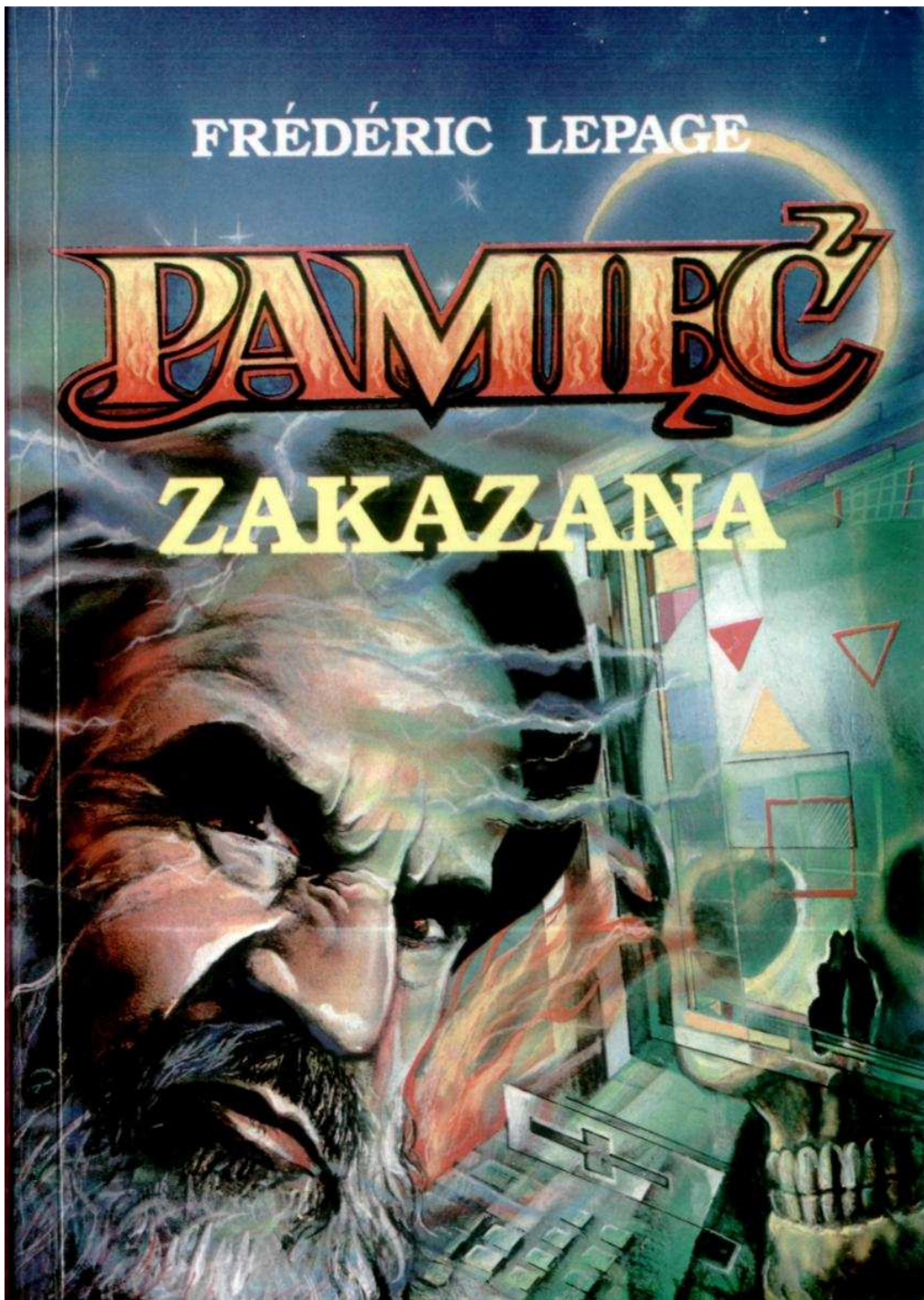


FRÉDÉRIC LEPAGE

PAMIŁCZ

ZAKAZANA

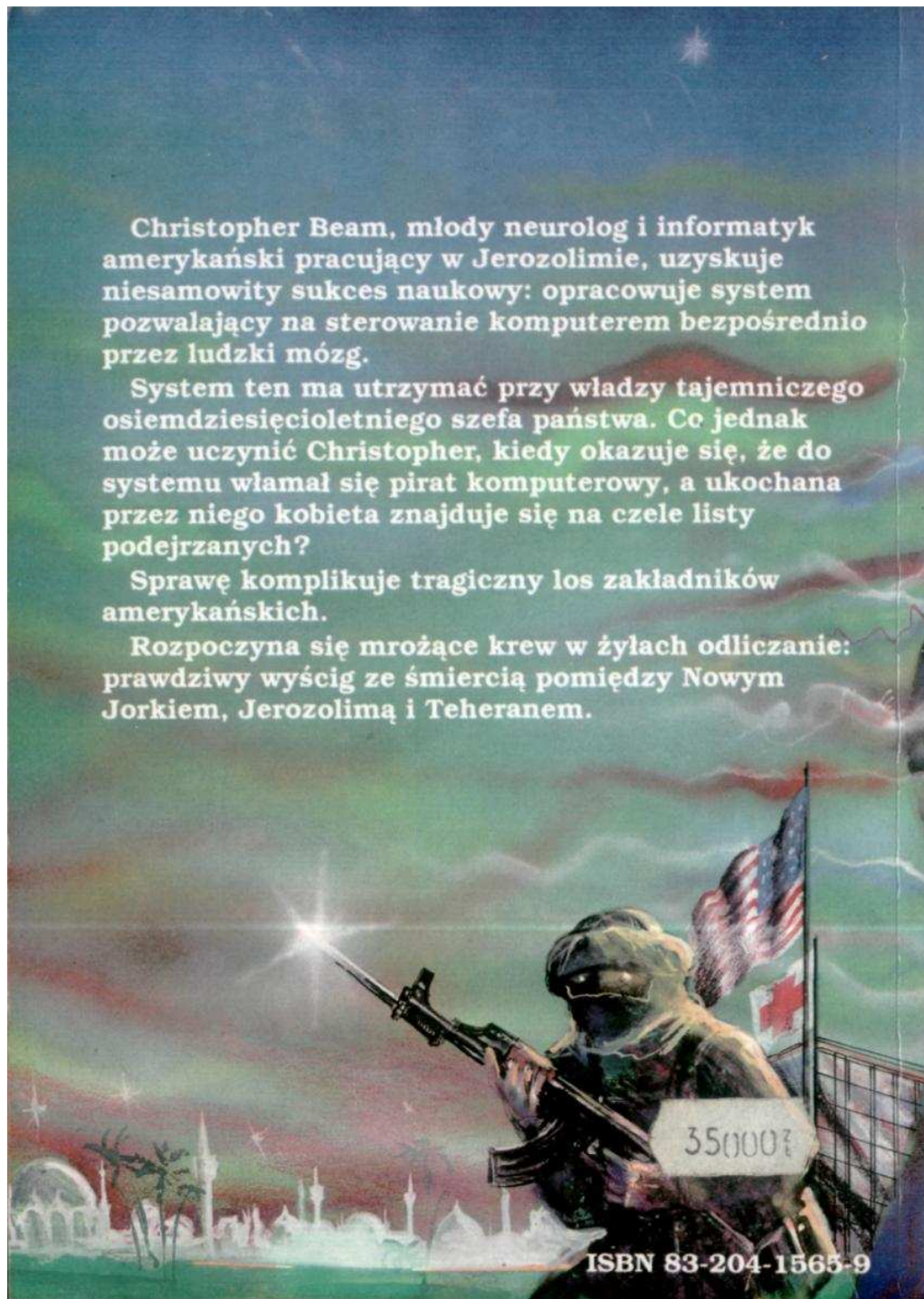


Christopher Beam, młody neurolog i informatyk amerykański pracujący w Jerozolimie, uzyskuje niesamowity sukces naukowy: opracowuje system pozwalający na sterowanie komputerem bezpośrednio przez ludzki mózg.

System ten ma utrzymać przy władzy tajemniczego osiemdziesięcioletniego szefa państwa. Co jednak może uczynić Christopher, kiedy okazuje się, że do systemu włamał się pirat komputerowy, a ukochana przez niego kobieta znajduje się na czele listy podejrzanych?

Sprawę komplikuje tragiczny los zakładników amerykańskich.

Rozpoczyna się mroźące krew w żyłach odliczanie: prawdziwy wyścig ze śmiercią pomiędzy Nowym Jorkiem, Jerozolimą i Teheranem.





FRÉDÉRIC LEPAGE

DAMIEC

ZAKAZANA

Przełożył Stanisław Wojnicki



Dane o oryginale:

Frederic Lepage

La memoire interdite

© Editions Robert Laffont, S.A., Paris, 1989

Projekt okładki: *Tomasz Steifer*

Opracowanie techniczne i skład komputerowy - WNT

© Copyright for the Polish edition by
Wydawnictwa Naukowo-Techniczne
Warszawa 1992

All rights reserved
Printed in Poland

ISBN 83-204-1565-9

WNT Warszawa 1992. Wydanie I
Ark. wyd. 19,2. Ark. druk. 18,0
Format A5 Symbol
NES/&2805/WNT

Druk: Cieszyńska Drukarnia Wydawnicza
Zam. nr 1669/K-92

Księga I

CHRISTOPHER BEAM

1 DZIEWCZYNA O ZIELONYCH OCZACH

Christopher Beam cofnął się odruchowo, gdyż powiedziane jest, że nie można zachowywać się bezwstydnie w miejscach uświęconych przez śmierć. Tymczasem właśnie bezwstyd przebijał z uśmiechu tej dziewczyny, połączony z ową charakterystyczną niewinnością, która bywa wręcz arogancka i która przerazić może nawet świętych.

Jednym spojrzeniem oceniła jego skórę, musnęła każdy mięsień jego ciała, rozsypała mu na ramionach włosy spięte w koński ogon; w ułamku sekundy zapragnęła go całego i nasyciła się nim. Christopher poczuł, jak krew pulsuje mu w skroniach, podczas gdy w rozpalonych uszach dźwięczały mu krzyki błagających o łaskę.

Ich spojrzenia spotkały się przed Grobem Pańskim. On właśnie wychodził, oprowadziwszy po sanktuarium waszyngtońską delegację, którą pilotował od rana po Jerozolimie. Dziewczyna stała przy wejściu, przed Kamieniem Namaszczenia, nie zważając na pielgrzymów padających na kamienne płyty wśród historycznych krzyków i jęków.

Pochodziła z Zachodu. Beam, o dziesięć lat starszy, ocenił ją na dwadzieścia pięć lat, ale przyszło mu na myśl że nawet twarz dziecka nie mogłaby wyglądać młodziej.

Z jej ust zniknął teraz uśmiech. Wargi zmarszczyły się w odruchu niezdecydowania. Przez chwilę na jej twarzy malował się popłoch. Christophera Beama ogarnęło wówczas przekonanie, że dziewczyna ta oddała mu się całkowicie: jej wielkie, zielone oczy wpatrzone w niego

błagały, by przyjął tę daninę. Beam wskazał swym dwóm towarzyszom następny punkt zwiedzania i poprosił, by poszli pierwsi: on dołączy do nich za chwilę. Sam wrócił ku zielonookiej, która stała w tym samym miejscu, zastygła w oczekiwaniu.

- Na tej skale balsamowano ciało Chrystusa - powiedział do niej, wskazując na czerwonawą wapienną skałę wystającą z kamiennej płyty.

Nie odpowiedziała.

- Powinna pani to zobaczyć podczas prawosławnej Wielkiej Nocy! Prawdziwy karnawał. Ludzie tarzają się na skale. Polewają ją wodą święconą i nawilżają nią płótno. Inni posypują skałę talkiem, a potem zbierają go do pudełek. Wielu wierzy, że potem to płótno i ten talk sprawią cuda, że uzdrowią niewidomych czy reumatyków, uleczą ozieźble kobiety i tak dalej, wie pani o co mi chodzi!

Nie, nie wiedziała, i nadal zachowywała milczenie. A przecież musiała rozumieć po angielsku, bo wyraz jej twarzy jasno wskazywał, że nie było jej przyjemnie, że wzięto ją za turystkę.

- Nazywam się Beam. Pracuję w szpitalu Hadassa...

Brak reakcji. Wydawała się niemową.

Beam, choć odczuwał zdziwienie, pogodził się z faktem, że nie usłyszy jej głosu. Nagle wzięła go za rękę i bez słowa pociągnęła na zewnątrz. Szybkim krokiem szli przez bazar Chan es Zeit. Resztki pozostawiane przez handlarzy oliwą sprawiały, że ulica była śliska, mimo to dziewczyna pewnie podążała naprzód wśród straganów z szaszłykami, przyprawami i suszonymi owocami, a jej falująca niebieska spódnica rozwiewała całe bogactwo wschodnich zapachów: mięty, pieprzu i tytoniu.

Na pierwszym skrzyżowaniu skręciła w prawo w Via Dolorosa i parę metrów dalej weszła do bramy. Stał tu opuszczony dom, którego drzwi bez wahania otworzyła wsuwając palec w szparę i unosząc zasuwę.

W sieni o ścianach pokrytych łuszczącą się farbą zatrzymała się i oparła plecami o mur. Podeszedł i lekko ugryzł ją w wargę.

Zaspokoił swe pragnienia w niecałe dziesięć minut.

Okoliczności sprawiły, że czuli ogromne podniecenie. Nawiązali znajomość na boskim grobie i było w tym coś z profanacji. Nadal milczącej dziewczynie Beam wyszeptał do ucha, że teraz łączy ich to świętokradztwo. Tam, na płycie, zdarzył się dla nich cud, uświęcając ich spotkanie. Miał nadzieję, że dziewczyna zareaguje jakoś na ten paradoks, lecz nic nie potrafiło przerwać jej milczenia.

Beam zastanawiał się, jakie były tego przyczyny. Być może była niemową, prawdziwą niemową, a może nie miała niczego, co chciałaby wyrazić, niczego prócz żądz poczucia go w sobie, a może też przeciwnie. miała wiele do powiedzenia, ale gdzie indziej, później i komu innemu Christopher Beam pomyślał, że odwrócili ludzki porządek rzeczy, że między nim a nią zostało zrobione to, co było do zrobienia, ale do powiedzenia pozostawało wszystko. Te chwile przeżyli pod władzą czynu, słowo zapanuje później. Miał ochotę w to wierzyć, ale przyszło mu do głowy że właściwie nic nie przemawiało za taką interpretacją.

Wyszli na ulicę, przeszli w odwrotnym kierunku tę samą drogę i ponownie znaleźli się przed grobowcem. Wtedy wreszcie przemówiła:

- Odejdź! zostaw mnie.

- Chcę się z tobą spotkać. Zadzwoń do mnie, pracuję w szpitalu Hadassa. Pamiętaj: w Kiriat Hadassa!

Lecz ona już zniknęła wśród kapłanów i pielgrzymów, wchodzących do sanktuarium. Beam usiłował podążyć za nią. Odeszła w prawo, być może poszła po schodach na Golgotę. Szedł w tłumie sióstr dominikank. Na górze nie dostrzegł jej. Zawrócił, podczas gdy zakonnice ze śpiewem klękały przed zagłębieniem, w które wstawiony był krzyż. Obszedł z prawej strony Chór Greków i prześlizgnął się wzdłuż Kaplicy Obelg. Wydało mu się nagle, że daleko w przodzie dostrzega dziewczynę, idącą szybko obok kapliczek. Przyśpieszył kroku. U wejścia do krypty Świętej Heleny tworzyły się procesje. Paliło się kadzidło. Beam stracił oddech. Zabrzmiały ogłuszające śpiewy. Dostrzegł ją znowu, biegnącą przed arkadami Najświętszej Marii Panny. Od czasu do czasu oglądała się za siebie. Okrężną drogą zmierzała ku grobowi Chrystusa, upewniała się czy nikt za nią nie idzie. Beam schował się za kolumną. Kantyki rozbrzmiewały coraz donośniej. Mieszały się ze sobą pieśni różnych wyznań, staroegipskie, greckie, ormiańskie...

Dziewczyna znajdowała się teraz u wejścia do grobowca. Tworzyły się tu kolejki, stale pęczniejące od nowonadchodzących, turystów, zakonników i pielgrzymów. Czekał na nią kapłan, starzec z długą, kręconą brodą greckich ortodoksów. Podbiegła ku niemu i ucałowała

Nie zważając na oczekujący tłum weszli razem do kaplicy Anioła, stanowiącej przedsionek grobowca, a następnie do samego grobu. Jednocześnie ze środka wyszły dwie osoby. Jako że wewnątrz było ciasne i nie mogło pomieścić jednocześnie czterech osób, Beam zrozumiał, że

dziewczyna i kapłan zostali tam sami. Chciał podejść bliżej, obserwować ich i być może podsłuchać stając w kaplicy Anioła.

Przyśpieszył kroku. Lecz w tym momencie, tuż przed nim, wybuchła sprzeczka pomiędzy dwiema grupami zakonników, koptyjskich i rzymskokatolickich.

Cztery wspólnoty chrześcijańskie sprawowały wspólnie pieczę nad Świętym Grobem, zgodnie z układem podpisanym w Berlinie w 1878 roku dotyczącym „Status quo Miejsc Świętych”: Ormianie, koptowie, katolicy rzymscy i greccy. Koptowie zapragnęli wyczyścić parę ogromnych świeczników, których byli właścicielami. Kaprys historii umieścił te przedmioty w kaplicy, podlegającej rzymskim katolikom. Od lat ci ostatni wzburleni koptom dostępu do ich własności. Do sporu tego doszedł inny, dotyczący podziału czasu procesji, odbywających się co kwadrans.

Beam chciał iść dalej, ale kapłani przeszli do rękoczynów. Wokół nich utworzyło się zbiegowisko, blokując przejście. W tłumie pojawił się Ormianin, krzycząc że nadchodzi arabska służba porządkowa. Groźba takiego upokorzenia uspokoiła nastroje. Nagle, zjednoczeni we wspólnym poczuciu chrześcijańskiej godności, walczący wspólnie zaintonowali chorał.

Beam rzucił się do przodu, rozpychając gapiów przyciągniętych wrzawą. Było jednak już za późno: pierwszy wyszedł z grobowca kapłan i zaczął się oddalać. Po nim ukazała się dziewczyna. Beamowi zaparło dech: płakała, łkanie wstrząsało całym jej ciałem. Pobiegła w kierunku wyjścia, gwałtownie potracając wszystkich, stających na jej drodze. Beam zastanawiał się, jakie tajemnicze zdarzenie rozegrało się za murami grobowca.

Stał tak nieruchomo, myśląc o straszliwej spowiedzi wyszeptanej nad grobem Ukrzyżowanego.

Christopher Beam nie sądził, że zielonooka dziewczyna kiedykolwiek do niego zadzwoni. Nazajutrz jednak ze zdziwieniem stwierdził, że znalazł się w biurze wcześniej niż zwykle: nie chciał, by ewentualny poranny telefon pozostał bez odpowiedzi.

Telefon zadzwonił kilkakrotnie. Biuro podróży miało dla niego bilet do San Francisco. Mel Philip, dyrektor jego oddziału w szpitalu, domagał się jakichś faktur. Kean, człowiek z Waszyngtonu, przekazywał mu wyniki pierwszych badań.

Zielonooka się nie odezwała.

Beama nie zdziwiło to ani nie uraziło, gdyż całe życie był przekonany, że taki już jest los mężczyzn - kobiety poniewierają nimi lub porzucają ich. Jest to ich wspólne przeznaczenie i byłoby równie bezsensowne przeciwstawiać się temu, jak na przykład domagać się by wiatr przestał wiać lub usiłować zamienić bieguny Ziemi. Było tak zawsze od zarania dziejów i tak już pozostanie.

W tej dziedzinie, podobnie jak w wielu innych, sława i niepowodzenia legendarnego ojca odebrały Beamowi jakiegokolwiek pragnienie lepszego losu. Nic nie wydawało mu się godne przeżycia, chyba żeby prowadziło do najwyższego szczęścia lub najstraszniejszego potępienia.

Ojcem Christophera był nie kto inny, jak sam słynny astronauta James Beam, obecnie zajmujący się informatyką w Departamencie Obrony. W połowie lat sześćdziesiątych wslawił się spacerem w przestrzeni kosmicznej.

James Beam sprawił, że jego syn przeżył dzieciństwo bez matki. Całkowicie obojętna na mit podboju kosmosu Sandra Seagrave, artystka, pokochała go kiedy był sławny. Nie dbała jednak o jego prestiż. Pragnęła go jako mężczyzny, a nie jako osoby publicznej. Sama porzuciła malarstwo, by zająć się wychowaniem Christophera.

Lecz w tym właśnie czasie James Beam musiał wycofać się z programu kosmicznego: nowi astronauta pragnęli udziału w przygodzie, nowe rakiety startowały z Cape Canaveral w ramach programu o nazwie Apollo. Jako matematyk i informatyk z wykształcenia James Beam wybrał pracę w Pentagonie.

Sandra, która przecież dotąd zawsze podkreślała swą odporność na uroki sławy, nie potrafiła znieść myśli, że człowiek, który spacerował wśród gwiazd stanie się teraz zwyczajną istotą. Pewnego letniego dnia opuściła go. Dopiero wówczas zdał sobie sprawę, że kiedy się powraca z nieba, można już tylko obniżyć loty.

James Beam pozostał sam ze swym synem i swymi wspomnieniami. Samotność ta dokuczała mu: musiał tłumić w sobie pociąg do mistycyzmu, który obudził się w nim kiedyś tam na górze, w przestrzeni i który dotąd rozwijał się w nim niepostrzeżenie dla niego samego.

Egzaltacja ta spowodowała, że zaczął sprawować swoje funkcje coraz bardziej ekstrawagancko. Dużą część dnia spędzał na medytacjach, czynności dla której komisja Budżetu nie przewidziała funduszy. Wiedzano jednak, że jako jeden z pionierów informatyki pracował

w swoim czasie z Neumannem i ocierał się o Turinga, daleko wcześniej niż został astronautą. To, w połączeniu z owymi paroma krokami, które uczynił w przestrzeni, chroniło go przed pochopnymi osądami. Jednakże Christopher, który był jeszcze małym dzieckiem, cierpiał: boleśnie dokuczał mu brak matki i trafnie wyczuwał, że ojciec szukał ucieczki, starając się znaleźć gdzie indziej na zawsze utracone niebiosa.

Ze swoich dwóch pasji - kosmosu i matematyki - Beam przynajmniej tę drugą przekazał Christopherowi. Chłopak wyrósł w Fort Lauderdale, gdzie mieszkał jego ojciec, na Florydzie, którą inni bohaterowie podboju kosmosu wybrali jako miejsce emerytury. Zainteresowanie Christophera matematyką szło w parze z ciekawością do medycyny. Po ukończeniu studiów młody człowiek wymógł na ojcu, by ten polecił go Nicholasowi Fultonowi, jednemu ze swych przyjaciół, który w zakładzie naukowym w San Francisco zgłębiał możliwości zastosowania informatyki w rehabilitacji inwalidów.

Christopher spędził tam najciekawsze lata swego życia. Temu okresowi zawdzięczał obecną pracę w Hadassa.

W tym czasie spotkał na Florydzie Mary Ann, córkę pisarza miliardaera mieszkającego w Boca Raton. Dziesięć dni po weselu, które odbyło się hucznie w ogrodzie z basenem, dziewczyna porzuciła go dla innego mężczyzny, pięćdziesięcioletniego przyjaciela ojca, którego poznała w dniu ślubu.

Od tego czasu dla Christophera Beama żadna kobieta nie była warta choćby chwili niepokoju. Nie czekał więc na jej telefon. I dlatego trudno mu było zrozumieć uczucie ulgi kiedy wreszcie zielonooka zadzwoniła.

- Mówi Debora Kennedy - oznajmiła. Przybrał obojętny ton udając, że nie wie kim była.
- Czy my się znamy?
- Tak, można tak powiedzieć! Znamy się od wczoraj.
- Przepraszam. Specjalnie nie starałaś się, żebym poznał twój głos, przyznaj!
- Pracuję w hotelu American Colony. Jestem wolna w niedzielę. Chcesz zjeść ze mną kolację?
- U Simona o siódmej?
- Dobrze. Do zobaczenia.

To było wszystko. Tego samego dnia Beam, tak jak zamierzał, polecił do San Francisco.

2 *TEA FOR TWO*

Nigdy w życiu jeszcze Nicholas Fulton nie odbył tak długiego spaceru po mieście. Odkrywał je nagle niczym Hiszpanie pierwszych dni, kiedy to Ortega poświęcił je Świętemu Franciszkowi z Asyżu. Było piękne, bardzo piękne i stary człowiek zastanawiał się, czy patronat ten bardziej pochlebiał miastu, czy świętemu.

Nicholas Fulton szedł ulicami San Francisco. Skręcił w Market Street na wzgórzach Mount Davidson, gdyż poranne spotkanie zawiodło go w okolice Portola Drive. Teraz znajdował się już koło Van Ness.

Niektóre miasta, myślał, są tak doskonałe, że zapewne Wielki Architekt jedynie przez pomyłkę oddał je we władanie ludziom. Za tę niestosowność ponoszą teraz karę niejako od natury: na przykład Wenecja, zagrożona wodami morza, na przykład San Francisco wydane na pastwę epidemii.

Rodzice Fultona spotkali się przypadkiem, na zgłiszczach miasta, po trzęsieniu ziemi w 1906 roku. Fulton urodził się dwadzieścia lat później i jego młodość zbiegła się z młodością odrodzonego miasta. Poznał je więc, rzecz można, w okresie dojrzewania.

Dziś niszczone było przez inny żywioł: w mieście panowała zaraza.

Tym razem żadnych pożarów, wobec których strażacy byli bezradni w wyniku przerwania rur wodociągowych, żadnych zburzonych domów, żadnych dzielnic w ruinach: ogień rozwijał się dyskretnie, po czym pożerał ofiary od wewnątrz.

Nicholas Fulton poczuł zmęczenie. Przyspieszył kroku, pragnąc bez dalszej zwłoki dotrzeć do celu. Skręcił w lewo w Polk Street i natychmiast pożałował wyboru trasy, która wiodła go wzdłuż rzędu bardzo oficjalnych gmachów: ratusza, zwieńczonego charakterystyczną kopułą, budynku stanowego i przede wszystkim tego źródła wszelkich nieszczęść - gmachu służb federalnych.

Dotarł wreszcie na Webster Street. Ulica wznosiła się ku zasnutemu mgłą niebu. Po drugiej stronie wzniesienia spadała prosto ku zatoce. Instytut znajdował się na samym wzgórzu, z którego miasto górowało nad dwiema skrajnościami: zamknięciem i nieskończonością, wysepką Alcatraz i smagany przez wiatry Pacyfiku Golden Gate.

Zbliżając się do Instytutu, podobnie jak każdego ranka, spotkał znajomych, których przypadkowy przechodzień uznałby za dziwacznych: niewidomych bez białych lasek, ze stalowymi hełmami na głowach, ludzi bez powiek, bioniczne istoty poobczepiane protezami. We włosach niektórych z nich widoczne były elektryczne kable.

Fulton odczuwał zmęczenie: podejście na szczyt wzgórza sprawiało mu trudność. Myśl o spotkaniu z Beamem, którego samolot powinien już wylądować, dodała mu sił. Pomyślał jednak, że to niczego nie zmieniało: tego dnia, pięć lat po ich ostatnim spotkaniu, Nicholas Fulton był już tylko starym człowiekiem zżeranym chorobami. Czas był nieubłagany.

Tablica przy wejściu informowała: „Instytut Nauk o Wzroku im. Smitha Kettlewella”. Fulton wszedł do środka, to było jego miejsce pracy.

- Ile panu zostało? - spytał Christopher Beam.
- Sześć tygodni w najlepszym razie. Akurat tyle potrzeba, żeby dokonać transferu.

Beam przyjrzał się ze współczuciem swojemu staremu mistrzowi. Teraz był to już starzec; zbyt obszerna koszula rozchylała się między lśniąco-perłowo guzikami, ukazując włochaty tors.

- Jak się miewa pański ojciec? - spytał Fulton.
- Doskonale. Ciągle zagubiony w swoich mgławicach.
- Oby Bóg pozwolił mu zachować te marzenia. Jeśli je kiedyś straci, przestanie być sobą. Pamięta pan? Ja byłem jakby pańskim ziemskim ojcem, a on był ojcem wśród gwiazd!

- Nie - roześmiał się Beam - pan był moją matką!

Fulton nie podjął zaczepki. Przyjrzał się Christopherowi. Ten zbudowany był jak atleta. Z początkowo cherlawego dzieciaka słońce Florydy, surfing i ostre wychowanie zrobiły siłacza, zdolnego mierzyć się z falami oceanu i ze światem bez kobiet. Skóra Beama była mocno opalona, jasne oczy kontrastowały z ciemną karnacją.

- Co to, nie mają tam fryzjerów? - spytał ironicznie starzec, przyglądając się związanym w koński ogon włosom Beama.

- Tak jest modnie i kobiety to lubią! - odparł żartobliwie chłopak.

- Hm! - mruknął tylko sceptycznie Fulton.

W rzeczywistości jednak podobało mu się całkiem, że oto wracał do niego po pięciu latach jego uczeń, niczym zdobywca, z tą tasiemką niebieskiego aksamitu we włosach, dzięki której przypominał oficera francuskiej piechoty z XVIII wieku.

- Nie traćmy czasu - powiedział nagle starzec. - Chodźmy, pokażę panu.

Zaprowadził go na wyższe piętro i otworzył drzwi sali doświadczalnej. Beam rozpoznał ją, gdyż jako młody neurolog pasjonujący się informatyką już kilka lat wcześniej asystował Fultonowi w pierwszych doświadczeniach. W tamtych czasach było tu pomieszczenie wypełnione różnymi pudłami i kablami stwarzającymi taki bałagan, że władze administracyjne Instytutu wołały się zrzec nadzoru nad przygotowywanymi tu tajemniczymi projektami. Instytut zajmował się wprawdzie badaniem wzroku i pomaganiem ociemniałym, ale wszystko wskazywało na to, że Fulton nie ograniczał się wyłącznie do tej dziedziny badań. W granicach jego laboratorium pozostawiono mu całkowitą swobodę działania.

Dziś jednak sala wydawałaby się zupełnie pusta, gdyby na jej środku nie połyskiwały w ciemności jakieś stalowo-chromowane konstrukcje. Fulton zapalił światło i wykrzyknął:

- Oto nasze urządzenie!

Beam, choć znał je już przedtem, poczuł dreszcz na plecach, tak bardzo urządzenie to przypominało wyposażenie sali tortur.

Pośrodku pokoju ukazał się metalowy fotel. Z poręczy zwisały kable. Kojarzył się nieodparcie z krzesłem elektrycznym. Obok, na niklowanym stoliku, widniała komputerowa klawiatura i napędy dyskietek. Naprzeciwko fotela łagodnie lśnił prostokąt monitora. Ściany i podłoga polakierowane były na biało.

- Nie ma jak w domu! - zażartował Beam.
- Tak, wiem - odparł Fulton - trzeba będzie trochę zhumanizować wystrój.

- A pozostałe sprawy?

- Czas reakcji jest jeszcze zbyt długi. Stopień wiarygodności zależy od badanego. Można to wszystko poprawić. Jeśli się pan zgodzi, będzie to pańskie zadanie...

Zapadła chwila ciszy. Christopher Beam skorzystał z niej, by zająć miejsce w fotelu. Fulton zbliżył się i od tyłu delikatnie obmacał mu czaszkę. Następnie wziął trzy elektrody, zwisające z poręczy fotela i przymocował je w tylnej części czaszki, tam gdzie mieści się mózgowy ośrodek wzroku.

- Jeśli nadal ma pan tak grubą potylicę, Christopher, a doprawdy nie widzę, jak mogłoby być inaczej, będziemy potrzebowali paru minut na regulację.

Fulton postukał trochę w klawiaturę komputera. Na monitorze pojawiła się zielona wężowata krzywa: odpowiadała ona falom wysyłanym przez ośrodek wzroku w mózgu Christophera.

- Proszę patrzeć na ekran i odprężyć się - rozkazał Fulton.

Beam rozluźnił się. Poczul, jak ogarnia go cisza i ciepło, w myślach widział dziewczynę o zielonych oczach. Debora... Debora...

- Żadnych obrazów myślowych! - wykrzyknął Fulton. - Proszę nie myśleć o niczym!

Beam posłuchał. W miarę jak odprężał się i starał przegonić ze zmęczonego umysłu wszelkie obrazy, krzywa na ekranie robiła się bardziej regularna i płaska. W pewnej chwili pozostało już tylko jednostajne, spokojne falowanie.

- No, teraz - ucieszył się Fulton.

Ponownie postukał w klawisze. Obraz na ekranie zmienił się: pojawiła się na nim siatka złożona ze stu dwudziestu ośmiu kwadratów. W każdym z nich widniało kilka liter tworzących albo polecenie - *open, lock, light on, light off* - albo fonemy bądź wyrazy: *tee, bee, mee, is, I, you, to, for, or, and, the, light, blue, love, tender, yellow, green, day, dog, cat*, itd.

Beam wiedział, że każdy kwadrat pulsował na ekranie własną częstotliwością, stanowiącą jakby jego wizytówkę, różniącą go od pozostałych stu dwudziestu siedmiu. Szybkość tych pulsacji sprawiała jednak, że były one niedostrzegalne dla oka, podobnie

jak nie niedostrzegalne są szprychy koła, kiedy obraca się ono zbyt szybko.

Za każdym razem, kiedy poddany badaniu spojrzy na jeden z kwadratów, jego nerw optyczny przekaże odpowiedni sygnał do mózgowego ośrodka wzroku. Ośrodek ten zareaguje wówczas elektrycznym wzbudzeniem, różnym dla każdego z kwadratów. Dzięki temu, system będzie mógł rozpoznać kwadrat, na którym spoczęło spojrzenie badanego.

- Podłączyłem system do urządzenia syntezy mowy i paru innych instalacji mojego pomysłu - powiedział Fulton.

- Możemy zacząć?

- Tak. Proszę się skoncentrować i za każdym razem dokładnie patrzeć na wybrany kwadrat.

Beam zaczerpnął głęboko powietrza. Następnie wybrał kwadrat, na którym zatrzymał wzrok: „lock”. Natychmiast w sali dały się słyszeć różne odgłosy: uchylone drzwi zamknęły się, uruchomiony został cały zestaw automatycznych zasuw. Przez chwilę w przestronnym pustym pokoju brzmiało jeszcze echo tych hałasów, po czym zapadła cisza.

Beam, lekko oszołomiony, nie wyobrażał sobie, że jego spojrzenie może spowodować tak spektakularne efekty. Popatrzył teraz na inny kwadrat: „light off”. Potem na „light on”. W pokoju nagle zapanowała ciemność, po czym ponownie zapaliło się światło.

Przeszedł teraz do kwadratów, oznaczonych fonemami lub wyrazami. Słuchając poleceń jego wzroku, syntetyczny głos dobywający się z umieszczonych w suficie głośników artykułował:

- *Tea for two and two for tea. To be or not to be. I love you. Tender is the night.*

Christophera Beama ogarnęło upojenie, zrozumiał, że to on steruje tym wszystkim - zasuwami, światłem i tą maszyną do wytwarzania głosu - *tylko przy pomocy własnego wzroku!*

Po raz pierwszy człowiek sterował maszyną bez mechanicznego pośrednictwa, nie wykonując ani jednego gestu, wyłącznie dzięki impulsom własnego mózgu bezpośrednio odczytywanym i przetwarzanym przez komputer! Fultonowi udało się stworzyć bezpośrednio połączenie między komputerem a mózgiem. Nie było już między człowiekiem a maszyną biomechanicznego sprzężenia: klawiatury, sensora czy sterowania głosem, lecz sprzężenie bioelektroniczne.

Informacja przechodziła bezpośrednio od jednego do drugiego w swej oryginalnej postaci: przepływu elektrycznych ładunków.

Młodemu człowiekowi zaparło dech: kiedyś współpracował, właśnie tutaj, przy tworzeniu eksperymentalnego systemu wspomagania inwalidów narządów ruchu. Tamten system stawiał wówczas pierwsze kroki, podlegał licznym błędom interpretacyjnym, a powolność jego reakcji powodowała, że nie nadawał się do zastosowania w praktyce. I oto teraz, powróciwszy do Instytutu po kilku latach, Beam odkrywał, że dokonała się tu prawdziwa rewolucja, a świat jeszcze o tym nie wiedział!

Beam doznał uczucia wszechmocy: wystarczyło, by spojrzeć na wyraz by dana rzecz, czynność lub wyraz, po prostu stała się. Zapragnął jeszcze wyrwać się z łańcucha skutków i przyczyn, pozwolić przemówić swemu umysłowi za pomocą tego krzemowego głosu i wzrokiem ułożył wyraz:

Debora...

Nagle wszystko się popsuło. Maszyna przestała rozumieć, popełniała błędy, odryglowywała drzwi zamiast zgasić światło, wypowiadała ciągi dźwięków bez sensu.

- Dalej nic z tego - stwierdził Fulton.- Ma pan zbyt wiele obrazów w głowie. To zamazuje elektroencefalogram. Niech pan spojrzy.

Fulton wywołał na monitorze krzywą elektroencefalogramu. Historyczne zygzaki przelatywały przez cały ekran.

Kontynuowanie doświadczenia nie miało sensu. Fulton zdjął Beamowi elektrody. Młody człowiek wstał, nadal pod wrażeniem doświadczenia, w którym właśnie wziął udział.

- To niesamowite, Nick – wyszeptał - Ale trzeba by zwiększyć możliwości, ścieśnić kwadraty na ekranie, zwielokrotnić pojemność programu, przygotować więcej zastosowań mechanicznych, poprawić niezawodność! Trzeba tu podłączyć gigantyczną pamięć!

- Tak - odparł poważnie Fulton - trzeba to wszystko zrobić. Tylko jeden człowiek jest w stanie tego dokonać. Christopher, czy chce pan dokończyć tego dzieła dla mnie?

Christopher Beam ujął swego mistrza za ramię, cienkie i kościste, drżące pod jego uściskiem. Końcem palców przesunął delikatnie po policzku starca. Gest ten mógł oznaczać zgodę, ale zapewne dla Fultona oznaczał o wiele więcej, gdyż wzruszenie zamgliło mu oczy.

Fulton nie powiedział Beamowi wszystkiego.

Kilka miesięcy wcześniej odwiedzili go ludzie z rządu federalnego. Wyjaśnili mu, że jego wynalazki mogły mieć wojskowe zastosowanie i że rząd nie mógł sobie pozwolić na ich ignorowanie.

Fulton pomyślał o sytuacji pilota myśliwskiego w niebezpieczeństwie, którego nogi i ręce unieruchomione są niezwykłą siłą: kiedy płonąca maszyna spada na ziemię, nie ma on wówczas możliwości sięgnąć ręką do tablicy przyrządów, ani nawet uruchomić katapulty fotela. Tak, w takich przypadkach jego system prawdopodobnie mógłby przyczynić się do ratowania ludzkiego życia.

Ale bardzo szybko przekonał się, że nie o to chodziło. Ludzie z Pentagonu mieli inne zamiary.

Nicholas Fulton zrozumiał, że resztę swego życia będzie musiał spędzić na zwalczaniu ich. Chodziło o transfer za granicę technologii, która mogłaby mieć zastosowanie wojskowe. Pentagon domagał się więc opinii ekspertów przed wyrażeniem zgody; od paru miesięcy przepisy dawały mu takie uprawnienia.

Na szczęście Nick Fulton miał w tej instytucji sojusznika...

Obaj mężczyźni spotkali się potajemnie na nabrzeżu 39. Udając, że się nie znają, każdy z nich, osobno wykupił bilet na zwiedzanie więzienia Alcatraz.

Na wypełnionym turystami statku powoli przybliżyli się do siebie i stanęli obok, oparci o reling. Od tyłu wyglądali jak bracia bliźniacy, z opadającymi ramionami, przygarbieni lecz z wyprostowanymi szyjami. Patrząc na nich od przodu, można było dostrzec jakiś szalony błysk w ich oczach, świadczący o tym, że obu coś zżerało od wewnątrz - jednego choroba, drugiego tajemnicza egzaltacja. Postali tak przez chwilę w milczeniu, bez słowa delektując się, jakby małymi łykami, przyjemnością ponownego spotkania.

James Beam, ojciec Christophera, wyciągnął papierosa i poprosił przyjaciela o ogień. Fulton podał mu i wyrzucił zapałkę do morza. Przelatujący obok pelikan, pobudzony obecnością turystów, złapał ją dziobem zanim dotarła do powierzchni wody. Fulton wzdrygnął się.

- Cholerny drób! - warknął - Boże, dlaczego nie przerabia się ich na pasztet i nie wysyła do krajów trzeciego świata? A przecież teraz już niczego nie powinienem się bać.

James Beam roześmiał się, żeby ukryć zażenowanie, w jakie wprawiły go te ostatnie słowa.

- Czego właściwie ode mnie oczekujesz? - spytał.

- Pracujesz jako ekspert od informatyki w Departamencie Obrony. Jesteś członkiem komisji Pentagonu do spraw transferu nowoczesnych technologii. Jesteś kompetentny, żeby zająć się sprawą transferu mojego systemu. Musisz mi pomóc.

- Ale mnie do tego nie wyznaczono!

- Musisz mi pomóc - powtórzył Fulton głuchym głosem.

- Czemu nie pozostawisz sprawy jej własnemu biegowi?

- Bo wy, wojskowi, macie chętkę na moje badania, dokończcie o tym wiesz!

- Skąd mam to wiedzieć, nie zajmowałem się tą sprawą.

- Nawet nie dopuszczam myśli, że nie zapoznałeś się z nią zanim przyjechałeś na to spotkanie z Waszyngtonu.

- Co jest takiego nadzwyczajnego w tej sprawie, że się tym tak denerwujesz?

- Nie mam pojęcia: akta są tajne! Błagam cię, nie baw się ze mną w kotka i myszkę. Niech twój przyjaciele zrobią z tymi badaniami, co zechcą, ale przynajmniej niech twój syn dokończy w Jerozolimie to, co ja tu zacząłem. Tylko on dysponuje odpowiednimi strukturami i on jeden wystarczająco dobrze zna moje badania. James, błagam cię! Są przynajmniej dwa powody, dla których powinieneś mi pomóc: ja sam i twój syn, jesteś mu to winien!

Milczeli przez chwilę. Beam nerwowo zaciągał się papierosem.

Dyżurny przewodnik szczegółowo opowiadał zgromadzonym turystom o okolicznościach uwięzienia Al Capone'a. Przed dziobem statku rosła bryła skalistej wyspy. Na samej górze, nad murami, wznosiła się latarnia morska.

Beam przygryzł wargi. Zrobił wysiłek, odpowiedź wiele go kosztowała.

- Przykro mi, Nick, ta sprawa nie zależy ode mnie. Nie jestem w stanie ci pomóc.

- James, stary, - próbował jeszcze Fulton - zostało mi niecałe sześć tygodni życia. Pamiętasz jeszcze czterdziesty czwarty, kiedy mój pułk stacjonował koło Brighton? Miałeś dwadzieścia trzy lata i byliśmy już przyjaciółmi. Wtedy pracowałeś dla jakiegoś laboratorium Stanu Waszyngton, nad Pacyfikiem. Któregoś dnia przyjechałeś do Wielkiej

Brytanii poznać swojego mistrza, Alana Turinga. Przy okazji złożyłeś mi wizytę. Przekupiłem wartowników i wyszedłem z obozu, żeby się z tobą spotkać w Brighton.

- To była noc! Nigdy nie wypłem tyle piw w tylu barach co wtedy!

- Przed świtem odprowadziłeś mnie do koszar. I pamiętasz, właśnie wtedy rozpoczął się *blitz*. Byliśmy w szczerym polu. Schowaliśmy się pod mostem.

- To było jak ognie sztuczne. A ty śpiewałeś *Valentine* wśród wybuchów!

- Jak już wszystko się skończyło, ruszyliśmy dalej. I znaleźliśmy w rowie jakiegoś faceta rozerwanego na kawałki przez bombę. Umierał, płakał, rzucał się, a ty wyszeptaleś mu coś na ucho. I on się uspokoił, ucichł, umarł z uśmiechem na ustach. Pamiętasz, co mu wtedy powiedzialesz?

- Tak, oczywiście. Powiedziałem mu, że jestem jego przyjacielem. Tylko tyle. Nic więcej...

James Beam poczuł, jak coś ściska go w gardle. Zrozumiał do czego zmierza jego przyjaciel.

- Tak, stary, dobrze zrozumiałeś - ciągnął Fulton. - Dzisiaj ja leżę w takim rowie. Słucham twojego głosu, czepiam się twoich słów, i czekam...

Beam z trudnością przełknął ślinę.

- Dobra, już przestań. Wygrałeś. Postaram się, odnajdę akta sprawy. Zrobię to dla ciebie.

Statek przybił do brzegu i sfera turystów rzuciła się do przodu w ślad za przewodnikiem.

Fulton i Beam kontynuowali zwiedzanie: dwaj nieznajomi w tłumie.

3 HADASSA

Kean i Mac Kilkee, dwaj wysłannicy rządu federalnego do Jerozolimy, których zadaniem było tropienie niewłaściwego wykorzystywania amerykańskich subwencji, zostali w mieście do szabasu. Obaj byli mali, w podobnych gamiturkach, obaj patrzyli na świat przez okulary i węszyli za nieuzasadnionymi wydatkami. Wyglądali jak postacie z alegorycznego rysunku: nie byli technokratami, lecz samą technokracją w ludzkiej skórze.

Wszędzie, gdzie stanęła ich noga, Christopher po swoim powrocie znalazł tylko dymiące zgliszcza: w ciągu niecałego tygodnia obcięli budżet oddziału o pięć milionów dolarów.

W niedzielę Christopher Beam odwiózł ich na lotnisko Ben Gurion, skąd mieli lecieć do Waszyngtonu. Kontroler finansowy Arnold Kean wyraził żal, że nie zdążył odwiedzić warsztatów szlifierzy diamentów w Netanii. Pojedzie tam innym razem. Zdesperowany Beam w duchu prosił Boga, żeby tamten, jeśli musi, przyjeżdżał do Izraela wyłącznie jako turysta.

W drodze powrotnej z lotniska Beam spotkał Davida Sullowaya, swojego asystenta.

David miał dwadzieścia pięć lat. Jego twarz, nierówna i jakby z gruba ciosana, wyglądała jak niedokończona rzeźba pozostawiona swojemu losowi. Brak jakiegokolwiek patyny powodował wrażenie całkowitej niewinności, a niektórzy twierdzili, że ta jego uwo-

dzicielska gładkość stanowić może jedną - być może najgroźniejszą - z perwersji.

David pierwszy padł ofiarą tropicieli deficytów. Zawiesili oni bowiem wypłacanie dotacji budżetowej, dzięki której prowadził on swoje osobiste badania nad programem modelowania psychiatrycznego.

- Bardzo mi przykro, David - powiedział Christopher ze współczuciem.

- Niech się pan nie martwi, Beam. Nie zaskoczyło mnie to. Już dawno czułem, że coś się święci. Nie na darmo mam w żyłach indiańską krew!

- Indiańską krew?

- Nie mówiłem panu? Jestem prawnukiem proroka Siuksów Wowoki.

- I co pan teraz będzie robił?

- Jeszcze nie wiem. Skoro Waszyngton mnie nie chce, może zrobię sobie roczny urlop! Tak czy owak, Chris, wyjeżdżam. Nie będę tu siedział w nieskończoność!

- Rozumiem, że jest pan rozczarowany, David. Może jednak powinien pan spróbować przezwyciężyć...

- Nie! Nie wyobraża pan sobie, ile wysiłku, ile nieprzespanych nocy, ile poświęceń kosztowały mnie moje badania! I wszystko po to, żeby któregoś dnia jakiś dupek przyjechał tu i powiedział: „Wszystko likwidujemy!” Nie mam już serca do pracy tutaj. Muszę wyjechać. Nabiorę trochę dystansu do tego wszystkiego, a potem któregoś dnia wrócę, obiecuję to panu...

Wzruszenie ścisnęło mu gardło.

- Mało brakuje, żebym się rozplakał jak szczeniak! - przyznał.

Odwrócił się na pięcie. Z głębi korytarza, nie odwracając głowy, pomachał ręką na pożegnanie.

Chris został sam, lekko oszołomiony. Jednego dnia stracił pięć milionów dolarów i najlepszego ucznia: nie wyglądało to najlepiej.

Nieco później zadzwoniła Debora Kennedy. Chciała odwołać kolację u Simona i proponowała, by raczej Christopher przyszedł do niej, nazajutrz po południu.

Mieszkała przy ulicy Salh-ed-Din, na czwartym piętrze domu bez windy. Była tu kwadratowa kawalerka, którą poszerzały nieco lustra ułożone na całej długości jednej ze ścian. Słup wilgotnego powietrza

falował pod sufitowym wentylatorem. Okiennice były zamknięte, firanki i zasłony zaciągnięte, w pokoju panował mrok.

Debra poprosiła, by wszedł. Szybkie przejście z nasłonecznionej ulicy do ciemnego pomieszczenia oślepiło go na chwilę. Popchnęła go w kierunku kanapy. Po minucie dostrzegł ją, także siedziała, ale nieco dalej, w fotelu. Czekał, by się odezwała, ale nie mówiła nic, słychać było tylko whisky nalewaną do szklanek i brzęk kawałków lodu.

W ciemności błysnął mały płomyczek, a przy nim rozżarzyła się czerwona kropka. Dziewczyna głęboko zaciągnęła się papierosem, przysunęła do siebie popielniczkę, wypuściła dym w kierunku wentylatora.

- Mam młodszego brata - powiedziała nagle. - Ma na imię Anthony. To dzieciak, jest młodszy ode mnie o dwadzieścia lat!

Beam poczuł się głupio. Oczekiwał wszystkiego oprócz takiego wstępu.

Było jej gorąco i bezustannie przesuwała sobie po twarzy szklanekę z J&B. Kostki lodu zderzały się ze sobą. Christopher poczuł się zazdrosny o tę szklanekę. On także pragnął, bez dalszego gadania, przytulić się do tego czoła, tego podbródka, tego policzka który lekko połyskiwał w ciemności.

- Mieszka z moją matką, w Genewie. Właściwie tylko w połowie jest moim bratem. Mój ojczym jest dyplomatą.

Były to jedyne słowa, jakie wypowiedziała zanim zaczęli się kochać. Usiadła obok Christophera i czekała. Nieśmiało spytał, czy może jej dotknąć. Nie odpowiedziała, lecz odstawiła szklanekę. Wyciągnął rękę. Wzięła ją i wsunęła pod swoją jedwabną bluzkę. Prowadziła go niemal rozkazująco. Musiał chwytać koniuszki jej piersi i długo kręcić je w palcach, niczym papierosa, powoli, między palcem wskazującym a kciukiem. Spośród jej fantazji była to pierwsza, którą poznał.

Wzięła w dłonie jego twarz. Potem rozwiązała tasiemkę, spinającą jego włosy, i przyjrzała się nowej postaci jego głowy. Koński ogon powodował, że na głowie miał jakby kask zdobywcy. Kiedy włosy spadały luźno, obraz wojownika zamieniał się w twarz archanioła. Orli nos wydawał się łagodniejszy; zielone oczy o energicznych, ukośnych brwiach, stawały się mniej widoczne, a bardziej zwracały uwagę jego rzęsy, długie i łagodnie wywinęte jak u kobiety; kiedy się rozebrał, spadające na ramiona włosy łagodziły ostrą linię ramion i równoważyły mocno zarysowane ścięgna mięśni pod skórą.

Dziewczyna poczuła zaskoczenie, że jednym ruchem wprowadziła między nich symetrię: jej włosy były blond, o lekko miedzianym odcieniu, lecz tej samej długości co u tego mężczyzny-dziecka, który stał obok niej. Jej skóra była podobnie naciągnięta na długich mięśniach, a dłoń Chrisa wyczuwała jej elastyczność.

Kochali się kilkakrotnie, najpierw na kanapie z łososiowego pluszu, potem na dywanach pokrywających podłogę. Przy trzecim orgazmie dziewczyny dało się słyszeć donośne miauczenie: Debora mieszkała z angorską kotką, którą zdenerwowała ta nowa atmosfera przesycona wilgocią i rozkoszą. Mała biała naelektryzowana kulka rozdarła firankę i przejechała parokrotnie pazurami po dywanie, zanim odzyskała spokój.

Potem Debora owinęła się ręcznikiem, a kiedy on chciał uczynić to samo powstrzymała go. Musiał pozostać przed nią nago.

Siedząc po turecku na łóżku zaczęła mówić. Powiedziała mu, że lubi tylko skrajności, że ustawicznie przechodzi od egzaltacji do obrzydzenia. Miłość bez namietności napawają odrazą. Prosi tylko o jedno: by Chris nie zadawał jej bólu, bo jest bardzo wrażliwa - drobnostka może ją zabić - chyba żeby to było zło absolutne, które sprawi jej rozkosz.

Zamilkła ponownie. Sądził, że więcej nic już nie powie, lecz wyszeptała jeszcze:

- Chodź!

Zbliżył się do niej i kochali się ponownie. Potrafił odczekać momentu, kiedy zalewała ją rozkosz, każde z nich spalało się w płomieniu drugiego. Wyglądała na upojoną.

Nie potrafił sobie przypomnieć, co działo się później. Znalazł się na ulicy, oszołomiony, drżący niczym pijany dotknięty udarem słonecznym. Jego życie zostało złamane, pogwałcone i rozbite na dwie połowy, na przed i na po.

Christopher spotykał się z Debora wielokrotnie w ciągu następnych dni, zawsze w tych samych warunkach: u niej w domu, przy zasłoniętych oknach, gdzie rozwścieczona kotka dusiła się od upału i podniecenia. Dziewczyna narzucała mu rytuał, z którego nie mógł się wyzwolić bez ryzyka, że obniży napięcie, jakie ogarniało ich w chwili rozkoszy. Tak jak u niektórych orchidei, rozkwit ich orgazmu możliwy był tylko w ciszy, wilgoci i ciemności.

Któregoś dnia powiedziała mu, że pracuje w American Colony, dawnym tureckim pałacu zamienionym w hotel. Prowadziła tam

samodzielnie przedstawicielstwo biura podróży, w którym jak twierdziła, nudziła się śmiertelnie. Kuala Lumpur, Vancouver, La Valetta, Noumea: podróżowała wiele, przynajmniej pośrednio, lecz cała ta egzotyka nie wystarczy już na długo, by uchronić ją przed uduszeniem.

Ponieważ pracowała na komputerze i znała się na korzystaniu z sieci lokalnych, zaproponował jej pracę u siebie, w szpitalu Hadassa. Była to propozycja zupełnie bez sensu w okresie, kiedy likwidowano stanowiska pracy, ale co tam, znajdzie jakieś wyjście. Debora stała się dla niego jedyną wartością, tym wokół czego cały świat musiał za wszelką cenę się obracać.

Tego samego dnia poprosiła, by przywiązał ją do prętów łóżka zanim zacznie się z nią kochać. Usłuchał i jeszcze delikatniej niż zwykle pokrył ją swym ciałem.

Chris nigdy nie nocował u Debory. A jeśli zdarzało mu się wychodzić od niej o dziwnych porach, kiedy kończy się noc, świadczyło to tylko o tym, że kochali się dłużej niż zwykle.

Wiązał wówczas swój koński ogon, wciągał spodnie, zarzucał na ramiona bawełniany sweter i wychodził bez słowa. Musiał następnie przemierzyć całe miasto i przejść osiem kilometrów na zachód by dotrzeć do Ein Kerem - małej wioski, w której mieszkał, niedaleko szpitala Hadassa.

Któregoś dnia zabroniła mu wyjść samemu.

- Idę z tobą - powiedziała.

- Dokąd?

- Do Hadassy.

- Zaczynasz pracę dopiero w poniedziałek. Nie ma sensu, żebyś dzisiaj przychodziła.

- Wiesz, ja jestem jak zwierzę. Potrzebuję się przyzwyczaić do miejsca, żeby dobrze się w nim czuć. A poza tym jestem ciekawa!

Żądza Debory identyfikowała z ciałem Chrisa całe otoczenie, w którym ten ostatni się znajdował. Nie przyznając się do tego cała aż paliła się, by poznać miejsce naznaczone obecnością tego ciała, w którym musiało znajdować się tysiące niematerialnych śladów jego osobowości.

Było bardzo wcześnie i wystarczyło im niecałe dwadzieścia pięć minut by dojechać do Ein Kerem. Na szosie napotkali wyłącznie

wojskowe ciężarówki, wozy asenizacyjne, samochody dostawców koczowniczej żywności, kolektywne taksówki zmierzające na postój przy ulicy Ben Jehuda oraz liczne białe Mercedesy z wymalowanym rysunkiem zbieraczy winogron, emblematem Ministerstwa Turystyki.

Chris siedział za kierownicą swego białego Buicka, a Debora przytuliła się do niego. Kiedy przejechali koło wojskowego cmentarza na wzgórzu Herzla i ominęli kilka innych wzgórz, na horyzoncie na tle różowiejącego od wschodu słońca nieba pojawiła się bryła szpitala Hadassa.

Na widok wielkiego kompleksu, stanowiącego największy szpital na Bliskim Wschodzie, Debora nie mogła powstrzymać okrzyku:

- Boże, to całe miasto!

- Tak, za tymi murami jest całe samowystarczalne miasteczko, z własnymi źródłami energii, zapasami żywności, sklepami, ośrodkiem łączności...

- Coś jak hotel M.G.M. w Las Vegas? - spytała Debora.

- Tak - odparł Chris śmiejąc się - coś jak w Las Vegas!

Zaparkował samochód od strony zachodniej tak, że słońce wschodziło teraz zza szpitala. Poniżej, zagnieżdżona na dnie doliny, znajdowała się wioska Ein Kerem, celując w niebo swoimi dzwonicami i minaretami.

Hadassa składała się z około dwudziestu budynków liczących od pięciu do dziewięciu pięter każdy. Większość była między sobą połączona krytymi przejściami. Dzieło amerykańskich architektów i inżynierów arogancko wznosiło swoje ściany z różowego kamienia na szczycie porośniętego gajem oliwnym wzgórza. A kiedy słońce na dobre rozświetliło niebo bez jednej chmurki, mogło wydawać się, że kamień i przestrzeń zlewają się w jednolity, słodki i delikatny róż.

Była to ulubiona chwila Chrisa. Za parę minut Hadassa ponownie stanie się zbiorowiskiem niezgrabnych budynków. Ale teraz harmonijnie zjednoczona z niebem i wzgórzami, wydawała się odwrotnością tego, czym była w istocie: miejscem cierpienia.

- To jeden z najnowocześniejszych szpitali na świecie, a w każdym razie największy na Bliskim Wschodzie - szepnął Chris Deborze na ucho. - Jest tu pięć wydziałów, instytuty badawcze, pięć ośrodków badań nad zmianami zwyrodnieniowymi, ośrodek transplantacji narządów i instytut badań nad rakiem.

- Co oznacza nazwa „Hadassa”?

- To hebrajskie imię królowej Estery. To słowo oznacza także mirt, roślinę która użyźnia jałowe gleby. Kiedy w 1912 roku Henrietta Szold założyła w Nowym Jorku Organizację Syjonistek Amerykańskich, nadano organizacji nazwę „Hadassa”. To one dały temu krajowi, zanim jeszcze powstało tu państwo, pierwszy system opieki lekarskiej.

Debora poczuła dreszcz.

- Nie wiem czy chciałabym być leczona w tak ogromnym szpitalu...
- szepnęła ogarniając ruchem ręki cały zespół budynków.

Od strony szosy, którą przyjechali, wznosiła się główna, wklęsła fasada szpitala, na szczycie której widniała monumentalnych rozmiarów *menora*. U stóp budynku trwały prace nad nowymi, płaskimi pawilonami, w których miało znaleźć miejsce siedemnaście nowych sal operacyjnych. Obchodząc cały zespół od prawej dochodziło się do głównego wejścia szpitala. Obok znajdowały się parkingi oraz przystanki autobusowe i postój taksówek, a nieco dalej budynek izby przyjęć.

- Tysiąc łóżek. Pięćdziesiąt tysięcy chorych przyjmowanych co roku - wyrecytował Chris. - I pół miliona osób badanych ambulatoryjnie. A personel: cztery tysiące lekarzy, pielęgniarek, techników i urzędników!

- Przestań - rozkazała Debora. - Nie lubię, kiedy podnieca cię coś innego niż ja.

Zapanowało między nimi uczucie zażenowania. Przez chwilę Chris poczuł się śmieszny: chciało mu się płakać.

Tego samego dnia Chris przedstawił Deborę Melowi Philipowi, który kierował amerykańskim oddziałem Hadassy. Mel Philip, lat pięćdziesiąt, kiedyś był attache naukowym w jakiejś amerykańskiej ambasadzie w Afryce. Z kariery dyplomatycznej pozostały mu nieco ugrzecznione maniery. Toteż zabrał się za oprowadzanie dziewczyny po oddziale tak, jak pokazuje się kolonię nowemu gubernatorowi.

Oddział zajmował pięciopiętrowe skrzydło we wschodniej części budynku w kształcie podkowy. Było tu szereg działów: kardiologia, hematologia, pneumologia, gastro-enterologia, chorób zakaźnych itd. Christopher Beam kierował działem neurofizjologii.

Debora ze zdziwieniem stwierdziła, że w szpitalu tym panował ruch podobny do tego, jaki zobaczyć można na dworcu, lotnisku lub w centrum handlowym. Każdy sektor oznaczony był innym kolorem,

ułatwiają orientację gościom, którzy zbłądzili w labiryncie korytarzy, schodów i szybów windowych.

Ponadto, kiedy we troje szli w kierunku ośrodka informatycznego, zauważyła na ścianach niezliczone wygrawerowane tabliczki. Podeszła do Chrisa.

- Nie podoba mi się tutaj - szepnęła mu na ucho. - Wszystkie te tabliczki wyglądają jak nagrobki, człowiek się czuje jak w jakiejś kaplicy. Można by oczekiwać, że za chwilę spod ziemi pojawią się duchy, jak w horrorze!

- Za dużo oglądasz filmów po nocach: to tylko nazwiska ofiarodawców. Hadassa finansowana jest z darów, pochodzących z całego świata, a przede wszystkim z Ameryki. Każdy otrzymuje swoją tabliczkę. Są w szpitalu takie sale, gdzie na ścianie nie ma już miejsca żeby wbić gwóźdź!

- Nasz oddział - powiedział Mel Philip do Debory - zapewnia całemu szpitalowi usługi centrum informatycznego, którym kieruje Christopher, podobnie jak swoim własnym działem.

Podwójne wykształcenie Beama: informatyka i neurologia, a także jego doświadczenie w pracy z sieciami informatycznymi i tematyka prowadzonych badań, umożliwiły to połączenie.

Wreszcie dotarli do centrum informatycznego, w którym pracować miała Debora.

Była to wielka oszklona sala, w której widać było około dwudziestu osób pracujących przy terminalach.

- Centrum to ma podwójne zadanie - wyjaśnił nowej pracownicy Christopher. - Przede wszystkim mamy tu instytut badań epidemiologicznych, który zajmuje się geograficznym, społecznym i zawodowym rozmieszczeniem chorób na całym świecie. To głównie praca statystyczna, polegająca na uwzględnianiu milionów parametrów nadsyłanych z całego świata przez inne ośrodki epidemiologiczne, takie jak Atlanta, Leningrad, New Delhi czy Paryż, a także przez terenowe laboratoria.

Podczas gdy Chris opowiadał, zbliżali się do podwójnych pancernych drzwi w głębi sali.

- Żeby opanować taką masę informacji - kontynuował Beam - ośrodek posługuje się komputerem wielkiej mocy połączonym z podobnymi urządzeniami na innych kontynentach.

Dotarli do pancernych drzwi.

- Komputer znajduje się za tymi drzwiami. To maszyna Digital Equipment. Dostęp do niej regulowany jest nadzwyczaj ścisłymi zasadami bezpieczeństwa. Na palcach obu rąk policzyć można osoby, uprawnione do przekroczenia progu tych drzwi!

Debora poczuła w sercu nagły chłód. To miejsce było straszne, bała się go.

- System ten - ciągnął Chris - połączony jest - i to jest jego drugie zadanie - z głównymi szpitalami i bankami narządów na całym świecie. Musimy być w stanie zlokalizować w czasie rzeczywistym narząd, tkankę albo krew, której potrzebuje któryś z oddziałów Hadassy. Dlatego nasz ośrodek informatyczny stanowi centrum promienistej struktury, która jak ogromna pajęczyna obejmuje cały świat i której nitki doczepione są do satelitów!

Debora wzniosła swe zielone oczy ku niebu, jakby chcąc sprawdzić twierdzenia Chrisa. Przez chwilę wyobrażała sobie, daleko poza sufitem i chmurami, tę ogromną siatkę, której niematerialne nici oplątywały świat. Przez chwilę miała wrażenie koszmaru.

Pomimo swoich lęków, które zachowała w tajemnicy, Debora Kennedy objęła swoje stanowisko w ośrodku informatycznym w następny poniedziałek.

Nabrała zwyczaju, by pozostawać w pracy do późnego wieczora, czekając aż Chris przyjdzie po nią i odwiezie do Jerozolimy.

We czwartek miała miejsce awaria sieci elektrycznej i sala pograżyła się w ciemności. Tylko pulpity sterownicze, zasilane z niezależnych źródeł, nadal świeciły czerwonymi punktami wskaźników, które nigdy nie gasły.

Debora poszła w kierunku korytarza, także pograżonego w ciemności. Poczowała, że trzęsie się ze strachu i przypomniła sobie okropne wrażenie, jakie wywarła na niej Hadassa pierwszego dnia.

Wszędzie panowała cisza.

W oddali zabrzmiał krzyk cierpiącego pacjenta. Deborze spłynął po plecach strumyczek lodowatego potu. Wyteżyła słuch. Dobiegał ją hałas niklowanych wózków, jak zwykle toczących się po korytarzach innych kondygnacji. Być może awaria ograniczała się tylko do jej piętra? Poszła dalej korytarzem, przerażona odgłosem własnego oddechu.

Nagle oślepił ją snop światła.

Wrzasnęła.

Przed nią pojawiła się twarz potwora, poprzecinana strasznymi cieniami w miejscach, gdzie nie docierało światło. Debora poczuła, że ogarniają szaleństwo. Płuca odmawiały jej posłuszeństwa, po pierwszym krzyku żaden następny dźwięk nie mógł już wydobyć się z jej gardła.

Wydało jej się, że twarz patrzy na nią ze zdziwieniem pozbawionym wrogości. Ale spojrzenie to było straszniejsze od nocy, okropniejsze od śmierci.

Zemdlała.

Kiedy doszła do siebie, ta twarz była tam nadal, tym razem pochylona nad nią z wyrazem, który wydał jej się łagodniejszy. Było już normalne światło, a twarz należała do kobiety, olbrzymki, która wyszeptała:

- Nazywam się Dora Benari, ale tutaj wszyscy nazywają mnie Babel.

- Babel? - powtórzyła Debora, nadal oszołomiona.

- Przestraszyłam panią, prawda? Nie trzeba się bać. To tylko awaria sieci. Ja pracuję w ochronie. Przysłał mnie doktor Beam. Zatrzymano go na godzinę na bloku operacyjnym. Nie chciał, żeby się pani niepokoiła.

- No to nie udało się! - powiedziała dziewczyna z wymuszonym uśmiechem.

- Uśmiechamy się, to już dobrze! To mi się podoba! Zobacz pani, że się zaprzyjaźnimy. Skoro musi pani zaczekać, opowiem pani coś. Zgoda?

Owo „zgoda?” miało zapewne charakter czysto retoryczny, jako że Babel, nie czekając na przyzwolenie swojej rozmówczyni, zwierzyła się jej ze wszystkiego.

Miała już sześćdziesiąt lat, lecz roznosiła ją energia. Nawet jej głos dźwięczał niczym dzwon. Opowiadała, jak w czasie dalekich podróży rzuciła na matę zapaśnika sumo, zadusiła gołymi rękami afrykańskiego drapieżnika, powstrzymała własną piersią szarżę nowozelandzkiego bawołu.

Brała udział we wszystkich izraelskich wojnach, zabijała ludzi i zakładała miny. Aż w końcu pewnego dnia Cahal, armia która tyle razy jej wiwatowała, z przygnębieniem dowiedziała się, że Dory już nie ma. Wiadomość przeleciała przez wszystkie koszary niczym dreszcz: Dora Benari przeszła do życia cywilnego.

Od tego czasu Babel pracowała w agencji ochrony, zatrudniającej weteranów. Agencja miała w tym swój interes: oficjalnie postępowała

patriotycznie, ułatwiając przystosowanie do życia w cywilu różnym twardzieliom o zachwianych przez wojnę charakterach, których nikt inny do pracy by nie przyjął. W ten sposób można było moralnie uzasadnić groszowe pensje, jakie tym ludziom wypłacano.

Babel chlubiła się swoim ubóstwem. Straciła na wojnie oko, i kalectwo uprawniało ją do renty, której przyjęcia odmówiła. Walczy się o ideały, twierdziła, tego się na pieniądze nie przelicza. Nie zniosłaby, gdyby w jej kieszeni znalazł się choć o jeden szekel więcej, niż za wojskowych czasów.

Zbudowana była niczym latarnia morska, na szerokiej podstawie i omiatała świat pojedynczym promieniem swego lewego oka. Na miejsce prawego wstawiono jej ceramiczną kulkę. Kalectwo właściwie dyskwalifikowałoby ją jako pracownika ochrony, ale udowodniła swoją zdolność i umiejętność walki. Poza tym mamrotała czasem przez zaciśnięte zęby jakieś niezrozumiałe słowa, których nikt nie ośmieliłby się jej kazać powtórzyć.

Około setki ochroniarzy i nocnych portierów agencji Greilsammer zapewniało na zmianę nocne bezpieczeństwo szpitala. Babel była przydzielona do oddziału amerykańskiego.

- Sama pani widzi, jestem tylko zwyczajnym człowiekiem. Nie ma się czego bać!

Debora nie ośmieliła się jej spytać, czy żartuje.

- Proszę mnie któregoś dnia odwiedzić, mam małe mieszkanie w wydziale ochrony. Hoduję tam drzewka bonsai. Torturuję je jak nieprzyjaciół! Niech pani przyjdzie je obejrzeć! Porozmawiamy sobie.

Deborę przeszedł dreszcz. Była w stanie, w którym trudno odróżnić sen od rzeczywistości. Dobiegł ją głos Chrisa, który właśnie nadszedł, ale właściwie być może to także było częścią snu.

Christopher otrzymał niepokojące wieści o swoim starym mistrzu.

Fultona zabrano do szpitala. Jednak z łóżka nadal kierował operacją transferu programu. Zużył całą resztę energii na walkę z ludźmi z Pentagonu by spowodować udzielenie zezwolenia. Nawet James Beam, długoletni przyjaciel, okazał się niewzruszony: na żądanie ojca Christopher będzie musiał zobowiązać się, że udoskonalenia systemu dotyczyć będą wyłącznie wspomagania inwalidów. W tych granicach

wolno było kontynuować prace, pod warunkiem jednak informowania wojska o wynikach na bieżąco.

Niebawem do Jerozolimy przybyła ekipa z Instytutu Smith Kettlewell w San Francisco, by uruchomić program na komputerze Digital Equipment Co. szpitala Hadassa.

Kilka dni później przybył ekspert Pentagonu by sprawdzić, czy przestrzega się wyznaczonych granic rozwoju projektu. Ekspertem tym był nie kto inny jak James Beam, o którym mówiono, że osobiście znał Neumanna i Turinga. Dla ludzi, którzy pracowali nad projektem u boku Fultona oraz tych, którzy teraz mieli to kontynuować pod kierunkiem Chrisa Beama, były astronauta roztaczał aurę mitu stającego się nagle rzeczywistością, niczym kometa, która spadła do ogródka przy domu. Dla Chrisa jednak oznaczało to po prostu przyjazd ojca.

Christopher nie widział go od dwóch lat. Nie zauważył w nim jednak żadnych zmian: odkąd James Beam odbył swój spacer w przesłonięciu, miał w oczach jakby jakiś blask - niektórzy mówili o „iluminacji” - wokół którego czas mógł żłobić bruzdy, tworzyć zmarszczki czy zagłębiać policzki, lecz pozostawało to niewidoczne. Dostrzegało się tylko niezmienną owego blasku, niczym gwiazdę skradzioną z nieba, która nie mogła się postarzeć.

Chris nigdy wiele z ojcem nie rozmawiał. Obarczał go odpowiedzialnością za swoje dzieciństwo bez matki. I w pewnym sensie obarczył go poczuciem winy: James Beam sam dopasował się do tego obrazu zarzutów i identyfikował się z nim bez zastrzeżeń. Ale ze swej strony przekazał synowi swoje poczucie wstydu, niewzruszony mur, pod osłoną którego obaj trwali we wzajemnej obcości.

Jednakże Chris nie miał się czego obawiać z powodu tego spotkania, gdyż ojciec spędził w końcu w Jerozolimie niecałe trzydzieści sześć godzin. To mało by się przed nim otworzyć, ale w sam raz by przywołać garść wspomnień związanych z obrazami z dzieciństwa: prywatka w hangarze; plaża na Florydzie i plażowicze, wahanie między strachem przed rekinami a przyjemnością kąpieli; fotel ratownika, na którym zarabiał swoje pierwsze pieniądze; a nawet rów, na dnie którego, podczas wycieczki do Everglades, znalazł ciało dziecka na wpół pożarte przez krokodyla.

Kiedy Chris zapytał ojca, w jakim hotelu się zatrzymał, ten odpowiedział:

- Mój drogi, hotele są po to, żeby w nich spać, a ja nie mam zamiaru spać!

I rzeczywiście, w ciągu tych trzech dni wypił litry kawy i nafaszerował się najróżniejszymi środkami pobudzającymi. W nocy, siedząc samotnie w biurze Chrisa, sprawdzał linijka po linijce zapisy Nicholasa Fultona. Pochylony nad komputerem tu i ówdzie pozmieniał niektóre szczegóły programu. Program zawierał listę poleceń, które komputer miał wykonać, żeby system zadziałał. Było tam ponad trzydzieści tysięcy zapisanych wierszy. Udoskonalenia, opracowane przez Chrisa, miały podwoić tę liczbę.

Któregoś wieczoru Chris zauważył, że ojciec wprowadza zmiany w treść programu zamiast ograniczyć się do jego sprawdzenia. James pokazał mu kilka pomyłek, które właśnie usunął. Powiada się, że nie istnieje książka bez błędów w druku; podobnie każdy program komputerowy powyżej pewnego stopnia skomplikowania zawiera błędy, zakłócające jego działanie. Nazywa się je po angielsku „bugs”, a ich usuwanie to „debugging”.

- Nie masz obowiązku tego robić - zauważył Chris.

- Powiedzmy, że oddaję wam przysługę. Skoro i tak muszę przeczytać cały program, żeby wprowadzić do niego parę blokad, mogę przy okazji zrobić „debugging”.

- Jak to parę blokad?

- Tak. Zlecono mi to w Pentagonie. Kiedy tylko jakiś podprogram może zostać rozwinięty w zastrzeżonym kierunku, wprowadzam tam blokadę, która uaktywni się w przypadku próby zastosowania go do celów wojskowych. Mógłbyś mnie poczęstować piwem?

- Dlaczego jesteście tacy nieufni? Doskonale wiesz, że moje prace nie mają nic wspólnego z tym, co tam knują nad Potomakiem! Czego wy się boicie? A poza tym chciałbym wiedzieć, jakie to mogą być te cele wojskowe!

- Nie denerwuj się. To nie jest wymierzone ani w ciebie ani w Fultona. Po prostu przestrzegamy zasady: każdy eksport specjalnych technologii musi podlegać pewnym zabezpieczeniom.

- Ależ tu jest amerykański szpital, prowadzony przez Amerykanów za amerykańskie pieniądze! Co to za eksport?

- Zapominasz o pojęciu „szczególnej strefy”.

- Co masz na myśli?

- Ze względów geopolitycznych najnowocześniejsze systemy sprzedawane zaprzyjaźnionym krajom lub działające na ich terytorium narażone są na to, że mogą wpaść w obce ręce. Chodzi tu o kraje w stanie

wojny, o takie jak Niemcy, w których sytuacja może się jeszcze zmienić, albo o takie które zagrożone są z zewnątrz lub od wewnątrz, na przykład południowoamerykańskie dyktatury popierane przez Stany Zjednoczone albo kraje otoczone samymi wrogami tak, że są w stałym zagrożeniu. Z lodówki pod oknem Chris wyciągnął dwie puszki zimnego Budweisera. Na dworze, w oddali, powietrze nad bramą Jaffy rozświetlone było kolorami wszystkich metali: lśniło złoto i miedź, połyskiwał brąz i stal; w cytadeli rozpoczęło się widowisko „światło i dźwięk”.

- Mogłem to zobaczyć z góry - szepnął James Beam. - Różni kretyni opowiadają, że z przestrzeni nie można zobaczyć na Ziemi śladu życia. A ja widziałem Los Angeles, błyszczało jak diament na aksamicie!

Chris, myśląc o czymś innym, nie podjął tematu.

- Jedna rzecz mnie zastanawia - powiedział, podając ojcu piwo.

- Tak, co takiego? - spytał astronauta, wyrwany z marzeń.

- Samo sprawdzenie tego cholernego programu nie przeszkadzało-
by ci spać. Przyjechałeś tu w innym celu!

- Nie masz żadnych podstaw, żeby...

- Popatrz na siebie! Nie goliłeś się od trzech dni. Śmierdzisz piwem i kawą. Kokaina wyłazi ci oczami!

- Zabraniam ci tak do mnie mówić!

- Gdzie spędziłeś te trzy dni? Chodziłem za tobą, widziałem jak łąziłeś po Mea Shearim, byłeś w paru szkołach talmudycznych, w jakichś budach prowadziłeś długie dyskusje z hassidim. Może zamierzasz się nawrócić? Dobrze sobie ciebie wyobrażam jako ortodoksa, w kaftanie, czarnych pończochach i z pejsami!

- Chcesz wiedzieć, co tu robię? No więc ci powiem: przygotowuję się do emerytury! Tak, dobrze słyszałeś: do emerytury! Ta parszywa robota dla Pentagonu to już ostatnia, możesz mi wierzyć, ostatnia!

Chrisa zatkało: czyż ojciec kiedyś nie poprzysiągł, że nigdy nie pójdzie na emeryturę?

James przybrał tajemniczą minę.

- To, mój drogi, to już inna sprawa i na odpowiedź będziesz musiał poczekać. Poznasz ją kiedy nadejdzie czas. Widzisz, tego dnia udowodnię, że na tym świecie można wznieść się na wysokość, której sam nigdy nie osiągnąłem i że ziemia i niebo stykają się na szczytach gór. Dokładnie tak: góry to słupy podtrzymujące niebo!

Nawet w najgorszych chwilach mistycznych uniesień, po wycofaniu się ojca z NASA, Chris nie widział go w stanie takiej egzaltacji

Przestraszył się.

- Co ty mówisz! Przecież to nie ma żadnego sensu! A jeśli chcesz twierdzić...

Chris nagle urwał.

- Co się stało? Co to było?

Teraz z kolei to Chris wydawał się wstrząśnięty, wyrwany z rzeczywistości.

- Nic nie słyszałeś?

- Nie.

- Jakby krzyk, okropny, to... Babel!

Chris Beam wybiegł z pokoju i rzucił się ku schodom, zbiegł dwa piętra w dół, zostawiając z tyłu zdyszanego ojca. Korytarz, hall, drzwi, byli już u Babel. Jej ciało leżało na ziemi, z karku spływała strużka krwi. Kilka drzewek bonsai spadło na podłogę: ich delikatne gałązki były połamane, gliniane doniczki w kawałkach.

- Idź szybko po lekarza dyżurnego, na trzecim piętrze! - rozkazał ojcu Chris.

Sam podszedł do Babel, uklęknął przy niej i wziął jej głowę na kolana.

Nie wiedział jeszcze, czy olbrzymka była żywa czy martwa, a w jego umyśle kłębiły się tajemnicze słowa ojca, widok Debory zapłakanej u wyjścia z grobowca i kolorowe światła rozpraszające noc nad cytadelą; w owej chwili, lekko podchmielony piwem, Beam nagle pomyślał, że w Hadassa skończyły się spokojne dni.

Szybko otrząsnął się z tych nieracjonalnych przeczuć i zmierzył puls Babel. Był słaby, lecz regularny, stara kobieta straciła tylko przytomność. Zaraz też nadszedł lekarz, teraz ocuci ją i opatrzy.

Następnie pojawiło się dwóch pielęgniarzy i wyniesiono olbrzymkę. Przeszedł szef ochrony i poprosił Beama o pozwolenie wezwania policji.

Beam siedział zamyślony. Taki przypadek zdarzył się po raz pierwszy. Nie widział żadnego wytłumaczenia.

Wydało mu się, że z oddali dobiega muzyka, silna i patetyczna zarazem. Był to finał przedstawienia „światło i dźwięk” w wieży Davida przy bramie Jaffy.

Kwadrans później przyjechała policja.

Przeprowadzone tej samej nocy śledztwo pozwoliło stwierdzić, że zginął jedynie uniwersalny klucz należący do Babel.

4 REKA IMAMA

Czuwając przy Dorze Benari Christopher Beam nie wiedział, że za parę godzin o dwa tysiące kilometrów stąd ważyć się będą jego losy, i że wszystko rozpocznie się od snu starego człowieka.

Pogrążony we śnie Rudollah Musawi wyciągnął ręce ku światłości.

Za każdym razem wydobywała się ona ze złotego miecza zawieszono-
nego w mroku. Jego szerokie ostrze, na ułamek sekundy zwrócone ku
Temu, który trzymał miecz w dłoni, oświetlało Jego oblicze i dane było
Musawiemu je dojrzeć. To był On, Oczekiwany, Pan czasu. On:
Wskrzesiciel.

Następnie światłość ponownie kierowała się ku starcowi i Rudollah
Musawi, liczący przecież niemal sto lat, czuł się jak nowonarodzony.
Obejmował światłość, a ona przepelniała jego ciało.

I powtarzało się to każdego ranka, każdego ranka światłość dawała
mu znak i ucieleśniała się w nim, cudem czyniąc z jego osoby znak Boga,
każdy ranek przynosił na nowo ten cud a on, Rudollah Musawi, biedny
starzec, stawał się ciągle i ciągle na nowo owym cudownym znakiem
Boga: ajatollahem.

Jego bliscy nie wymiawiali już nawet jego nazwiska, a tym bardziej
jego imienia, które znaczy *Znak Boga*.

Mówiono o nim po prostu: Imam.

Starzec obudził się, a w tym samym momencie wznosił się w powietrze głos azama, wzywającego wiernych do porannej modlitwy. *Allah jest największy! Nie masz innego boga niż Bóg, a Mahomet jest jego prorokiem! Módlcie się! Dostąpcie zbawienia! Allah jest największy! Nie masz innego boga niż Bóg!*

Starzec wyprostował się na swoim doszaku - cienkim materacu - służącym mu za legowisko. Włożył sandały, narzucił na siebie abę, rodzaj długiego płaszcza z beżowej bawełny i zawiązał turban, którego czarny kolor wskazywał na przysługujący mu tytuł sajeda: potomka Proroka.

Jego przodkiem był siódmy imam, Mussa Ibn Dżafar, który dał początek najliczniejszemu sajedom, z rodziny Musawich. Z tego tytułu przysługiwały starcowi przywileje należne wszystkim sajedom: żadnemu muzułmaninowi w promieniu siedmiu ulic nie wolno było przystąpić do posiłku, dopóki nie przekonał się, że Musawi nie jest głodny; ślina i pot Musawiego miały moc leczenia ran; jego córki wreszcie osiągną wiek pokwitania dopiero pięć lat później niż zwykle kobiety.

Imam wstał z doszaka i podszedł do emaliowanej miski wypełnionej wodą. Przystąpił do rytualnych ablucji, symbolicznie polewając ręce, ramiona, pachy, czoło, nos i wierzch stóp. Następnie wyprostował się, skłonił, kucnął na piętach i zwrócony w stronę Mekki rozpoczął modlitwę.

Ajatollah modlił się tak samotnie w swoim maleńkim pokoiku, którego jedyne umeblowanie stanowił kufer na ubrania. Kufer ten, leżący na ziemi doszak i inny kufer znajdujący się w jego mieszkaniu w Teheranie składały się na całość doczesnych dóbr imama. W sąsiednim pokoju mieszkała jego żona Batul. Trzeci pokój, dziś pusty, przygotowany był na przyjęcie każdego członka rodziny, który przejeżdżałby przez Khom.

Imam pozostawił bratu Mortezie dom, który sam kiedyś zajmował, na sąsiedniej ulicy. Nie odczuwał żalu po swojej starej siedzibie: dobra doczesne nie były mu potrzebne do zapełnienia duszy i domu, a *suf* wystarcza ascecie do chwały.

Morteza był jego ukochanym bratem. W 1918, kiedy umarła ich matka, przygarnął do siebie małego Rudollaha. Wiele lat później, podczas pobytu na wygnaniu we francuskiej miejscowości Neauphle-le-Chateau, ajatollah zamartwiał się o brata Mortezę, który pozostał w Iranie i był śmiertelnie chory. Śmierć sprawiedliwego jest bolesnym

dobrodziejstwem, które wprowadza go do raju wiernych, toteż Imam nie żałował go z powodu choroby. Ale chodziło o to, że Morteza pragnął, by dane mu było po raz ostatni usłyszeć głos jego brata Rudollaha. Serce tego ostatniego wypełniło się współczuciem. Po raz pierwszy w życiu, a zdecydowanie nie chciał by się to więcej powtórzyło, skorzystał z telefonu. Jego głos dobiegający z oddali zadziałał niczym balsam - Morteza wyzdrowiał.

Tak więc po rewolucji Imam mieszkał pod numerem 61 przy ulicy Jachelal Ghazi, w jednopiętrowym domu. Sąsiedni dom był podobny, a dwa prawie identyczne, znajdowały się po drugiej stronie ulicy. Oddział *pasdaran*, strażników rewolucji, zajmował pierwszy z nich. Ochrona osobista i sekretariat ajatollaha mieściły się w dwu pozostałych.

W sumie było to kilka nędznych domów przy nędznej ulicy Khom, lecz całe to ubóstwo wskazywało na siedzibę prawowitej władzy. Rewolucja bowiem odwróciła nie tylko porządek rzeczy lecz także porządek znaków. Rządzący do niedawna satrapa wybrał złoto i pawie pióra jako symbole swego majestatu. Obecnie doczesna władza teokratów otaczała się ubóstwem. Działo się to niejako w sposób naturalny, nie budząc współczucia jakie rodzi niekiedy ostentacyjna

Imam mieszkał zwykle w Dżamaran, północnej dzielnicy Teheranu, gdzie wszystko było przewidziane by czuwać nad jego zdrowiem i oszczędzać mu zmęczenia i stresów. Teraz jednak, wbrew opinii ochrony, zapragnął na dwa dni powrócić do swej rezydencji w Khom, w oczekiwaniu na szykującą się uroczystość.

Samotny, wśród ciszy tej letniej nocy, Imam poczuł dreszcz: z pustynnych obszarów masywu Elbrusu wiał w stronę Khom lodowaty wiatr. Była 5 rano. Normalnie, po odmówieniu modlitwy, starzec położyłby się z powrotem na doszak. Pospałby jeszcze godzinę lub dwie, po czym jego żona Batul przyniosłaby mu chleb i miseczkę miodu. Dopiero wówczas zszedłby do pokoju na parterze, trzydziestometrowego salonu wyłożonego niebieskim dywanem, by przyjąć tam pierwszych interesantów.

Lecz ten dzień nie był dniem zwyczajnym: był to dziesiąty dzień Aszury, jedno z najważniejszych szyickich świąt.

Niekiedy w Teheranie Imam gromadził grupkę swoich wnuków i prawnuków. Siadali gromadą wokół niego, a on opowiadał im, niczym tajemniczą i cudowną legendę, jak wszystko się zaczęło, 8 czerwca 632 roku i jak wszystko stało się, skapane w światłości i krwi.

- Tego dnia - opowiadał wtedy swoim mocnym głosem - śmierć Proroka pogrążyła wspólnotę wiernych w rozpacz. A przecież, jak uczono was w szkole, Mahomet pozostawił światu słowo boże, uwiecznione w Koranie. Lecz podobnie jak jego skryba, Prorok był światłem bożym niesionym po drogach życia. Kto teraz będzie przewodnikiem? Kto teraz, w sprawach tego świata, rozpozna bożą wolę? Kto, jednym słowem, będzie kalifem?

Niekiedy w tym miejscu jedno z dzieci, z właściwym dzieciom uporem w zapominaniu historii sto razy wcześniej usłyszanych, pytało cieniutkim głosikiem:

- Czyż Prorok nie miał dziecka, które mogłoby zająć jego miejsce?

- Nie - odpowiadał Imam- Prorok nie spłodził męskiego potomka, ale pozostawił córkę, Fatimę. Mąż Fatimy, Ali, był dla Mahometa więcej niż zięciem. Był także jego kuzynem i w pewnym sensie jego przybranym synem. Prorok bardzo go kochał. W młodości Ali był dzielnym wojownikiem, szesnaście ran na jego ciele słało chwałę i cierpienia tych, którzy walczyli pod Uhud.

- Czy Ali został następcą Mahometa? - spytało inne dziecko.

- Nie, to nie Ali został wybrany przez towarzyszy Proroka by zająć jego miejsce, lecz inny święty mąż, imieniem Abu Bakr. Prorok wybrał go na przyjaciela podczas hegeru, a jego prawość zjednywała mu przychylność wszystkich.

Ali przyjął ten wybór i przyłączył się żarliwie do wspólnoty, składając hołd nowemu przewodnikowi. Ten ostatni jednak zmarł w dwa lata później. Na łożu śmierci Abu Bakr polecił na swego następcę legendarnego wojownika z początków Islamu, Omara.

Podobnie jak w przypadku Abu Bakra, Ali złożył hołd nowemu kalifowi. Ten jednak, choć w młodości pokonał armie Persji i Bizancjum, w listopadzie 644 roku nie uchronił się od sztyletu perskiego niewolnika.

- Czy Ali został wówczas kalifem? - pytał niekiedy wówczas dziecięcy głos.

- Nie, nadal nie. I ponownie Ali, odrzucony po raz trzeci, z goryczą lecz lojalnie, złożył hołd wybranemu przez społeczność kalifowi, Utmanowi.

Utman należał do rodu Omajadów z plemienia Kreisz. Plemię to posiadało wielkie bogactwa. Jego członkowie byli głównie kupcami, którzy uczynili z Mekki wielki ośrodek handlowy.

Ali tymczasem należał do grupy niewolników, rzemieślników i biedaków, którzy na samym początku przyjęli posłanie Proroka. Pochodził z klanu uciśnionych. Przekupstwo i przepych, panujące w pałacu kalifa Utmana, wzbudziły gniew tego klanu. Niezadowolenie rozprzestrzeniło się na najdalsze prowincje.

- I wybuchła wojna?

- Tak. Ruszyły powstańcze armie i skierowały się na Medynę. Tam, w domu wypełnionym niewolnikami i konkubinami, Utman przeżył czterdzieści dni oblężenia. Wreszcie, w czerwcu 656 roku, pałac został spalony a kalif zabity.

Mimo wszystko związany hołdem, jaki swego czasu mu złożył, Ali w żadnym stopniu nie przyczynił się do upadku kalifa. Powstańcy nalegali, by przyjął sukcesję, lecz on nie chciał jej otrzymać z rąk zabójców Utmana. Sześć dni później sami towarzysze Proroka nadali mu I w taki oto sposób Ali został wreszcie czwartym kalifem.

W tym miejscu dzieci klaskały w dłonie, a Imam przetykał nieco zsiadłego mleka. Następnie, poważnym głosem, uspokajał entuzjazm słuchaczy i dalej ciągnął swoją opowieść.

- Niektórzy jednak odmówili złożenia hołdu Alemu pod pretekstem, że nie zasięgnięto zgody z regułami opinii zgromadzenia wiernych.

Dzieci wstrzymywały oddech.

- Wśród nich, w Damaszku, znajdował się Muawija - gubernator Syrii, z rodu Omajadów. Muawija zażądał ukarania zabójców Utmana, i oskarżył Alego o odpowiedzialność za to morderstwo. Wojna obu klanów była nieunikniona. Nastąpił czas bitew i przeszywania serc dzidami. Muawija ogłosił się kalifem.

- Wobec tego - pytało najmłodsze dziecko, wzburzone na samą myśl o tym - było dwóch kalifów?

- Tak. Ali panował na półwyspie arabskim i w Persji. Muawija - uzurpator, rządził w Syrii i Egipcie. W styczniu 661 roku Ali został zabity kiedy wchodził do meczetu w Kufie, w Iraku. Dwaj synowie Alego, Hasan i Husajn, stanowili odtąd jedynych prawowitych spadkobierców Proroka.

Po policzkach dzieci płynęły gorące łzy.

- Hasan - ciągnął dalej Imam - był bogobojny, lecz dziecinny. W kilka lat później zmarł w Medynie. Natomiast Husajn powstał

przeciwko uzurpatorowi Muawiji, który po śmierci Alego pozostał jedynym kalifem. Husajn odmówił złożenia mu hołdu i Muawija umarł w 680 roku nie otrzymawszy go. Syn Muawiji, Jazid, objął po nim w spadku zarówno tytuł kalifa, jak i bogactwa Syrii.

Wówczas Husajn z rodziną i towarzyszami opuścił Medynę. Zamierzał, poprzez Pustynię Północną, dotrzeć do Kufy, w Iraku, gdzie jego ojciec Ali niegdyś założył stolicę.

Niedaleko miasta Karbala, Husajn spotkał na swej drodze wojska Jazida - czekała go więc męczeńska śmierć. Męczeństwo to, zwane Aszura, czcimy od tej pory każdego roku w miesiącu moharram.

W taki sposób Imam niekiedy opowiadał swoim wnukom o walce o prawowitą władzę, walce, która podzieliła Islam.

Po kilku dziesięcioleciach śmierć Husajna położyła kres antagonizmom, związanym z sukcesją Proroka. Islam był podzielony. Według sunnitów, których była większość, wierzący powinien postępować zgodnie z Koranem i za przykładem Proroka, pod doczesnym przywództwem kalifów. Dla nich prorocтво kończyło się na śmierci Mahometa.

Według szyitów, pozostających w mniejszości, kalifowie to uzurpatorzy. Mahomet dał jedynie początek proroctwu. Trwało ono dalej za czasów Alego, który poprzez Fatimę połączył swoją krew z krwią Proroka. I tylko imamowie, w których płynęła ta krew i których Allah wybrał na swoich rzeczników, zasługiwali na uwielbienie, zawłaszczone przez kalifów. Ali był więc pierwszym imamem, jego syn Husajn drugim i tak dalej...

Ogółem było dwunastu imamów. Dwunasty, Muhammad al Mahdi, zmarł w wieku siedmiu lat. Stał się Ukrytym Imamem, przedmiotem powszechnego kultu. Pewnego dnia Ukryty Imam pojawi się ponownie, razem z prorokiem Jezusem, by zwiastować koniec Historii. Nastanie wówczas na Ziemi panowanie sprawiedliwości i prawdy, i dokona się czas.

To właśnie jego - Mahdiego, Mesjasza, widywał starzec z Khom w swoich snach przed poranną modlitwą. Na czas wielkiego ukrycia Imam był jego przedstawicielem na ziemi.

Oczekując bowiem na pojawienie się Ukrytego Imama trzeba było przecież znaleźć inne sposoby, by interpretować prawo boże i prowadzić wiernych. Jedynie duchowni, którzy osiągnęli najwyższy stopień mądrości, mogli wypowiadać się w jego imieniu i w zastępstwie używać tytułu imama. A wśród nich był jeden, zwany faghi, przewodnik, którego

rolę uznawała Konstytucja Iranu w punkcie piątym: „Pod nieobecność Imama wszechczasów - oby Bóg przyspieszył jego powrót - przywództwo nad wierzącymi należy do uczonego w dogmatach, sprawiedliwego, cnotliwego, świadomego zmieniających się czasów, odważnego, skutecznego i zręcznego, na którego przywództwo zgadza się większość ludu...”

Imam zajmował to stanowisko: był faghim.

By to osiągnąć musiał przejść wszystkie szczeble irańskiego szyickiego duchowieństwa. Był talebem, studentem w medresie (seminarium) w świętym mieście Khom. Nauczanie religii szyickiej odbywało się przede wszystkim w tym mieście, a także w Nadżaf w Iraku. Tam został mużtahidem, co oznacza taleba, który jest już w stanie wypowiadać opinie na temat interpretacji prawa. Następnie otrzymał trzeci stopień, mubelleh al-risala, czyli niosącego Posłanie. Po paru latach wyznaczony został na hojataleslama, co dawało mu możliwość utworzenia własnego kręgu uczniów, zwanych hawza.

Później Imam dostąpił tytułu ajatollacha, czyli Znaku Boga. Wreszcie wspiął się na szósty i ostatni stopień, stając się ajatollem al-uzma, czyli Wielkim Znakiem Boga. Tytuł ten nadany mu został przez pozostałych ajatollachów, by położyć kres jego uwięzieniu w wyniku manifestacji, jakie zorganizował przeciwko reformie rolnej ogłoszonej przez Szacha. Tradycja wymagała, by nigdy nie było więcej niż sześciu ajatollachów al-uzma jednocześnie, oraz by ci dokooptowywali kolejnych na podstawie oceny traktatu teologicznego, przedstawianego przez kandydatów. Traktat Imama nosił tytuł „Wyzwolenie środków”.

Potem nadszedł czas wygnania, rewolucja, powrót i oto nagle Imam wydał się być Mahdim we własnej osobie i nikt już nie mógł mu odmówić roli faghiego, która czyniła zeń odtąd główną postać Irańskiej Republiki Islamskiej.

Dzień ów, upamiętniający Aszurę, nie był więc dniem zwyczajnym. Dlatego Imam nie położył się ponownie.

Tymczasem słychać już było hałasy: były to odgłosy tłumu wiernych, zebranych wokół domu Imama. Nieco dalej, przed meczetem poświęconym Cnotliwej Fatimie, rosła ciżba pielgrzymów, podczas gdy kupcy rozkładali stragany. Przez cały dzień będą na nich sprzedawać Korany w plastikowych okładkach, zastawę stołową zdobioną świętymi motywami, przedmioty kultu, obrazki Imama w jaskrawych kolorach, maty i dywany z jego obliczem, kasety z nagraniami jego kazań. Cała ta tandeta pójdzie dziś jak woda. Wyrówna to straty, spowodowane

postem z okazji Aszury, z powodu którego kupcy nie będą mogli dziś sprzedawać, jak co dzień, daktyli i placków ghaze, miejscowego przysmaku przyrządzanego z miodu i mанны, roślinnej wydzieliny, której pyszny smak Hebrajczycy przypisywali dobroci swego Boga.

Drzwi pokoju otwały się powoli. Była to Batul, sprawdzająca przed wejściem czyjej małżonek nie zasnął ponownie. Widząc, że stoi w oknie, weszła do pokoju. Niosła tacę, na której umieszczono kilka dań, jako że podeszły wiek zwalniał Imama z obowiązku postu. Był tam jego poranny miód, sok pomarańczowy i jogurt.

Batul postawiła tacę na ziemi. Stała przez chwilę nieruchomo, czekając aż mąż zechce powiedzieć do niej słowo. Lubiała go obsługiwać, choć nigdy niczego od niej nie wymagał, nie prosił nawet o szklanke wody. Była piękna, znieruchomiła, jej oczy mówiły za nią. Oczy te słynne były w całym kraju, była w nich iskra, która przywracała chęć życia. Od Tabriz po Bandar Abbas sławiono duchową siłę tej kobiety, wiecznie napiętej niczym stalowy drut. Od przestrzeni wielkiej słonej pustyni po ogniska zrujnowanego Choramszahr, opowiadano o niej, zbolełej i czystej, że była siostrą oparzenia.

Towarzyszyła Imamowi we wszystkich jego klęskach, na wszystkich wygnaniach. Wypędzony przez szacha, który kazał go wydrzeć przez turecką granicę, Imam wolałby żeby została w domu, w Khom. Dołączyła jednak do niego w Nadżaf, w Iraku, gdzie znalazł schronienie. Później polubiła nawet ich francuskie wygnanie, często odwiedzając Paryż, podczas gdy pustelnik z Neauphle nigdy nie zgodził się postawić tam nogi.

Imam zwrócił się ku niej i wyszeptał, podchodząc:

- Moja dobra Batul, jesteś moją siłą... Jesteś moją siłą, lecz czuję się zmęczony. Jeszcze jedna Aszura... Oby miłościwy Allah nie trzymał mnie zbyt długo z dala od siebie...

Batul, zaskoczona, uniosła ku niemu niezakwefioną twarz.

- Jesteś ukochanym synem Proroka, Alego i Fatimy. Oni mnie tobie oddali. W dniu, w którym dołączysz do naszego imama Husajna w raju sprawiedliwych, podążę za tobą, gdyż oni tak chcieli.

Mówiła prawdę.

Imam nazywał się jeszcze Rudollah Musawi i miał dwadzieścia dziewięć lat kiedy pojął ją za żonę. Sama miała dopiero dziesięć.

Była córką ajatollacha Saqafi, którego dwaj kuzyni, Rahim Saqafi i Mohammed Lawasani, popierali Musawiego. Podawała herbatę

podczas pierwszego spotkania między ojcem a konkurentem. Kiedy dowiedziała się, że będzie musiała wyjść za mąż za Musawiego, zbuntowała się. Była dotąd otoczona jedynie przez achundów, owych brudnych i zachłannych mułłów, których w całym kraju było sto osiemdziesiąt tysięcy.

Nienawidziła ich. Miała dopiero dziesięć lat, lecz już wiedziała, że pragną wyłącznie doczesnych uciech. Czerpali ogromne korzyści z kupczenia zwłokami. Wiele rodzin bowiem, pragnąc by ich zmarli leżeli blisko wielkich szyickich imamów, powierzali zwłoki duchownym, którzy za wielkie pieniądze mieli załatwić im pochówek w świętym mieście. Najczęściej jednak mułłowie zabierali pieniądze i ukradkiem kazali zakopywać zwłoki na nędznych wiejskich cmentarzach. Inni pobierali opłaty za pośrednictwo w ponurych sighi, czasowych małżeństwach zgodnych z szyicką tradycją, a wolnych od zarzutu prostytucji, dla której były przykrywką.

Jednym słowem, zamiast tej niedobrej partii Batul wolałaby jakiegoś urzędnika rządowego, który zabrałby ją do stolicy by tam prowadziła życie nowoczesnej kobiety.

Następnej nocy Batul miała sen. Spotkała w nim Fatimę, żonę Proroka, która oznajmiła jej: „Siostrze moja, wyjdiesz za mąż za człowieka urodzonego tego samego dnia co ja...”

Rano Batul obudziła się nagle, a łóżko jej mokre było od potu. Opowiedziała swój sen ojcu. Ten, początkowo sceptyczny, po sprawdzeniu stwierdził, że Rudollah Musawi urodził się 20 dnia miesiąca żumad, a był to dzień urodzin Fatimy. I tak młody taleb ożenił się z

Małżeństwo było szczęśliwe i płodne, lecz z ośmiorga dzieci jakie przyszły na świat tylko czworo przeżyło, w tym jeden chłopiec. Drugi chłopiec - Ali oraz dwie córki - Latifa i Karima, zmarli w okresie niemowlęcym. Trzeci syn - Mustafa, zmarł w 1977 roku, zostawiając dwoje dzieci Miriam i Husajna. Pozostali: Ahmad, który stał się głównym współpracownikiem Imama, oraz trzy córki ożenione z mułłami: Farida - żona ajatollacha Aradiego, Sadia - żona hojatoleslama Iszrakiego oraz Fatima - żona ajatollacha Bargrudiego, który sam był synem ajatollacha al-uzma. Teraz Imam był bardzo dumny ze swoich ośmiu wnuków i pięciu wnuczek.

Imam mógł zawrzeć inne małżeństwa, jak z ową czternastoletnią dziewczynką, o której wieść gminna niesie, że pojął ją za żonę,

odrzucając wszelkie rewolucyjne obowiązki, natychmiast po powrocie do Teheranu. Ale w rzeczywistości zawsze liczyła się tylko jedna: Batul.

- Zostań! - rozkazał jej. Wydało jej się to dziwne, gdyż nie było zwyczajem by pozostawała przy nim w czasie kiedy spożywał posiłek.

Stała więc przy oknie, za którym wstawał dzień. Hałasy tłumu pielgrzymów rosły. Musiały ich tam już być setki.

Imam wypił sok owocowy, po czym wziął łyżeczkę i jednym szarpnięciem zerwał pokrywkę jogurtu.

Batul odchyliła okiennice i do pokoju wpadło światło, szare i metaliczne, matowe i jakby rdzawe zarazem. Było to światło męczeństwa, blask Aszury.

W tłumie odezwały się krzyki. Dostrzeżono otwierające się okiennice, a wszyscy przecież wiedzieli, że to właśnie tutaj mieszka i sypia on, faghi! Jedne krzyki wzmagaly drugie, podniecenie narastało, wzmagalo się samo niczym grzejący się silnik. Zapewne nie była to dla Batul pierwsza Aszura. Nie mogła jednak powstrzymać dreszczu, znała bowiem zwyczaj zgodnie, z którym cierpienie rozprzestrzenia się w owe święto żałoby, które było także jej świętem.

Pośród wrzawy pielgrzymów dobiegł ją nagle głuchy charkot, który ją przestraszył. Trwała chwilę w niepewności, zanim pojęła że charczenie to, które brzmiało niczym głos samej śmierci, nie dobiega z tłumu, lecz *zza jej pleców!*

Zmartwiła i odwróciła się.

Imam siedział na ziemi, na swojej macie, ze skrzyżowanymi nogami. Łyżeczka, którą trzymał między palcem wskazującym, środkowym i kciukiem, drżała nie wiadomo dlaczego, gdyż trzymająca ją ręka pozostawała nieruchoma. Imam, przepełniony patetycznym zdziwieniem, patrzył na nią, na tę biedną sparaliżowaną rękę, która nagle odmówiła mu posłuszeństwa. Trzymał ją przed oczami, potem unosił ją pomagając sobie drugą, ciągle zdrową ręką, jakby całą swoją energię chciał włożyć w rozluźnienie tych opuszczonych przez życie palców, by przywrócić utraconą zdolność ruchu mięśniom, ścięgnom i nerwom.

Ale nie działało się nic; widać było tylko jak pulsują małe błękitnozielone żyłki pod pokrytą plamami skórą. Starzec siedział tak bez ruchu, niczym dziecko trzymające w ręku ukochane zwierzątko i niegodzące się z faktem, że jest ono martwe jak kamień.

5 ASZURA

Powiadomiony o wszystkim przez Batul syn Imama, Ahmad, sam będący mułłą, zawezwał lekarzy. Po dziesięciu minutach byli już w starym domu przy ulicy Jachelal Ghazi, dokąd weszli tylnymi drzwiami dla zachowania dyskrecji.

Trójka mężczyzn, z których dwóch było lekarzami, przeszła przez wielki pokój na parterze i rzuciła się ku schodom. W paru susach znaleźli się w pokoju Imama.

Ku swemu wielkiemu zdziwieniu ujrzeli ajatollacha z apetytem kończącego właśnie śniadanie, przy czym obie jego ręce zupełnie normalnie, z dużą zręcznością, manipulowały stojącymi na tacy naczyniami. Choć Imam nie słynął raczej ze skłonności do żartów, zwrócił ku nim spojrzenie tryskające dobrym humorem. Czyżby chciał im zrobić kawal? Nie było to do niego podobne, zwłaszcza w dniu Aszury.

- Aga, czy pozwolisz mi się zbadać? - spytał jeden z lekarzy.

Imam przytaknął na irańską modłę, przesuwając podbródek w lewo i kiwając głową.

Pozostał sam na sam z lekarzami. Ahmad przeszedł do salonu na parterze.

Ajatollah zawsze znany był z żelaznego zdrowia, co nie dla wszystkich w kraju i za granicą stanowiło powód do radości. Jednakże z wiekiem stan jego zdrowia uległ pogorszeniu. Przeżył drobne niedomagania serca i płuc, a niekiedy miewał kłopoty z prostatą. Ostatnio

leczonej był na schorzenie wątroby, przypominające raka. Niekiedy ogłaszano, że jest umierający, jak to uczynił pewnego zimowego dnia londyński Times, a za nim na wiosnę prasa całego świata.

Poproszono Imama, by się rozebrał.

Jeden z lekarzy zamknął okiennice. Nie odwracając się ku starcowi pozostał w cieniu, twarzą do ściany, pozwalając pracować koledze. Z ulicy nadal dobiegały odgłosy tłumu.

Drugi lekarz otworzył skórzaną walizkę i wyciągnął z niej swoje przyrządy. Ustawił na kufrze lustro wielkości sporej kartki papieru. Następnie zbadał Imama śledząc swoje ruchy przy pomocy lusterka, nigdy bezpośrednio nie patrząc na pacjenta. Ten był nagi, a prawo nakazywało, że jeśli ktoś ze względów medycznych musiał oglądać czyjeś narządy płciowe, powinien robić to jedynie pośrednio, w odbiciu.

Imam osobiście sformułował ten przepis dla lekarzy. Opracował metody, pozwalające lekarzom w każdej sytuacji chronić się przed pokusami, wynikającymi z nagości. Na przykład, jeśli lekarz miał badać kobietę, musiał przy każdej czynności wybierać między wzrokiem a dotykiem. Wszelki kontakt cielesny z pacjentką winien mieć miejsce przy odwróconym spojrzeniu, a jeśli wzrok padał bezpośrednio na ciało, nie mogło to odbywać się jednocześnie z jego dotykaniem.

Lekarz zmierzył ciśnienie tętnicze pacjenta: 16-10. Zbadał tętno: 79. Zupełnie normalne wyniki dla starego człowieka. Pod stetoskopem bicia serca towarzyszył lekki przydech, to mało istotne. Pod wpływem zimna pomarszczona starcza skóra naprężyła się na kościach. Nic nie przyćmiewało ostrości spojrzenia. Język nie był bardziej obłożony niż zwykle. Odruchy były prawidłowe, nie było oznak żadnej słabości. Ciekawe, pomyślał lekarz, kto by tu mógł znaleźć cokolwiek nienormalnego.

Lekarz przesunął dłonią po brodzie. Był nadzwyczaj zakłopotany. W normalnej sytuacji dawne lub przyszłe omyłki diagnostyczne nie obciążały mu sumienia: Allah uczynił go omylnym, a Raj nie był przeznaczony dla psów. Ale w tym przypadku powierzono mu czasowo pieczę nad życiem faghiego, czuł się jak gdyby trzymał w ręku iskrę.

Imam zaczynał już wykazywać objawy zniecierpliwienia, ubierał się, przechodził nad całą sprawą do porządku, a tym samym lekarz czuł się odrzucony niczym źdźbło trawy na wietrze.

Drugi lekarz odwrócił się. Obaj mężczyźni porozumiewali się przyciszonymi głosami, podczas gdy Imam otworzył drzwi i wrzeszcząc nad schodami wezwał swego syna.

Jeden z lekarzy zbliżył się.

- Sądźmy, że był to tylko kurcz, aga - powiedział. - Gdyby się to powtórzyło, natrzyj sobie nadgarstek maścią, którą ci przyrzadzimy dzisiaj po południu.

Ahmad pojawił się w progu.

Lekarz powtórzył mu diagnozę. Na twarzy mułły na ułamek sekundy pojawiło się uczucie ulgi. Ahmad miał czterdzieści pięć lat i kochał ojca. Mówiono o nim, że stanowi oczy, uszy i usta faghiego. Posłuch, jaki miał u niego wystarczał, by przysporzyć mu wrogów, którzy nie szczędzili mu obraźliwych epitetów: „Ahmad płaksa”, „Ahmad osioł”. Zazdrościcy żalowali, że nie obrał kariery piłkarza, której niegdyś pragnął.

Było mało czasu.

- Ojciec - powiedział Ahmad. - Nadszedł Zardechani.

- Dobrze. Idę - rzekł Imam, definitywnie zamykając sprawę.

Lekarze pożegnali się. Imam dokończył ubieranie się.

Po chwili pojawił się na parterze.

W salonie stało pięciu mężczyzn. Czterech spośród nich, uzbrojonych po zęby, było pasdaranami. Piąty - ajatollah, zatrudniał ich jako ochronę osobistą.

Stał teraz na szeroko rozstawionych, krótkich nogach, oburącz ściskając lunę karabinu G.3., którego kolba opierała się o ziemię. Bagnet broni dotykał jego brody: arogancką postawą nadrabiał niedostatek postury. Wyzywająca mina odstraszała chętnych do żartów z jego wyglądu.

Był krępej budowy, z twarzą o grubych rysach, miał wiecznie wilgotne wargi i nieprzyjemne spojrzenie. Niekiedy sprawiał wrażenie jowialnego, lecz zwykle kryła się za tym raczej prostackość niż radość. Był poza tym dość ordynarny i pozował na niezbyt cnotliwego, żeby tym skuteczniej ścigać rozpasanie.

Nazywał się Hussajn Ali Zardechani. Mówiono o nim, że pewnego dnia zostanie następcą Imama.

Ten ostatni podszedł do swego gościa. Pasdarani rozstąpili się, pochylając się jednocześnie w ukłonie. Obaj mężczyźni uściskali się na powitanie. Następnie usiedli pośrodku niebieskiego dywanu, na wytartych poduszkach, które Batul pocerowała już w wielu miejscach.

- Tłum jest ogromny i blokuje dostęp do miasta - oznajmił Zardechani. - Ta kurewska szosa numer 9 znowu jest zamknięta.

Wszyscy kretyni z Teheranu jak zwykle wyruszyli o tej samej porze!
Gorgani się spóźni!

Wybuchnął śmiechem. Przyszedł w odwiedziny po sąsiedzku. Pięć lat wcześniej Imam mianował go „imamem dżome” miasta Khom, czyli Imamem piątkowej modlitwy. Tytuł ten wyraźnie pokazywał, jak wysoko zaszedł u boku faghiego: był przy nim w czasach wygnania, potem we wrześniu 1979 roku otrzymał tytuł imama dżome Teheranu; jego poprzednikiem był ajatollah Taleghani, którego poraził zawał. Wreszcie najwyższym zaszczytem było mianowanie w świętym mieście Khom.

Lud dostrzegł w tym znak, że wybrany został następca: oczywiście, Konstytucja przewidywała, że wyboru następcy faghiego dokonuje, w odpowiednim czasie i w sposób niezależny, zgromadzenie ekspertów liczące siedemdziesięciu dwóch członków, wszystkich „zgodnych z linią Imama”. W przypadku braku jedyne następcy zgromadzenie to miało powołać „Radę przewodnią” składającą się z trzech do pięciu ajatollahów. Lecz wola Imama była jasna, wskazywały na to przywileje, jakimi obdarzał Zardechaniego. Ten ostatni przyjmował je tym skwapliwiej, że grupa ajatollahów kwestionowała jego religijne kompetencje i że samo zaangażowanie się Imama zwalniało go od konieczności pogrążania się w spory.

Toteż w lipcu 1986 roku zgromadzenie ekspertów uroczyście zatwierdziło Zardechaniego jako następcę faghiego.

Ochrona osobista wycofała się i wyszła pełnić straż przed domem.

- Czy nie widziałem tu przed chwilą twoich lekarzy? - spytał Zardechani.

Imam uczynił nieokreślony gest wskazując, że nie warto rozmawiać o tej sprawie.

- Jesteś całkowicie zdrowy, prawda? - nalegał tamten.

- Tak zdrowy, jabyś tego pragnął! - warknął wreszcie Imam.

Zamykająca usta perfidia tej odpowiedzi zbiła Zardechaniego z tropu.

Odczekał chwilę, po czym zaryzykował:

- Czy nie sądzisz jednak, że nadszedł czas by jasno pokazać drogę za horyzontem?

- Lud zna drogę.

- Nie miałem na myśli ludu, lecz tych, którzy mogliby pewnego dnia wskazać fałszywe światło.

Niczym delikatna rysa na kamiennej twarzy pojawiła się na czole Imama zmarszczka niepokoju. Bowiem mówiąc tak, Zardechani miał

oczywiście na myśli Gorganiego - przewodniczącego Parlamentu, lecz także Ahmada - własnego syna Imama.

- Wiem - powiedział jednak. - Oni ci zazdroszczą: lud cię kocha.

- Tak. Lud mnie kocha, bo jestem jednym z nich. U mnie, w Nadżafabad, uprawia się ziemię odkąd ona istnieje. W sadach mojego dziadka dźwigałem zgięty worki migdałów i moreli. Ispahan był tylko o trzydzieści kilometrów, ale dla jego mieszkańców byliśmy jak cudzoziemcy. Chcesz, bym ci powiedział, dlaczego lud mnie kocha? Bo żyłem tak jak żyje lud! Dlatego!

- Wiem, przyjacielu. Wiem to wszystko.

- Więc powinieneś także wiedzieć, że rzygam już od tych krasomówców, którym się wydaje, że są mądrzejsi od Proroka - niech go Allah błogosławi i pozdrowi!

Głos nagle mu złagodniał.

- Rozumiesz, faghi, wykorzystają najmniejszą dwuznaczność jaką pozostawisz. A wówczas ci rewizjoniści podniosą głowy. A wraz z nimi ośmielą się wrogowie Rewolucji. Wierz mi, nadszedł czas.

Widziałem lekarzy. Allahowi podoba się, by czynić cię słabszym każdego dnia. W końcu zechce zaprosić cię, byś rozmawiał z nim bezpośrednio! A tego dnia spadkobiercy Talaghaniego, Szariat-Madarich i innych pokażą co potrafią, jeśli nie zechcesz wyraźnie ustawić mnie na ich drodze!

- Nie mów tak o Talaghanim! Zabraniam ci tego! - ryknął Imam.

Zmarły w 1979 roku, liberalny i otwarty na nowe prądy ajatollah Mahmud Talaghani kiedyś przeciwstawiał się Imamowi, posuwając się nawet do zakwestionowania pierwszeństwa, jakie przyznaje faghiemu Konstytucja. Lecz Imam nie mógł zapomnieć, że poznał on także więzienia szacha i że rewolucja nie dokonałaby się bez jego udziału.

- Jeden znak - błagał Zardechani. - Tylko jeden twój znak wskazujący na mnie i niebezpieczeństwo będzie zażegnane. A jaki mógłby być lepszy dzień na taki znak niż dzień Aszury taki jak ten?

Imam skrzywił się z niesmakiem. Jego gęste brwi zmarszczyły się, przysłaniając oczy.

- Zgromadzenie ekspertów wyznaczyło ciebie - powiedział. - Czego chcesz więcej?

- Po... jakby to powiedzieć... godnych pożałowania wydarzeniach ostatnich miesięcy, znak taki stał się konieczny.

Wydarzenia, o których wspominał Zardechani, poważnie naruszyły jego pozycję. We wrześniu 1986 musiał już złożyć dymisję Imamowi, który jej nie przyjął.

Zardechani reprezentował „twardy” kierunek w łonie reżimu. Wielu członków jego rodziny, wśród których jego zięć Hadi Haszemi oraz jego brat Mehdi Haszemi, przewodziło Islamskiemu Ruchowi Wyzwolenia, organizacji mającej za zadanie organizowanie na świecie siatki proislamskiego terroryzmu. Niejasnymi i zbrodnictwami posunięciami ruch usiłował skompromitować przeciwników Zardechaniego.

Porwanie syryjskiego charge d'affaires, którego winą było popieranie hojatoleslama Gorganiego, skończyło się źle i cała rzecz zwróciła się przeciwko sprawcy porwania. Dla Zardechaniego, to co można było uważać za początek upadku, zaczęło się więc we własnej rodzinie. Bracia Haszemi długi czas spędzili w więzieniu. Islamski Ruch Wyzwolenia został rozpracowany, a Zardechani musiał spuścić z tonu podczas gdy Imam wyciągał rękę do umiarkowanego Gorganiego, przewodniczącego parlamentu.

Następnie wahadło przechyliło się na drugą stronę i nie bardzo było wiadomo dlaczego: Mehdi i Hadi Haszemi zostali zwolnieni za kaucją, a o dymisji Zardechaniego przestano mówić, toteż pozostał on oficjalnym następcą.

Później jednak Mehdi Haszemi dostarczył materiałów wybuchowych irańskim pielgrzymom do Mekki, żeby przeciwdziałać kontaktom, nawiązanym z Arabią Saudyjską przez Gorganiego. Próbował także porwać Roberta MacFarlane'a, szefa amerykańskiej Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Tego było już za wiele, przynajmniej więcej niż mogli znieść tak zwani „umiarkowani”. Ci ostatni wymusili skazanie na śmierć i egzekucję Mehdiego Haszemiego.

- Nie obawiaj się, przyjacielu - rzekł Imam pocieszającym tonem człowieka, pragnącego podtrzymać na duchu wiernego, postawionego w stan oskarżenia. - Kiedy otworzą mój testament polityczny i religijny, znajdą tam twe nazwisko na należnym mu pierwszym miejscu.

- Moi wrogowie nie popuszczą - nalegał Zardechani. - Będą się znowu posługiwać tymi samymi metodami: dezinformacją, oszczerstwem, przekupstwem... Ponieważ nie otrzymali błogosławieństwa twojego wyboru, zamierzają wprowadzić, kiedy odejdiesz, kolegialną radę powierniczą. Przeszkadzam im!

- Dość tego! - krzyknął Imam, doprowadzony do ostateczności tymi oskarżeniami, które między innymi dotyczyły jego własnego syna. Zardechani zrozumiał, że nie otrzyma namaszczenia, o które zabiegał. Imam chwycił leżącą koło niego plastikową packę na muchy z rogową rękojeścią. Mocnym uderzeniem rozgniół owada na kamiennej płycie. Zardechani zacisnął zęby, uderzenie przeznaczone było dla niego.

Zardechani i Gorgani nie siedzieli naprzeciwko siebie dłużej niż dziesięć minut, a już padły pierwsze inwektywy. Tłum na zewnątrz, pod palącym słońcem, skandował imię Imama. Jeszcze będzie musiał poczekać zanim pojawi się on łaskawie na progu lub na balkonie. A czekającym od rana głód drażnił żołądki, podsycił żarliwość i wzmagał zniecierpliwienie.

Siedząc po turecku między dwoma dygnitarzami, którzy obrzucali się wzajemnie sarkastycznymi uwagami, Imam przybrał posagową postawę. Nie poruszało się w nim nic prócz piersi, unoszonej oddechem i gdy siedział tak nieruchomo wydawało się, że tchnienie wydobywa się z niego niczym z kamiennej postaci, jedynie dlatego, że jest to tchnienie samego Boga.

W salonie Imama znaleźli się trzej najważniejsi ludzie Republiki Islamskiej: faghi, jego wyznaczony następca i przewodniczący Medżlisu. Nawet Ali Chamenei - prezydent Republiki nie miał, w myśl Konstytucji, tak wielkiej władzy, jak ta którą trzymał w swoich rękach każdy z tych trzech mężczyzn.

Spór między Zardechanim a Gorganim dotyczył postawy, jaką należy przyjąć wobec Zachodu w konflikcie iracko-irańskim.

- Ta wojna nas wyczerpuje! - ryczał Gorgani. - Zniszczyła nasze uprawy, zrujnowała naszą gospodarkę, zalała niziny krwią naszych dzieci. Pochłania jedną trzecią naszego budżetu i energię miliona dwustu pięćdziesięciu tysięcy mężczyzn! Dochody z ropy maleją. Inflacja wzmagą się, a na półtora miliona urzędników nie ma nawet dziesięciu, którzy nie pracowaliby na czarno! Trzeba z tym skończyć, a do tego potrzebujemy broni, amunicji, sprzętu! Musimy się wyposażyć, a to się uda tylko wtedy jeśli dalej będziemy negocjować z Zachodem!

- Nie! Demografia nam sprzyja! - wykrzyknął Zardechani. - Jest nas czterdzieści pięć milionów! Nie żal mi tych, którzy padli! W moich

snach słyszę ich głosy zmieszane z głosami aniołów. Nie, nie żał mi ich i nie żałują ich także ci, którzy garną się do naszych ośrodków mobilizacyjnych.

Zwrócił się do Imama.

- Aga, nasze kampanie mobilizacyjne dają wspaniałe rezultaty. Ochotnicy zgłaszają się tysiącami. Są miliony mężczyzn, kobiet i dzieci, które domagają się przywileju zostania męczennikami na froncie!

- Po co przelewać tyle krwi, kiedy kilka dodatkowych dostaw broni doprowadziłoby nas do zwycięstwa? - zapytał przewodniczący parlamentu.

- Do cholery! Przecież w naszym interesie jest, żeby wojna trwała! To ona skupia lud wokół nas. Niech tylko się zakończy, a zobaczycie jak intelektualisci, bazari, lekarze, adwokaci, wojskowi rozwalają społeczeństwo dla swoich bezbożnych aspiracji. Ta wojna znaczy serce naszego narodu rozpalonym żelazem Islamu! I nieważne, czy to znamię krwawi!

- Nie! Rewolucja jest silna, a wojna niepotrzebna!

- Jest naszym świętym obowiązkiem obalić Saddama Husajna i wyzwolić naszych sztyckich braci w Iraku!

- Dość! - rozkazał nagle Imam.

Obaj mężczyźni zamilkli, zdając sobie poniewczasie sprawę, że ich głosy rozbrzmiewały coraz głośniejsz w salonie Imama, ledwo już zagłuszane przez dobiegający z zewnątrz gwar tłumu.

- Chcę, by zostały wykonane decyzje Najwyższej Rady Obrony!

Zardechani spuścił wzrok na dywan, gdyż słowa Imama przygwaźdżały go. Oznaczały, że Gorgani, jako przedstawiciel Imama w Radzie Obrony, będzie kontynuował przekłete dzieło, które rozpoczął. Oznaczały, że na znak otwarcia, Iran zawrze mętne sojusze. Oznaczały, że dla paru ton broni będzie się paktować z jednej strony z szatanami, których zwalczało się z drugiej.

Gorgani także spuścił wzrok, lecz po to, by po odniesieniu zwycięstwa zademonstrować pokorę. Często widziano go takiego, triumfującego lecz ze skromnym wyrazem twarzy, kiedy Ameryka i Izrael, po dostarczeniu mu broni, której pragnął, pogrążyły się w

Gorgani pomyślał, że pozostawało mu już tylko dokończyć swoją politykę: wojna z Irakiem potwierdzała, że na Bliskim Wschodzie, pomimo odwiecznej wrogości, Żydzi i Persowie byli zdani na siebie

wobec świata arabskiego. Ponadto Związek Radziecki pozostawał czujny, gotów rozwinąć ku południowi swoją politykę ekspansji, o której Rosja zawsze marzyła. I gładząc, jak to miał w zwyczaju, swoje wypomadowane wąsy, Gorgani utwierdzał się w przekonaniu, że należało uczynić krok ku Zachodowi by przywrócić równowagę irańskiej dyplomacji.

I zamyślił się nad treścią przesłań, jakie już nazajutrz przekaże do krajów zachodnich swoimi zwykłymi kanałami...

Powróciwszy z garażu Hormoz zdjął koszulę, zwinął ją w kłębek i ułożył u swoich stóp. Dokoła niego, wśród wrzawy unoszącej się z tysiący gardeł niczym kadzidło ku balkonowi Imama, niezliczeni mężczyźni czynili to samo.

Z kieszeni spodni młody człowiek wyciągnął dwie żyłki, zawinięte w kawałek gazety. Następnie zdjął pasek. Ze zmarszczonymi brwiami, jak dziecko które przykładnie odrabia wieczorem zadane lekcje, naciął dwie szczeliny w połowie szerokości paska. Umocował w nich żyłki tak, że ostrza wystawały po obu jego stronach.

Wrzasnął: „Ukochany Imamie, synu Husajna!” i zadał sobie, ponad lewym ramieniem, pierwsze uderzenie. Oba ostrza wbiły się we włókna mięśni i musiał szarpnąć pasek by przygotować go do następnego uderzenia. Ciało na plecach zostało rozerwane i na chwilę świat przysłoniła mu zasłona łez.

Hormoz zacisnął zęby. Jego dłoń zacisnęła się na klamrze pasa. Drugie uderzenie rozorało mu prawą połowę pleców do kości. W uszach mu brzęczało, a wokół, jakby zza zasłony z waty, dobiegały go okrzyki tych, którzy w jednym porywie i w jednym rytmie chłostali się jednocześnie z nim:

- Chwała Husajnowi, księciu męczenników! Chwała Imamowi!
Marg bar szach, śmierć królowi!

Królem był Jazid, syn uzurpatorskiego kalifa Muawiji i sam uzurpator, lecz byli nim również Pahlawi, SAVAK, Carter, Reagan, Ameryka, Francja, Izrael, Zachód, Niewierny. Królem był Szatan, pod różnymi przybranymi imionami dla zmylenia wiernych.

I oto w egzaltacji, która go ogarniała i która sprawiała, że ciosy coraz gęściej spadały na jego plecy, Hormoz był, na pustyni pod Karbałą, świadkiem walki imama Husajna przeciwko ohydzie. A obok

niego na ulicy i w całym mieście, wszyscy przenosili się w dziewiąty dzień miesiąca moharram roku sześćdziesiątego pierwszego Hegeru.

Jazid wysłał trzydzieści tysięcy jeźdźców, by zamordować Husajna i jego siedemdziesięciu jeden towarzyszy. Husajn i jego ludzie przeżyli już dziewięć dni oblężenia. Ich usta wyschły niczym kamienie na słońcu. Piasek pod powiekami kaleczył im oczy. Malutki Ali Afghar, syn Husajna urodzony zaledwie przed dziesięcioma miesiącami, miał spękane i sztywne wargi człowieka, którego zabija pragnienie.

I tego właśnie dnia Aszury, Hormoz ujrzał jak jeźdźcy Jazida Okrutnego wyjeżdżają zza wydmy i pędzą ku białemu namiotowi Husajna. Jeden z nich uciął głowę dziecku Imama. Abbasowi - kuzynowi Husajna, obcięto obie dłonie. Wreszcie samemu Husajnowi odrąbano lewą nogę. Przez chwilę używał jej niczym maczugi, strącając nią dwóch jeźdźców, aż upadł na ziemię. W południe męczeństwo

- Precz z Jazidem! - skandował tłum w małej uliczce w Khom.
- Szach Husajn! Niech żyje Imam!

Hormoz był cały mokry. Pot mieszał się z krwią, która spływała mu po plecach. Wraz z kawałkami ciała każde uderzenie wyrывało mu głuchy jęk. Te nieco lepkie strumienie, które spływały mu po bokach i przesycały nogawki spodni, paliły go niczym lawa.

- Szach Husajn!

Hormoz nie miał już na plecach jednego nienaruszonego skrawka skóry. W nozdrza bił go zapach jego własnej krwi, a w głowie czuł ból tak nieznośny, jakby za chwilę miała mu pęknąć czaszka. A jednak w jego ciele coś domagało się tego bólu, żądało go i potrzeba ta, w miarę jak palące rany rozszerzały się na powierzchni ciała Hormoza, rozogniała jego wnętrze.

- Niech żyje Imam!

Krew ściekała mu po biodrach i spływała na podbrzusze. Hormoz uderzył się jeszcze mocniej.

- Faghi, pójdziemy wraz z tobą śladami Husajna!

Nagle Hormoz miał jakby widzenie: był to Farchad, towarzysz walki, zabity na froncie irackim, który jawił mu się martwy, z rysami twarzy Husajna. Obraz ten był jakby zamglony. Tłum dookoła krzyczał coraz głośniejsze. Gorzki zapach krwi i potu przesycał rozpalone powietrze.

Pijany bólem Hormoz uderzał się jeszcze i jeszcze, automatycznymi ruchami, nie zdając już sobie sprawy z niczego. Był tylko krwawą,

otępiałą kukłą, utrzymywaną w pozycji stojącej przez podniecenie, które rosło bez końca.

Nagle, w jednogłośnym okrzyku, wszyscy unieśli spojrzenia ku domowi Imama. Jedna z okiennic poruszyła się. Tam, za chwilę, pojawił się *on*.

Hormoz, coraz bardziej podniecony, wypuścił pasek z rąk. W ekstazie, jak zahipnotyzowany, pogładził swoje biodra i uniósł do oczu zakrwawione pięści. Pod wpływem spazmu zgiął się wpół. Trzymając się za brzuch sięgnął prawą ręką do krocza, które w ostatniej konwulsji zbryzgane zostało płynem innym niż krew.

Tam na górze, na pierwszym piętrze domu Imama, zgrzytnęła okiennica. Od wewnątrz ktoś otworzył ją, odchylając na zewnątrz. Nastąpiło kilka sekund oczekiwania, kilka sekund pustki bardziej wypełnionej ciszą i bardziej rozpaczliwej, niż samo pojęcie próżni.

I wówczas, wśród przebiegającego tłum jęku ekstazy, pojawił się *on*.

Hormoz wznosił wzrok ku tej niedostępnej wysokości.

Imam stał wyprostowany, promieniejący majestatem. Jego wyniosła postawa, aba z beżowej bawełny opadająca do ziemi, kamienna niemal broda biała jak kwarc, wszystko to przypominało bazaltowe formacje wznoszące się na pustyni.

Spośród biczących się wyciągnęły się ręce. Wskazywały one mułłów stojących za faghim na kamiennym balkonie.

Tam po lewej, tak, to *on*, to eunuch: Gorgani, przewodniczący Medżlisu. Nazywano go tak z powodu całkowitego niemal braku uwłosienia, które usiłował nadrobić staranną pielęgnacją przeredzonych wąsów. Hojataleslam uśmiechał się pokornie i przebiegle, a koło niego równie chytrą minę miał syn Imama - Ahmad. Pomimo wysiłków, jakie obaj czynili by zachować surowy wyraz twarzy, ci dwaj zdawali się mieć w tym dniu Aszury, poważne powody do satysfakcji.

Na drugim końcu balkonu stał, wskazywany palcami, oficjalny następca, ajatollah Zardechani. Jakże do twarzy mu było w żałobie! I jakże szlachetny był jego ból, kiedy myślał o męczeństwie Husajna! A jego gniew przeciw uzurpatorowi Jazidowi był tak wielki, że przyprawiał go o drżenie, a wtedy kierował w dal spojrzenie straszne i mordercze. Właściwie niezupełnie w dal: trochę bliżej, w kierunku Gorganiego i Ahmada...

Pomiędzy nimi zaś stała żywa legenda. Powolnym gestem Imam uniósł ręce i tłum uspokoił się.

Następnie popatrzył na ten tłum. Czadory kobiet ustawionych z jednej strony. Z drugiej, torsy mężczyzn, krwawiące w słońcu niczym mięso u rzeźnika. Czarne i czerwone. Czarne, kolor szyickiego kleru. Czerwone, kolor Husajna i krwi męczenników.

Imam odetchnął pełną piersią. Woń krwi i kurzu, unosząca się z ulicy, o władnęła nim i spowodowała, że na chwilę zakreśliło mu się w głowie: to jakby zachłysnąć się czystym tlenem.

- Dorub bar Imam! Błogosławiony niech będzie Imam! - ryknął tłum.

Imam wyciągnął nad pielgrzymów prawą rękę i zapadła cisza. Słysząc teraz było już tylko szelest wiatru wśród liści czterech krzaków rosnących na podwórzu i brzęczenie zielonych much siadających na żywym mięsie.

- Bismillah er rahman, er rahim... W imię Boga miłościwego, litościwego... - rozpoczął Imam.

I przypomniał im prawdziwą wartość Aszury. Tego dnia, powiedział, z krwi Husajna rosnącej pustynię Karbali, powstał szyityzm jako religia oporu i męczeństwa, przeciwstawiając się sunnickiemu uciskowi. Tajemnicza, bolesna i mesjanistyczna: od Imama do Imama aż po zniknięcie dwunastego, wiara szyicka opierała się kalifom, aż nadeszła owa kolejna Aszura, w 1978 roku, kiedy to szach, nowy Jazid, został pokonany.

- Imam rahbar! Imam jest naszym wodzem! - ryknął tłum korzys tając z chwili przerwy. - Niech żyje rewolucja islamska!

Imam uznał, że należy pozwolić pielgrzymom wyładować się przez chwilę: niech skandują prorewolucyjne hasła.

Jego spojrzenie odwróciło się ku miastu, ponad twarzami kobiet krwawiących od zadrapań i mokrych od łez pod czadorem i ponad sylwetkami mężczyzn wznoszących ku górze pięści. A miasto było piękne. Było alfą i omegą: wszystko miało tu swój początek i wszystko tu powracało.

Początek miał miejsce w 1963 roku, kiedy szach rozpoczął swoją białą rewolucję, której przynajmniej dwie zasady, przyznanie kobietom prawa głosu i redystrybucja ziemi, otwarcie przeciwstawiły się - jedna duchowemu przywództwu kleru, druga jego majątkowym interesom. To właśnie było alfą. Imam powiedział wówczas, że szach reprezentował siłę, a nie prawo, albowiem prawo było w rękach Allacha. I w imię tego właśnie prawa Uniwersytet i bazar w Teheranie rozpoczęły powstanie.

Od tego dnia, dopiero od tego dnia, szach został pogrzebany przez Historię.

Omegą było także to szare miasto, nad którym można by zatknąć sztandar z zielonego jedwabiu mówiąc: oto jest Islam. I Imam w marzeniach wyobrażał sobie, jak to Khom było zaczątkiem świata „tuhid”, zjednoczonego przez Islam, rozpościerającego się pewnego dnia na obszarach, po których przejdzie święta wojna.

W Khom próżno by szukać butelki piwa, nieczystej gazety lub kina (właściwie było kiedyś jedno, po drugiej stronie Qon-Rud, ale rewolucja spowodowała jego zamknięcie). Banki udzielały pożyczek bez oprocentowania, ponieważ Koran zabrania lichwy. Złodziejom obcinano rękę, okaleczano i amputowano zgodnie ze sprawiedliwością Koranu. Nie-wiernych małżonków i homoseksualistów kamienowano, prawo islamskie każdą rzecz określało jako haram - zabronioną - lub halal - dozwoloną.

Od gór na zachodzie po Danaczen Namak - słone jezioro na wschodzie, porządek panujący w Khom uważany był za dobry i sprawiedliwy, a marzenie Imama za najwspanialszy cel.

- Allah akbar! Bóg jest wielki! - skandował lud Khom oczekując, aż Imam zabierze głos.

Ten przez chwilę spoglądał na portrety wznoszone nad tłumem: Ali i Imam obok siebie, założyciel szyizmu i ten, który rozpoczął świętą wojnę, choć świat jeszcze tego dobrze nie rozumiał. Miał do tego dostateczną władzę: rozkazywał armii i sądownictwu. Miał prawo ogłaszać wojnę i pokój. Mógł odwołać prezydenta. Jeden jego ruch mógł spowodować zamachy, które zlikwidują stu niewiernych na drugim końcu świata. Jedno jego słowo i terrorystyczna siatka zostanie uruchomiona: samochody-pułapki, bomby, branie zakładników.

Allach po to właśnie wysłał go na ziemię, by prowadził świętą wojnę, by przygotował powrót dwunastego Imama, który zniknął przed jedenastoma wiekami To była jego racja bytu, jego łaska. Szach smażył się w piekle: to była jego zemsta.

Niezauważalny pod siwą brodą, na wargach Imama pojawił się uśmiech. U zwykłego człowieka uśmiech ten oznaczałby to, czego on nie znał: euforię.

Zagubiony w tłumie pielgrzymów, dusząc się wśród biczących się ludzi na ulicy Jachelal Ghazi, tłoczących się by lepiej dostrzec faghiego,

Hormoz podniósł zwiniętą w kłębek koszulę, wsunął ją pod pachę i sam zaczął się rozpychać łokciami, by i na niego spłynęło trochę światła.

I oto zbliżywszy się na odległość niecałych stu metrów stał się świadkiem tego, co się wówczas wydarzyło. Nic tego nie zwiastowało, było to tak, jakby nagle rozstąpiła się ziemia.

Najpierw na twarzy Imama, który miał właśnie ponownie zabrać głos, pojawił się jakby wyraz zdziwienia. Jego oczy rozwarły się szeroko, jakby w zaskoczeniu. Spogląda w lewo, potem w prawo. Teraz jego wzrok woła o pomoc. Obok niego, za nim, wszyscy w napięciu starają się zrozumieć co się dzieje. Podbiegają pasdaranowie.

Jest już za późno. Powoli jego ciało osuwa się. Jego kostki, a potem kolana odmawiają posłuszeństwa, to tak jakby nie miał już nóg.

Przez tłum przelatuje jak błyskawica:

- Imam nie żyje!

A Hormoz w tym momencie przypomina sobie obrazy widziane w telewizji, ukazujące wieżowce wysadzane w powietrze i powoli walące się w gruzy, piętro po piętrze, w miarę odpalania fachowo rozmieszczonych ładunków.

- „Imam nie żyje!” - powtarza tłum w rozpacz, a krzyk ten, niesiony tysiącami gardeł z ulicy na ulicę, od placu na plac, zostawia za sobą szlak znaczony łzami i spazmatycznym szlochaniem.

Z miejsca, w którym się znajdował, Hormoz nie mógł już dostrzec ciała Imama, lecz widział gorączkową krzątaninę wokół zwłok.

Tam wysoko, na balkonie, Ahmad płakał i domagał się przywołania lekarzy. Gorgani trzymał się z tyłu, nieruchomy niczym rażone piorunem zwierzę. Zardechani, jeszcze bardziej niż zazwyczaj zebrany w sobie, podszedł do Ahmada i wykrzyknął:

- Czemuście pozwolili mu przyjeżdżać do Khom? Wyczerpaliście go! W Teheranie to by się nie zdarzyło. Wasza bezmyślność to zbrodnia!

Ahmada na chwilę zatkało, lecz szybko otrząsnął się i splunął tamtemu w twarz. Zardechani otarł się wierzchem dłoni i ignorując syna Imama zwrócił się do dowódcy pasdaranów, któremu rozkazał:

- Będę przemawiał do ludu. Kiedy skończę, opróżnijcie dzielnicę!

Zardechani chciał podejść do mikrofonu, lecz potknął się o coś obok ciała faghiego. Batul, żona Imama, wśliznęła się tutaj i klęczała teraz nad ciałem, zalewając łzami rękę Imama, którą trzymała w swoich dłoniach. Bez zbędnych ceregieli, jako że nie było to miejsce dla kobiety, Zardechani odtrącił ją jak odtrąca się psa.

Potem, w pośpiechu by pochwycić mikrofon, nadepnął swoją grubą podeszwą nieruchomą dłoń faghiego.

- Allah akbar! - rozpoczął.

Zamilkł jednak nagle, gdyż głosu jego nie było słychać poza balkonem: Gorgani, który zdążył ochłonać, odłączył właśnie przewód i trzymał wtyczkę w palcach. Spojrzenia obu mężczyzn spotkały się, pełne nienawiści

Ruchem ręki wymierzonym w dół Zardechani rzucił do akcji pasdaranów, którzy oczyścili ulicę waląc na lewo i prawo kolbami karaNadbiegli lekarze i sanitariusze z noszami. Zabrano ciało Imama.

Teraz ulica była pusta, na balkonie pozostał jedynie Zardechani, a gorączkowa bieganina przeniosła się do wnętrza domu.

Zardechani zaczął myśleć o tym, jak już nazajutrz przywróci trybunały islamskie, przeprowadzi przykładowe egzekucje, wzmocni wysiłek wojenny, poniesie na wszystkie strony świata ogień i miecz Islamu, a naród dowie się, kto jest jego nowym przewodnikiem.

I nagle zaczął krzyżeć do nieobecnego już tłumu:

- Bismillah er rahman, er rahim... W imię Boga miłościwego, litościwego...

6 WYJAZD

Aby los Imama wpłynął na przeznaczenie Christophera Beama, trzeba jeszcze było, by łańcuch przyczyn i skutków przebiegł przez Stany Zjednoczone. Stało się to w ciągu trzech dni.

Edwin Langman znany był stewardessom Eastern Airlines jako jeden z najwierniejszych pasażerów na trasie Waszyngton - Nowy Jork. Zachowywał się dyskretnie, wsiadał do samolotu bez ochrony osobistej i zwykle zajmował jedno z miejsc normalnie przeznaczonych dla personelu pokładowego, pozwalających na siedzenie plecami do pozostałych pasażerów.

Z wyglądu należał do tych mężczyzn, którym początki łysiny, początki dalekowzroczności, początki brzuszka, początki artretyzmu, jednym słowem początki wszystkiego, nadawały pozory patriarchalnej stateczności. A przecież był jeszcze *niemal* młody, zaledwie rozpoczął sześćdziesiątkę i w niczym nie przypominał grubej pierzyny. Tyle, że okulary w rogowej oprawie i siwiejące włosy wokół rozszerzającej się tonsury łagodziły jego rysy i sprawiały, że uchodził za miękki.

Jego zawód wymagał jednak twardości: Edwin Langman kierował Narodową Radą Bezpieczeństwa.

Tego dnia, podobnie jak w inne dni, Langman wziął taksówkę i podjechał na róg Alei Bill Ulicy, w paskudnej dzielnicy gdzie od czasów Petera Stuyvesanta nie pojawił się nikt z jego sfery.

Langman zapłacił za taksówkę. Kiedy był już na chodniku, wyciągnął z kieszeni etui z granatowej skóry i otworzył je: były w nim dwie fotografie.

Jedna przedstawiała twarz kobiety, zaokrągloną, pełną życia, o inteligentnych i szlachetnych rysach. Była to jego żona, zmarła kilka lat wcześniej na nieznaną chorobę.

Na drugim zdjęciu postronny obserwator dostrzegłby typową amerykańską rodzinę, z rodzicami, dziećmi i domowymi zwierzętami, to jest psem i rybką w akwarium, a całość uzupełniał samotny dziadek.

Edwin Langman wyciągnął oba zdjęcia z celuloidowej osłony i wsunął je z powrotem, lecz odwrócone obrazem do wewnątrz.

Janet Bowden pracowała nad wykładem z prawa międzynarodowego na temat statusu Hong-Kongu kiedy usłyszała jak Edwin Langman ryczy jej nazwisko na ulicy. Podbiegła nacisnąć guzik, otwierający zewnętrzne drzwi bloku. Po chwili Langman wszedł i wściekle usiadł.

- Kiedy wreszcie ten cholerny administrator zdecyduje się naprawić domofon? Musiałem wrzeszczeć na środku ulicy przez dziesięć minut!

- Przykro mi, kochanie - powiedziała Janet. - Nie od razu cię usłyszałam. Pracowałam nad tymi nowymi zajęciami, które zaczynam w przyszłym tygodniu. Nie udało mi się wywinąć, wypadło na mnie. Dziekan nie chciał o niczym słyszeć...

- Przecież nie mam do ciebie pretensji, *honey*, ale przyznasz, że dyskretnie to nie wypadło! A poza tym w tej twojej dzielnicy, kiedy tak dałem się na chodniku jak kretyn, wśród dealerów przekonanych, że dostałem nożem pod żebro, a z drugiej strony podchodził jakiś menel, żeby mi zwinąć gotówkę, naprawdę nie było mi wesoło! Co za pomysł, żeby tutaj mieszkać!

- Lubię takie życie. Trochę podniecenia, trochę oddalenia. To tak jakby się mieszkało gdzieś daleko, poza miastem, w jakichś stronach gdzie mieszczanie się boją... Ale zapewniam cię, że dzielnica się poprawia, wprowadzają się tu przyzwoici ludzie, jeśli tak dalej pójdzie, to wybudują tu nową Trump Tower!

- Ja bym tylko chciał tu przyjeżdżać bez konieczności budzenia całego Nowego Jorku!

- Nie przesadzaj. Wyobrażasz sobie, że cały świat tylko czyha na twoje życie prywatne?
- Nie znasz ich.
- Kogo?
- Dziennikarzy oczywiście. Masz, sama popatrz co te gównojady wykopały na temat Sekretarza Stanu!

Podał jej egzemplarz New York Times'a, leżący na niskim stoliku, i wskazał na fragment zamieszczony na jednej z wewnętrznych stron. Janet rzuciła okiem. Autorzy artykułu ustalili bez cienia wątpliwości, że Shawn Karmichael nosił na lewym pośladku tatuaż przedstawiający tygrysa, zapewne wykonany w czasach kiedy studiował w Princeton.

- Tym karmi się prasa! - warknął Langman. - Do tego już doszło!
- Paranoik - pomyślała Janet Bowden. - A przecież to o nim myślę, kiedy mi ciężko. To paranoik, ale te zmarszczki w kącikach oczu sprawiają, że serce mi taje jak waniliowe lody w kuchence mikrofalowej. Janet, Janet, co się z tobą dzieje? Jesteś profesorem w Columbia, inteligentna, młoda, niebrzydka, a spędzasz czas ze starym przykiem, z którym nie dzielisz nawet poglądów politycznych...

- Ależ Edwin - powiedziała łagodnie. - Nie robimy niczego złego. Nie mam nic do ukrycia i ty też nie. Wszystko byłoby takie proste gdybyś nie miał obsesji na punkcie tej choleryjnej dyskrecji!

- Proszę cię, nie mówmy o tym. Za każdym razem, kiedy jesteśmy w łóżku, czuję się jakbym zdradzał swoją żonę.

- Twoja żona umarła wiele lat temu! Proszę cię, pomyśl trochę także o mnie. Ja jestem żywa i jestem tutaj, z tobą!

- Przepraszam cię, ale nie potrafię się z tego wyzwolić. Nie chcę, żeby o nas wiadano. Mam rodzinę, dzieci, wnuki. Nigdy by się nie zgodzili, rozumiesz, to by było odczytane jako zdrada, nie nie mogę...

Zapadła cisza. Ich spojrzenia błędziły poszukując wśród przemiotów w mieszkaniu czegoś, na czym wzrok mógłby spocząć bez obsesyjnych skojarzeń. Wszystko wokół było białe i blade, a jednak okryte cieniem. Zapewne tak musi wyglądać światło, pomyślał Langman, przenikające do wnętrza jajka przez skorupkę.

Janet Bowden też była blada, lecz była to bladość zdrowa i naturalna, niezwiązana z emocjami. Nie była bardzo piękna, jej skóra była matowa, włosy łączyły się w kosmyki, a zbyt grube wargi doprowadzały ją do rozpacz. Ale zdawała sobie sprawę, że mężczyznom podobała się

mimo wszystko. Płonął w niej tajemniczy ogień, rodzaj zapалу niekiedy niemal wojowniczego.

Janet żyła jak dzielny, mały wojak. W jej życiu nie brakowało przeciwności.

Była córką praktykującego Mormona. Kiedy miała szesnaście lat pierwszy chłopiec, jakiego poznała, za jednym zamachem rozdziewczył ją, uszczęśliwił i zapłodnił. Nie zobaczyła się z nim już nigdy więcej, był marynarzem, którego okręt tylko na trzy tygodnie zacumował do nabrzeża przy Dwunastej Alei.

Ojciec wyrzekł się jej i wyjechał do Utah, toteż sama wychowała dziecko. Barbara, mała ruda laleczka, wyglądała jak matka w miniatu-rze. Z biegiem lat dziewczynka wyrosła na kobietę, a teraz rozpoczynała praktykę adwokacką w Baltimore, gdzie wyszła za męża.

- Widziałem wczoraj twoją ostatnią książkę na biurku prezydenta - powiedział Langman. - Zdaje się, że naprawdę ją czyta, był bardzo dumny pokazując mi, że pozakreślał jakieś fragmenty. Trzyma ją na wierzchu dla tych, którzy twierdzą, że nie umie czytać niczego poza komiksami w gazetach. Oczywiście, „Instytucje publiczne i fakty społeczne Islamu od Hegeru do naszych czasów”, to ludziom imponuje! Zażartował nawet: „Ta kobieta musi być Einsteinem i Wonderwoman w jednej osobie!”.

- Prezydent największego narodu świata umie oceniać ludzi, z pewnością ma rację!

- Zawsze podobała mi się twoja skromność!

Roześmieli się i poprzednie skrepowanie zniknęło.

- Zostaniesz na wieczór? – spytała - Zrobiłam pieczeń w sosie miętowym, która skusiłaby każdego normalnego faceta.

- Chciałbym zostać, ale dziś na ósmą prezydent zwołał sztab kryzysowy. Kadafi albo Castro znowu coś szykują!

- Jeżeli pieczeń cię nie skusi, to może mnie się to uda?

Podeszła do niego kręcąc biodrami niczym striptizerka. Najpierw zrzuciła bluzkę, ukazując piersi małe lecz dumnie sterczące i twarde. Potem przez pokój przeleciała spódniczka i opadła jak zasłona na rzeźbę o fallicznym kształcie, podkreślając jeszcze bardziej jej obsceniczny wygląd. Janet zdjęła bardzo powoli okulary i wtedy Langman poczuł, że ogarnia go pożądanie. Nic nie było tak podniecające jak moment, w którym obnażyła swoją twarz, ukazując ją nagą, bardziej bezbronną niż porzucony noworodek.

Podszedł do niej i pocałował ją z namiętnością nastolatka przeżywającego pierwszą miłość, szepcząc:

- Niektórzy zapłaciliby za ten inteligencki striptiz więcej, niż za wszystkie przyjemności Las Vegas i Babilonu razem!

Odwzajemniła jego pocałunek i popchnęła go w kierunku łóżka. „Boże, dlaczego tak bardzo potrzebny mi jest ojciec?” pomyślała, po czym wyobraziła sobie siebie grającą w filmie Woody Allena, roześmiała się i przestała zastanawiać nad czymkolwiek.

Edwin Langman zjawił się na posiedzeniu sztabu kryzysowego z dziesięciominutowym zaledwie opóźnieniem.

Zebrań odbywało się w sali Narodowej Rady Bezpieczeństwa, w podziemiu zachodniego skrzydła Białego Domu. Niesposób było tam wejść, nie myśląc o historycznych chwilach, jakich to miejsce było świadkiem i o kryzysach, które tu rozwiązywano.

Prezydent miał na sobie czarny wełniany garnitur, łososiową koszulę i szary krawat od Bergdorfa Goodmanna. Siedział u szczytu owalnego stołu, twarzą do ściany zapełnionej ekranami, dzięki którym mógł w każdej chwili nawiązać łączność wizualną z Pentagonem, CIA, Departamentem Stanu, Krajową Agencją Bezpieczeństwa, SAC (Dowództwem Strategicznych Sił Powietrznych) lub Ośrodkiem Operacyjnym dowództwa obrony Ameryki Północnej.

Wokół stołu zasiedli Sekretarz Stanu - Shawn Karmichael, Sekretarz Obrony - Donald Parker, Lee Weaver - dyrektor FBI, admirał Gene Westerfield - przewodniczący Komitetu Szefów Sztabów, Howard Baker - Sekretarz Generalny Białego Domu, oraz Steve Raimondi - dyrektor CIA.

- Panie Prezydencie - powiedział Edwin Langman - proszę mi wybaczyć spóźnienie: zatrzymała mnie sprawa związana z bezpieczeństwem naszych przedstawicieli w ONZ.

- Tak, oczywiście, Edwin - odparł miękko prezydent, który wiedział swoje.

- Dzień dobry, Shawn - rzucił Langman Sekretarzowi Stanu.

- Wygląda pan świetnie. Prawdziwy tygrys!

Kilka osób roześmiało się.

- Śmiecie się, śmiecie - warknął Shawn Karmichael. - Węszyli już na mój temat ludzie z FBI, urzędu podatkowego i Senatu, moje listy są

czytane. Jedyna rzecz, jaka mi została, to to co mam na tyłku. Teraz nie mam już żadnej tajemnicy...

- Proponuję, żeby Steve kontynuował swój raport. Edwin, spóźnił się pan na początek, ale domyśli się go pan z kontekstu.

Wstał Steve Raimondi, dyrektor CIA. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, który zdawał się koncentrować całą energię na zaciskaniu wydatnych szczęk. Energii zaś musiał mieć sporo, biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich osiągnął swoje stanowisko: nastąpiło to po skandalu Irangate i śmierci poprzedniego dyrektora, Wiliama Caseya, zmarłego na początku 1987 roku na skutek guza mózgu.

- Według naszych informacji - powiedział Raimondi - wydaje się, że ajatollah Zardechani, przekonany o śmierci Imama, usiłował sięgnąć po władzę polityczną.

- Imam nie żyje? - wykrzyknął zaskoczony Edwin Langman.

- Nie, Ed, Imam miał tylko jakiś atak i został sparaliżowany od pasa w dół. Zardechani chciał umocnić swoją pozycję oczekując na tragiczne skutki rozwoju choroby. Mówi się, że to on spowodował wyroki trybunałów religijnych na krewnych swoich rywali, pod pretekstem handlu walutą albo „ziemskiej korupcji”. Wystąpił w roli obrońcy zagrożonej ojczyzny i dla przykładu kazał powiesić kilkuset dezertersów - w rzeczywistości młodych wieśniaków, którzy z niewiedzy nie stawili się do poboru.

- Co właściwie jest Imamowi? - spytał prezydent.

- Tego nie wiemy. Nasi eksperci badają dostępne świadectwa, także nagrania video z ostatnich publicznych wystąpień Imama, lecz jak dotychczas niesposób powiedzieć nic konkretnego. Zastanawiamy się, co mogło spowodować paraliż. Prawdę mówiąc, wcześniej czy później spodziewaliśmy się raczej raka lub choroby serca... Ale ciąg dalszy tej historii sprawia, że diagnoza jest jeszcze trudniejsza.

- Dlaczego? - spytał sekretarz stanu.

Howard Baker, sekretarz generalny Białego Domu, powstrzymał się od parsknięcia, bo nie była to pora do żartów.

- No więc - ciągnął dyrektor CIA - nie dalej jak wczoraj modły do Allacha sprawiły, że starzec odzyskał władzę w nogach!

- Alleluja! - roześmiał się Donald Parker.

- To cud! - mruknął Baker.

- Tak też uważają jego bliscy! Padli na kolana i dziękowali Allahowi. Oczywiście wszystko to utrzymywano w tajemnicy, ale

wiadomość o cudownym uleczeniu przeniknęła tymi samymi kanałami, co wcześniej wieść o chorobie. Klan umiarkowanych będzie mógł teraz zemścić się na Zardechanim.

- Jak może pan mówić o „umiarkowanych” w przypadku takich ludzi? - zaprotestował energicznie Donald Parker, sekretarz obrony.

- Przecież to wszystko wariaci, do ostatniego.

- Oczywiście, Don - odpowiedział spokojnie Raimondi. - Ale w ich szaleństwie też są niuanse. Dlatego można mówić o „umiarkowanych”. Skupieni są wokół hojatoleslama Gorganiego, przewodniczącego Medżlisu.

- Przewodniczącego czego? - spytał Weaver, szef FBI. - Wydawało mi się, że to jest w Indiach?

- Mój drogi Weaver - odezwał się prezydent z nutką zniecierpliwienia w głosie - pomylił pan z Tadż Mahalem. Medżlis to irański parlament.

Prezydent wznosił oczy ku niebu. I pomyśleć, że to jego oskarżano o ignorancję, jego, podczas gdy ci obwieszani dyplomami faceci gadali takie głupstwa!

- Więc ci „umiarkowani” - ciągnął niewzruszenie Steve Raimondi - skupieni są wokół Gorganiego. W ich obozie jest premier - Mir Hussein Musawi, minister spraw wewnętrznych - Mohtaszami, a przede wszystkim sam syn Imama, którego rola ciągle rośnie. Ludzie ci są zwolennikami liberalizacji na płaszczyźnie międzynarodowej, ale też radykalizacji w polityce wewnętrznej, szczególnie w sprawach gospodarczych.

Dlatego ich przeciwników nazywa się „liberałami”, bo opowiadają się za odsunięciem Państwa od wewnętrznych spraw gospodarczych, ale jednocześnie za wzmożeniem świętej wojny, która pozwoli na eksport rewolucji islamskiej. Ich szefami są ajatollah Zardechani - oficjalny następca Imama, Ali Chamenei - prezydent Republiki, a także Mohammed Jazdi - wiceprzewodniczący Medżlisu.

- Jednym słowem - podsumował Parker - liberałowie są ekstremistami, a tamci narwańcy są umiarkowani. Twardzi na zewnątrz są miękcy wewnątrz i odwrotnie. Jak można coś zrozumieć z takiego burdelu?

Prezydent zabrał głos, żeby przejść do następnej części zebrania.

- Dziękuję za raport, Steve - powiedział. - Panowie, chciałem żebyście poznali fakty zanim przejdziemy do zasadniczego przedmiotu tego spotkania. Musimy teraz rozważyć prośbę, która została nam

przekazana za pośrednictwem naszej ambasady w Islamabadzie. Shawn, oddaję panu głos.

Sekretarz stanu wstał z uroczystą miną, jakby dla podkreślenia wagi informacji, które miał przedstawić. Wyciągnął z kieszeni niebieską kartkę. Starannie ją rozłożył i powiedział:

- Ta zaszyfrowana wiadomość przyszła do nas z Islamabadu dziś o 10 czasu GMT. Nasz ambasador informuje nas, że Haszemi Gorgani i syn Imama pragną podjąć bezpośrednie rozmowy ze Stanami Zjednoczonymi. Proszą o przysłanie tajnej delegacji do Teheranu. Zapowiadają też, że wyprą się wszystkiego gdybyśmy to ujawnili.

Wokół stołu zapanowało przez chwilę zaskoczenie.

- Czego oni chcą, Shawn, czy ma pan na ten temat coś do powiedzenia? - spytał Edwin Langman.

- Według naszego ambasadora chcieliby kupić od nas broń i sprzęt cywilny. W rzeczywistości sądzimy, że chodzi tu o przygotowania do czasów po śmierci Imama. Pragną odbudować międzynarodową pozycję swojego kraju. Ponadto niepokoi ich nieznana postawa Związku Radzieckiego w momencie sukcesji. Wiedzą, że Związek Radziecki zawsze marzył o dostępie do ciepłych mórz. Tymczasem oni nienawidzą marksizmu, który niszczy islam w Afganistanie, to znaczy na ich granicy.

- Co nam gwarantuje prawdziwość tej propozycji? - spytał prezydent.

- Ambasador wydaje się pewny swego. Wiadomość została mu przekazana przez wiarygodnego emisariusza hojatoleslama Gorganiego. Wszystko zostało sprawdzone. Pytanie brzmi, czy powinniśmy przyjąć tę ofertę.

- Oczywiście, że nie! - ryknął Howard Baker. - Czy im się wydaje, że już zapomnieliśmy o sprawie naszych zakładników w Teheranie, albo o ich zachowaniu podczas Irangate? Nie wpadajmy dwa razy w tę samą pułapkę!

- To prawda, że ludzie ci są co najmniej... nieprzewidywalni - powiedział delikatnie Shawn Karmichael. - Jednakże powinniśmy także zastanowić się nad korzyściami, jakie mogą płynąć z podjęcia dialogu: któregoś dnia ich rezerwy naftowe będą potrzebne naszym sojusznikom; nadal nie została uregulowana sprawa naszego sporu finansowego; w przypadku normalizacji kontaktów międzynarodowych Iranu, powinniśmy starać się być w korzystnej sytuacji; i wreszcie, w tym

samym przypadku, byłoby niewybaczalnym błędem pozostawienie wolnego pola Związkowi Radzieckiemu.

- Shawn - spytał prezydent - czyżby chciał pan powiedzieć, że powinniśmy się z nimi spotkać? Naród nam tego nie wybaczy!

- Trzeba rzecz utrzymać w tajemnicy. Wyślijmy nieoficjalną delegację, która zbada sytuację. To nas do niczego nie zobowiązuje...

- Czy mamy jakiś sposób sprawdzenia ich szczerości?

Shawn Karmichael wzruszył ramionami na znak niewiedzy. Steve Raimondi poprosił o głos.

- Tego nie możemy wiedzieć. Ich religia zezwala na kłamstwo i hipokryzję.

- Boże! Co pan mówi, Steve? - odezwał się Howard Baker. - Żadna religia na to nie zezwala!

- To zasada, pochodząca z czasów kiedy mniejszość szyicka była prześladowana przez sunnitów. Szyici musieli wówczas ukrywać swą wiarę, by mogła ona przetrwać. Ich przywódcy zezwolili więc na ketman, to znaczy intelektualne ograniczenie, pozwalające dystansować się od prawdy, oraz także na - zasadę ostrożności, usprawiedliwiającą nieufność i hipokryzję.

- Ale sądziłem, że Imam unieważnił te zasady? - spytał Shawn Karmichael.

- To prawda. Imam powiedział, że skoro rewolucja islamska zwyciężyła, Iranczyki nie potrzebują już ketmanu ani takji. Ale zasady te obowiązywały od wieków, stały się ich drugą naturą. „Honor jest zastrzeżony dla Allacha" mówią.

- No to ładnie - westchnął Lee Weaver, szef FBI. - Równie dobrze można dyskutować z zawodowym łgarzem!

- Panowie, czas na podsumowanie - wtrącił prezydent. - Myślę, że powinniśmy się dowiedzieć czego chcą. Dlatego wyślemy do nich tajną delegację. Ale uwaga, Edwin i Steve, uważajcie żeby wasze służby znowu nie wpakowały nas w gówno!

Była to aluzja do sprawy Irangate, kiedy to sprzedaż broni do Iranu posłużyła do finansowania kontrewolucji w Nikaragui. Cała operacja, której ujawnienie podważyło zaufanie społeczne do rządu, przeprowadzona została przez ludzi z Rady Bezpieczeństwa Narodowego oraz z CIA.

- Pozostaje nam ustalić skład delegacji. Nie może tam być nikogo spośród naszych służb, to misja nieoficjalna i musimy być czyści w razie

wpadki. Na czele delegacji musi stać niezaprzeczalny ekspert. Panowie, czekam na propozycje...

Wokół stołu padło szereg nazwisk. Kolejno odrzucono pewnego międzynarodowego bankiera, byłego ambasadora w Damaszku, emerytowanego generała armii, oficera operacyjnego CIA na rocznym urlopie, wreszcie znanego dziennikarza, który oddał już tyle usług.

Wówczas wstał Edwin Langman i odczekał, aż zapadnie kompletna cisza, by zwrócić się do prezydenta. Wybrał najcieplejszy timbre głosu, ale jednocześnie obojętną minę człowieka obiektywnego i zaproponował:

- Panie prezydencie, czy przypomina pan sobie tę młodą kobietę, której traktat o instytucjach krajów Islamu zrobił na panu takie wrażenie?

Prezydent skoncentrował się.

W godzinę później spotkanie dobiegło końca.

Nazajutrz po otrzymaniu nominacji Janet Bowden udała się niedaleko Wall Street, do siedziby Salomon Brothers, największej firmy inwestycyjnej świata.

Weszła do budynku Chase Manhattan Bank i w windzie nacisnęła guzik czwartego piętra. Znalazła się następnie w korytarzu wyłożonym posadzką z czarnego i białego marmuru, gdzie w powietrzu unosił się zapach pasty do podłogi. Weszła do ogromnego salonu, pełnego gotyckich mebli i umundurowanych portierów. Za mahoniowym biurkiem, na którym stały statuetki z brązu, siedział mężczyzna.

- Jestem umówiona z Sandy Fisher - powiedziała Janet Bowden.

Mężczyzna rozmawiał chwilę przez telefon, po czym sprawdził tożsamość Janet

- Proszę wejść - powiedział.

Znała drogę i poszła w prawo. Dywan na czerwonej wykładzinie, wyłożone aksamitem ściany, panująca dookoła cisza, wszystko było przewidziane, by wytłumić dobiegające z zewnętrznego świata hałasy. Lecz Janet wiedziała z poprzednich wizyt, że na końcu tego korytarza czekał ją szok.

Jeszcze trzy kroki i nagle znalazła się w świecie zupełnie innym, niż tamta mieszczańska, wiktoriańska atmosfera.

Stała przed szybą, wznoszącą się nad ogromną i głęboką studnią. Na jej dnie setki urzędników, maklerów, dealerów gorączkowo uwijały się przy monitorach. Widok ten przyprawić mógł o zawrót głowy. Na

przeciwległej ścianie rozpościerała się elektroniczna tablica. Przebiegały przez nią wartości notowań, urywając się nagle na jej skraju. Powyżej dziesięć zegarów wskazywało porę dnia w głównych miastach giełdowych świata. Przez szybę nie dobiegał żaden dźwięk, lecz odgadnąć można było okrzyki i jakby skoncentrowane podniecenie, które nie opadnie nawet po zamknięciu Wall Street, gdyż w tej samej chwili gdzieś na świecie otworzy się inna giełda, na której kontynuowane będzie polowanie na część z owych stu pięćdziesięciu miliardów dolarów, jakimi obracają codziennie międzynarodowe instytucje finansowe.

Janet Bowden weszła na ruchome schody i z powrotem znalazła się we władaniu upału.

Sandy Fisher pracowała w oszklonym biurze w rogu sali giełdowej. Niczym jedna z owych cząstek elementarnych, tworzących energię wszechświata, była drobna i pełna ukrytej mocy. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że przewrócić ją może lekkie popchnięcie, lecz jej wewnętrzna siła była ogromna. Niskiego wzrostu, z długimi rudymi włosami opadającymi na ramiona, potrafiła patrzeć wprost w oczy typowo męskim spojrzeniem. Mały, zadarty nosek zdradzał buntowniczą naturę. Zmogła już trzech mężów i zamierzała właśnie pozbyć się

Ucałowały się na dzień dobry. Janet była o rok młodsza od Sandy - ukończyła czterdzieści jeden lat - lecz poznały się w dzieciństwie, chodząc do tej samej szkoły na East Side.

Sandy opowiedziała przyjaciółce o swoich problemach. Czas płynął szybko, jej praca polegała na tym, żeby nie dawać mu uciec. Obracała niewiarygodnymi sumami pieniędzy, które pęczniały i kurczyły się w wyniku różnic czasowych. Dokonywała spekulacji na skalę światową, wykorzystywała zamknięcie jednego rynku, by lokować kapitały na innym. Szybkość operacji była taka, że ich rentowność liczono nie na miesiąc lub na dzień, lecz na sekundę. A jednak, skarżyła się Sandy, nic tak nie prowadziło do marnowania czasu jak właśnie nieustanna pogoń za nim.

- Popatrz na nich - powiedziała. - Kokaina wylazi im oczami. Gdyby nie brali, nie mogliby utrzymać takiego tempa. Działają jak elektrycy. W ten sposób człowiek i mikroprocesor upodabniają się do siebie. Nie wierzysz mi?

Janet nie odpowiedziała. Odwróciła się ku przyjaciółce.

- Kiedy masz rozprawę rozwodową? - spytała.

- Jutro. Nadal nie bardzo rozumiem, co ten dureń sobie wymyślił. Ale zaczynam się przyzwyczajać, to trochę jak nałóg... Może ty się domyślasz, o co mu chodzi?

- Absolutnie nie. Ale pamiętasz ten tydzień wakacji, kiedy byliśmy razem w Aspen?

- Oczywiście, spotkaliśmy tylu wspaniałych ludzi!

- Przypominam sobie, że wtedy zauważyłam jak w ciągu jednego tygodnia najpierw zmiądzylaś Roberta na oczach jego przyjaciół w czasie zawodów slalomowych. Potem ośmieszylaś jego szefa na przetargu, w którym oboje uczestniczyliście. A do tego jeszcze wszyscy wiedzieli, że zdradzałaś męża z „tyloma wspaniałymi ludźmi"! To znaczy kolejno z czterema członkami narodowej reprezentacji w bobsleju! Jesteś jedyną znaną mi kobietą, która potrafi zgromadzić tyle powodów do rozwodu w tak krótkim czasie!

- Czy to moja wina, że Pan Bóg dał mi nogi narciarki?

- Już w szkole byłaś szefem bandy.

- Jego szef nie miał pojęcia o biznesie. Ja tylko przyspieszyłam jego upadek. Robert po prostu szybciej poznał własne możliwości. Pozwoliłam mu zyskać na czasie.

- Mężczyźni lubią, kiedy kobiety są mocne, ale nie w ich własnej dziedzinie.

- A co do drużyny bobslejowej, czy ty sama nie brałaś lekcji u ich trenera?

- Z tobą nie można poważnie rozmawiać!
Obie wybuchnęły śmiechem.

- Słuchaj, Sandy - powiedziała Janet poważnym już tonem. - Czy znasz sprawę sporu finansowego z Iranem?

- Tak - odpowiedziała Sandy z zaskoczeniem w głosie. - Poważne irańskie fundusze zamrożone w Ameryce zostały odblokowane w ramach Irangate. Trochę tego zostało. Większością zarządza się tutaj. Część jest w depozycie sądowym. Reszta spokojnie pracuje, w postaci lokat kapitałowych. Czemu pytasz?

- Nie możemy tutaj o tym mówić. Chodźmy gdzieś.

- Chyba tylko do toalety.

- Dobrze.

Toalety znajdowały się piętro wyżej. Przed lustrem nad umywalkami stała Murzynka, która uśmiechnęła się do nich kiedy weszły. Jej wargi lekko drżały.

- Dzień dobry, Phyllis - pozdrowiła ją Sandy. - Podobno twoje miesięczne wyniki zachwyciły szefa. A propos, czy nadal rżniesz się z tym starym ramolem z Business Council? Podobno ma Parkinsona: to musi być przyjemne. Ale pilnuj się: skończysz na pierwszej stronie Wall Street Journal i nie o twoich wynikach napiszą - wpakują cię do mamra za wykorzystywanie poufnych wiadomości!

Janet nie była zaszokowana: tak się tu rozmawiało, dewizą było zwyciężyć lub zginąć.

Phyllis wzruszyła ramionami. Wyciągnęła z torebki szminkę i poprawiła makijaż. Potem wyjęła małą fiolkę. Posługując się jednym z paznokci niczym małą łyżeczką pobrała z fiołki trochę białego proszku. Przysunęła palec do twarzy i mocnym wdechem przez dziurkę od nosa wciągnęła całą dawkę. Potem to samo zrobiła przez drugą dziurkę. I bez słowa wyszła.

- Teraz mamy spokój. Po co takie tajemnice? - spytała Sandy, zaciekawiona.

- Sandy, co powiedziała byś na mały pobyt w Teheranie? Sandy przez chwilę zatkało.

- Powiedziałaś „w Teheranie”? Masz na myśli Teheran w Iranie?

- Tak, mam na myśli Teheran. Posłuchaj mnie uważnie, to ci wytłumaczę.

Janet opowiedziała jej wszystko. W miarę, jak mówiła, twarz Sandy zmieniała kolory, przechodząc od jaskrawoczerwonego do różnych odcieni szarości.

- Pojedziemy z Williamem Allenem - podsumowała Janet. - On zajmie się aspektami dyplomatycznymi i międzynarodowymi misji. Nathaniel Hugues będzie odpowiedzialny za logistykę. Vincent Romano opracuje dokumenty, związane ze sprzedażą broni.

- Oni się zgodzili? - spytała Sandy, załamana.

- Jeszcze ich o to nie pytałam.

- Ty zwariowałaś, ale to zupełnie! Na mnie nie licz!

Zaskoczona Janet cofnęła się o krok.

- Ryzyko jest minimalne: oficjalnie będzie to podróż badawcza zorganizowana przez uniwersytet Teksasu.

- Co ma do tego uniwersytet Teksasu?

- Był ulubionym uniwersytetem irańskich studentów za czasów szacha. Wielu późniejszych przywódców rewolucji irańskiej tam się

kształciło. Naszym oficjalnym zadaniem będzie spotkanie z tymi absolwentami.

- Na miłość boską, Janet, jest coś, o czym nie pomyślałaś!
- Co takiego?
- Janet, przecież JESTEŚMY KOBIETAMI!

W końcu Janet udało się przekonać Sandy. Wytłumaczyła jej, że obecność dwóch kobiet uwiarygodni fikcję uniwersyteckiej delegacji. Ponadto ich zadanie ograniczało się do spotkań z osobami bliskimi Imamowi, co z definicji zapewniało im ochronę władz irańskich. I wreszcie, jak podkreśliła Janet, obie będą stosować się do miejscowych zwyczajów i nosząc czador będą korzystały z pełnej anonimowości, a zatem i swobody ruchów, której nie mogą mieć mężczyźni.

Lecz Sandy przekonała nie racjonalność tych argumentów, lecz właśnie ich bezzasadność. Uważała ona, że wysiłkom podejmowanym przez ludzi z Zachodu, by poznać Islam, muzułmanie przeciwstawiali odwieczne „nie możecie tego zrozumieć”, które a priori przekreślało wszelkie próby zbliżenia. I ponieważ powszechna niemożność porozumienia traktowana była przez nich jako fakt obiektywny, Janet i jej towarzysze musieli pogodzić się z myślą, że udają się do kraju, gdzie zastawia się pułapki na logiczne myślenie i gdzie rozsądkowi zagrażają niebezpieczeństwa, przed którymi nie ma obrony.

A takie niebezpieczeństwa pociągały Sandy nieodparcie.

Uzyskawszy zgodę przyjaciółki Janet Bowden udała się do World Trade Center.

Niczym dwa totemy na skale oba bliźniacze wieżowce zdawały się czuwać nad prastarymi ziemiami Algonkinów jak prehistoryczne megality. Na pięćdziesiątym piątym znajdowały się biura „The Cannery”, firmy Vincenta Romano. Handlarz bronią twierdził, że takie usytuowanie pozwalało mu osobiście czuwać nad wchodzącymi i wychodzącymi z portu dostawami. Przy jednym z okien miał do tego celu zainstalowaną lunetę, przez którą odczytywał nazwy statków kiedy tylko pojawiały się pod ażurową konstrukcją mostu Verrazano. Czasami dla rozrywki porównywał wyniki swoich obserwacji z danymi gromadzonymi przez morski urząd celny Nowego Jorku i New Jersey, który zajmował identyczne biura czterdzieści cztery piętra niżej.

Po wyjściu z windy Janet skierowała się w lewo, ku podwójnym wyściełanym drzwiom, na których mosiężna tabliczka głosiła: „The Cannery Ltd. Co. - Vincent Romano”. Janet nigdy nie była pewna, czy handlarz bronią wybrał taką nazwę by zapewnić sobie dyskrecję, czy też wynikała ona z jego poczucia humoru. Inna tabliczka zachęcała, by wchodzić bez pukania.

Janet znalazła się w elegancko urządzonym przedpokoju: skandynawskie meble, oryginały Roya Lichtensteina i Jaspiera Johnsa, jedwabne dywany. Na niskich stolikach leżały czasopisma o sztuce i ostatnie numery *Soldier of Fortune*.

Na fotelach siedziało sześć osób, oczekujących na spotkanie z Romano lub jego współpracownikami. Janet zauważyła jakiegoś Azjata, człowieka z CIA w cywilu (rozpoznawała ich na pierwszy rzut oka, bez pudła), dwóch saudyjskich emirów i kogoś w typie wyelegantowanego Rambo. Tacy właśnie byli klienci Romano: najemnicy, zbuntowani wojskowi, generałowie, ministrowie, bojówkarze, wszelkiego rodzaju pośrednicy, cwaniacy i spekulanci.

Janet podeszła do recepcjonistki. Dziewczyna, poszarzała na twarzy, ciężko oddychając, poskarżyła się, że ma morską chorobę. Wieżowiec, jak twierdziła, zbudowany był z materiałów, których elastyczność dopuszczała na górnych piętrach odchylenia od pionu przekraczające sześćdziesiąt centymetrów. Przy silnym wietrze, mówiła, huśtanie mogło dochodzić do jednego metra amplitudy. Janet pocieszyła ją zapewniając nieszczerze, że to tylko wyobraźnia.

Vincenta Romano nie było. Było w pół do pierwszej. Janet przypomniała sobie, gdzie handlarz bronią zawsze spędzał porę obiadową.

Mało brakowało, a Vincent Romano zostałby zawodowym kulturystą. Kilka lat wcześniej wygrał kilka zawodów w kategorii juniorów. Ponieważ w bardzo młodym wieku znalazł wysoce dochodowe zajęcie, zrezygnował z kariery w ulubionym sporcie, lecz dalej uprawiał go po amatorsku.

Janet Bowden odnalazła go więc w Teddy's Gym, siłowni na skraju Upper East Side i Harlemu. Mokry od potu Vincent wyciskał ciężary na błyszczącym chromami atlasie. Dookoła w świetle dobywającym się z przeszklonego sufitu połyskiwały inne barbarzyńskie maszyny. Na nich inni ćwiczący trenowali zapamiętałe, nie szcędząc wysiłków.

- Kiedy mięsień jest dostatecznie napięty przez powtarzany wysiłek, wypełnia się krwią i każdy dodatkowy ruch powoduje jakby orgazm! - wyjaśniał Vincent kibicom.

Kiedy Vincent Romano zauważył stojącą przy wejściu Janet, wysunął się z ołowiano-stalowej obręczy i podszedł do niej.

Musiał być najmłodszym członkiem zespołu: dopiero co, z okazji dwudziestych ósmych urodzin, urządził w klubie Limelight przy Szóstej Alei dekadenskie przyjęcie, na które przyszło dwa tysiące gości, tłocząc się wśród dekoracji w postaci wysmarowanych oliwą Herkulesów i Barbarelli przęających mięśnie na postumentach z fałszywego marmuru.

Vincent miał na sobie czarne szorty i koszulkę. Jego widok wzbudziłby respekt nawet u szarżującego bawołu: trapezoidalny tors, ogromne mięśnie piersiowe, brzuch o wspaniałej rzeźbie tworzący pod bawełnianą koszulką sieć rowków i wżgórków, wreszcie ręce i nogi o wydatnych, harmonijnie rozwiniętych grupach mięśni napinających się przy każdym ruchu. A nad tymi dziewięćdziesięcioma kilogramami twardych mięśni twarz nastolatka.

Oczy koloru miodu, blond włosy, opalona skóra, kwadratowy podbródek jak u bohaterów komiksów, białe zęby jakby wyciosane z kwarcytów, wszystko to czyniło z niego typową, nową postać z amerykańskiej legendy: golden boy'a.

Wszystko mu się w życiu udało.

Wiadomo było, że bardzo wcześnie uzyskał dyplomy najbardziej znanych uniwersytetów Ivy League. Dzięki widokówkom, jakie posyłał, jego przyjaciele mogli śledzić kolejne etapy jego sukcesów. Mając dwadzieścia dwa lata zajmował się handlem nieruchomościami w Buenos Aires; rok później był pośrednikiem w imporcie i eksporcie obrabiarek w Santiago; następnego lata pracował jako inżynier w dziale zbrojeniowym laboratoriów Bella; mając dwadzieścia sześć lat był ekspertem od materiałów wybuchowych w firmie Rockwell; wreszcie, mając dwadzieścia siedem, został doradcą wojskowym w Rijadzie.

Wówczas to, posiadając obszerny spis adresów potencjalnych klientów, postanowił utworzyć własną firmę wyspecjalizowaną w handlu bronią. Jak dotąd bez mrugnięcia okiem szedł od sukcesu do sukcesu. Była to jego słaba strona: nie miał okazji się przekonać, że powodzenie zawdzięcza się opatrności i że należy z tego czerpać szczęście. Dla niego sukces był tylko naturalnym porządkiem rzeczy, należał mu się i nie powodował radości jaką dają rzeczy zdobyte.

Kilka lat wcześniej wśród studentek Janet była też narzeczona Vincenta. Dzięki temu poznała go, podczas towarzyskiego spotkania byłych absolwentów. Rozmawiali o przyszłości politycznej saudyjskiej monarchii. Vincent przepowiedział wówczas, że pielgrzymka do Mekki stanie się pretekstem do powtarzających się konfliktów z Islamską Republiką Iranu. Jego przewidywania sprawdziły się w rok później. Irańscy pielgrzymi ogłosili powrót Mahdiego i opanowali Święte Miejsca.

Pod wrażeniem przepowiedni młodego człowieka Janet zaczęła go cenić. Stali się dobrymi przyjaciółmi i od niego Janet uzyskała niektóre z niepublikowanych dotąd informacji, które zawarła w swoich książkach o Bliskim Wschodzie.

Podobnie jak to zrobiła z Sandy Fisher, Janet opowiedziała Vincentowi o projekcie Białego Domu.

- To się świetnie składa! - wykrzyknął młody człowiek.
- Czemu? - spytała Janet.
- Już od kilku tygodni mam do czynienia z pewnym irańskim biznesmenem, który usiłuje właśnie w imieniu ludzi, z którymi mamy się spotkać, doprowadzić do wznowienia sprzedaży naszej broni do jego kraju.

- Czy to Ghorbanifar?

Vincent nie odpowiedział, lecz milczenie znaczyło tyle, co potwierdzenie. Człowiek, którego wymieniła Janet, działał jako pośrednik w licznych transakcjach międzynarodowych z udziałem Iranu. Nikt nigdy nie wiedział, gdzie kończą się jego własne interesy a zaczynają interesy jego mocodawców.

Janet pomyślała, że dobra znajomość potrzeb irańskich przez Vincenta czyniła z niego odpowiedniego człowieka. Z jego entuzjazmu wywnioskowała, że z powierzonego mu wyjazdu studyjnego zamierzał wyciągnąć pewne korzyści dla swojej firmy.

- Będzie z nami moja przyjaciółka Sandy Fisher... - powiedziała Janet

- Ta ruda od Salomon Brothers, która ma mięśnie jak zapaśnik?
- Tak, spotkałeś ją kiedyś u mnie na party z okazji wyjazdu mojej córki Barbary do Baltimore. Nie znam jeszcze pozostałej dwójki. To ludzie wyznaczeni przez Krajową Radę Bezpieczeństwa, za zgodą prezydenta. Jeden to William Allen, ekspert od stosunków międzynarodowych.

- Słyszałem o nim. Kiedyś pracował u Lloyda. Zajmował się ubezpieczeniami tankowców, płynących przez Kanał Sueski i Zatokę w okresach kryzysów wojennych. Wiedział wszystko o okrętach każdej ze stron, od usytuowania kambuza do ilości pocisków na pokładzie. Dopadł go w Adenie agent rekrutacyjny CIA. Pracował przez kilka lat dla Agencji. Potem złożył dymisję i otworzył w Nowym Jorku prywatną firmę konsultingową. Ocenia ryzyko kryzysów i konfliktów. Jego klienci to rządy państw i wielkie koncerny, które pragną uniknąć utraty inwestycji z powodu wojen, zamachów stanu czy nacjonalizacji. A kim jest drugi człowiek?

- Nathaniel Hugues. Weteran wojny wietnamskiej. Mówiono mi o nim. Przeżył wszystko. Ed... to znaczy doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego poprosił go o zmianę imienia na czas tego

Janet była na siebie wściekła za to przejęzyczenie, które nie umknęło uwadze Vincenta. W końcu w Stanach Zjednoczonych nie ma nic niewłaściwego w nazywaniu po imieniu człowieka o randze ministra. Im wyżej się jest w hierarchii społecznej tego kraju, pomyślała Janet, tym bardziej nalega się na to, by inni się spoufalali. Ludzie ci niby chcą przeciwdziałać powstawaniu u rozmówców kompleksu niższości, ale w rzeczywistości sami w sobie rozwijają kompleks wyższości elit, który nie ma sobie równych na świecie.

- Tak czy inaczej - powiedziała, żeby otrząsnąć się z zakłopotania - spotykamy się dzisiaj wieczorem, wszyscy pięcioro, u mnie na kolacji. Zrobię spaghetti, steki i sernik, coś mi mówi, że w czasie tej podróży nie będziemy zbyt wiele ucztować!!

- Niech będzie sernik! - zgodził się Vincent z entuzjazmem, który sprawił że mięśnie napęczniały mu jak balony.

Tego samego wieczoru spotkali się u Janet Bowden, która w związku z tym musiała przełożyć intymne spotkanie z Edwinem Langmanem na następny dzień.

Obaj nieznajomi postarali się, by łatwo zintegrować się z grupą. William Allen przypominał angielskiego dżentelmena. Janet odnalazła w nim podobieństwo do Aleca Guinnessa. Brakowało mu tylko melonika albo trzciny laseczki oficerskiej. Godny wygląd nie przeszkadzał mu w korzystaniu z życia, wypowiedział szereg komplementów

pod adresem stojącego na stole Mouton-Rotschild. Podkreślił jednak absolutną konieczność dostosowania się na miejscu do zasad Koranu.

- Byłoby głupotą - powiedział - napytać sobie biedy tylko dlatego, że na przykład ktoś zabrałby ze sobą butelkę whisky!

Nathaniel Hugues potwierdził. Miał zajmować się bezpieczeństwem całej grupy i zamierzał dopilnować, by reguły postępowania były przestrzegane.

- Czy to prawda - spytała Sandy - że będziemy zwracać się do pana używając innego imienia?

- Tak. W moim paszporcie będzie John, to bardziej neutralne religijnie.

Nathaniel „John” Hugues, około pięćdziesiątki, miał wygląd pirata. Mówił głośno, był zimny jak stal, typowy członek formacji Zielonych Beretów.

Rozmawiali o życiu w Nowym Jorku, mięśniach Vincenta (czy były sprawne, czy tylko duże?), ostatniej księżce Janet, żonie prezydenta, której astrolog panował nad Białym Domem, wreszcie o hodowli róż, która po powrocie z Wietnamu stała się pasją Nathaniela „Johna” Hugues’a.

Sandy odebrała to jako żart i były wojskowy poczuł się dotknięty. W dodatku rozśmieszyła swoimi uwagami także Vincenta, co wprawiało w jeszcze większe zakłopotanie weterana.

Janet skorzystała z chwilowego zamieszania by poprosić gości do salonu na kawę.

Tu utworzyła kopertę, otrzymaną z Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Były tam dodatkowe informacje, niezbędne do wykonania zadania.

Pośrednikiem w kontaktach między delegacją a irańskimi rozmówcami miał być człowiek, pracujący w sekcji interesów amerykańskich przy ambasadzie Szwajcarii w Teheranie. Nazywał się Gunther Molier. Natomiast zadanie Janet i jej towarzyszy miało polegać na zorganizowaniu spotkań z byłymi irańskimi studentami uniwersytetu Teksasu, które miały posłużyć za przykrywkę całej operacji.

Od tej pory w grupie zapanowała gorączkowa atmosfera, bliska euforii. Sprzyjało to powstaniu poufalej relacji, jakie rodzą się w wyniku długoletniej bliskiej znajomości, lecz także pod wpływem ważnego zadania, które ma być wykonane wspólnie. To pośpieszne zbliżenie ludzi, którzy w większości byli sobie całkowicie obcy, drażniło

Janet. Podała likiery i pod pretekstem przyniesienia jeszcze jednej butelki wycofała się do kuchni.

Oparła się o drzwi i starała się ogarnąć myślami sytuację. Zapewne, wszyscy byli ludźmi czynu. Każdy miał w tej wyprawie coś do wygrania. Vincent zapewnił sobie kilka intratnych kontraktów, o ile podróż doprowadzi do wznowienia sprzedaży broni do Iranu. Sama Janet liczyła na stanowisko w administracji prezydenckiej i chętnie myślała o karierze politycznej. Co istotne, Edwin Langman będzie jej zawdzięczał powodzenie operacji i nie będzie już dłużej mógł utrzymywać jej w swoim cieniu. Sandy zyska awans, Nathaniel Hugues wyższy stopień albo medal, a William Allen nowych klientów dla swojej firmy.

Każde z nich miało powody do entuzjazmu. Lecz Janet nie mogła nie pamiętać o widoku, jaki kiedyś ujrzała, a który przedstawiał spalone ciała na pustyni. Ludzie ci przylecieli, by wyzwolić zakładników w Teheranie. Telewizja islamska pokazała ich rozerwane ciała leżące wśród szczątków helikopterów. A irańscy żołnierze, pod okiem kamery, zbeszcześcili te resztki w najohydniejszy sposób... Być może ci Amerykanie także, przed wyjazdem, odczuwali taką wspólną euforię...

Janet Bowden, Sandy Fisher, Vincent Romano, William Allen i Nathaniel „John” Hugues poświęcili dwa następne dni na zapoznanie się z aktami i przygotowanie wyjazdu. W największej tajemnicy odbyły się spotkania, na których każde z nich zostało przeszkolone, do czekających ich zadań, przez ekspertów Rady Bezpieczeństwa Narodowego i CIA. Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu.

Cała grupa odleciała najpierw do Wiednia rejsowym samolotem linii TWA. Tam przesiadli się na Boeinga IranAir do Teheranu.

Kiedy przez głośnik zapowiedziano lądowanie na lotnisku Mehrabad, Janet Bowden przycisnęła prawą dłoń do policzka. Poczula dotyk pierścionka, który dał jej przed wyjazdem Edwin Langman obiecując małżeństwo. Pierścionek musnął jej wargi, a w sercu poczuła ciepło.

Koła samolotu dotknęły irańskiej ziemi.

7 DUCH W SZPITALU HADASSA

W tym okresie wszyscy - chorzy, lekarze, technicy - mieszkający lub pracujący w szpitalu Hadassa odczuli niejasno wokół siebie pojawienie się czegoś, co przypominało tłumiony strach.

Dora Benari została opatrzona. Nie potrafiła opisać swoich napastników i opędzała się od policjantów, którzy mieli nadzieję czegoś się od niej dowiedzieć. Stara kobieta krzyczała na nich, mających po trzydzieści lat i dysponujących wszelkimi atrybutami władzy, a oni znosili to potulnie.

- Walczyłam na froncie, kiedy matki podcierały wam jeszcze pupy. Dajcie mi święty spokój! - warczała.

I dawali jej spokój zawstydzeni, że muszą wycofać się przed tą biedną staruszką, którą życie pomarszczyło, pozbawiło jednego oka i osamotniło.

„Babel” Benari posiadała mieszkanie służbowe na piątym piętrze budynku, w którym górę zajmował oddział amerykański. Tutaj też Debora Kennedy odwiedziła ją, by zapytać o zdrowie.

Babel wprowadziła dziewczynę do salonu wypełnionego dywanami, poduszkami i koronkami. Panował tu mdlący nieco zaduch przejrzałych jabłek.

Babel spędzała tu swój wolny czas pastwiąc się nad drzewkami bonsai. Karłowate rośliny wyciągały ku odwiedzającym swoje gałęzie jakby błagalnie, ich korzenie usiłowały przebić się przez ubitą ziemię,

rozdarte pnie wołały o litość. Maleńkie i eleganckie sekatory, nożyczki, szczytce, pincetki, imadefka i miedziane druciki leżały na stoliku, czekając aż stara kobieta powróci do przerwane go zajęcia. Pokój zdobiło dwanaście drzewek bonsai, symbolizując dwanaście miesięcy roku - Cieszę się, że lepiej się pani czuje - powiedziała Debora.

- Zajął się mną doktor Beam. Już choćby za to jestem wdzięczna tej świni, która mnie uderzyła. Wie pani, ten amerykański doktor zastępuje mi syna, którego nie miałam!

- Powiedziała mu to pani?

- Chyba pani żartuje? Ja jestem tylko nocnym stróżem, nie mam prawa wdziierać się w jego prywatne życie. Poza tym on zdaje się poświęca całą uwagę pani!

Babel roześmiała się głośno, dając w ten sposób wyraz, co rozumiała przez „uwagę”. Dziewczyna zarumieniła się, co jeszcze bardziej rozbawiło starą. Usiadła przy stoliku, podczas gdy Debora zajęła miejsce na kanapie i zaczęła obwiązywać gałązki drzewka Cotoneaster.

- Moje drzewka bardziej ucierpiały ode mnie! - powiedziała. - A co myśli o całej sprawie doktor Beam?

- Mówi, że pani widziała napastnika.

- Zaatakował mnie od tyłu!

- Chris twierdzi, że uderzono panią z prawej strony.

- Nic nie widziałam. Proszę pamiętać, że nie mam jednego oka.

- Tak, ale lewego!

- Co z tego wynika, Panno Marple?

- Dla mnie nic. Ale policja sądzi, że coś nie pozwala pani mówić.

Może groźby, obawa przed zemstą.

- Bzdury!

- Tak czy inaczej - ciągnęła Debora - Mel Philip kazał pozmieniać wszystkie zamki na oddziale. Od dwóch dni nie można przejść korytarzem nie natykając się na dziesięciu ślusarzy!

- Życzę im powodzenia! - warknęła stara. - Mój skradziony wytrych daje dostęp do ponad sześciuset pomieszczeń!

- Niektórzy twierdzą, że wynajęto wielu detektywów, żeby go odnaleźć.

Babel zrobiła tajemniczą minę. Zerknęła szybko na prawo i lewo, jakby ktoś mógł je podsłuchać.

- *Wielu* detektywów? Mówi pani poważnie?

- Nie rozumiem.
- Ależ Debora, co pani ma zamiast oczu? Tu nie chodzi o wielu detektywów. W tym budynku jest cała armia gliniarzy w cywilu! Słyszysz pani, cała armia!

- Po co mieliby to zrobić?

- Nie tylko żeby znaleźć wytrych.

Babel przysłoniła usta dłonią. Tajemniczym tonem szepnęła:

- Podobno popełniono wiele kradzieży. Nic więcej nie powiem.

Miała nadzieję, że Debora będzie nalegać. Ponieważ nie uczyniła tego, dodała, owijając wokół gałązek drzewka Cotoneaster miedziane druciki:

- Zresztą, nic więcej nie wiem!

Rozczulona Debora uśmiechnęła się do starej, której palce, mocne jak u zapaśnika, manipulowały wśród listowia. Wstając, by się pożegnać, Debora zauważyła na biurku stos książek i teczek. W rogu Babel zostawiła w nietadzie zeszyt, luźne kartki, pióro, słowniki i na wpół napoczętą kanapkę z dżemem figowym.

- Pani pisze? - odważyła się spytać Debora.

Twarz Babel rozjaśniła się.

- Proszę popatrzeć - powiedziała, podając Deborze okładkę swego dzieła.

Młoda kobieta odczytała tytuł, wykaligrafowany okrągłym pismem: „Manifest na rzecz języka rzeczywiście uniwersalnego”. Słowo „rzeczywiście” zostało podkreślone dwa razy.

- Niech mi pani wyjaśni, bo nie rozumiem...

- Podczas wojny sześciodniowej znalazłam się naprzeciwko egipskiego dezertera. Krzyczał po arabsku, że chce się poddać. Był młody, przeczytał jakieś książki i zdawało mu się, że jest bohaterem powieści szpiegowskiej: krzyczał, że prosi o azyl polityczny!

- I co pani zrobiła?

- Nie znalazłam słowa po arabsku. Dopiero później dowiedziałam się, co mówił, bo mi przetłumaczono. Machał rękami i zasypał mnie potokiem słów. W pewnej chwili myślałam, że chce wyrwać zawleczkę granatu i wysadzić nas wszystkich w powietrze. Więc wymierzyłam w niego i zabiłam kulą w głowę.

Kilkoma słowami Babel sprawiła, że w pokoju zrobiło się strasznie. Debora czuła, że się poci. Na zewnątrz zapadł zmierzch, poruszone ciepłym wiatrem liście szumiały cicho na gałęziach sykomorów.

- Wtedy - ciągnęła Babel - zrozumiałam, że wojny wynikają z tego, że ludzie nie potrafią mówić jednym językiem. I powiedziałam sobie, że ja, Dora Benari, zwana od tego dnia Babel, odnajdę ten uniwersalny język, którym mówili ludzie zanim Bóg się na nich pogniewał.

W tym momencie z twarzy Babel biła gorączka, znana wszystkim zbawiającym świat. Oczarowało to Deborę. Pomyślała o własnych tajemnicach i o Christopherze, który jeszcze o nich nie wiedział.

Babel rozpoczęła przemówienie. Unicestwiała w nim wszystkie wcześniejsze propozycje uniwersalnego języka i wykazywała niekompetencję ich wynalazców. Volapuk, esperanto, novilatin, tal, perio, ido, interlingua, timiero czy novial, wszystko to odrzucała z jednakową pogardą.

- Ja badam słowa proroków sprzed okresu budowy wieży Babel - powiedziała. - I znajduję w nich, porozrzucane i ukryte fragmenty tego języka, którego poszukuję, i który nazywam prebabelskim.

- Ależ teksty te znane są w transkrypcjach w naszych dzisiejszych językach - zaprotestowała Debora. - To wcale nie jest prebabelski!

- Ma pani rację. Dlatego zmieniałam metodę...

Przybrała tajemniczą minę.

- Teraz studiuje fonemy wspólne człowiekowi i małpie!

- Fonemy?

- Tak, podstawowe jednostki, jakby cegły, z których zbudowany jest język...

Debora nie była pewna, czy śni, czy też rzeczywiście stoi przed nią ta olbrzymia jednooka kobieta, która ma na sobie granatowy mundur ze znakiem firmy ochrony i która opowiada takie dziwaczne rzeczy.

Babel tłumaczyła, że zbyt często usiłowano nauczyć małpy języka ludzkiego i zapomniano, by ich słuchać. Tymczasem małpy nie popełniły zbrodni, polegającej na próbie dostania się do nieba. Być może więc w nich pozostały ślady zagubionego uniwersalnego języka.

Babel wierzyła w małpę-nauczyciela, której język, człowiek któregoś dnia zrozumie i dzięki której język ten zabrzmi kiedyś znowu stanowiąc, tak jak ongiś, wspólny środek porozumiewania się ludzi i świata zwierzęcego. Posuwała się nawet dalej: twierdziła, że ponieważ Stwórca ukształtował człowieka na swoje podobieństwo, musiał też mu dać boski język do porozumiewania się. Wskrzeszając język prebabelski Dora Benari zamierzała pewnego dnia przemówić do Wiekuistego w jego własnym języku. To była jej wiara. Oddała się jej całą duszą.

Dążąc do celu Babel studiowała książki. Prowadziła obszerną korespondencję z zoologami, zbierając mało znaczące informacje, które zestawione ze sobą musiały w końcu dać obraz systemu. Pewien szympan w Ameryce wybełkotał jakiś dyftong: był to jakiś ślad. Pewien goryl w Togo, w podobnych okolicznościach, wydał podobny dźwięk: był to już dowód. I tak postępowała do przodu, krok po kroku, nieświadoma beznadziejności celu, jaki sobie wytyczyła.

Deborze przyszło na myśl, że cała praca starej kobiety pozbawiona była sensu. Firma ochrony Greilsammer zatrudniła weterana w osobie Dory Benari. Nie wiedząc o tym, zapewniła sobie w ten sposób usługi maniaczki, żyjącej w obsesji drzewek bonsai i lingwistyki.

Debra Kennedy uśmiechnęła się: wszystko to bardzo się jej podobało.

Następnego dnia dziesięciu policjantów ustawionych przy wyjściu dla personelu przeprowadziło przeszukanie toreb, teczek i paczek pracowników. Kontrolowano ciężarówki dostawców i pralni. Pod okiem policjantów, brygadziści sprawdzali taczki z gruzem wyjeżdżające z placu budowy nowych bloków operacyjnych. Wyjście dla odwiedzających zostało obstawione. Cała ta operacja przebiegła bez

Łatwo rozpoznawalni po badawczym spojrzeniu inni policjanci, w cywilu, przechadzali się wśród odwiedzających szpital i wśród pacjentów przychodzących na badania.

- Do cholery, Mel - powiedział Christopher Beam Philipowi - nie robi się takiego burdelu z powodu jednego zgubionego klucza!

- Niech pan nie zapomina, że napadnięto na Dorę Benari!

- Mel, niech pan będzie szczery. Jestem pewien, że tu chodzi o coś innego. Mówi się o jakichś kradzieżach, ale mimo wszystko...

- Dobrze. Powiem panu, co się dzieje. Od czasu tego wypadku nie popełniono jakichś kradzieży", ale po prostu ktoś plądruje szpital! Nie potrafimy tego zrozumieć. Zginęła prawie tona sprzętu: telewizory, magnetowidy, części skanera, kable telefoniczne, maszyny do pisania! Zniknęły całe partie żywności z chłodni działu żywienia. Gangsterzy zebrali towaru na cały bazar!

- Ależ Mel, w jaki sposób można było ukraść to, o czym pan mówi ze szpitala pilnowanego dwadzieścia cztery godziny na dobę, gdzie

pobranie najmniejszej rzeczy z magazynu wymaga wypełnienia co najmniej pięciu cholernych formularzy!

- A jednak, Chris. Tylko w pańskim własnym oddziale zniknęły trzy pulpity IBM i dwa zestawy przyborów elektronicznych, nie mówiąc o radiu pana sekretarki. Mamy do czynienia z handlarzami! Profesor Penchas i doktor Zvi Stern złożyli skargi.

Ludzie, o których wspomniał, kierowali odpowiednio organizacją medyczną Hadassa i szpitalem Hadassa w Ein Kerem.

- Policja prowadzi śledztwo wśród paserów, których ma w kartotekach. Na razie nie ma żadnych wyników. Zobacz pan, niedługo znajdzie pan na bazarze cały swój oddział sprzedawany w częściach!

- Przecież wszyscy ci gliniarze dookoła powinni odstraszyć złodziei...

- Tak. Dzisiaj skradziono mniej niż wczoraj. A propos, chciałem panu powiedzieć jedną rzecz, Chris...

- Tak?

- Poprosiłem firmę Greilsammer, żeby wspólnie z policją przeprowadziła dochodzenie na temat członków personelu.

Christopher cofnął się o krok.

- Posuwa się pan za daleko! Personel nie zgodzi się na to. Proszę pomyśleć o wszystkich odwiedzających, lekarzach, studentach, przedstawicielach laboratoriów farmaceutycznych, którzy codziennie przewijają się przez szpital. Nie mówiąc o grupach turystów, które gubią się na korytarzach w drodze do synagogi Chagalla! Nasi współpracownicy nie zrozumieliby, dlaczego podejrzewa się właśnie ich...

- Na miłość boską, Beam, mamy do czynienia z kradzieżami na setki tysięcy dolarów. To tak, jakby obrabowano bank! Nie mówimy o świecach skradzionych przez turystów w synagodze! To mogą robić tylko ludzie dobrze znający teren i wartość sprzętu. Detektywi z ochrony zaczną pracę jutro. Niech się pan postara, żeby przynajmniej w pana oddziale obyło się bez obrazania!

Ostatnie słowa Mela Philpa zabrzmiały jak rozkaz. Christopher Beam nie odpowiedział. Zrozumiał, że szpital Hadassa wszedł w okres podejrzeń i że teraz rozwinie się epidemia. Niczym choroba nieufność dosięgnie ich wszystkich, bez wyjątku. Nikt nie będzie dowierzał nikomu w nieskończoność i nikt nie wyjdzie z tego bez uszczerbku.

Niektórzy pracownicy sprzeciwili się prowadzeniu na ich temat dochodzenia przez prywatną firmę ochrony. Mówiono o bojówkach, ludzie czuli się obrażeni, związki zawodowe zagroziły strajkiem. Na budowie nowych bloków operacyjnych przeszukiwanie ciężarówek opóźniało ich wyjazd, a przez to i powrót z dostawami materiałów. W niespełna dwa dni budowa została sparalizowana, a robotnicy siedzieli beczynnymi na rusztowaniach.

Ale najgroźniejsza psychoza rozwinęła się wśród chorych.

Choć nie była znana przyczyna, wprowadzenie licznych sił policyjnych do szpitala nie mogło długo pozostać niezauważone przez chorych. Dowiedzieli się też oni niebawem, że przy wyjściu rewiduje się odwiedzających ich krewnych i przyjaciół. A kiedy inspektorzy zaczęli spisywać zeznania nawet obłożnie chorych, stało się dla wszystkich jasne, że dookoła działo się coś nienormalnego.

Niczym pożar plotka ogarnęła wkrótce wszystkie szpitalne oddziały.

Oparta była na prawdziwym zdarzeniu. Na oddziale chirurgii ogólnej zmarła pacjentka w wyniku rany brzucha. Pacjent z oddziału psychiatrii, który przyszedł na konsultację do chirurga w sprawie operacji cysty, spotkał po drodze wózek, wywożący z bloku operacyjnego zwłoki kobiety. Wystarczyło parę godzin, by w całym szpitalu rozeszła się nowa wersja wypadków: tajemniczy morderca uderzał nożem w brzuch chorych w szpitalu Hadassa, to właśnie jego szukały w całym budynku służby policyjne.

Fakt, że plotka pochodziła od pacjenta z psychiatrii w niczym nie wpłynął na jej siłę przekonywania. Wszyscy chorzy żyli teraz w obawie o własne życie, obawie paradoksalnie umacnianej przez obecność policji. Bali się odwiedzających. Bali się pielęgniarki, która mogła być mordercą w przebraniu, bali się lekarza, który zakładając kroplówkę mógł nagle rozpruć im brzuch uderzeniem lancetu.

Rozpruwacz ze szpitala Hadassa stał się postacią przerażającą i znaną zarazem. Niektórzy go widzieli. Opisywali jego rysy twarzy. Inni jednak, którzy spotkali go także, dawali zgoła inny rysopis, toteż zaczęto podejrzewać, że morderca ma współników na oddziale chirurgii plastycznej.

Psychoza rosła, żywiąc się własnymi sprzecznościami.

Wreszcie, pewnego dnia rozpruwacz osiągnął poziom abstrakcji z pogranicza cmentarza i mitu: mała chora na leukemię dziewczynka, leżąca na ogólnej sali oznajmiła, że widziała mordercę i że był to duch.

Christopher Beam usiłował odizolować się od powszechnego szaleństwa poświęcając się pracy.

Pod kryptonimem Golden Gate starał się dopracować program Nicholasa Fultona. Owa doskonała symbioza mózgu i komputera, do której dążyły badania, rzeczywiście miała w sobie coś ze złotej bramy. Chrisowi przychodziły na myśl owe filozofie, w których przechodzenie wędrowca przez bramy ciszy, wody i ognia symbolizuje dążenie do przodu ludzkiego ducha. On na tej drodze dodałby jeszcze łukowate sklepienie. Sklepienie niematerialne, na podobieństwo przepływu elektronów między mózgiem a maszyną, umożliwiającego bez mechanicznego pośrednictwa komunikowanie woli i materii.

Na ostatnim piętrze wydzielono powierzchnię stu pięćdziesięciu metrów kwadratowych z przeznaczeniem na badania w ramach Golden Gate. Urządzono tu trzy pomieszczenia wyposażone zgodnie z potrzebami tetraplegików, pokój do składowania sprzętu do EEG oraz pokój techniczny dla komputera i urządzeń peryferyjnych. W podłodze tego pokoju położono kable, łączące terminal z komputerem głównym, znajdującym się piętro niżej w strefie podwyższonego bezpieczeństwa.

Wyłożone dźwiękoszczelnymi płytami ściany, podłoga pokryta warstwą korka, okna z szybami z jasnozielonego szkła, wszystko zostało pomyślane by dać pacjentom wrażenie spokoju i umożliwić koncentrację, jakiej wymagać miały doświadczenia.

Naprzeciwko łóżek ustawiono ogromny ekran telewizyjny połączony z komputerem. Beam zwiększył ilość kratek, pojawiających się na ekranie podczas działania systemu. Każda miała swoją własną charakterystykę, związaną z częstotliwością migotania.

Chris sprowadził kilku spośród najzdolniejszych programistów w kraju, a także Cejlończyka, Japończyka, dwóch Amerykanów i Brazylijczyka. Łącznie w okresie rozruchu piętnastu informatyków miało pracować nad projektem Golden Gate.

Pewnego dnia do pokoi z łózkami sprowadzono pacjentów: starca, dorosłego mężczyznę i dziewięcioletnie dziecko.

Mężczyzna, mający czterdzieści dwa lata, miał sparaliżowane wszystkie kończyny w wyniku bójki. Był rybakim. Sprzeczka na pełnym morzu pomiędzy załogami dwóch kutrów doprowadziła do abordażu i nieszczęśnik został trafiony harpunem między łopatki. Mówił wyraźnie, lecz czasami majaczył niczym bohater z powieści Melville'a, którego przypominał również dzięki rudej brodzie.

Starzec doprowadzony został do stanu wegetacji przez nieznaną chorobę. Był człowiekiem wykształconym, kiedyś prowadził kronikę literacką w gazecie wydawanej w Tyberiadzie.

Chłopiec miał na imię Izaak. Cierpiał na poważną chorobę układu nerwowego, stwardnienie zanikowe boczne, być może w wyniku anemii i braku pewnych składników w pożywieniu we wczesnym dzieciństwie. Jego mięśnie tułowia były tak słabe, że musiał nosić gorset. Był jednak uśmiechnięty i pogodny, choć na twarzy niekiedy malowały się ślady cierpienia.

Chris zapoznał się ze swoimi chorymi i pozyskał ich zaufanie. Wyjaśnił im, że doświadczenia nie zmieniają ich stanu i że chociaż sam jest neurologiem, przedsięwzięcie ma inny cel. Pomagając mu, pacjenci będą mogli po prostu przyczynić się do poprawy warunków życia innych osób pozbawionych zdolności poruszania. Marynarz coś wybełkotał. Starzec łagodnie skinął głową. Dziecko uśmiechnęło się.

Programiści przystąpili do pracy. Przesiadali razem do późna wieczór, rozmawiając w dziwnym języku, pół-angielskim, pół-żargonie. Pili piwo i herbatę. Jeden z nich niekiedy usypywał sobie na lusterku dwa rządki kokainy. Byli hałaśliwi i ekscentryczni, lecz algorytmy układali od ręki.

Wkrótce Chris Beam dysponował specjalnie opracowanym, wyrafinowanym programem. Zlecił wydziałowi robotyki uniwersytetu wyposażenie pokoi trzech pacjentów. Chodziło o to, by ci ostatni mogli, patrząc na odpowiednią kratkę na ekranie, sterować otwieraniem i zamykaniem drzwi, okiennic i okien, przesuwając zasłony, uruchamiać i wyłączać wentylator, telewizor, radio, dzwonek, regulować ustawienie łóżka itd.

W pokoju małego Izaaka, który ledwie umiał czytać, Chris Beam postanowił przeprowadzić dalej posunięte doświadczenie. Ekran dziecka miał bowiem pokazywać kratki w różnych kolorach, dając w efekcie bogatą w odcienie mozaikę. Każda kratka, a zatem każdy kolor, odpowiadać miał jednemu rozkazowi wydanemu mechanizmom, znajdującym się w pokoju.

- Jeżeli uda się doprowadzić do tego, by komputer rozpoznawał specyficzne reakcje mózgu na poszczególne kolory raczej niż na różne częstotliwości migotania, zyskamy większe możliwości miniaturyzacji - tłumaczył Chris. - Otworzy to drogę do zbudowania maszyny dostępnej większej liczbie inwalidów, a potem będzie można posunąć się jeszcze dalej...

Christopher zaczął często przychodzić do pokoju Izaaka. Opowiadał mu o świecie i snuł ekstrawaganckie opowieści, z których obaj zaśmiewali się jak starzy kumple.

Pewnego dnia Chris zapowiedział mu, że chce go nauczyć czytać i pisać.

- Pisać? - zdziwiło się dziecko. - W takim razie musisz mnie nauczyć trzymać pióro uszami!

Obaj roześmieli się. Chris siedział w nogach łóżka, naprzeciwko dziecka, by znajdować się w środku jego pola widzenia. Izaak miał ciemne kręcone włosy, był wątłej budowy i miał przezroczystą niemal skórę. Na jego zębach i paznokciach widniały białe plamy.

- Na ekranie zobaczysz litery i sylaby, którymi musisz nauczyć się posługiwać, żeby tworzyć słowa - powiedział Chris. - Wystarczy, że będziesz patrzył na te litery jedna po drugiej, w odpowiednim porządku, a komputer zapisze to, co ułożysz w myślach.

- A jeśli wymyślę słowa, które nie istnieją?

- Przygotuję wyrozumiały program!

Tego wieczoru chłopiec zasnął wypełniony nową nadzieją.

Chris Beam zawsze bez reszty oddawał się swoim badaniom.

Po raz pierwszy zajmowały one tym razem tylko część jego świata. Nie powodowało to u niego poczucia winy, gdyż Debora, delikatna i napięta, tak bardzo wymagająca, wywoływała w nim nie tyle uczucie szczęścia, co raczej jakby moralnego spełnienia. Dla niego bezpieczeństwa dziewczyny stanowiło dobro absolutne, ważniejsze od wszystkiego innego. Odkrywał w sobie zdolność do agresji wobec świata w jej obronie. Dziewczyna stała się dla niego najwyższą wartością.

Debora odrzucała rutynę z góry ustalonych spotkań. Nie powinni się widywać codziennie ani mieszkać razem, mówiła, gdyż inaczej spotkania przestaną być dla nich cudowne. Prowadziła nieprzewidywalną i subtelną grę polegającą na tworzeniu stale, na nowo warunków do wzajemnego odkrywania się. W ostatniej chwili odwoływała wspólną kolację czy noc, nagle skracała wspólny weekend. Nie powinni spotykać się wtedy, kiedy jedno z nich tego oczekiwało. Nieobecność powinna być tragedią, a spotkanie szczęściem. Twierdziła, że każde z nich powinno po trzykroć przeżywać każdą chwilę spędzoną razem: w niecierpliwości, w oddaniu i w tęsknocie.

Czasami w nocy, kiedy Debory nie było, Chris wymawiał półgłosem jej imię, wyraźnie, żeby uczynić bardziej namacalnym złudzenie jej obecności. Powtarzał je sobie sto razy, aż pozostawało puste brzmienie pozbawione znaczenia, które przeradzało się w odczucie, jak barwa czy smak. Odnajdywał w nim istotę dziewczyny. Potem milczał. Trzymał ją zamkniętą w ustach i zaciskał powieki, żeby zatrzymać na siatkówce jej obraz. Potem znów opowiadał sobie o niej: rozkoszny i niekończący się monolog. Wreszcie brał między wargi ustnik saksofonu i wydobywał z instrumentu bluesa, przypominającego skargę rannego.

Lecz kiedy ona była blisko, nie było mowy o grze, ich ciała oddawały się sobie, powstawało zlewisko ich włosów przemieszanych na poduszce.

Ponieważ szpital był niedaleko, często spotykali się u Chrisa, który miał w Ein Kerem mieszkanie urządzone w dawnej szlifierni kamieni szlachetnych. Niekiedy, upojeni sobą, zabawiali się w poszukiwanie zagubionych diamentów, które mogły zostać zapomniane między klepkami parkietu. Wówczas na czworakach rozpoczynali ekstrawaganckie polowania na ukryte skarby. Tylko zmęczenie powstrzymywało ich przed przedłużaniem daleko w noc tych dziecinnych zabaw, w trakcie których zamiast skarbu często jedno znajdowało nagle na swej drodze ciało drugiego, które stawało się zdobyczą.

Ona myślała wówczas o Aurorze, swojej kotce, której zostawiła włączone radio, żeby się nie nudziła. Mówiła wtedy:

- Miłość jest wtedy, kiedy nie można znieść samej myśli o tym, że ktoś mógłby skrzywdzić kochaną istotę. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak ktoś zadaje cierpienie Aurorze. Dlatego wiem, że ją kocham.

- Ja też bym nie zniósł, żeby ktoś cię skrzywdził...

- Nic nie rozumiesz. To potrafi każdy. Liczyłoby się, gdyby sama myśl o moim cierpieniu sprawiała ci ból.

Przyznał jej rację, raz jeszcze widząc swój błąd.

W restauracji hotelu King David odbyło się spotkanie, w którym uczestniczyli: Mel Philip - dyrektor amerykańskiej części szpitala, profesor Penchas - dyrektor naczelny organizacji medycznej Hadassa, oraz doktor Zvi Stern - dyrektor szpitala Kiriat Hadassa w Ein Kerem.

Pogratulowali sobie pomyślnych wyników wprowadzenia systemu ochrony w szpitalu, po czym ochoczo zabrali się za marynowaną paprykę.

- Kradzieże skończyły się, odkąd pilnowane są wszystkie wyjścia
- powiedział Zvi Stern. - Stosunki z personelem stały się paskudne, ale opłacało się...

- Najbardziej dziwi mnie - powiedział Mel Philip - niespójność działania naszych przeciwników. Zauważcie, co nam skradziono. Zginął sprzęt najnowszej generacji, ale jednocześnie włamano się do chłodni działu żywienia i zabrano połowę zapasów. Policja uważa, że żywność tę będzie trudno sprzedać. A przecież trudno sobie wyobrazić, że ludzie którzy kradną tak kosztowny sprzęt elektroniczny będą jednocześnie chodzić po sklepach spożywczych, żeby upłynnić nasze konserwy!

- Nie wiem, co się za tym kryje - powiedział Penchas - ale ci bandyci drogo nas kosztują. Firma Greilsammer wystawia nam faktury na prawie dwadzieścia tysięcy dolarów dziennie. Nie bardzo sobie wyobrażam, jak usprawiedliwię takie wydatki na najbliższym zgromadzeniu Hadassy!

- Nie potrzebujemy już firmy Greilsammer! Przecież zmieniono wszystkie zamki w szpitalu - zaprotestował Mel Philip.

- Mel - powiedział z wyrzutem Penchas - zbyt lekko pan do tego podchodzi. Kradzieże ustały tylko dlatego, że wprowadzono system ochrony i obserwacji. Jak tylko zniknie, zaczną kraść znowu.

- Nie możemy uniknąć wydatków na ochronę dopóki policja nie znajdzie winnych - dodał Stern.

- Jesteśmy przekonani, że wszystko zaczęło się u pana, Mel - powiedział oskarżycielsko Penchas.

Poblady Mel Philip odłożył sztućce na niedokończony kawałek papryki i odsunął talerz. Teraz rozumiał cel tego obiadu i działanie dobrze zgranego duetu swoich rozmówców. Chcieli zrobić z niego kozła ofiarnego i wymusić, żeby sam znalazł rozwiązanie całej sprawy.

- Chyba nie chcecie wszystkiego zwalić na mnie - zaprotestował.

- Niech się pan nie denerwuje, Mel - wycedził Penchas. - Po prostu wszystko wskazuje na to, że ktoś z pańskiej części szpitala jest w to wmieszany.

- Tak - dorzucił Stern. - W pana oddziale skradziono wytrych, którym posługiwali się złodzieje. I w pana oddziale dokonano pierwszych kradzieży.

- Chciałbym żeby pan i pańscy współpracownicy w pełni współpracowali z policją. Zgromadzenie Hadassy odbędzie się w Seattle za trzy tygodnie. Jeżeli winni i ich wspólnicy nie zostaliby do tego czasu

znalezieni, nie widziałbym innej możliwości obrony przed atakami na zgromadzeniu jak tylko przez ogłoszenie pańskiej dymisji.

Ton Penchasa nie dopuszczał sprzeciwu. Nigdy, w czasach największych kryzysów, kiedy pełnił w Afryce obowiązki attache ambasady, Mel Philip nie otrzymał takiego policzka. Zacisnął zęby, wstał, rzucił serwetkę na stół i wyszedł.

Mel Philip opuścił hotel King David trzęsąc się ze złości.

Duch szpitala Hadassa stał się jego osobistym wrogiem. Musiał go dostać, teraz była to już kwestia honoru.

Z okazji dziewiątych urodzin Izaak otrzymał w prezencie od najwyraźniej źle poinformowanego komitetu dobroczynnego zdalnie sterowany samochód. Był to kabriolet Lamborghini, z szybami z przyciemnianego plastyku i z otwieranymi drzwiami.

- Samochód Jamesa Bonda! - wykrzyknął chłopiec, który mógł poruszać zabawką jedynie w myślach.

Jego paliwem była wyobraźnia. W wymagowanych przygodach prowadził pojazd wśród tylu niezliczonych pułapek i wymykał się złoczyńcom tak zawzięcie łaknącym jego zguby, że samochód stał się dla niego czymś więcej niż zabawką: był jego prawdziwym fetyszem.

Christopher Beam kazał połączyć z komputerem sterowanie pojazdem. Na ekranie naprzeciwko łóżka Izaaka powstał obszar zawierający pięć kolorowych pól: czerwone na zatrzymanie się, zielone na jazdę, niebieskie na skręt w lewo, żółte na skręt w prawo i fioletowe na cofanie.

Asystent umocował na głowie dziecka trzy elektrody.

- Izaak - powiedział Chris - musisz się skoncentrować na polu, które chcesz wywołać. Wpatruj się w nie intensywnie. Powiedz sobie na przykład, że świat się zawali jeżeli spuścisz z niego wzrok. Dzięki elektrodom na twojej głowie komputer rozpozna wybrany kolor.

Niespokojny i podniecony Izaak skinął głową. Jego ciało składało się z tylu martwych części - nóg nieruchomych pod prześcieradłem, szyi ściśniętej plastikowym kołnierzem, rąk niczym u szmacianej lalki - że zdawało się, że całe jego życie skupiło się w jego twarzy.

Chris postawił samochód dokładnie przed telewizorem, który znajdował się na podłodze. Następnie opuścił łóżko, by dziecko mogło

ogarnąć wzrokiem jednocześnie ekran i zabawkę. Włączył monitor i na ekranie ukazała się mozaika kolorów.

- Jesteś gotów? - spytał Chris.

- Tak - odparł chłopiec z poważnym wyrazem twarzy dziecka, które postanowiło się przyłożyć.

- No to zaczynamy. Wszystko gotowe. Pamiętaj, żeby skoncentrować się na wybranym polu. Reszta należy do ciebie!

Z półprzymkniętymi oczami Izaak pochylił twarz. Nastąpiła chwila ciszy. Chłopiec odprężył się.

Potem uniósł głowę, z szeroko otwartymi oczami. Omiótł wzrokiem ekran i wybrał pole, w którym utkwiał wzrok. Koncentracja napinała mu mięśnie twarzy, wokół oczu powstawały zmarszczki.

Christopher wodził wzrokiem od telewizora poprzez twarz Izaaka do nieruchomego na podłodze samochodu. Po lewej, niewidoczny dla chłopca, ekran elektroencefalografu ukazywał wyraźne i obszerne fale emitowane ze strefy mózgu zawiadującej wzrokiem.

- Skup się, komputer potrzebuje twojej pomocy, żeby zrozumieć, na które pole patrzysz.

Izaak koncentrował się tak silnie, że jego blada zwykle buzia zrobiła się czerwona jak burak.

Jednakże Lamborghini, nieruchome niczym ręce chłopca, nie poruszyło się ani na milimetr i nie słychać było szumu silnika.

- Jeszcze mały wysiłek, Izaak, proszę cię - błagał Chris.

Nie potrafił tego zrozumieć. Elektroencefalografii był wyraźny i regularny, lecz nic się nie działo.

Na czole Izaaka pojawiły się krople potu.

Chris spojrzął na zabawkę, nieruchomą jak kamień.

- Poczekaj, Izaak - powiedział, głęboko zawiedziony. – To nic nie da.

Twarz dziecka odprężyła się, rozluźniła po wysiłku niczym odciążona sprężyna. I wtedy dopiero Izaak zrozumiał, że nie udało mu się i do oczu napłynęły mu łzy.

Christopher był wściekły, bo nie potrafił tego zrozumieć. Gdzieś musiało coś nawalić. A przecież antena zabawki była wyciągnięta. Nadajniczek sprawdzony. Izaak wytwarzał fale mózgowo, które program z pewnością był w stanie rozpoznać. Wcześniej wszystkie testy przeprowadzono z powodzeniem. Mogło to doprowadzić człowieka do rozpacz.

Padły wszystkie nadzieje Chrisa. Izaak popłakiwał cichutko. Chris postanowił jeszcze raz wszystko przeanalizować.

- Nie płacz, Izaak, to nic strasznego. To dopiero początek. Jeszcze nam się uda, zobaczysz! Trzeba sprawdzić połączenia przy polu, które wybrałeś. Potem spróbujemy jeszcze raz. Które pole?

- Żółte - powiedział chłopiec przez łyzy.

Chris drgnął.

- Powiedziałaś: żółte? - zapytał.

- Tak - odparł chłopiec. - Żółte. Żeby pojechać na prawo.

Chris odetchnął z ulgą.

- Izaak, nie możesz pojechać na prawo dopóki nie ruszysz z miejsca. To dlatego komputer nie chciał cię słuchać! No, to dobrze.

Spróbujemy jeszcze raz. Ale musisz przede wszystkim wywołać pole zielone, albo fioletowe, żeby jechać w przód lub w tył. Potem, ale dopiero potem, możesz skręcać albo zatrzymać się.

Twarz dziecka rozświetlił uśmiech.

- Pojadę do przodu - powiedziało uspokojone.

Z jeszcze większą niż przedtem determinacją Izaak jął wpatrywać się w zielone pole na ekranie. Tak bardzo jednak się starał, że na ekranie elektroencefalografu pojawiły się zakłócenia, przysyłające sygnały wysyłane przez mózgowy ośrodek wzroku.

- Rozluźnij się - powiedział Chris - Nie bój się, że ci się nie uda. Odpręż się, oddychaj mocno.

Dziecko usłuchało, głęboko zaczerpnęło powietrza i spojrzało na zielone pole. Falujące krzywe na elektroencefalogramie uspokoiły się.

- Czuję, że teraz się uda! - zachęcał Chris.

Ale samochód trwał bez ruchu.

Izaak skupił się jeszcze bardziej. Znowu czerwienił się i pocił. W swojej zawziętości przypominał byczka, gotującego się do ataku.

Nagle Lamborghini jakby drgnął. Potem nie nastąpiło nic. Chris milczał. Izaak zmrużył oczy, ze wzrokiem utkwionym w zielone pole. Samochód znowu poruszył się, ale zaraz się zatrzymał.

Upłynęło parę sekund, które Christopherowi wydały się minutami. Choć rezultat był mierny, stanowił jednak dobry początek. Podszedł do Izaaka, żeby przerwać doświadczenie.

I nagle dał się słyszeć znowu odgłos silnika, mocniejszy i pełniejszy i tym razem nie umilkł. Mały czerwony samochód ruszył. Powoli przetoczył się ku ścianie. Skręcił w lewo, po czym zaczął rozpędzać się

coraz bardziej. Skręcił w prawo, potem znowu w lewo. Przyśpieszył. Wpadł w poślizg skręcając w lewo. Zatrzymał się. Cofnął. Ponownie ruszył do przodu i zrobił kółko.

Izaak przebiegał wzrokiem po mozaice pól na ekranie. Nie mógł już się zatrzymać, skakał z zielonego na żółte, z niebieskiego na fioletowe i płakał z radości kierując zabawką.

Nagle samochód doznał przyśpieszenia, które wrzuciło go pod łóżko i Izaak roześmiał się przez łzy.

Chris, ogarnięty wzruszeniem, ujrzał jak na monitorze poszczególne wiązki krzywych zbliżają się do siebie. Stawały się coraz bardziej strome, nie były to już fale, lecz burza, w dodatku niebawem zakłócona dodatkowymi sygnałami. Wzruszenie dziecka odzwierciedlało się na ekranie. Samochód rozbił się o ścianę i silnik stanął.

Izaak płakał ze szczęścia, łzy płynęły mu po twarzy strumieniami. Chris podszedł do wezłowania, kucnął i przytulił twarz do buzi dziecka. Trwali tak przez chwilę, niezdolni wykrztusić słowa.

Po raz pierwszy w życiu sparaliżowany chłopiec zdołał bezpośrednio wywrzeć wpływ na otaczający świat. Jego wola okazała się silniejsza od losu i bez czyjejkolwiek pomocy udało mu się przesunąć jakiś przedmiot w przestrzeni. Jak dotąd świat Izaaka składał się z dwóch planet całkowicie sobie obcych: jego ciała i świata zewnętrznego. I nic nie wskazywało, by planety te miały kiedykolwiek

Niemożliwe jednak spełniło się. Tak jak niekiedy meteory zderzają się w kosmosie, po raz pierwszy zdarzyło się, że dziecko swoimi myślami dotknęło świata.

Od czasu obiadu w hotelu King David Mel Philip stał się niesympatyczny i agresywny. Odwiedzający go, napotykali zasępioną twarz, trwale przedzieloną dwiema głębokimi zmarszczkami pośrodku

Kolejnym przyjął przedstawiciela policji, zajmującego się dochodzeniem w sprawie kradzieży w szpitalu, dyrektora firmy Greilsammer oraz zespół ordynatorów szpitala. Następnie kazał sobie przynieść akta pracowników swojego wydziału.

Akta podzielone były na trzy kategorie: osób zatrudnionych dawno przed, tuż przed i po kradzieżach sprzętu.

W drugiej kategorii znajdowały się papiery pierwszych podejrzanych: osób zatrudnionych na krótko przed napadem na Dorę Benari, a także dawnych pracowników zwolnionych w ostatnich latach. Mel Philip przejrzał około trzydziestu teczek personalnych, niekiedy zatrzymując się dłużej nad którąś z nich.

I natknął się na rzecz niespodziewaną. W tezcze, którą przeglądał, znajdowało się nazwisko podkreślone podwójną czerwoną linią: nazwisko osoby, uważanej przez policję za głównego podejrzanego.

Mel Philip zapalił cygaro i pociągnął obficie dym. W miarę upływu czasu sprawa ta wydawała mu się coraz paskudniejsza. Zamyślił się, strzepując z marynarki popiół, nad dalszym postępowaniem. Nazwisko, które odczytał, prowadziło do najgorszych podejrzeń, do najobrzydliwszych konkluzji. A przecież trzeba było działać szybko i bez okazywania słabości wspinać się po piramidzie powiązań. Mel Philip wsunął teczkę do szuflady biurka.

Przez chwilę nie dawało mu spokoju nazwisko wypisane czerwonymi literami na nalepce: Debora Kennedy.

8 HERBATA SZATANA

Kiedy tylko otwarto drzwi samolotu, wszystkich ogarnęły tumany pyłu...

Teheran pogrążony był w pyle. Tłusty i ciężki kurz wisiał nad miastem, zacierał świat i pozbawiał go kolorów, zamieniał go w coś podstępnie zamglonego i trudnego do rozpoznania. Miasto wydzielało kurz na całej powierzchni, ukrywając pod nim swoje pułapki i swoje tajemnice.

Janet uderzyła myśl, że Teheran okrywał się zaciemniającym wszystkim pyłem niczym symbolem: od razu zrozumiała, że nie było tu takiej rzeczy lub istoty, której miasto by się nie wstydziło i nie pragnęło ukryć. Podróżny zostawał o tym ostrzeżony, zanim jeszcze uczynił pierwszy krok, przez szary tuman przysłaniający horyzont.

Budynek lotniska Merhabad wyglądał jak podły hangar. Było tam duszno, czarny tłum tłoczył się i ciskał bez sensu. Ludzie biegali tu i tam, czasami wznosząc ręce ku niebu. Mężczyźni szli przodem, za nimi kobiety ugiwały się pod ciężarem bagaży całej rodziny, trzymając usta zamknięte by przypadkiem nie zsunął im się z twarzy czador, który przytrzymały zębami. Niczym histeryczne kurczaki piszczały stada dzieci i bez wyraźnego powodu tarzały się po ziemi. Vincent Romano przyrównał w myślach to gorączkowe ożywienie do nerwowej krzątani-ny mrówek, rozumiałej tylko dla etologów...

Janet i Sandy przebrały się przed przylotem w toalecie Boeinga. Pozakładały czarne ubrania, długie spódnice, bawełniane bluzki i ciasno zawiązane chustki.

- Czy wystarczająco przypominamy złołą wdowy? - spyła Sandy swoich trzech towarzyszy, którzy wybuchnęli śmiechem na widok takiej przemiany.

Ze swej strony William Allen i Nathaniel „John” Hugues zachowali neutralne stroje - ciemne spodnie, koszula i krawat - jakie zwykle nosili. Tym razem Vincent Romano poszedł w ich ślady, czasowo rezygnując z dżinsów i ciasnej bawełnianej koszulki, które nie przystoją w kraju, gdzie ciało jest czymś nieczystym i nie może stanowić przedmiotu kultu, zarezerwowanego wyłącznie dla Boga.

Piątka Amerykanów podeszła do kontroli paszportów, później do celników. Wszędzie dookoła, na wyblakłej farbie pokrywającej ściany, jaśniejsze prostokąty zdradzały miejsca, gdzie jeszcze niedawno wisiały portrety obalonego monarchy.

- Sic transit... - mruknął ironicznie William Allen.

Ich oczom ukazała się ikonografia, jaką obecnie przeznaczano adoracji tłumów. Ogromne portrety przedstawiały Imama, a po ich prawej stronie umieszczone były mniejsze wyobrażające ajatollacha Zardechaniego, oficjalnego następcę. Janet na chwilę stanęła jak wryta.

- Co się stało? - spytał Vincent.

- Nic. Po prostu te portrety mnie przerażają. Umieszczono je tutaj, żeby tłum je wielbił, a przecież wyglądają jak karykatury narysowane przez największych wrogów Iranu. Zobacz tylko, jak nienawistnie i obłeśnie wygląda na nich Imam! Gdybym była muzułmanką niewykluczone, że właśnie tak wyobrażałabym sobie ohydę i

- To tylko pozorny paradoks - wtrącił William Allen. - Ci ludzie tak pragną świętej wojny i tak są zafascynowani męczeństwem, że przepojeni są agresją i pragnieniem samozniszczenia. Dlatego ich obraz samych siebie przypomina najgorszą propagandę ich przeciwników.

Cała grupka ponownie ruszyła w kierunku kontroli paszportów i transporterów bagażu. Janet szła zamyślona. Dla niej Iran kojarzył się ze spuścizną imperium perskiego, subtelną wierszy Hafiza i pięknem różanych ogrodów Isfahanu. Gdzie się podziało to wszystko? Może zostało na zawsze stracone, a może tylko zapadło gdzieś głęboko na dno świadomości ogarniętych schizofrenią ludzi.

Pół godziny czekania w kolejce do policjanta. Nieznośny smród. Potem odbiór bagażu. Tragarzami są kobiety, owinięte szczelnie czadorem, który pozostawia im jedną wolną rękę do pracy. Odór ich potu zlewa się z fetorem zwierząt, brudu i wymiocin.

Za kontrolą celną oczekiwał na nich jakiś człowiek. Był to mułła, oficjalny przedstawiciel ajatollacha Beszteberiego, kierującego uniwersytetem w Teheranie.

- Nazywam się Rafizadeh - powiedział. - Jestem spokrewniony z panem Mohtaszamim, naszym ministrem spraw wewnętrznych. Ale jak państwo wiedzą, tutaj wszyscy są ze sobą spokrewnieni. Taki jest Iran: republika zięciów i szwagrów!

Wybuchnął śmiechem. Janet wydał się sympatyczny.

- Pochodzę z Azerbejdżanu - kontynuował. - To piękny kraj. Oby Allah zechciał zesłać nań swoje bogostawieństwo. Czy nie przywieźli państwo przypadkiem amerykańskiego keczupu? Bardzo go lubię, a tutejszy nie nadaje się do jedzenia.

- Przyznam, że ten artykuł nie znalazł się na liście przedmiotów pierwszej potrzeby! - powiedziała Janet.

- Och, to wielka szkoda - odparł mężczyzna. - A może jakieś perfumy? Nie pytam przez kokieteryę, niech mnie od niej Allah strzeże, ale wącham perfumy za każdym razem kiedy mam trudności z trawieniem. Dostaję wtedy skurczu żołądka i po kłopotcie! To dla mnie po prostu lekarstwo, zwłaszcza „Poison” Diora. Pochwalony niech będzie Allah, który umożliwia nam dostęp do środków zwalczających nie-

- Obawiam się - odpowiedziała Sandy - że Allah nie umieścił w naszych torbach pańskiej ulubionej marki. Ale na pewno znajdę wśród moich buteleczek wodę toaletową, która się panu spodoba!

Mułła rozplątał się w podziękowaniach.

- Przewodniczący parlamentu, hojatoleslam Gorgani, niech go Allah strzeże, postawił do państwa dyspozycji samochód i swojego własnego kierowcę. To dowód wielkiej wagi, jaką przywiązuje do państwa wizyty! Ponieważ w siedmioro się tam nie zmieścimy, ja pojedę taksówką razem z dwojgiem spośród państwa.

- Co mamy w programie? - spytał Nataniel „John” Hugues.

- Zawiozę was do rezydencji, którą przydzielił Państwu uniwersytet na czas pobytu. Jutro odbędzie się kolacja z udziałem byłych studentów uniwersytetu teksaskiego. Bardzo się cieszą na wasz przyjazd!

Większość spośród nich zajmuje ważną pozycję w naszym społeczeństwie. Oby Allah zechciał dopomóc Państwu w waszej misji. A co do perfum, to zgłoszę się po nie jutro do Państwa rezydencji.

Na zewnątrz czekał czarny Mercedes. Za kierownicą siedział Hormoz - młody, blade człowiek bez brody, pracujący dla hojatoleslana Gorganiego.

Dziwny wygląd Hormoza zmieszał Janet. W jego wzroku było coś uduchowionego, a kiedy mówił wydawało się, że z trudem pohamowuje wstręt.

Janet, Sandy i Nataniel „John” Hugues zajęli miejsca na tylnym siedzeniu Mercedesa. William Allen i Vincent Romano wraz z Rafizadehem wsiedli do taksówki.

Podczas przejazdu pierwsza trójka ze złośliwą satysfakcją komentowała fakt, że dwaj pozostali członkowie grupy narażeni są przez całą drogę na gadaninę mułły.

- Oby Allah zechciał dać im odwagę wytrzymania! - zaśmiewali się, przedrzeźniając sposób mówienia duchownego.

Po przejechaniu przez niekończące się przedmieścia oba pojazdy przemierzyły z zachodu na wschód spory kawałek miasta, po czym skręciły na północ, w kierunku eleganckiego przedmieścia Szemiran.

Szerokie i proste aleje, prowadzące z ubogich dzielnic południowych, zdawały się zmierzać na północ, ku dominującemu nad miastem czterotysięcznemu szczytowi Towczal. Na głównej osi przedzielającej Teheran błoto i plebs zajmowały część południową, a ogrody i bogactwo część północną.

Taksówka i Mercedes jednocześnie dotarły do Szemiranu. Zatrzymały się przed murem, okalającym biały budynek. Przy bramie stał mężczyzna ubrany w beżowy strój typu safari. Kiedy Amerykanie wysiadali z samochodu, podszedł do Janet.

- Jestem Gunther Molier - powiedział. - Pracuję w sekcji interesów amerykańskich w ambasadzie Szwajcarii. Mam przekazać pośłanie od hojatoleslana Gorganiego. Chciałby się z wami spotkać osobiście. Jego kierowca zawiezie was dziś wieczorem pod wskazany mu adres. Proszę tam być o siódmej. Przyjmie was na kolacji pewien lekarz, przyjaciel Gorganiego. Sam Gorgani dołączy o dziewiątej wraz ze swymi doradcami. Nikt nie może się dowiedzieć o tym spotkaniu.

Mężczyzna w beżowym ubraniu podszedł do kierowcy i pokazał mu kartkę, zapisaną przez hojatoleslana Gorganiego. W kilku słowach

wypowiedzianych po persku upewnił się, że Hormoz zapamiętał wskazany adres, po czym podarł kartkę i kawałki schował do kieszeni.

Następnie Szwajcar zniknął, a wszystko to zanim jeszcze Rafizadeh zdołał wydostać się z taksówki.

Cała grupa stanęła razem przed wejściem. Przeszli przez bramę pieszo, przemierzali niepielegnowany ogród i dotarli do ganku domu. Była to willa w trudnym do określenia orientalnym stylu, zaniedbana, nosząca ślady partackiego remontu. Zapewne przed laty należała do jakiegoś adwokata lub inżyniera, obecnie przebywającego na wygnaniu.

Dochodząc do ostatniego stopnia prowadzącego na ganek, idąca na przedzie Sandy Fisher nagle wydała okrzyk przerażenia i skryła twarz w dłoniach. Pozostałych również przebiegł dreszcz zgrozy.

Na progu domu leżała nieżywa owca, z gardłem poderżniętym aż do kości. Ofiarę złożono tuż przed ich przybyciem. Zwierzęciem wstrząsały jeszcze śmiertelne drgawki, a krew tryskała strumieniami z ziejących tętnic i spływała po kamieniach.

Choć sama ogarnięta lękiem, Janet objęła przyjaciółkę, by ją podtrzymać na duchu.

- To stary zwyczaj, w ten sposób Irańczycy pragną uczcić swoich gości - wyjaśnił Nataniel „John” Hugues. - Żeby wejść do środka, musimy przejść boso po krwi.

Przez chwilę Janet miała mu za złe, że tak obojętnie podchodzi do tego rytuału. Przypomniała sobie jednak, że spełnia tylko swoją rolę: jego zadaniem było dopilnować, by delegacja wykonała swą misję zgodnie z miejscowymi zwyczajami.

Zrezygnowana, powstrzymując mdłości, Janet zdjęła buty z czarnego płótna i ruszyła pierwsza. Ciepła i lepka krew przylegała do jej stóp, to było tak, jakby dotykała samej śmierci.

Pozostali, kolejno przekroczyli próg, za wyjątkiem Hormoza, który w zamyśleniu stał przy Mercedesie.

Umysł Janet częściowo ogarnęła odraza; jednocześnie jednak myślała o tym krótkim uścisku, w jakim złączyła się z Sandy. W jednej chwili Janet fizycznie odczuła solidarność, jaka może łączyć kobiety kiedy świat dookoła staje się światem mężczyzn. Było to uczucie pełne czułości, ciepła, a jednocześnie trudne do określenia. Przywodziło na myśl oddanie się - jakby poddanie falom. Janet poczuła, jak w sercu jej wzbiera odwaga.

Rafizadeh oprowadził ich po wnętrzu. Stuletni platan ocieniał podwórze, na które wychodziły okna domu. Na parterze mieli do dyspozycji obszerny salon, bibliotekę o pustych półkach, kuchnię, dwa pokoje i korytarz. Na piętrze znajdowały się cztery pokoje i dwie łazienki, a także balkon smagany gałęziami drzewa, poruszanymi przez

Na podwórzu, w pozycji na baczność, oczekiwała na gości służba, dwie pokojówki i kucharka. Czadory zasłaniające twarze pokojówek zrobione były z szarej bawełny, a czador kucharki ze zgrzebnego płótna koloru fioletowego. Spod materiału widać było tylko oczy.

Wypełniwszy swoje zadanie Rafizadeh opuścił willę, pozostawiając piątkę Amerykanów w swoich pokojach, podczas gdy służba zajęła się przyrządzaniem obiadu. Duchowny zamknął za sobą drzwi i wsiadł do taksówki, która cały czas oczekiwała na niego przy bramie. Za taksówką odjechał Mercedes.

W pobliżu centrum miasta Mercedes zatrzymał się przy chodniku, dając się wyprzedzić taksówce. Hormoz wysiadł i zamknął się w budce telefonicznej.

Wykręcił numer. Kiedy zgłosił się rozmówca, powiedział krótko:

- Dziś wieczór, aleja Naser-e-Chosrow 28, o siódmej.

Po drugiej stronie odłożono słuchawkę bez słowa.

Imam nie rozumiał już zamierzeń Allacha.

Wkrótce po rewolucji został przyjęty do szpitala Mehdi Rezajeh w związku z dolegliwościami płuc. Później na zaburzenia układu krążenia leczył go lekarz z Lozanny, profesor Jean-Louis Rivier. Następnie trzeba było operować mu prostatę. Wkrótce potem wykryto chorobę wątroby i za każdym razem prasa zachodnia obwieszczała o jego śmierci. Był stary, jego ciało było słabe, toteż wszystko to było zrozumiałe a nawet przyczyniało się do uszlachetnienia duszy.

Stary człowiek zastanawiał się, jaki tym razem sygnał Wszechmogący pragnął mu przekazać. Żadnego stałego i możliwego do umieszczenia cierpienia, na które można by pewnie wskazać palcem mówiąc: „Oto jest źródło choroby”. Żadnego członka lub organu, przeżartego chorobą, który można by amputować. Za to nawracający i podstępny paraliż, który rankiem pozbawiał go dłoni, a w południe nóg, który wieczorem znikał nagle i w każdej chwili mógł powrócić.

Imam nigdy nie zapomni, że dokładnie w momencie męczeństwa Husajna utracił władzę w nogach, a nawet wszelkie wspomnienia o ich istnieniu. Przez chwilę trwał w przekonaniu, że nigdy w życiu nie posiadał nóg, czuł się jak gdyby samo pojęcie nogi było mu obce, by! żywym i myślącym ciałem, którego najniższy punkt stanowiły biodra.

Uczucie to, które wkrótce ustąpiło, pozostawiło na nim na zawsze swoje piętno. Z chwil, które nastąpiły potem, zapamiętał cierpienie i całkowity zanik szacunku, jaki dotąd żywił dla Zardechaniego. Ten ostatni zdeptał dobrą Batul. Zdradził swoją krwiożerczą niecierpliwość. Zagarnął władzę uznając śmierć Imama za przesądzoną, a to w oczach starca było gorsze niż prawdziwa śmierć: było to jak brudna i niedokończona śmierć spartaczonego morderstwa.

Doszedłszy do siebie, Imam rozmawiał z Zardechanim.

- Przyjacielu, cóżś uczynił? Czy przyłączyłeś się do armii Jazida, ty który zadajesz mi ból? Czyżbyś do tego stopnia obawiał się moich rozkazów, że depczesz je zanim zdążyłem odejść? Wielkie jest moje współczucie, lecz moje zaufanie uciekło...

Tamten długo płakał, błagając Imama, i wyjednał sobie zgodę na odłożenie na później tego, czego obawiał się najbardziej: pozbawienia tytułu.

Potem Imam przywołał na pomoc Allacha. Nie żeby przez słabość przywiązany był do życia: po prostu nie chciał odchodzić w ten sposób. I Allah okazał się miłościwy. Nie był to Allah mściciel, Allah pogromca niesprawiedliwych i innowierców, lecz raczej łagodny i pełen współczucia przyjaciel, Allah w kobiecej postaci, którą ludzie Zachodu zwą Opatrznością. I oto stary człowiek na nowo odkrył własne nogi, a raczej, gdy już sądził że nigdy ich nie posiadał, nagle zdał sobie sprawę, że są na swoim miejscu. Były to jakby nowe narodziny. Cudownie ozdrowiony wstał z fotela na kółkach i wszyscy dokoła zanieśli podziękowania do Najwyższego.

Imam pozostawał pod opieką lekarzy w swojej rezydencji w Dżamaran.

Mieszkał tu, przy ulicy Szahid Husainkija, od czasu zawału serca w styczniu 1980. Wówczas to jego otoczenie uznało, zarówno ze względów medycznych jak i dla bezpieczeństwa, że lepiej będzie jeżeli opuści swój stary dom w Khom, do którego odtąd nie wracał za wyjątkiem nielicznych okazji.

Rezydencja Imama, sąsiadująca z meczetem w Dżamaran, została mu ofiarowana przez jednego z uczniów, w ramach tak zwanego sahm-e-Imam (udziału Imama). Inni wierni podarowali sąsiednie domy, i stopniowo cała dzielnica przekształciła się w strefę bezpieczeństwa. W międzyczasie wrogowie przygotowali liczne zamachy. Dlatego też firma Siemens założyła w Dżamaran elektroniczny system alarmowy wartości czterech milionów funtów szterlingów. Ponadto rezydencja otoczona była wianuszkami baterii przeciwlotniczych SU-23, produkcji radzieckiej, a także skomplikowanym systemem ochrony naziemnej. Wszelki samolot czy helikopter dostrzeżony w okolicy mógł zostać zestrzelony, a tysiąc dwustu strażników rewolucji czuwało dzień i noc w stanie pogotowia. Wszystkie pojazdy jadące szosą Jasser, prowadzącą do rezydencji, poddawane były dokładnej rewizji.

Wokół Imama uwijało się gorączkowo kilku lekarzy. Osłabiony nieco starzec grał w szachy ze swoim synem Ahmadem w swoim pokoju, obszernym pomieszczeniu o bielonych wapnem ścianach, które na wszelki wypadek sąsiadowało z kompletnie wyposażoną salą operacyjną. Lekarzy było czterech: Wiedeńczyk, Szwajcar i dwóch Irańczyków wykształconych w Stanach Zjednoczonych.

- Aga - powiedział pierwszy z lekarzy - neurolog, który poprzedniego dnia przybył z Wiednia - pragnęlibyśmy dokonać nakłucia lędźwiowego.

Imam wyprostował się na poduszkach, uważając by nie potraścić stojącej na brzegu łóżka szachownicy.

- Badaliście mnie już dziesięć razy. Pobraliście mi krew, mocz i wszystko inne! Uderzaliście mnie w kolana i kłuliście mnie w pięty! Mam tego dość! Czego chcecie jeszcze?

- Chodzi o to, żeby pobrać do analizy trochę płynu mózgowo-rdzeniowego - kontynuował Austriak. - Proszę zrozumieć, że jest to jedyny sposób, żeby sprawdzić pewne przypuszczenia.

- Jakie przypuszczenia? - spytał Imam.

Lekarze spuścili głowy w zakłopotaniu.

- Imam zapytał: „Jakie przypuszczenia?” - ryknął Ahmad.

- Wobec braku decydujących badań jest z pewnością zbyt wcześnie, żeby o nich mówić...

- Odpowiadaj, kiedy faghi zadaje pytanie!

- Dobrze. Podejrzewamy bardzo rzadką chorobę, syndrom Guillaing-Barrego. Występuje ona, kiedy mielina, taka tkanka otaczająca

nerwy i pozwalająca im na przekazywanie impulsów pochodzących z mózgu, jest w stanie rozkładu. Paraliż rozpoczyna się od kończyn dolnych, potem przechodzi na tułów, niekiedy ręce i powoduje zatrzymanie funkcji oddechowych.

- Bzdury! Mój ojciec nie jest sparaliżowany! - krzyknął Ahmad.

- Ale był. Choćby przejściowo. Syndrom Guillain-Barrego niekiedy ustępuje czasowo w sposób spektakularny...

- Jesteście bluźniercami! To był cud!

- Zdarza się, że mielina czasowo odtwarza się wokół nerwów. Ma to jednak wyłącznie charakter czasowy!

- Dostyc tego! - wrzasnął Ahmad. - Wracajcie tam, skąd przyszlście! Cuda to widomy znak ręki Allacha!

Wtrącił się starzec, uderzeniem pięści strącając szachownicę, podczas gdy figury rozsypywały się po całym pokoju.

- Niech się stanie wola Allacha! - ryknął Imam. - A jeśli jego zamiarem jest, by odebrać mi zdolność poruszania się zanim odbierze mi życie, niechaj uczyni to bez przeszkód! Odejdźcie!

Lekarze bez słowa wycofali się, otworzyły się drzwi i wszyscy zniknęli za nimi. Imam uspokoił się, głowa opadła mu na poduszkę. Miał oczy otwarte, lecz myślami był gdzie indziej, między jawą a snem, między marzeniem a niebytem. Ahmad patrzył, jak jego ojciec zasypia, niczym ojciec czuwający nad zasypiającym dzieckiem.

Hormoz odwiesił słuchawkę. Południowe słońce nagrzało budkę niczym szklarnię. Młody człowiek poczuł zawrót głowy. Spojrzał w słońce - oślepiło go tak straszliwie, że upadł na ziemię, przyciskając dłoń do oczu jak gdyby polano mu je kwasem.

Następnie, z otwartymi powiekami i wywróconymi białkami oczu, Hormoz wybiegł z budki. Jak szalenię rzucił się na jezdnię i zaczął rozdrapywać asfalt paznokciami. Jego histeria spowodowała korek i chór klaksonów. Całkowicie głuchy na odgłosy z zewnątrz, Hormoz nadal kaleczył sobie palce o nierówną, twardą powierzchnię.

Nagle uspokoił się i pozostał tak skulony na skraju chodnika. Samochody znowu ruszyły, a on trwał tak, niczym porzucone zwierzę.

Hormoz nie zawsze pozostawał na usługach przewodniczącego Medżlisu, a to nagłe oślepienie przez słońce było niczym wcześniejsze zaślepienia, przez które jego dusza tyle wycierpiała w przeszłości. Głowa

pękała mu teraz od tysięcy dźwięków, niosących najstraszniejsze wspomnienia.

Pamiętał.

Owinięta w czador od stóp do głów kobieta zwołuje dziennikarzy i domaga się by zabrano jej syna, zbyt tchórzliwego, żeby sam wyruszył na wojnę. To matka Hormoza, zmieniona nie do poznania. On sam nie jest zbyt tchórzliwy, lecz za młody: wówczas, w 1982 roku, trzeba było mieć czternaście lat by pojechać na front, a on ma tylko trzynaście. A jednak kobiecie udaje się i w zamian za syna otrzymuje rentę i kartki na żywność.

Na trasie do Dezful gwizdże lokomotywa. Pociąg zmierza do Ahwaz, o dwadzieścia kilometrów od linii frontu. Wreszcie zatrzymuje się w Hamid, w Chuzestanie, przemianowanym na Chunistan, „krajem krwi”. Tu Hormoz spotyka Farhada, piętnastolatka z Isfahanu. Farhad ma kręcone czarne włosy, w których igrają promienie słońca. Ma wielkie oczy jak u dziewczyny i długie rzęsy, które trzepoczą niczym skrzydła ptaka. Chłopcy pomagają sobie wzajemnie przypiąć na piersi kartkę z Koranu, przymocować do pasa granat - tylko imitację, ale nie wiedzą o tym - i napełnić swoje manierki syropem. Zawieszają sobie na szyi klucz do bram Raju, zrobiony z plastyku, madę in Taiwan.

Kupał, Ahmaz-Fusil, Chorranszahr, męczeńskie miasto. Potem znowu Kupał.

Wreszcie donośna wrzawa od przodu, prawdziwy ryk unoszący się nad czerwoną pustynią: na linii horyzontu pojawia się biały jeździec, krzyczy: „Man Imam zaman hastam!” (Ja jestem Mahdi), i oto cały świat staje się tylko pudłem rezonansowym jego słów, które zmiatają wszystko, piasek, pustynię, a wkrótce także i wroga. Rozpoznali go. „Oni”: tysiące dzieci, które tego dnia pójda walczyć za Boga i zapewne dla niego zginą, z łzą szczęścia w kąciuku oka, i tego wspaniałego dnia dołączą do legendarnego Rustana we wspólnym panteonie Persji i Iranu.

Forsowny marsz przez pustynię. Tam, po drugiej stronie, nieprzyjaciel: brudny, czarny, niewierny, śmierzdzący i bluźnierczy, krótko mówiąc iracki. Nie zobaczą go, nie po to tu są, ale o tym jeszcze nie wiedzą.

I nagle, o parę metrów za Hormozem, pierwszy wybuch. Zakaz zatrzymywania się. Mułlowie powiedzieli to jeszcze przed oficerami: „Jeśli któryś z waszych towarzyszy padnie, nikt nie może przerwać marszu”. Więc nikt się nie zatrzymuje. Ani jednego spojrzenia za siebie.

Tymczasem rozlega się kolejna eksplozja, potem następna i jeszcze jedna gdzie indziej.

Hormoz jest zdziwiony: naprzeciw nich żadnych pozycji nieprzyjacielskich, żadnych moździerzy ukrytych w zagłębieniu, nic, jak okiem sięgnąć nic. A oto niedaleko otwiera się w ziemi krater, wyrzucając ku niebu ziemię, piasek, stal i okrwawione mięso.

Hormoz rozumie: niebezpieczeństwo jest pod ziemią, a nie przed nimi. To pole minowe, przyszli tu, by je oczyścić. Kiedy wszystkie miny wybuchną pod ich stopami, armia, ta prawdziwa, armia dorosłych oczekująca trzy kilometry z tyłu, przybędzie by zająć bezpieczny już teren.

Za wszelką cenę Hormoz musi iść do przodu. W tym momencie rzuca okiem na prawo, gdzie kroczy Farhad. Błady, z rozwianymi włosami, w zbyt obszernej panterce na drobnym ciele, przywołuje na myśl słowa z wiersza Hafiza. „Twoje niech będą długie dni i długie noce! Lecz w cieniu twych powiek widzę cienie łuczników...”. Hormoz zna na pamięć wszystkie wiersze perskiego poety. Przepowiada je sobie cichutko kiedy lepiej jest nie myśleć.

Ostatnie słowa więzną mu w gardle. Ziemia rozstała się pod krokami jego przyjaciela. Ten wydał okrzyk, a może był to tylko krzyk Hormoza, zmieszany z odgłosem wybuchu miny? Chłopca rozerwał, zostały tylko dwie kończyny, ręka i noga, ale bez uda, a pośrodku kupka czegoś, co przypomina czerwony budyń.

Z tego, co stało się później, Hormoz nie pamięta szczegółów: kopniaki w plecy zwicznęły mu biodro, co uniemożliwiło mu dalszy marsz. Armia dzieci przeszła mu po plecach, stopniowo pokrywała go warstwa krwawych szczątków: wszystko, co pozostało z dorastających krzyżowców.

Siedem tysięcy dzieci zginęło w tej ofensywie. Hormoz obudził się kilka dni później w irackim szpitalu, skąd po wyzdrowieniu, po paru miesiącach uciekł. Sam nie wie, w jaki sposób znalazł się w Abadanie. Tam natknął się na ludzi, którzy go przesłuchiwali i z którymi zawarł tę umowę...

O tym wszystkim hojataleslam Gorgani nie wiedział nic. Dla niego Hormoz był tylko biednym kierowcą, dawnym mostazafinem, którego przeszłość nie zajmowała nikogo. Lepiej było dla młodego człowieka, by tak pozostało: hańbą było powrócić żywym z frontu, a jeszcze bardziej być leczonym w irackim szpitalu.

A jednak ktoś wszystko wiedział. Ktoś, odpowiedzialny za eksport rewolucji islamskiej, wszędzie porozmieszczał szpiegów. Ktoś, przed kim drżeli prokuratorzy. Wreszcie ktoś, kto kupił duszę Hormoza w Abadanie. Jemu to zawdzięczał młody człowiek swoją posadę kierowcy w Parlamencie. I jemu był wierny, a hojatoleslam Gorgani ani przez chwilę nie domyślał się, że jego kierowca był agentem najgorszego wroga.

Numer, jaki wykręcił Hormoz w budce telefonicznej, był numerem jednej z tajnych linii ajatollacha Zardechaniego.

Popołudnie było wolne.

Biały dom w Szemiran w niczym nie przypominał ponurych opisów, które słyszeli na temat irańskich mieszkań. Czerwona terrakota, podwójne szyby i klimatyzacja. Czystość pokoi mogła zadowolić najwybredniejsze wymagania. Okna biblioteki wychodziły na ogród pełen kwiatów. Salon pełnił zarazem rolę jadalni: posiłki podawano na podłodze, na isfahańskim dywanie. Tylko w kuchni śmierdziało smażonym olejem. Na ziemi wałały się odrażające śmieci, rybnie łuski, skorupki jajek, liście buraków i krwawe, odcięte kacze głowy.

Dzielnica Szemiran, położona na wysokości tysiąca sześciuset metrów, górowała nad resztą miasta. Z dołu dochodziły od czasu do czasu odgłosy wielkomiejskiego gwaru. „Aszkalee! Namakie! Sabzi!” słychać było wołanie śmieciarza, sprzedawcy soli i handlarza warzywami.

Posiłek podano, kiedy tylko Amerykanie wyszli spod prysznic. Dom przepelniony był świeżością, odgłosami przesuwanej porcelany i aromatem gilańskiej herbaty, gotowanej w dymiących samowarach.

Na obiad zjedli sałatkę z buraków i szaszłyki przyprawiane torsi, pachnącym czosnkiem i cebulą. Na deser podano falude, rodzaj lodów z wody różanej, pokrytych syropem z zielonych cytryn.

Następnie każdy wrócił do swego pokoju.

Sandy wyłączyła klimatyzację, uruchomiła wentylator pod sufitem i położyła się do łóżka na małą sjęstę. Rozwód, ogłoszony w dniu wyjazdu, cała podróż, oczekiwanie na lotnisku i szok przeżyty na widok zabitego jagnięcia, wszystko to straszliwie ją zmęczyło. Zasnęła w kojącym powiewie wentylatora, śniąc o przyszłym małżeństwie - ciekawszym, szczęśliwszym, niebanalnym.

W sąsiednim pokoju, u Janet, stał jeden z dwóch telefonów willi. Młoda kobieta pomyślała, że nie wolno jej zatelefonować do Edwina

Langmana, ani do domu ani do biura w Krajowej Radzie Bezpieczeństwa. Wydało jej się, że ten telefon z czarnego bakelitu musi stać tu specjalnie po to, by wyzwolić w niej najgorsze frustracje.

Wyglądając przez słomiane zasłony w oknie Vincent Romano zdał sobie sprawę, że znajduje się w Teheranie i że jedyne punkty odniesienia, jakimi dysponuje, mają charakter geograficzny. Jego życie zagubiło się gdzieś po drodze, pomiędzy dzieciństwem a Santiago. Kiedy odchodził od okna wzrok jego padł na wielkie lustro w drzwiach szafy. Widział się w nim w całości, miał na sobie jedynie slipy i wyglądał jak reklama kulturystyki. Przyszło mu do głowy, że jest ofiarą własnej próżności i że zemszcą się kiedyś na nim te dekadенckie upodobania.

Jeden pokój na piętrze był pusty. Na parterze zamieszkali William Allen i Nathaniel „John” Hugues.

Za pośrednictwem pokojówki William Allen sprawił sobie nargile. Na razie przestał być eleganckim dżentelmenem, tamto jego wcielenie pozostało daleko, gdzieś w okolicach San SaWador de Bahia, gdzie dokończy swoich dni kiedy nadejdzie czas.

Nathaniel „John” Hugues otworzył walizkę i uniósł podwójne dno. Wyciągnął z ukrycia rewolwer Smith and Wesson 29,44 Magnum i komandoski nóż. Przymocował nóż do do łydki, a kaburę rewolweru do uda. Następnie żyłką przeciął wewnątrz kieszeni spodni, by móc w każdej chwili sięgnąć po broń. Wreszcie z podwójnego dna walizki wziął jeszcze pismo pornograficzne, którego bohaterkami były małe dziewczynki. Położył się na łóżku i zajął się swoją erekcją.

Około szóstej trzech mężczyzn spotkali się w patio. Wkrótce Janet i Sandy dołączyły do nich, co sprawiło że przerwali rozmowę. Obie kobiety założyły czadory z czarnego materiału, które całkowicie zakryły ich kształty, od czubka głowy aż do stóp. Zniknęły w ten sposób wszelkie cechy indywidualne, pozostała jedynie czysta kobiecość.

Rozmawiali około pół godziny, wymieniając uwagi na temat władzy Islamu. Mniej więcej o wpół do szóstej pokojówka oznajmiła, że przed bramą czeka ich samochód.

Hormoz stał przy Mercedesie. Miał na sobie czarne spodnie i koszulę wypuszczoną na wierzch, zgodnie z miejscowym zwyczajem. W ten sposób luźno zwisająca koszula chroniła przed wzrokiem obcych, okolicę jego męskich przymiotów.

Cała piątka wsiadła do samochodu i odjechali. Przemierzyli aleję Wali Asr, niczym tunel o sklepieniu z liści platanów. Chłód zapadające-

go zmiernie rozbudzał zapachy miasta: fetor bijący z dżubu, płynącego jezdnią wzdłuż chodników, wonności jaśminu i tulipanów dochodzące z ogrodów, opary wilgotnej ziemi i ceglanych ścian zraszanych kubłami wody, wreszcie ostrą woń kwaśnego mleka, owczej wełny i rybich łebków wyrzuconych do rynsztoka.

Przejechali plac Stambułu, na którym kupcy zwijali swoje stragany. Migotały girlandy żarówek, zmatowiały we wszechobecnym glinianym pyłe.

Wreszcie, po piętnastu minutach, dotarli na miejsce, w alei Na-ser-e-Chosrow.

Gospodarz pracował kiedyś jako internista w Los Angeles. Nazywał się Behzad Narudi i mówił po angielsku bez śladów obcego akcentu.

Dom jego był skromny, na muzułmańską modłę pozbawiony wszelkiego zbytku. Bogactwo właściciela zdradzały jedynie grube dywany, którymi zasłana była podłoga i obfitość oliwy w serwowanych na kolację daniach. Posiłek podano na dworze, na małym podwórku ozdobionym ceramicznymi płytkami w perskie wzory. Dla uczczenia amerykańskich gości Narudi nastawił płytę z nagraniami Scotta Joplina.

Najpierw rozmawiali o sprawach osobistych. Ponieważ Janet wspomniała o swojej córce Barbarze, Narudi wyraził zdziwienie, że Amerykanie wybrali na szefa delegacji kogoś kto jednocześnie był kobietą i miał dziecko poza usankcjonowanym religijnie związkiem.

- Na Pani miejscu, nie poruszałbym tu tych aspektów Pani prywatnego życia... - doradził.

W osobie tego subtelnego lekarza, częstującego ich czarnym kawiozem i anyżowym likierem, Nathaniel „John” Hugues nareszcie znalazł rozmówcę, którego nie rozbawiła wiadomość, że pasjonuje się uprawą róż. Długo rozmawiali na ten temat, a Irańczyk przytoczył liczne cytaty z poezji Saadiego, które zachwyciły wszystkich obecnych.

Czas mijał, a raczej prześlizgiwał się po nich, niczym powolna lawina chłodnego powietrza spływająca z gór i rozlewająca się po mieście z północy na południe.

Narudi był bliskim przyjacielem hojatoleslama Gorganiego. Z tego tytułu uważał się za uprawnionego do przygotowania gruntu pod rozmowę, która miała się odbyć po przybyciu przewodniczącego Parlamentu i jego doradców. Ani przez chwilę nie wątpił w szczerość

pragnienia Gorganiego, by położyć kres wojnie i by Iran przyjął zasady postępowania, regulujące stosunki między nowoczesnymi państwami.

- Nie jest przez to ani na jotę gorszym muzułmaninem niż ajatollah Zardechani - podkreślił lekarz. - Po prostu ich poglądy na temat sposobów przeprowadzenia islamizacji świata są różne. Haszemi Gorgani uważa, że Islam należy propagować od wewnątrz rodziny wielkich narodów, a nie spoza niej. To bardzo dobry muzułmanin, był w Khom uczniem faghiego.

W miarę, jak toczyła się rozmowa, coraz lepiej rozumieli wagę dokumentów, przygotowanych przez Vincenta Romano. Młody człowiek, w porozumieniu z Departamentem Obrony i Krajową Radą Bezpieczeństwa, opracował propozycje sprzedaży broni do Iranu. Dotyczyły one stu rakiet Hawk, dwudziestu helikopterów Bell, trzydziestu dziewięciu samolotów bojowych FU-E, sześćdziesięciu myśliwców F-104 i piętnastu tysięcy rakiet TDW.

Było w pół do dziewiątej. W mroku rozbrzmiewała muzyka. W płomienie pochodni wpadały owady, na ułamek sekundy rozbłyskując osobnym skwierczącym płomieniem który zaraz zanikał. Zadzwoił telefon. Narudi odszedł, by odebrać.

- Hojatoleslam i jego współpracownicy będą tu za pół godziny - potwierdził po powrocie.

Janet pomyślała, jak ważne było spotkanie, na które czekali. Od jego przebiegu zależeć będą zmiany w polityce zagranicznej Iranu w tym kluczowym punkcie jego historii.

Nagle sprzed domu dobiegł ich pisk opon. Jęknęły hamulce. Usłyszeli tupot butów biegnącego oddziału. Drzwi wejściowe dosłownie rozprysnęły się pod uderzeniami kolb Kałasznikowów.

Przerażony Narudi wybałuszyl oczy. Wrzasnął:

- Pasdarani!

Byli to rzeczywiście strażnicy rewolucji. Wbiegli na podwórze i błyskawicznie otoczyli je. Było ich piętnastu, ubranych w zbyt obszerne spodnie i wojskowe panterki koloru khaki. Wykrzykiwali rozkazy przemieszane z przekleństwami.

Twarz Narudiego przybrała ziemisty kolor. Amerykanie nie rozumieli jeszcze, co się stało, ale on już wiedział.

- Allah jest wielki! - krzyczeli pasdarani. - Imam jest naszym przewodnikiem! Zniszczymy wrogów rewolucji!

Janet i jej towarzysze wstali i stanęli ciasno obok siebie: stadny instykt zagrożonego plemienia. Ale przecież to bez sensu, jakieś nieporozumienie, które zaraz się wyjaśni...

- Czego chcecie? - ryknął irański lekarz. - Jestem w porządku! Mam wszystkie islamskie zaświadczenia! spotkałem się z Mohsenem Rafighdustem! Rozmawiałem z nim!

Wzmianka o ich ministrze nie zrobiła na pasdaranach wrażenia: zadany od tyłu cios kolbą w kark pozbawił go przytomności. Vincent Romano zrobił ruch w jego kierunku. Natychmiast pięciu strażników rewolucji wycelowało karabiny w Amerykanów.

Ogarnięta histerią Sandy zaczęła krzyczeć. Wystrzelona w górę seria uciszyła ją. Kolejna seria, wymierzona w gramofon, przerwała muzykę, która rozbrzmiewała dotąd, podobnie jak orkiestra na balu gra jeszcze, kiedy już rozpoczęła się bijatyka.

Wówczas dowódca pasdaranów, a przynajmniej ten, który zachowywał się jakby nim był, podszedł do kredensu, w którym stały naczynia. Jednym kopnięciem rozrzucił po ziemi drogocenną porcelanę, perskie wazy, cynowe misy. Dwaj inni poszli w jego ślady tłukąc, łamiąc i niszcząc wszystko, co znalazło się w ich zasięgu. W ciągu paru chwil wewnątrz domu zamieniło się w rumowisko. Lecz dowódca niecierpliwił się. Spojrzał na zegarek i dmuchnięciem w gwizdek zatrzymał swoich ludzi.

Wszyscy znieruchomieli.

Nikt nie wydał z siebie głosu ani nie wykonał gestu. Jedyne dowódca pasdaranów, tłumiąc wewnętrzną wściekłość, podszedł do stolika, na którym stał, cudem nienaruszony, srebrny czajniczek. Przyjrzał mu się i przez chwilę można byłoby przypuszczać, że jest miłośnikiem złotnictwa zapatrzonym w cenny okaz. Uniósł - dłoń: wszyscy myśleli, że nagłym uderzeniem ciśnie przedmiotem o ścianę. Ale nie, delikatnie uniósł go za finezyjnie rzeźbione ucho. Zdjął pokrywkę, którą położył na stoliku. Wzniósł czajniczek na wysokość nosa i powoli wciągnął opary herbaty.

Absurdalność tego widoku spowodowała, że Amerykanie stali jak oniemiały.

Mężczyzna nalał wówczas nieco herbaty do filiżanki. Popłynął strumyczek o pięknym, miedzianym kolorze. Dowódca przysunął filiżankę do warg, a następnie, by lepiej poczuć aromat, do nozdrzy.

Stając się na powrót dzikim zwierzęciem, cisnął zawartość filiżanki Amerykanom w twarz. Zaskoczeni otarli policzki i zauważyli, że parę

kropel, które przypadkiem dostało się im do ust ma smak alkoholu, który pali język i rozbudza podniebienie.

Lecz Nathaniel „John” Hugues zauważył, że przed wtargnięciem pasdaranów czajniczka na stole nie było. Spojrzał na wycelowane w nich automaty i musiał się pohamować, by nie sięgnąć po rewolwer.

- To pułapka! - krzyknął Hugues do towarzyszy. - Te skurwysyny oskarżają nas, że wwieźliśmy tu alkohol!

W oczach dowódcy zabłysła iskra nienawiści. Warknął kilka gardłowych dźwięków. Dwóch pasdaranów rzuciło się na Huguesa. Trzeci obszukał go, wymacał nóż i rewolwer. Zdarło z niego spodnie i odebrano mu broń.

Dowódca podszedł do obezwładnionego weterana, wyjął z kieszeni kastet i nie spiesząc się, z potworną starannością, założył go na dłoń. Następnie mocnym uderzeniem rozplątał policzek Amerykanina. Ten padł na ziemię z okrwawioną twarzą.

- Rozumie po angielsku! - ostrzegł William Allen.

Dowódca wyraźnie miał chęć uderzyć i jego. Ponownie spojrzął jednak na zegarek. Czas naglił. Wydał parę rozkazów. Pasdarani uderzeniami kolb popchnęli całą grupę do wyjścia.

Wsadzono ich do ciężarówki. Zaciągnięto plandekę i nastąpiła ciemność.

A w tej ciemności Janet Bowden, ogarniętej przerażeniem i z załamioną twarzą, przyszło nagle na myśl jedno słowo, słowo które od początku wydarzeń starała się przepędzić: zakładnik.

Ciężarówka ruszyła, była za pięć dziesiąta.

Za pięć minut, w swoim czerwonym Pejkanie, za kierownicą którego siedzi Hormoz, hojatoleslam Gorgani zajędzie przed numer 28 alei Naser-e-Chosrow by wspólnie z tajnymi gośćmi Iranu zjeść kilka smakołyków na deser. Jego doradcy przygotowali już dokumenty, które po zaaprobowaniu przez obie strony, rozpocząć mają nową erę w Historii. Być może za kierownicą Hormoz będzie miał ironiczną minę, lecz hojatoleslam tego nie zauważy.

I stojąc przed splądrowanym domem, nad skatowanym ciałem swego przyjaciela Narudiego, duchowny zrozumie.

Zrozumie, że ciemności właśnie zamknęły się nad sześcioma zakładnikami. Nad pięcioma Amerykanami...

I nad nim.

9 PIRAT

W szpitalu Hadassa ponownie zapanował spokój, różowe zabudowania miasta-szpitala znów żyły w harmonii.

Strajk sparaliżował firmę Greilsammer i pozbawił szpital jego kosztownej ochrony. Spór pomiędzy strażnikami a pracodawcą dotyczył zadawnionych roszczeń płacowych. Zadając cios firmie dokładnie w chwili, kiedy akcja taka mogła zagrozić realizacji zyskowego kontraktu, związki zawodowe miały nadzieję zwielokrotnić swoje szanse wygranej.

Ożywiony ruch studentów, dostawców, turystów i uczestników sympozjów został wznowiony bez przeszkód. Nikt już nie rewidował odwiedzających ani ciężarówek dostawczych. Ożywienie ogarnęło też plac budowy bloków operacyjnych. Wydawało się, że wszystko powróciło do normy.

Wbrew oczekiwaniom nie stwierdzono dalszych kradzieży.

Sytuacja ta przyniosła ulgę Melowi Philipowi. Zapewne, nie zmieniła to w niczym jego obowiązku przyczynienia się do odnalezienia winnych przed kongresem Hadassy. Ale przynajmniej złodzieje nie pogłębią jeszcze bardziej przepaści, nad którą zawisł bud: Policja kontynuowała dochodzenie.

Jak dotąd Mel Philip nie zdradził swoich podejrzeń wobec Debory Kennedy, ani policji, ani Christopherowi Beamowi, ani samej zaintere-

sowanej. Przede wszystkim należało dokonać sprawdzenia szeregu faktów, a to były dyplomata mógł uczynić sam.

Kiedyś, jako attache naukowy ambasady amerykańskiej w Nairobi, poznał wysokiego urzędnika federalnego, spędzającego urlop w Kenii. Obaj przypadli sobie wzajemnie do gustu. Gardząc sztucznymi podnietami safari organizowanych dla turystów, dyplomata wprowadził rodaka w tajemnice innej, nieznannej Kenii.

Pewnej nocy ukryci w krzakach obserwowali poród antylopy. Wówczas z głębi sawanny pojawiła się nagle grupa wojowników Kikuju, pomalowanych barwami wojennymi. Mówili w języku swahili; potrafił to również Mel Philip. Powiedzieli mu, że pragną odtworzyć sektę Mau-Mau, której każdy członek musiał się wkupić przysięgą, że zabije jednego Białego.

Skazanie na śmierć obu Amerykanów miało przysporzyć tajnemu stowarzyszeniu dwóch nowych członków. Dwaj kandydaci wnieśli dzidy, wymamrotali zaklęcia, poskakali trochę z jednej nogi na drugą z dzikimi minami i rzucili uroki na upatrzone ofiary.

Ku wielkiej uldze tych ostatnich na tym ceremonia się zakończyła. Złożenie przysięgi wystarczy, wyjaśnił przywódca klanu, gdyż tylko zamiar się liczy. Egzekucja może zostać odłożona po wieczne czasy.

Odroczenie takie odpowiadało obu Amerykanom. Mel Philip opowiedział swemu towarzyszowi, że w 1956 roku powstanie Mau-Mau pociągnęło za sobą trzynaście tysięcy ofiar, toteż nie należało przejawiać niecierpliwości.

Od tamtej pory Mel Philips wyjechał z Kenii, pracował w innych ambasadach, ożenił się z żydowską feministką i z tego ostatniego powodu przyłączył się do Hadassy.

Natomiast Lee Weaver, jego kenijski towarzysz, został w tym czasie dyrektorem FBI.

Wykorzystując swój dyplomatyczny status by wyciągnąć z kłopotów agentów wydziału do spraw narkotyków, działających nielegalnie za granicą i ściganych przez miejscowe władze, Mel Philip parokrotnie już oddawał przysługę Lee Weaverowi. Toteż ten nie mógł odmówić prośbie byłego dyplomaty dotyczącej Debory Kennedy. Chodziło o przeprowadzenie na temat dziewczyny małego dochodzenia, korzystając ze współpracy Interpolu i kilku zagranicznych policji. Lee Weaver obiecał, że w ciągu tygodnia dostarczy potrzebnych przyjacielowi informacji.

Mel Philip postanowił, że do tego czasu nie zdradzi się ze swymi podejrzeniami.

Christopher zdał sobie sprawę, że Debora się boi.

Dziewczyna obawiała się niebezpieczeństw, kryjących się za banalnymi sytuacjami. Jadąc samochodem w tunelu wyobrażała sobie wstrząsy i osunięcia skalne, mogące ją zasypać. Widząc zwierzę wyobrażała sobie ugryzienie, widząc fale bała się utonięcia. W każdej przysiędze zawarte jest niebezpieczeństwo wiarołomstwa, w każdym związku drzemie zapowiedź porzucenia. Debora żyła w ciągłej nieufności do świata, pełnego hipokryzji.

Chris był przekonany, że lubiła się bać, podobnie jak lubiła, by stosował przemoc kiedy się kochali. Być może, oba upodobania miały swoje źródło we wspólnej przyczynie. Jednakże niekiedy jej strach zamieniał się w panikę.

Pewnego dnia spytał ją:

- Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? Tego dnia myślałem, że jesteś niemową. Nic mi nie powiedziałaś, a czy miałaś ogromne jak u afatyków. Od tamtej pory zastanawiam się, dlaczego wtedy milczałaś...

- Każda rzecz ma swój czas: jest czas dla ciała, czas dla słów, czas dla obu tych rzeczy łącznie. Wtedy był czas wyłącznie dla ciała. Zresztą już wtedy nie rozumiałaś, że nie zawsze jest miejsce dla słów i że czasami mogą one tylko przeszkadzać.

- Potem śledziłem cię...

Debora zbladła. Zaciągnęła się papierosem.

- Nie wierzę ci.

- Poszedłem za tobą. Weszłaś do kaplicy Anioła, potem do Grobu.

Spotkałaś tam popa...

Debora dyszała z przejęcia.

- Czy widziałaś, jak wychodziłam? - spytała.

Chwyliła się za brzuch, pod wpływem niepokoju naprężyła się niczym kot w niebezpieczeństwie. Miała rozbiegane oczy, jakby w poszukiwaniu pomocy. Po raz pierwszy odkąd widział, jak wyszła z grobowca, załamana i płacząca, Chris widział Deborę w takim stanie.

- Nie - powiedział. - Nie mogłem czekać. Byłem umówiony.

Jego kłamstwo uspokoiło dziewczynę równie szybko, jak jego pytania pogrążyły ją w panice.

Wieczór był ciepły i Chris postanowił pieszo przemierzyć wzgórze, by udać się do szpitala.

Szedł pół godziny, obrawszy w mroku za wskazówkę światła wielkiej menory zawieszanej nad szpitalem. Było mu przyjemnie. Delektował się swoją samotnością pod rozgwieżdżonym niebem i odczuwał jakby ulgę z powodu nieobecności Debory. Wiedział, że wkrótce nieobecność ta stanie się dla niego torturą, lecz na razie rozkoszował się poczuciem swego całkowitego oddania tej dziewczynie. Nadzwyczajne było nie to, że czuł się jej niewolnikiem, lecz że godził się na to całą duszą. Debora nauczyła go tego, teraz był gotów na

Christopher odetchnął głęboko i dalej szedł przed siebie. Wkrótce znalazł się na szosie, łączącej szpital z Jerozolimą. Jeszcze trzysta metrów i stanie przed budynkiem. Pozostanie mu tylko obejść go od zachodu, by znaleźć się przy głównym wejściu.

Na wprost niego, mleczna jasność wschodzącego księżyca słabo oświetlała kształty budowli sprawiając, że wyglądały niczym ogromne kratki krzyżówki.

U stóp głównej fasady dostrzec można było ażurowe postacie trzech dźwigów. Budowa siedemnastu nowych bloków operacyjnych postępowała szybko. Całość miała z zewnątrz osiągnąć rozmiary dużej sali gimnastycznej, albo lodowiska. Wiele się o tym mówiło: miały to być jedne z najnowocześniejszych instalacji tego typu na świecie. Na razie zobaczyć można było tylko rusztowania, nad którymi rozpościerała się już ciężka pokrywa ukośnego dachu.

Przechodząc koło placu budowy Chris nagle zauważył w oddali jakiś cień, prześlizgujący się po rusztowaniu. Rejon ten był zamknięty, a robotnicy nie pracowali po zmroku. Przetarł oczy. Zdarzało się, że zmęczenie mąciło mu wzrok. Kiedy spojrział ponownie, cień nadal był tam gdzie przedtem, zdawał się kiwać monotonnie i rytmicznie, niby tancerz. Wszędzie wokoło panował spokój i cisza zwyczajnej nocy, żadnych nienormalnych objawów. A przecież coś się poruszało, uczipione betonowej ściany!

Chris nie zobaczył wiele więcej, bo cień przesunął się i zniknął w mroku, otaczającym wznoszoną budowlę.

Śniłem, czy rzeczywiście znalazł się ktoś na tyle zwariowany, by tańczyć po nocy na rusztowaniu? - zastanawiał się Beam.

Raz jeszcze uważnie przyjrzał się ciemnościom, okalającym plac budowy. Nic już się nie ruszało. Odszedł, nucąc pod nosem piosenkę zapamiętaną z dzieciństwa, w której mowa była o krasnoludkach.

Była dziesiąta, kiedy Chris przekroczył próg szpitala. Natknął się na Dorę Benari, pilnującą wejścia do wind.

- Nie jest pani solidarna ze swymi strajkującymi kolegami? - spytał ją ze śmiechem.

- A czy oni w ogóle by tu jeszcze mogli strajkować, gdybyśmy my swego czasu zastrajkowali podczas wojny? Wie pan, pamiętam jak...

- Przecież żartowałem, Babel, żartowałem! - przerwał jej Chris, pragnąc uniknąć kolejnej wojennej opowieści.

Wjechał na swoje piętro, usiadł za biurkiem i wsłuchał się w otaczającą go nocną ciszę. Zdał sobie sprawę, że uciekając przed wersją Iliady opowiedzianą przez Babel zapomniał opowiedzieć tej ostatniej o dziwnym cieniu, dostrzeżonym na rusztowaniu.

Lodówka była pusta. Chris wyciągnął z szuflady biurka ciepłą puszkę Coca-Coli, z której trysnął strumień płynu kiedy pociągnął za zawleczkę. Oblizał palce i wcisnął przycisk uruchamiający komputer. Był to VAX 11/780, jako że właśnie maszyny VAX firmy Digital Equipment zostały wybrane przez szpital ze względu na ich zdolność tworzenia najpotężniejszych na świecie sieci.

Chris siedział tyłem do otwartego okna. Przyjemny wietrzyk chłodził mu kark. Ściany pokoju zdobiły litografie podpisane przez Andy Warhola. Chris wiedział, że wszystkie są imitacjami, sprzedawca, libański chrześcijanin z Tyru mieszkający w Haifie, na jego oczach sfałszował podpis artysty na zapleczu swojej galerii.

Praca, którą Chris zamierzał wykonać tej nocy wymagała dostępu do pamięci głównego komputera, znajdującego się piętro niżej.

Wystukał kilka poleceń na klawiaturze. Na ekranie pojawiły się napisy zapowiadające łączność z pamięcią główną. Chris rozpoczął dialog z komputerem.

„Dzień dobry - wyświetlił ekran. - Jest 22.23. Proszę podać nazwisko, imię, i środkowy inicjał”.

Beam wystukał: BEAM Christopher E.

„Hasło?” - zapytał komputer.

„Mayflower - ACW85H287L” - odpowiedział Chris. Początek hasła nawiązywał do nazwy statku, który w 1620 roku przywiózł purytanów - założycieli pierwszych amerykańskich Stanów. Ciąg dalszy stanowiła sekwencja dziesięciu liter i cyfr, wybieranych losowo i zmienianych co dwadzieścia dni.

„Kod użytkownika?”

„Cheyenne Piper”.

Nazwy samolotów zostały przydzielone użytkownikom głównego systemu szpitala. Niektórym wydawało się to dziecinne, ale przynajmniej było mało prawdopodobne, by ktoś zapomniał swego kodu.

Kursor migał na ekranie podczas gdy komputer sprawdzał kod.

Na ekranie pojawiła się odpowiedź i Chris aż podskoczył.

„Błędny kod użytkownika.”

Chris przetarł oczy. Widocznie musiał nacisnąć niewłaściwy klawisz. Skasował procedurę i zaczął od początku. Wpisał swoje nazwisko, hasło, swój kod i czekał. Ekran wyświetlił tę samą odpowiedź, komputer był nieubłagany:

„Błędny kod użytkownika”.

Chris starał się zachować spokój. Nie popełnił błędu: kod zmieniany był co kwartał, ostatnio było to miesiąc temu. Maszyna nie mogła nie rozpoznać podanego kodu. Sprawdził połączenia przy konsoli i poruszył wtyczką: wszystko było w porządku.

Było to niezrozumiałe. Chris poczuł, jak ogarnia go wściekłość. Zachowanie komputera było zaprzeczeniem logiki, jakby nadużyciem zaufania. Uczucia, jakie nim owładnęły były całkowicie nieracjonalne: jakby rozczarowanie kogoś odrzuconego przez ukochaną osobę. Miał chęć walić w konsolę, wyrzucić klawiaturę za okno.

Pewien informatyk z Menlo Park pokazał mu pewnego dnia listę morderstw popełnionych na komputerach. Mordercy używali środków wybuchowych, śrubokrętów, a nawet butów na szpilkach. Opowiadano o przypadku spalenia komputera, a także o pewnym człowieku, który strzelał do maszyny z karabinu 22, kiedy ta odmówiła mu dostępu do sieci.

Chris otrząsnął się z tych morderczych myśli i usiłował odzyskać zimną krew. Pociągnął łyk Coca-Coli, której cienki strumyczek popłynął mu za kołnierz. Otarł szyję wierzchem dłoni i poczuł się lepki. Odsunął się z fotelem do tyłu i zamyślił, kładąc nogi na biurku.

Nie mogło chodzić o ogólną awarię: na ekranie pojawiłby się odpowiedni komunikat. Hasło było prawidłowe. Swój kod użytkownika Chris z powodzeniem wykorzystywał przez cały dzień i nic nie tłumaczyło, dlaczego teraz komputer odmawiał współpracy.

Są inni - pomyślał Chris - którzy mają dostęp do głównej pamięci komputera. Oprócz piętnastu programistów projektu Golden Gate prawo takie miało jeszcze z pół tuzina osób. Christopher przypomniał sobie, że wśród osób tych był Mel Philip.

Wstał, wyszedł z biura i schodami zszedł na poszukiwanie Dory Benari.

Siedziała na trzecim piętrze, w laboratorium oddziału biologii. Drgnęła kiedy wszedł, a on ze zdziwieniem stwierdził, że Babel myje nad umywalką twarz, zabrudzoną pyłem i błotem. Podobne plamy widniały na jej bluzie. Babel spojrzała na niego. Odniósł wrażenie, jakby jej wzrok był martwy, ale nie potrafił powiedzieć, czy wynikało to z zakłopotania w jakie wprawił kobietę wchodząc zniemacka, czy też z nieruchomości jej martwego oka.

- Boże - powiedział Chris - czyżby kopała pani rowy?

Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając stalowe wiązania swoich koron.

- Przeszłam się po budowie nowych bloków operacyjnych - wyjaśniła. Robotnicy skarżą się, że okoliczni cwaniacy podkradają im w nocy materiały na budowę swoich domów!

- Właśnie, Babel! Zapomniałem pani powiedzieć, że kiedy tu szedłem wydawało mi się, że widzę kogoś na rusztowaniu...

- Pewnie tego złodzieja, którego przed chwilą przyłapałam. Kręcił się koło worka cementu. Napędziłam mu niezłego stracha, może mi pan wierzyć. A teraz jestem cała usmarowana!

Mocnymi uderzeniami strzepywała chmury pyłu z ramion i piersi.

- Potrzebuję pani pomocy - powiedział Chris.

Jej twarz rozjaśniła się.

- Chodzi o to - kontynuował Chris - że mam problem ze swoim terminalem. Chciałbym się upewnić, że sam komputer jest w porządku. Chciałbym w tym celu skorzystać z terminalu w biurze Mela Philipa. Czy może mi pani otworzyć?

Pięć minut później Chris i Babel weszli do biura byłego dyplomaty. Półki wypełnione były przedmiotami, poprzywożonymi ze wszystkich stolic, w których przebywał Mel Philip. Wyglądało to jak muzeum,

a światło księżycy rzucało na ściany groźne cienie afrykańskich statuetek. Chris zapalił lampę i usiadł za biurkiem. Wskazał Babel fotel, by na siedząco czekała aż skończy.

Przede wszystkim Chris przeszukał biurko - na próżno. Sprawdził zawartość szuflad, zajrzał do pojemnika na ołówki, poszperał wśród spinaczy, pinesek i zszywek. Nic. Przyszło mu wówczas do głowy, by przesunąć dłoń pod blatem biurka, najpierw z lewej, potem z prawej. I pod palcami poczuł kształt wizytówki przymocowanej do blatu taśmą samoprzylepną. Odczepił ją i obejrzał. Na karteczce widniał napis:

Hasło: MAYFLOWER - ACW85H287L

Kod użytkownika: Super King Air Beech

Mel Philip nigdy nie dowierzał wyłącznie własnej pamięci.

Beam westchnął. Uczestniczył kiedyś w kongresie poświęconym zabezpieczeniu danych. Jeden z mówców twierdził, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć użytkownicy zapisywali swoje tajne hasła na kawałkach papieru, które pozostawiali w pobliżu klawiatury.

Chris włączył maszynę Mela Philipa i posługując się kodem tego ostatniego podjął na nowo dialog z komputerem.

„Dzień dobry, jest 23.53. Proszę podać nazwisko, imię i środkowy inicjał.”

Chris potarł podbródek. Czy drugim imieniem Mela nie było Edgar?

„Philip Mel E.” wystukał.

Komputer przyjął tę odpowiedź i przeszedł do następnego pytania:

„Hasło?”

„Mayflower - ACW85H287L”

„Kod użytkownika?”

„Super King Air Beech”

Chris w napięciu oczekiwał na reakcję komputera.

Ułynęły zaledwie trzy sekundy, kiedy na ekranie zupełnie normalnie pojawiły się napisy zapowiadające dostęp do sieci.

Maszyna zezwoliła Melowi Philipowi na to, czego odmówiła Christopherowi Beamowi.

Tego było już za wiele. Chris miał ochotę zaprzestać tej idiotycznej walki. Będzie jeszcze czas, żeby próbować zrozumieć... Lecz zanim zdecyduje się zrezygnować, zapyta jeszcze o coś Dorę Benari, drzemiącą w skórzanym fotelu.

- Babel?

Stara kobieta obudziła się nagle.

- Babel, niech sobie pani wyobrazi taką sytuację...

- Tak?

- Ma pani klucz, który pozwala otworzyć, powiedzmy... pomieszczenie skarbcza. Inni też mają dostęp do tego skarbcza i mają własne klucze. Drzwi mają kilka zamków, a do każdego pasuje tylko jeden klucz. Rozumie pani?

- Tak, chyba tak...

- Wprowadza pani swój klucz do zamka, lecz nie udaje pani się otworzyć drzwi. Co z tego wynika?

- No, myślę że pomyliłam zamki...

- Logiczne. Więc sprawdza pani, że to na pewno właściwy zamek i odpowiedni klucz. Mimo to drzwi pozostają zamknięte. Co pani robi?

- Zamek jest zepsuty, sprowadzam ślusarza.

- Nie. Zamek jest w porządku.

- W takim razie to proste.

Christopher wzruszył ramionami. Czy ona sobie z niego kpi?

- Tak, to proste - powtórzyła Babel. - Jeżeli system nie działa, to znaczy, że zamek został zablokowany przez kogoś, kto podrobił mój klucz i napełnia sobie kieszenie w środku, podczas gdy ja tu tracę czas na głupie domysły.

Christopher wstał raptownie z krzesła i ucałował zaskoczoną Babel. Następnie zostawił ją pogrążoną w ekstazie i powrócił do komputera. Uwaga starej kobiety olśniła go.

Chris polecił maszynie sporządzenie wykazu użytkowników w ciągu ostatnich trzech godzin. Każdy korzystający z systemu pozostawiał nie wiedząc o tym ślad w specjalnej kartotece z zaznaczeniem dokładnego czasu pracy.

Na ekranie pojawiły się żądane informacje. Paryski szpital Salpetriere prosił o 21.47 o wykaz dostępnych na Bliskim Wschodzie organów do transplantacji. Osiem minut później profesor Szymon Slavin ze szpitala Hadassa zwrócił się do szpitali zachodnich o poważną ilość szpiku kostnego. O 23.08 Center for Disease Control w Atlancie w amerykańskim stanie Georgia ściągnął dla potrzeb swojej statystyki epidemiologicznej dane oddziału wenerologii Hadassy. Wreszcie, w związku z pożarem w jednym z hoteli w Las Vegas klinika w Nevadzie prosiła o kilka metrów kwadratowych skóry.

Żadne z tych informacji nie potwierdzały podejrzeń Chrisa. Zaczął więc szukać w wykazie z wcześniejszych godzin.

I nagle poczuł ukłucie w sercu. Gdyż nagle ekran wyświetlił jego własne nazwisko, a przy nim godzinę wejścia 20.28! 20.28: o tej porze był jeszcze u siebie w domu, w Ein Kerem!

A więc to tak! Nieznany użytkownik podszywał się pod niego, używał jego tajnego kodu by wkraść się do systemu.

W szpitalu był pirat!

Dlatego komputer sądząc, że Chris jest wewnątrz systemu, nie mógł jednocześnie rozpoznać go na zewnątrz. I nie pozwalał mu otworzyć zamka, gdyż w zamku tym już tkwił jego klucz!

Twarz Chrisa zmieniła się. Radość z rozwiązania zagadki zniknęła, gdyż powoli zaczynał zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji. Jakiś pirat wdarł się do systemu, a dotąd nikt niczego się nie domyślał. Kim był? W jaki sposób udało mu się znaleźć szczelinę w zabezpieczeniach? Jaki był jego cel? Na te pytania nie było jeszcze odpowiedzi.

Przebicie się obcej osoby do sieci bankowej mogło pociągnąć za sobą poważne straty dla instytucji finansowych. Każdy amator, podłączony do systemu firmy międzynarodowej, mógł przy odrobinie sprytu wykraść przemysłowe tajemnice. Ale w szpitalu Hadassa pirat mógł zagrozić życiu setek chorych!

Chris postanowił się upewnić. Była już druga w nocy. Uparł się jednak i usiłował, co dziesięć minut, wejść do systemu posługując się własnym nazwiskiem i kodem. Za każdym razem bez skutku.

Czas płynął. Babel zasnęła w fotelu, chrapała niczym mechaniczna piła. Chrisowi było niedobrze. Ze zmęczenia tańczyły mu przed oczami wielkie kolorowe plamy.

Wreszcie, krótko po czwartej, komputer przyjął tajny kod Christophera! Ten odetchnął z ulgą: nareszcie otrzyma dowód na swoje przypuszczenia. Poprosił o wykaz połączeń. Kiedy ten pojawił się na ekranie, wynikało z niego że Christopher Beam opuścił sieć o 4.07 i ponownie do niej wszedł o 4.10. Tak więc uzurpator wyłączył się na trzy minuty przed ostatnią próbą prawdziwego Christophera Beama!

Niczym bakteria wewnątrz organizmu pasożyt wkraść się do wnętrza głównego komputera, czuwającego przez całą dobę nad niematerialną świadomością szpitala. Być może ingerencja ta pozostanie nieszkodliwa, mogła jednak okazać się brzemenna w nieobliczalne skutki.

Christophera przeszył dreszcz. Potrząsnął Babel. Stara obudziła się i spojrzała na niego swoim sztucznym okiem: zaskoczona stwierdziła, że na zmęczonej twarzy Amerykanina malowała się podejrzliwość i wojowniczość.

Chris z trudem hamował wściekłość. Nikt nie znał jego kodu, oczywiście oprócz samego komputera. A więc pirat musiał go poznać bezpośrednio od maszyny! Jednym słowem przeciwnik sforsował wszystkie zabezpieczenia, w które Chris sam zaopatrzył system informatyczny. Było to wyzwanie rzucone jemu osobiście i nie zamierzał tego puścić płazem.

Pieszko wrócił do domu przez wzgórze, rozgorączkowany i spragniony ciała Debory.

Sprawa pirata i dodatkowy cios, jaki dla niego stanowiła, ciężko dotknęły Mela Philipa: jego twarz wyostrzyła się, schudła, wyglądał teraz jak zaszczuta łasiczka. Samuel Penchas, dyrektor generalny organizacji medycznej Hadassa, utrzymywał swoje twarde stanowisko i ponowił wobec byłego dyplomaty swoje ostrzeżenie.

Kontrola przeprowadzona przez Christophera Beama wykazała, że pirat zadowolił się znalezieniem dostępu do centralnej pamięci komputera i nie uszkodził zgromadzonych tam danych. Jak sprawdzono w wykazach połączeń, korzystał z dostępu do sieci od tygodnia, za każdym razem posługując się kodem Christophera.

Trudno było określić cel pirata. Jak dotąd miał do czynienia z informacjami bez wartości handlowej, nie wydawało się, by wprowadził do systemu wirusa, mającego zniszczyć dane z opóźnieniem i nie było śladów ingerencji w księgowości przelewów dokonywanych przez szpital na rzecz pracowników.

Jakkolwiek dotychczasowa działalność pirata była w gruncie rzeczy nieszkodliwa, sama jej możliwość stanowiła dla systemu zagrożenie niczym miecz Damoklesa. Nic nie pozwalało też przypuszczać, że owa nieszkodliwość trwać będzie wiecznie. Zbyt wiele interesów było potencjalnie zagrożonych, by można było dłużej tolerować tę

Mel Philip zwołał sztab kryzysowy w postaci kierowników wszystkich oddziałów Hadassy. Dla Chrisa była to zbieranina ludzi nadętych i bezradnych.

Ton dyskusji nadawały pobożne życzenia. Mel Philip opowiadał o wielkich rzekach informacji, płynących przez eter dla dobra ludzi. Zagrożenie było podobne temu, jakie wynika z katastrofy ekologicznej. Trucizna wlana do najmniejszego dopływu wielkiej światowej rzeki mogła zatruć ją stopniowo w całości. Postęp sprawił, że węzły połączeń znajdowały się wszędzie. Stanowiło to sieć nierozdzielnych powiązań i któregoś dnia groziło straszliwym krachem. Jak dotąd ludzkość udawało się unikać reakcji łańcuchowej. Lecz katastrofa informatyczna mogła zostać wywołana przez pirata ukrytego w dowolnym miejscu sieci komputerowej.

Za wszelką cenę należało unikać, ciągnął Mel Philip, by pirat zrobił z Hadassy epicentrum takiej katastrofy. Zmieniono już hasła i wszystkie kody użytkowników umożliwiające dostęp do pamięci głównej. Jako odpowiedzialny za wydział informatyki Christopher Beam miał bez reszty zaangażować się w dochodzenie, zmierzające do ustalenia i zdemaskowania pirata, choćby miało się to odbić na pracy oddziału neurologii. Należy zawiesić realizację programu Golden Gate do czasu wyjaśnienia sprawy.

Chris wyjaśnił złożoność zadania.

- Jeżeli pirat dysponuje mikrokomputerem, podłączonym do międzynarodowej sieci telefonicznej za pośrednictwem modemu, może się znajdować w dowolnym miejscu na Ziemi! Ponadto istnieje duże prawdopodobieństwo, że mamy do czynienia z uzdolnionymi ponad przeciętną licealistami, którzy bawią się i wędrują po sieciach podczas gdy ich rodzice sądzą, że dzieci rozgrywają partię jakiejś gry elektronicznej. To daje parę milionów podejrzanych!

- Ale przecież musi być jakieś wyjście... - wykrztusił Mel Philip.

Chris zdał sobie sprawę, ile rozpaczy kryje się w tym „ale przecież”.

W tym momencie asystentka Beama, Nancy Collins, weszła do pokoju i wyszeptła mu do ucha kilka słów. Następnie wyszła, a Chris oznajmił:

- Moi panowie, nie mamy do czynienia z początkującym! Powiedziano mi właśnie, że znowu włączył się do sieci na czterdzieści dwie minuty, właśnie w momencie kiedy zaczynaliśmy to spotkanie...

Poblady Philip zakrzusił się.

- Przecież nowe kody zostały ustalone przed spotkaniem! - wykrzyknął.

- Wszystko wskazuje na to, że potrafi on otrzymać kod od samego komputera...

- Czy uszkodził dane?
- Zadowolili się dotarciem do nich, nie zmieniając niczego. Nie wydaje się być niebezpieczny. To eksplorator. Zwiedza. To wszystko. Czy żeby mu w tym przeszkodzić jesteście gotowi wydać setki tysięcy dolarów i zająć czas zespołów ekspertów, którzy są pilnie potrzebni gdzie indziej?

Mel Philip zacisnął wargi w zamyśleniu.

Nic nie wskazywało, by obie sprawy - kradzieże sprzętu i piractwo informatyczne - były powiązane. A jednak, w obu przypadkach, jako że sprawcy dysponowali doskonałą znajomością szpitala, ta sama osoba musiała im pomagać. Były dyplomata nie dostał jeszcze wyników dochodzenia, o które prosił FBI. Przyszły mu na myśl podejrzenia dotyczące Debory Kennedy oraz nacisk z jakim Chris Beam nalegał, by zaprzestać poszukiwań pirata, być może pragnąc ją chronić.

- Co pan proponuje? - zapytał Chrisa.

- Istnieje precedens. Kilka lat temu podobna sprawa miała miejsce w ośrodku badań nad rakiem w Memoriał Sloan Kettering w Nowym Jorku. Leczy się tam każdego roku ponad dziesięć tysięcy chorych na białaczkę i guzy mózgu. Pewnego dnia zdano sobie sprawę, że nieupoważnione osoby miały dostęp do systemu zarządzającego skanerami i akceleratorami cząstek. Wybuchła panika. Nic nie skutkowało: zmuszali system, by sam im przekazywał hasła, które były ustawicznie zmieniane. W poczuciu bezsilności dyrektor departamentu informatyki wysłał im, za pośrednictwem komputera, komunikat: „Kimkolwiek jesteście, uszkadziliście system informatyczny naszego szpitala i zagrożiliście zdrowiu chorych. Proszę was o wejście z nami w kontakt i pomoc w naprawieniu szkód”.

- To dziecinna metoda! - zaprotestował Mel Philip.

- Nie tak bardzo, jak się panu wydaje - odparł Christopher. - Po godzinie przyszła odpowiedź pirata: „Bardzo mi przykro, nie miałem zamiaru uszkadzać waszego banku danych. To się już nie powtórzy. Nie mogę jednak wyjawić, w jaki sposób dostałem się do systemu.” I w ten sposób wszystko w Memoriał Sloan Kettering powróciło do normy. W wyniku długiego śledztwa FBI natrafiło w Milwaukee na gang „414”. Byli to młodzi, nadzwyczaj uzdolnieni ludzie, którym udało się przełamać wiele systemów, między innymi w laboratorium jądrowym w Los Alamos.

- O ile dobrze rozumiem - spytał Philip - nie może pan zaproponować nic lepszego, niż zdanie się na dobrą wolę włamywacza!

- Nie mamy wyboru. Moglibyśmy umieścić w sieci komunikaty przeznaczone dla pirata, ostrzegające go przed ryzykiem na jakie naraża zdrowie chorych i proszące go by się wycofał. Moglibyśmy nawet starać się, gwarantując piratowi anonimowość, by zdradził nam swoją metodę, aby wzmocnić zabezpieczenie danych.

- A jeśli to nie odniesie skutku?

- No, wówczas będzie trzeba rozpocząć długie i kosztowne dochodzenie...

Wyglądało, że Chris Beam mówi szczerze. Mel Philip postanowił przemilczeć sprawę akt, przygotowanych przez firmę Greilsammer na temat Debory Kennedy. Pozostawały jeszcze dwa dni do otrzymania wyników dochodzeń FBI. Ponadto, Chris miał rację twierdząc, że jak dotąd nie było bezpośredniego zagrożenia.

- Zgoda, Chris - powiedział. - Daję panu czterdzieści osiem godzin na wykazanie skuteczności pańskiej metody. Jeżeli do tej pory pirat się wycofa, zamkniemy sprawę i postaramy się wzmocnić zabezpieczenia. Jeżeli natomiast stwierdzimy, że ten... pasożyt... nadal działa, trzeba będzie zastosować bardziej radykalne środki.

Samuel Penchas zgodził się na taki kompromis i wstał, dając do zrozumienia, że posiedzenie skończone.

10 WIEŹNIOWIE EVINU

Prokurator Ladżewardi spotkał się o dziesiątej z ajatollachem Zardechanim. Następnie, po piętnastu minutach rozmowy w cztery osoby, opuścił rezydencję mułły by udać się do Evinu.

Drogę znał dobrze. Kiedyś jechał nią furgonetką SAVAKu. Policja szacha zawiozła go do wioski u stóp Elbrusa. Tam, pod nożami i hakami oprawców, otarł się o śmierć i zdobył tytuł szachid-zendeh: żywego męczennika. Godność ta przysporzyła mu wiele rewolucyjnej

Później Historia odwróciła role i niczym w kadrylu partnerzy zamienili się miejscami. Został prokuratorem Republiki Islamskiej i domagał się wyroków, które bez oporów ferował jego alter ego, sędzia ajatollah Ghilani. Mówiono o nim, że jest okrutny: a był tylko ręką Allacha, pana zemsty. W wielkich latach rewolucji żądał i spowodował śmierć sześciu tysięcy terrorystów rocznie. Wśród mudżahedinów bywały dziewczynki w wieku dziesięciu, trzynastu i piętnastu lat. Od ukończenia dziewięciu lat zgodnie z Islamem uważane były za dorosłe, odpowiedzialne za swoje czyny i podlegające karze śmierci jeśli Allah tego żądał.

Nazwa Evinu mogłaby kojarzyć się z malowniczymi widokami przedgórza, rozciągającego się na północ od Teheranu. Lecz ci, którzy ją wymawiali myśleli raczej o salach tortur SAVAKu, o wyczynach Szejka Sadegha Chalchali, zwanego rzeźnikiem Teheranu, pierwszego wykonawcy

sprawiedliwości Allacha i tępiciela niewiernych, obecnie już odsuniętego lub też o torturowanych ołowiem i stalą, zgodnie z prawem Koranu.

Assadollah Ladżewardi koło południa dotarł pod mur więzienia w Evinie. Za murem wznosił się dziesięciopiętrowy budynek, w którym znajdował się garnizon. W oknach suszyła się bielizna żołnierzy, podkoszulki, slipy i skarpetki koloru khaki. Prokurator pomyślał, że któregoś dnia trzeba będzie położyć kres temu bezwstydnemu ekshibicjonizmowi.

Samochód Ladżewardiego przejechał wśród tradycyjnie zgromadzonego tu tłumu kobiet w żałobie, oczekujących na wiadomość o zaginionym synu, bracie lub mężu, przekroczył bramę, pozostawiając po lewej stronie budynek garnizonowy, po czym otwarte przed nim kraty, prowadzące na drugie podwórze. Dookoła stały budynki administracji i sądu. Nieco dalej, otoczone murem niczym forteca, wznosiło się właściwe więzienie, do którego jedyne wejście prowadziło przez bramę wykutą w skale.

Prokurator polecił kierowcy wjechać na teren więzienia. Dzisiejsze przesłuchania nie odbędą się w gabinecie.

Assadollah Ladżewardi poszedł w kierunku jednej z sal tortur.

Janet i jej towarzysze zostali rozdzieleni, mężczyźni osobno i kobiety osobno. Młoda kobieta nie wiedziała, co stało się z Vincentem, Williamem i Nathanielem. Kiedy przyjechali, strażnik rewolucji powiedział do trzech mężczyzn: „Przygotujcie się na piekło!”. Od tej pory upłynęły dwa dni, a Janet nie miała o nich żadnej wiadomości.

Ze swej strony wraz z Sandy Fisher korzystały obie z uprzywilejowanego traktowania: nie miały obowiązku zakładania obrzydliwej szaty więziennej, zachowały własne stroje islamskie; tylko we dwie zajmowały cele, normalnie tak zatłoczoną, że spać w niej można było jedynie na boku; wreszcie, oszczędzono im powszechnych i nieustannych rewizji osobistych, przeprowadzanych ze względów bezpieczeństwa odkąd jeden ze strażników rewolucji, wstrząśnięty skazaniem na śmierć małej dziewczynki, zamordował poprzedniego dyrektora więzienia.

Ściany celi umazane były kałem, pleśnią i krwią. Portret muły - Janet wydawało się, że rozpoznaje Abol-Qassem Kho'i, pierwszego z wielkich ajatollahów - wskazywał kierunek Mekki, do którego zwracanie się przodem lub tyłem w czasie załatwiania potrzeb fizjo-

logicznych było przestępstwem. W rogu celi znajdowała się toaleta typu tureckiego. Dwa sienniki i brunatne koce, poplamione krwią i uryną, pełniły rolę sypialni.

Janet i Sandy przez dwadzieścia cztery godziny walczyły z rozpaczą i sennością. Wieczorem zaprowadzono je na drugi koniec podwórza, gdzie spotkały zredukowanych mudżahedinów, szczęśliwych na myśl o mającej wkrótce nastąpić egzekucji. Ci ostatni zachwalali im surowe obyczaje Islamu i zachęcali obie Amerykanki, by wyznały swoje winy.

Powróciwszy do celi po tej maskaradzie obie kobiety popłakały się jedna w objęciach drugiej, po czym zsunęły razem sienniki, aby w czasie snu być blisko siebie i móc się wzajemnie podnosić na duchu. Położyły się przytulone do siebie, by zastąpić własnym ciepłem obrzydliwe koce, których dotyku nie były w stanie znieść. Potwornie zmęczone wkrótce zasnęły.

Kiedy strażnicy rewolucji obudzili je, by wyprowadzić je z celi, Janet zatraciła wszelkie poczucie czasu.

Prokurator Ladżewardi stał w cieniu. Pstryknął palcami i jeden z pasdaranów towarzyszących Janet otworzył drewniane drzwiczki, przysłaniające rodzaj wielkiego judasza. Janet wzdrygnęła się, widząc po drugiej stronie żelazne obręcze przymocowane do ściany, łoża z metalowych pasów zawieszane nad paleniskami, fotele z zamocowanymi skórzanymi pasami i stoły pokryte całą masą różnych sznurów, haków, tasaków i noży.

Ladżewardi odesłał strażników rewolucji. Janet przyjrzała mu się. Jako osoba świecka miał na sobie zwykły szary garnitur i beżową koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Jedno ze szkielec jego okularów było stłuczone, co uwydatniało perwersyjne błyski w jego spojrzeniu.

- Może pani puścić swój czador! - powiedział tonem, który starał się brzmieć przyjaźnie.

Janet uwolniła prawą dłoń i opuściła rąbek czadoru. Prokurator wskazał jej żelazny fotel, dawniej używany przez kata SAVAKu. Usiadła.

- Na okazję naszej pierwszej rozmowy - kontynuował Ladżerwadi - pomyślałem sobie, że to pomieszczenie wyda się pani... egzotyczne!

Unosił leżące na stole narzędzia, jedno po drugim, wyjaśniając ich zastosowanie.

- Oto łyżeczki, używane przez ludzi szacha do wydfubywania oczu torturowanych. Widzi pani, trzeba wcisnąć tę część pod gałkę oczną i mocnym szarpnięciem wyrwać oko. Te elektrody przykładano w miejsca, o których nie mogę mówić nie obrażając pani poczucia wstydu. A proszę docenić pomysłowość tego taboretu, którego siedzenie stopniowo obniża się wokół cienkiego pała.

Janet powstrzymała mdłości i uniosła głowę.

- Wasza republika traktuje skazanych jeszcze okrutniej niż SAVAK! - powiedziała. - Jaka różnica?

- Różnica? - ryknął prokurator. - Ależ my zabijamy dla Allacha, dla Niego zastraszamy niewiernych i hipokrytów! Dla niego krzyżujemy, kamienujemy, odcinamy kończyny! To sam Allah postanowił oczyścić ten świat zanim będzie za późno! Oto różnica: to Allah, Allah osobiście!

- Czego pan chce?

- Co pani robiła u lekarza Narudi?

- Zwykła wizyta informacyjna. Odbywamy podróż studyjną z ramienia uniwersytetu w Teksasie. Jesteśmy gośćmi waszego rządu i uniwersytetu w Teheranie!

- Bzdury!

- Narudi panu to potwierdzi.

- Prawo nie zezwala oskarżonym powoływać świadków obrony, ani przedstawiać dowodów. Zresztą przynieśliście do niego alkohol. Jesteście przemytnikami. On jest waszym współlnikiem.

- To nieprawda!

- Deprawujecie ludzi!

- Nie! Zastawiliście na nas pułapkę. To wasi ludzie nalali whisky do czajnika!

- Jest pani kobietą i niewierną; pani świadectwo nie jest warte ćwierci świadectwa pasdaranów, którzy panią zatrzymali!

- Jesteście seksualnymi zobczeńcami i dlatego uważacie kobiety za istoty niższe!

- Niech pani będzie spokojna, uważamy je za równe mężczyznom... jeśli chodzi o kary!

- Wasza pseudosprawiedliwość to ponura komedia, procesy za zamkniętymi drzwiami, bez adwokata i możliwości apelacji. Te metody są sprzeczne z prawami człowieka, uznawanymi przez wszystkie cywilizowane narody!

- „Prawami człowieka”? Bzdury! Prawa człowieka to wymysł judeochrześcijański. Mężczyzna stoi wyżej niż kobieta, muzułmanin wyżej od nie-muzułmanina, ludzie Księgi wyżej niż niewierzący! To wszystko! A co do naszych sędziów, to ich zadaniem nie są debaty z oskarżonymi, lecz ogłaszanie wyroków. Nasz system jest doskonały: określa zbrodnie oraz świadectwa konieczne do ich ustalenia w sposób tak dokładny, że mordercę można osądzić i stracić w parę minut! Takie są moje prawa człowieka!

Zamilkł, zmęczony swoją tyradą. Zasapany podszedł do Janet i wyszeptał jej do ucha, niemal błagalnie:

- No, niech pani przyzna, że wwozła pani do Iranu alkohol! Dzięki temu nie będziemy tracić czasu!

Wyczerpana Janet poczuła ochotę pozbycia się go poprzez przyznanie się do byle czego. Potem będzie jeszcze okazja, żeby wszystko odwołać. Ale przypomniała sobie, że prawo Koranu uważało przyznanie się, nawet wymuszone torturami, za wystarczający dowód winy.

- Nie! - zaprotestowała. - Powtarzam, że zastawiono na nas pułapkę!

- Kto wwozi alkohol jest także podejrzany o handel narkotykami...

- Nie! Pan bredzi!

- Haszysz? Kokaina? Heroina?

- Dosyć! Pan zwariował!

Janet zgięła się wpół na swoim fotelu, ogarnięta bezsilną wściekłością, zanosząc się od szlochu.

Prokurator trwał chwilę w milczeniu niczym myśliwy, który czuje, że ofiara wychodzi na muszkę. Młoda kobieta uspokoiła się i czujnie podniosła głowę. Ładżewardi głęboko zaczerpnął powietrza, jakby szykując się do ostatecznego zwycięstwa. Podszedł do stołu i wziął z niego, ukryte dotąd pod kłębowiskiem sznurów, Smith and Wessona i nóż. Janet rozpoznała broń, którą pasdarani odebrali Nathanielowi „Johnowi” Hugues podczas zatrzymania całej grupy.

- Czy poznaje pani tę broń?

- Widziałam ją tylko raz, w dniu kiedy nas porwano.

- Nie zostaliście porwani, tylko aresztowani!

- Sądzę, że John Hugues zabrał ją, żeby mieć się czym bronić w razie niebezpieczeństwa. Nie miał żadnych wrogich zamiarów. To samo zrobiłby w Los Angeles!

- Nie zgłosiliście tej broni ani nie wystąpiliście o pozwolenie! Jesteście przemytnikami!
- Przestańcie nas prześladować! Powtarzam, że John Hugues miał tę broń tylko na wypadek obrony koniecznej!
- Proszę powtórzyć jego nazwisko?
- Słucham?
- Jego nazwisko!
- John Hugues...
- Nie ma żadnego „Johna” Hugues! Mamy dowód, że ma na imię Nathaniel. To były wojskowy na służbie CIA! Jego dane były w kartotece gniazda szpiegów!

Aluzja do sprawy ambasady amerykańskiej w Teheranie wywołała u Janet dreszcz grozy. Teraz rozumiała, do czego zmierzał jej rozmówca.

- Więc co? - spytała, chcąc by powiedział rzecz do końca.
- Nathaniel Hugues jest żydem! Syjonistyczną zmią opłacaną przez Izrael! Wszystko o tym świadczy i pani jest w to zamieszana! Więc przyzna się pani teraz?
- Nie, nie mam do czego się przyznawać!

Szczęki prokuratora zacisnęły się nerwowo i wycedził:

- Dobrze! Sama pani tego chciała. Za pięć minut przekonamy się, czy jest pani taka uparta.

Słowa te padały z jego ust niczym bryłki lodu. Drżąca Janet patrzyła, jak prokurator podchodzi do judasza i otwiera go, po czym przywołuje ją do siebie. Wstała i podeszła do niego; kręciło jej się w głowie, jakby szła nad przepaścią. Ładżewardi odsunął się na bok tak, że mogła wychylić się na zewnątrz.

Z wysokości pierwszego piętra ujrzała, jak Vincent Romano, William Allen i Nathaniel Hugues biegną w kółko na podwórzu, ubrani w brunatne koszule i zbyt obszerne spodnie przewiązane w pasie sznurkiem. Wszyscy trzej potrząsali nad głowami plastikowymi

Pierwszą reakcją Janet była ulga: a więc żyją! Lecz przyjrzała się uważniej scenie rozgrywającej się na dole: pasdarani pokrzykiwali na Amerykanów, grożąc im bagnetami. Rzucali im wyzwiska. Śmiali się. Podstawiali im nogi. Jeśli ktoś się przewrócił, spadał na niego grad ciosów. Kazali im biec szybciej, aż do utraty tchu. Bawili się nimi jak kukiełkami, które później, kiedy już się znudzą, rozerwie się na części, oddzielając kawałki materiału od drewnianego szkieletu.

Janet posłuchała uważnie. Jej przyjaciele biegnąc skandowali hasła, narzucane im przez pasdaranów klaskających rytmicznie w dłonie: „Niech żyje Imam, precz z Reaganem! Niech Allah zniszczy Amerykę!”

Poniżano jej przyjaciół. Poprzez nich Iżono jej kraj. Janet poczuła się w duszy głęboko zraniona. W przyływie wściekłości odwróciła się do prokuratora, nie czując już lęku, zdecydowana walczyć.

- Czy w ten sposób chce mi pan ukazać piękno waszej sprawiedliwości? - wykrzyknęła.

Prokurator spojrział na nią zdziwiony, unosząc brwi.

- Nie – odparł - Tylko jej skuteczność. Proszę patrzeć.

Wychylił się przez okno i wykrzyknął parę słów do pasdaranów. Następnie wyprostował się i chwycił Janet za ramiona, by zmusić ją do wyglądania na podwórko.

Na dole makabryczna zabawa ustała. Więźniom odebrano dziecinne strzelby i powalono ich na ziemię, po czym na dźwięk gwizdka pasdarani ustawili się w szeregu. Jeden z żołnierzy podszedł do Nathaniela Hugues'a, ciosami kolby zmusił go do powstania i popchnął go ku ścianie. Inni związali mu ręce, nałożyli na oczy opaskę i obrócili kilkakrotnie wokół osi, by stracił orientację. Pozbawiony wzroku weteran dreptał nieporadnie w miejscu, wyciągając przed siebie ręce jakby w nadziei, że uda mu się raz jeszcze dotknąć życia. Dziesięć karabinów wystrzeliło w jego ciało.

Ladżewardi puścił Janet. Młoda kobieta odskoczyła do tyłu i kucnęła pod ścianą, pogrążona w rozpacz.

- Niech idzie do diabła - powiedział Ladżewardi - z tą swoją whisky, z obrzydliwymi pismami pornograficznymi, które znaleźliśmy w jego rzeczach, z nożami i rewolwerami. Tak właśnie postępujemy z niewiernymi, z wrogami Boga, z agentami Izraela i szpiegami opłacanymi przez Wielkiego Szatana! Allah jest wielki!

Prokurator odwrócił się.

Janet nadal siedziała pod ścianą, a właściwie na podłodze znajdowało się coś składającego się z ciała i oddechu, noszącego jej imię, lecz jej duch był nieobecny.

Kopnięciem w brzuch Ladżewardi przywrócił jej świadomość.

Uniosła wzrok i spojrzała w oczy prokuratora. Jego twarz przybrała triumfalny wyraz. Scenka, która przed chwilą się rozegrała złamała w niej wszelką chęć oporu.

- No więc, przyzna się pani wreszcie? - spytał.

- Tak. Wszystko panu powiem. To hojatoleslam Gorgani, przewodniczący waszego parlamentu, zorganizował nasz przyjazd. Mieliśmy się z nim spotkać u doktora Narudiego, który jest jego przyjacielem. Byliśmy tu w tajnej misji, by przygotować nowy dialog między naszymi krajami.

- Pani kłamie! Nie rozmawia się z diabłem!
- Proszę spytać Gorganiego. Sam się pan przekona.
- Dobrze. Pójdę zatelefonować. Zaczeka pani tutaj.

Prokurator odwrócił się, kazał otworzyć drzwi i zostawił w sali tortur trzech pasdaranów. Janet pozostała pod ścianą, płacząc pod niewzruszonym wzrokiem strażników rewolucji.

Po paru minutach Ladžewardi powrócił. Oznajmił jej:

- Hojatoleslam zaprzeczył pani słowom. Nigdy nie słyszał ani o was, ani o waszej rzekomej misji. Wcale nie miał się z wami spotkać u Narudiego. Jesteście zwykłymi szpiegami. Podczas następnego przesłuchania już ja panią zmuszę do zeznań.

Pstryknął palcami. Pasdarani chwycili Janet pod pachy i zaciągnęli ją do celi.

Następnego dnia z otoczenia Amerykanów zniknęli pasdarani, których zastąpił oddział hezbollah, „pijanych Bogiem”, na czele których Janet i Sandy rozpoznały Hormoza, kierowcę hojatoleslama Gorganiego.

- Hormoz - powiedziała Sandy błagalnie - niech pan powiadomi hojatoleslama o naszym losie. Błagamy pana!

- Nie pracuję już dla hojatoleslama, lecz dla ajatollacha Zardechaniego. To ja na was doniosłem kiedy pojechaliście do Narudiego. Jesteście szpiegami.

Wówczas Janet zrozumiała. Zacisnęła się na nich pętla pułapki, lecz była to pułapka inna niż dotąd sądzili. Nie byli zakładnikami Iranu, lecz Zardechaniego. Trwała walka klanów, a oni w tej wojnie służyli za mięso armatnie. Ze zwykłych bandytów, rzeźmieszków i złodziei, przyłączywszy się do rewolucji, pasdarani w ciągu kilku lat stali się elitarnymi oddziałami szyickiego Islamu, jego walczącymi derwiszami. Jednocześnie poświęcili się służbie dla Republiki. Dlatego Zardechani wolał zastąpić ich ludźmi hezbollah, bardziej oddanymi wierze niż Państwu. W ręce tych fanatyków oddał więc zakładników. Janet zrozumiała, że koszmar dopiero się zaczyna.

Prokurator żądał zeznań, a Hormoz z towarzyszami zostali wyznaczeni, by stworzyć do ich uzyskania odpowiednie warunki.

Każdego ranka o 4 budziła więźniów modlitwa azama, wzmocniona przez głośniki. Wówczas wszyscy udawali się do hussejnije - meczetu wzniesionego na cześć imama Husejna - w którym portret mściwego Imama wskazywał kierunek Mekki. Mężczyźni stawali z jednej strony, a kobiety - było ich około pięciuset - z drugiej, oddzieleni od siebie kotarą.

Naturalnie Amerykanie nie byli dopuszczeni do modlitwy. Mogli jednak w tym czasie, pod dobrą strażą, oddychać lodowatym powietrzem poranka, na placu przed świątynią.

Przy wyjściu więźniowie, nadal podzieleni według płci, oddawali się drobnym i skrupulatnym transakcjom - dzielone na trzy lub cztery części papierosy, wymiana gumy do żucia na zapalki... Niekiedy w tym handlu dla ubogich uczestniczył jakiś strażnik. Później Hormoz wyjaśnił Janet, że strażnikami byli często ludzie jeszcze biedniejsi, niż pilnowani przez nich więźniowie.

Następnie więźniowie, podzieleni na grupy, udawali się na piętra. Tu znajdowały się warsztaty, w których przez cały dzień mieli pracować przy produkcji butów, odzieży lub piłek. Rytm dnia wyznaczały modlitwy i odgłosy chłosty, wymierzanej na centralnym podwórzu.

Koło południa, prokurator na nowo podjął swoje próby zastraszania. Zgromadził na podwórzu całą czwórkę Amerykanów, którzy w ten sposób, po raz pierwszy, ponownie byli razem.

- Nie przyznawajcie się do niczego - ostrzegła Janet. - wpadliśmy w pułapkę, której dobrze nie rozumiemy. Klan Zardechaniego chce z nas zrobić szpiegów.

- Dlaczego? - spytał Vincent Romano.

- Jeżeli jesteśmy szpiegami to Gorgani, który nas tu sprowadził, będzie mógł być oskarżony o zdradę. Dlatego nasze zeznania byłyby bardzo cenne. Zabili Nathaniela, żeby zrobić na nas wrażenie.

Nakazano im milczeć. Ładżewardi wyjaśnił, że postanowił pokazać im egzekucję.

Skazani dopuścili się cudzołóstwa, za co mieli być ukarani przez ralm, czyli ukamienowanie. Kobieta, dwudziestopięcioletnia, zdradziła prawowitego męża z wędrownym kupcem. Ten ostatni był od niej o pięć lat młodszy. Zabijając ich sam, mąż w niczym nie naruszyłby zasad, na

których opiera się prawo Koranu, ale wolał pozostawić sprawę oficjalnemu wymiarowi sprawiedliwości.

- Przysługuje im muzułmański pogrzeb - wyjaśnił prokurator.
- Dlatego przed kaźnią dokonano pogrzebowych ablucji. Wykąpano ich w trzech różnych wodach: kamforowej, z kwiatem lotosu i czystej. Następnie ubrano ich w całun, tak że wystaje jedynie głowa. Dzięki spełnieniu tych warunków będzie można odmówić modlitwę na ich pogrzebie.

Pojawili się skazańcy, a ponieważ całuny nie pozwalały im chodzić, strażnicy ciągnęli ich po ziemi za ramiona. Włożono ich do wykopanych w ziemi dołów, przy czym kobieta pogrążona była po piersi, a mężczyzna do pasa. Jeden ze strażników ubił ziemię wokół nich tak, że nie mogli się już poruszyć.

- Ta kobieta - powiedział Ladżewardi - usiłowała uniknąć kary oskarżając męża, że doniósł na nią fałszywie. Ale mieliśmy świadectwa trzech mężczyzn, przyjaciół męża. Dlatego została jeszcze skazana na dżald, to znaczy chłostę, poprzedzającą ukamienowanie. Wczoraj wieczorem wymierzono jej dwadzieścia uderzeń biczem za oszczercze oskarżenie. Artykuł 110 kodeksu przewiduje, że kary należy wymierzać w ten sposób, by żadna z nich nie przeszkodziła w wymierzeniu następnej. Toteż odcięcie kończyny lub chłosta zawsze poprzedzają powieszenie lub ukamienowanie, a nie odwrotnie!

Roześmiał się na samą myśl o absurdzie chronologicznym, jaki stanowiłoby zabicie przed amputacją.

Twarze skazanych były poważne, sprawiali wrażenie nieobecnych duchem, jak gdyby byli pod działaniem narkotyków. O parę metrów od nich ułożono stos kamieni.

- Kamienie nie powinny być zbyt duże - pouczył ich Ladżewardi - gdyż wówczas skazańcy mogliby umrzeć już po drugim czy trzecim uderzeniu. Ale nie powinny też być zbyt małe, żwir się do tego nie nadaje.

Jakby celem dania przykładu, sam podniósł spory kamień i rzucił nim, nie celując, w kierunku skazanych. Kamień rozerwał wargi młodego mężczyzny, z którego ust trysnął strumień krwi, ciała i kości. Dziesięciu ludzi poszło w ślad prokuratora, śmiejąc się i popychając wzajemnie nad stosem kamieni. Wkrótce zapanowała cisza, a na ziemi pozostały jedynie dwa krwawe porozrywane popiersia, bezkształtne kawałki ciała zlewające się z ziemią, obficie zroszoną krwią.

Celem prokuratora Ładżewardiego nie było uprzystępnienie Amerykanom prawa Koranu, lecz stałe ukazywanie im rygorów, które wkrótce miały objąć ich samych jeżeli nie złożą odpowiednich zeznań. Jednakże Janet i jej towarzysze doskonale zdawali sobie sprawę, że pozostawanie przy życiu zawdzięczają jedynie swemu milczeniu sprawiającemu, że nadal byli jeszcze potrzebni prześladowcom.

Prokurator nie szczędził im okrutnych widoków. W ciągu paru godzin uczestniczyli w czterech kaźniach.

Mężczyzna, przyłapany na picu wina, został wychłostany: dwadzieścia cztery uderzenia biczem. Była to już recydywa. Za trzecim razem grozić mu będzie kara śmierci.

Serce lesbijki, skazanej na sto uderzeń biczem, nie wytrzymało przy sześćdziesiątym. Kat wykonał jednak swoje zadanie do końca, pastwiąc się nad martwym już ciałem kobiety, wcześniej już trzykrotnie karanej za to samo przestępstwo. Sprawę homoseksualistów załatwiano szybciej, zabijając już za pierwszym przewinieniem.

Miał przy tym miejsce drobny incydent, w postaci sprzeczki między katem a mułłą nadzorującym wykonanie kar. Mułła doliczył się stu jeden uderzeń, o jedno za dużo. Kat protestował, zapewniając o swej dobrej wierze, lecz prawo było prawem: skazanej przysługiwało oddanie mu nadmiaru. Przypomniano sobie wówczas, że lesbijka była już martwa i zajęto się czym innym.

Skazanemu złodziejowi obcięto maczetą palce na drewnianym pieńku. Minęły już czasy, kiedy sędziowie sami obcinali piłą palce przestępców: w styczniu 1985 roku wprowadzono specjalnie zaprojektowaną do tego celu maszynę, lecz była ona używana tylko spo-

Wykonano także wyrok na mordercy, którego wina została zaświadczona, zgodnie z przepisami, przez „dwóch sprawiedliwych”. Egzekucji dokonał własnoręcznie, przy pomocy siekiery, mężczyzna będący głową rodziny ofiary. Prawo Koranu dawało mu wybór spośród wszystkich rodzajów broni białej lub palnej, toteż zastosowanie siekiery nie podlegało dyskusji. Cenę krwi - dija - zapłacili mu też przy tej samej okazji rodzice skazanego.

Choć zszokowani tymi krwawymi widowiskami, Amerykanie opierali się presji psychicznej, wywieranej na nich przez prokuratora. Odprowadzano ich do celi; tam usiłowali odnaleźć w sobie siły, które pozwoliłyby im przetrwać do następnego dnia. Niekiedy myśleli o Na-

thanielu Hugues'ie, którego tak krótko znali i który kochał różę. William Allen zaczął wierzyć w Boga i jednocześnie nienawidził go, nienawiścią zaciekle i zarazem zbawienną. W mroku nocy mamrotał bluźnierstwa, podczas gdy Vincent Romano ćwiczył swoje mięśnie: postanowił, że tylko skrajna rozpacz zmusi go do rezygnacji z narcyzmu, ale wówczas życie jego nie będzie już wiele warte.

Niekiedy Sandy opanowywało szaleństwo. Zanosila się śmiechem, kiedy karaluchy przemykały pomiędzy ziarnami fasoli, kawałkami makaronu lub ziarenkami ryżu stanowiącymi więzienny posiłek. A kiedy Janet powracała z kolejnej bezowocnej rozmowy z prokuratorem, znajdowała swoją przyjaciółkę pogrążoną w rozmowie z Hormozem.

- Jest miły i tajemniczy - mówiła Sandy. - Trochę mówi po angielsku, poprawiam jego błędy. Nie ma żadnych przekonań, wydaje mi się, że działa z chęci zemsty. Nie wiem, za co: kiedyś zrozumie...

- Sandy, zwariowałaś - odpowiadała łagodnie Janet. - Błagam cię, nigdy nie zapominaj, że on jest po stronie katów...

Jedynie ciało Sandy - jej ciepło, zapach, oddech, odgłosy oddawania moczu w toalecie, odgłosy trawienia dochodzące z żołądka - przypominały jeszcze Janet, że życie było tuż, blisko niej, a także w niej samej.

Każdej nocy Janet czuła, że nadchodzi koszmar. Znała go już dobrze, był jej stałym wrogiem, jej pasożytem, potwornym grzybem narosłym na jej śnie. Ukazywał jej najpierw Johnny'ego - wszyscy marynarze mają na imię Johnny, powiedział jej młody człowiek w białym mundurze. Johnny stał, ogromny, osiemnastoletni, o dwa lata starszy od niej. Przewracał ją na bele bawełny w hangarze na East Side i zalewał ją przyływ morza. Potem następował odpływ, pozostawiając ją samą na piasku wraz z małym skorupiakiem, któremu na imię było Barbara. Wielki okręt zabrał Johnny'ego, a dla Janet okazało się, że piekło nie jest takie, jakie opisywał jej ojciec: piekło to ani pożądanie ani rozkosz, lecz nieobecność jak odpływ, który nigdy nie powraca, jak śmierć całego świata, podczas gdy ona tak bardzo pragnęła, by młody człowiek pojawił się znowu, wziął ją i zabił krzyżąc: „Ty dziwko!”.

Lecz zaledwie zaczynała śnić, koszmar zmieniał się. Pojawiał się przed nią intruz, czarny i drżący z wściekłości. Był prawem, zemstą, wiarą, rzucając cię na życie. W nim zawarte były, pod postacią religii, wstydlive sprawy wszystkich minionych pokoleń. Wreszcie rozpoznawała go. Był to jej ojciec.

Niekiedy wśród nocnych niepokojów pojawiał się także obraz Edwina Langmana.

Z pewnością wiedział on już o losie amerykańskich emisariuszy i podejmował starania o ich uwolnienie.

Tak - myślała młoda kobieta - świat z pewnością wie już o ich porwaniu. I wszędzie kipi, rośnie, wznaga się oburzenie cywilizowanych narodów, płynąc ku zakładnikom niczym koło ratunkowe na falach oceanu. Cóż wobec niego znacząły małe wojny, jakie toczyli między sobą ajatollahowie? Nie, nadzieja nie była pogrzebana: było ich tylko czworo, poniżonych i unurzanych w błocie, lecz za nimi stała Ameryka, która ich uratuje.

11 WĘŻE DZAMARANU

- Uniesienie wśród ludu sięga szczytu - powiedział radośnie Hussein Ali Zardechani. - Ten podniosły nastrój w całym mieście przypomina mi wspaniałe czasy gniazda szpiegów!

Przechwałki ajatollacha nie poruszyły faghiego. Natomiast hojatoleslam Gorgani nie potrafił powstrzymać wściekłości.

- Zniweczyłeś nasze wysiłki! Tyle cierpliwości, tyle sprytu, tyle podstępów, wszystko na nic tak blisko celu, przez twoją żądzę władzy!

Przewodniczący Parlamentu wyszedł i jedynie przez wzgląd na Imama powstrzymał się przed trzaśnięciem drzwiami.

W pokoju Imama oprócz niego samego pozostali tylko jego syn Ahmad i Zardechani.

- Ma rację - powiedział Ahmad nawiązując do słów Gorganiego.

- Twoja przedwczesna inicjatywa stawia nas w fatalnej sytuacji! Teraz nasze wysiłki, by zdobyć nowe uzbrojenie, mogą zostać za hamowane na całe lata! I na całe lata możemy zostać izolowani! Musieliśmy zaprzeczyć, że były jakiegokolwiek tajne kontakty z Amerykanami.

- To prawda, jest burdel! Ale to wy chcieliście tego burdelu, wy wszyscy gotowi na układanie się z diabłem dla paru armat! Ja spełniłem swój obowiązek! Obowiązek wobec Islamu i wobec faghiego!

- Nie mieszaj mnie do tego!

Imam wykrzyknął to zdanie głosem ochrypłym, wychodzącym z głębi piersi. Siedział na łóżku, ubrany w bawełnianą beżową szatę leżącą na pościeli.

Zardechani wiedział, co teraz nastąpi. Wiedział to z równą pewnością, jak gdyby sam napisał słowa, które wypowie Imam. Będzie mówił jak jego syn. A od czasu do czasu Ahmad wtrąci parę zdań, z których będzie wynikało, że razem z pozostałymi słuchaczami poznaje myśli ojca, podczas gdy to on je prowokował, nadużywając swego wpływu na starca. Zardechani nienawidził owego porozumienia między ojcem a synem, a nawet czułości, jaką sobie wzajemnie okazywali.

On także miał kiedyś ukochanego syna. Ajatollah Mohammed Zardechani, bliski przyjaciel pułkownika Kadafiego, żył w nadziei na uwolnienie Palestyny. Prześmiewcy nadali mu przydomek Ringo, ze względu na jego skłonności do zachowywania się niczym musicalowy kowboj. Z nieodłącznym Kałasznikowem pod pachą zorganizował małą armię by zaatakować Izrael. Cała sprawa przerodziła się w kabaret i po trzech latach ćwiczeń w Syrii, Ringo i jego żołnierze powrócili do domów. Ojciec i syn mieli się wzajemnie za wariatów, lecz w głębi serca uwielbiali się.

Ajatollah Zardechani nadmiernie kochał syna i dlatego Allah mu go odebrał, podczas zamachu przeprowadzonego w 1981 roku w Teheranie na budynek Partii Republiki Islamskiej.

Od tamtej pory imam dzome z Khom nienawidził owych przejawów uczuciowej bliskości Imama i jego syna. Choć wiedział, że faghi także stracił ukochanego syna, Mostafę, zmarłego w 1977 roku z powodu choroby, niczego to nie zmieniało. Szczególnie nie znosił momentów - w których czuł się wykluczony z rozmowy bardziej niż kiedykolwiek - gdy ojciec i syn rozmawiali o futbolowych meczach z przeszłości, współczesnych lub przyszłych. Kiedy bowiem miał czternaście lat faghi grał jako prawy obrońca w drużynie miasta Chomejn, zaś Ahmad uprawiał ten sport w najlepszych irańskich klubach. Teraz, wiele lat później, nadal dzielili tę samą pasję, wspólnie oglądali mecze w telewizji i niekiedy, z łezką w oku, wspominali legendarnego środkowego napastnika zwanego Złotą Głową.

Zardechani wiedział, że Imam go potępi, nieświadomie zajmując stanowisko frakcji tchórzy, skorych do kompromisu, których reprezentował wobec niego jego własny syn.

- To rok węży... - wyszeptał Imam.

- Proszę? - spytał Zardechani.
- Dżamaran, gdzie się teraz znajdujemy, oznacza „gniazdo żmij”. Żyją tu liczne jadowite węże i co siedem lat napadają ludzi Obecny rok jest rokiem węży. Nie wiedziałeś o tym, przyjacielu?
Zbity z tropu Zardechani milczał.
- Węże wymyślają groźne podstępny, by zaatakować gości Dżamaranu - kontynuował Imam. - Potrafią znaleźć schronienie w sercach ich przyjaciół. Tam zamieniają się w hipokryzję i wypaczają ich umysły. Jest jednak rzecz, której węże nie potrafią.
- Jaka?
- Żmije Dżamaranu nie mogą nic przeciwko sajjedom! Dlatego tylu sajjedów mieszka w Dżamaranie, podczas gdy inni uciekają z tej dzielnicy! A ja jestem sajjedem! Nigdy o tym nie zapominaj!
Imam podniósł głos. Zardechani poczuł, że od przypowieści przechodzi do inwektyw.
- Rozkażesz hezbollahom, którzy pilnują amerykańskich zakładników, by natychmiast ich uwolnili! Taka jest moja wola. Nie próbuj mnie oszukać!
Zardechani przybrał minę pokorną i uniżoną.
- Chciałbym móc cię zadowolić. Lecz Gorgani kłamie. Nie miałem nic wspólnego z pojmaniem zakładników. Ci hezbollahowcy myśleli, że działają na chwałę bożą, czyniąc to co uczynili. Nie mam nad nimi władzy. Prosiłem ich już, by odstąpili od swych działań, lecz odmawiają przekonani, że wykonują wolę Allacha.
- To kłamstwo! - ryknął Ahmad. - Kazałeś aresztować Amerykanów pasdaranom. Dopiero później przekazałeś ich w ręce opłacanych przez siebie hezbollahów! Oskarżyłeś ich o szpiegostwo wobec prokuratora Ładżewardiego!
- Zabraniam ci mówić do mnie takim tonem!
- Dobrze! - ryknął Imam. - Skoro twierdzisz, że nie panujesz nad tymi ludźmi, sam do nich przemówię i rozkażę uwolnić zakładników! Mnie wysłuchają!
- Bardzo wątpię, aga, ponieważ... Nagle umilkł osłupiały, raptownie urywając zdanie. Przed nim Imam siedział na łóżku jakby w ekstazie, z wybałuszonymi oczami. Twarz Imama zwróciła się najpierw ku Zardechaniemu, potem ku Ahmadowi. Z wbitego weń rozpaczliwego spojrzenia ten ostatni odgadł, że faghi ponownie utracił władzę nad swoim ciałem.

Pod lnianym prześcieradłem, pod fałdami bawełnianej szaty rozgrywała się walka, wobec której wszystkie te sprzeczki wydawały się bez znaczenia.

Imam czuł, jak wzbiera w nim lodowaty przyływ, który stopniowo ogarnia kolejne mięśnie, kolejne nerwy. Był to jakby krótki ból, lekkie uklucie pod skórą, które przesuwało się pozostawiając za sobą jedynie wygasłe, zimne ciało. Zaczęło się to od palców u nóg; Imam nie zwrócił na to początkowo uwagi, były zeszywniałe i nieruchome, jakby po odmrożeniu. Następnie fala przesunęła się ku łydkom, kolanom, udom i Imam nie czuł już nóg. A teraz lodowaty strumień płynął przez ręce. Najpierw palce, po których pozostały pozbawione życia kostki, wstrząsane jeszcze ruchami przegubów. Potem dłonie zamieniły się w zmumifikowaną skórę. Przedramiona, łokcie, ramiona stopniowo zamierały, kotylsząc się beładnie niczym w szkielecie na lekcji

Paraliż zatrzymał się na poziomie bioder i pach. Z faghiego zostało popiersie, niczym w posągu bez rąk i nóg.

Ahmad wybiegł z pokoju na poszukiwanie lekarzy.

Zardechani wyszeptał do skamieniałego Imama, który go nie słuchał:

- Myślę, faghi, że trzeba będzie przełożyć na później twoją rozmowę z hezbollahami.

I wyszedł, pewny siebie i przekonany o jednym: był świadkiem początku agonii.

Lekarze, których Imam wyrzucił kilka dni wcześniej, potwierdzili swoją diagnozę, tym razem opartą na badaniach płynu mózgowo-rdzeniowego: chory cierpi na zespół Guillain-Barre'go.

Nerwy starca stopniowo traciły swoją otoczkę mieliny, co blokowało przewodnictwo nerwowe, w szczególności wzdłuż kończyn. Podczas dwóch niedawnych remisji choroby, mielina czasowo regenerowała się na niektórych odcinkach. Obecnie jednak proces był zbyt zaawansowany, by można było liczyć na trzeci cud.

Bezład motoryczny będzie postępować stopniowo i symetrycznie po obu stronach ciała. Wkrótce obejmie mięśnie klatki piersiowej, blokując oddychanie i przetykanie. Wówczas Allah przyjmie Imama na swoje łono.

Szybki rozwój choroby - występowała ona tu w postaci galopującej - wkrótce zmusi lekarzy by pacjentowi zapewnić wymuszone oddychanie. Według najbardziej optymistycznych prognoz musiałoby to nastąpić najdalej za dwadzieścia cztery godziny.

Imam do końca zachowa przytomność umysłu, choroba bowiem atakuje mięśnie, a nie mózg.

Jakkolwiek oficjalnym następcą był Zardechani, dawno już postanowiono, że to hojatoleslamowi Gorganiemu przyznane zostanie, na okres przejściowy, zadanie ochrony Republiki na wypadek, gdyby zabrakło Imama.

Imam sam opracował ten plan i w 1981 roku, obawiając się o swoje zdrowie, zezwolił rządowi na przemilczenie jego śmierci gdyby od zachowania tajemnicy miało zależeć bezpieczeństwo Państwa. Ponadto Imam, powołując się na swój tytuł faghiego, polecił by nie przestrzegać w jego przypadku przepisu prawa islamskiego, nakazującego by wierzący pochowani zostali w ciągu dwudziestu czterech godzin od chwili zgonu. W lutym 1985 przeprowadzono nawet ćwiczenia na wypadek odejścia Imama: hezbollahowcy zajęli stanowiska na głównych arteriach miasta celem zapobieżenia rozruchom organizowanym przez opozycję; międzynarodowe lotnisko zostało zablokowane na osiem godzin; brygada Zulfikara, utworzona z myślą o przeciwdziałaniu ewentualnemu wojskowemu zamachowi stanu, obsadziła trasy wylotowe stolicy.

Po porozumieniu się z Ahmadem, Haszemi Gorgani postanowił, że w przypadku prawdopodobnego pogorszenia się stanu faghiego wprowadzone zostaną środki nadzwyczajne. Nie chciał, by walka o władzę rozpoczęła się w momencie, gdy Zardechani spowodował kryzys, z którego bez skrpułów będzie starał się czerpać korzyści. Ponadto potrzebował czasu na zgromadzenie własnych sił, zawarcie układu z armią i utworzenie nowych sojuszy.

Dlatego też Imam musiał być utrzymany przy życiu tak długo, jak będzie przytomny i na ile pozwolą osiągnięcia medycyny.

Następnego dnia Hussein Ali Zardechani poprosił o spotkanie w cztery oczy z Imamelem i uzyskał na nie zgodę. Nic nie pozwalało Ahmadowi lub Gorganiemu na odmowę; czyż w końcu nie był on oficjalnym następcą?

Gdyby nawet ujrzał samo piekło, imam dzome z Khom nie doznałby zapewne większego obrzydzenia niż kiedy wszedł na blok operacyjny, zamieniony na salę reanimacyjną i blok intensywnej terapii.

Faghi leżał tu na stole wyłożonym białym plastykiem. Jego ciało zamieniło się w tygiel alchemika - miejsce, w którym mieszały się i wymieniały płyny przyrządzone przez bezbożnych lekarzy. W ramiona faghiego powbijane były igły. Rurki wyprowadzały z jego wnętrza produkty przemiany materii. Butelki zawieszono na szubienicach sączyły w jego żyły sztuczne życie. Zamiast niego oddychał miech umieszczony w szklanym pojemniku, a elektryczność wspomagała bicie jego serca. Ten, który na ziemi reprezentował zamordowanego Imama, Wskrzesiciela, wegetował teraz, podobny owym warzywom, które czarownicy z amerykańskich uniwersytetów hodowali na podłożu z waty. Nad leżącym rozpięto namiot z przezroczystego plastyku, aby nic żywego, człowiek ani bakteria, nie mogło się do niego zbliżyć. Wszystko lśniło niklem, ceramiką i niebieskim światłem.

Zardechani zbliżył się. Rozsunął poły bezbarwnej zasłony i łamiąc obietnicę daną lekarzom wszedł w sterylną przestrzeń.

Powierając swoje ciało lekarzom Imam zażądał jednak, by w żadnym przypadku nie zgolono mu brody i by zachowano mu czarny turban sajjedów. Zależało mu na jednym i drugim. Uciekł niczym złoczyńca, kiedy szach nakazał żołnierzom golenie mułłów i konfiskatę ich nakryć głowy. Pewnego razu, pisząc wiersz, Imam opisał swoją brodę jako najwierniejszą przyjaciółkę jego twarzy. A w maju 1979 roku telewizja pokazała go, jak zawija wokół głowy turban z tkaniny sześciometrowej długości

Głowa Imama spoczywała na niebieskiej poduszce. Jego bezwładne ciało najeżone było igłami, cewnikami i sączkami, lecz na twarzy nie malowało się cierpienie. W głęboko osadzonych oczach palił się ten sam zdobywczy i mściwy ogień co niegdyś, który niczym świder przeszywał serca i dusze.

Imam chciał przemówić. Zardechani uprzedził go.

- Aga, przed twoim powrotem do Teheranu lud ujrzał twoją twarz, jaśniejącą niczym słońce, na tarczy księżyca. W meczetach mułłowie przypomnieli wiernym, że kiedy słońce wstanie na zachodzie, powróci Mahdi...

- No więc? - odezwał się Imam oschle.

- Twój przyjaciel Beheshti wszystko przygotował, by spełnione zostały warunki sprzyjające zbiorowej halucynacji...
- Nie! To kłamstwo!
- A stara kobieta w Khom, która miała widzenie zapowiadające cud z księżycem, była przez niego manipulowana!
- Czy przyszedłeś tu, by dyskutować o szczegółach historycznych?
- Nie, gdyż nie o to chodzi. Lud szczerze wierzył, że widzi twoją twarz na tarczy księżycy. I miliony płakały z radości i sławiły Allacha za ten cud.

Umilkł na chwilę.

- Dzisiaj - kontynuował - zastanawiam się, jak zareagowałby lud widząc ciebie tutaj. Przyjechałeś do Teheranu okryty chwałą, czyż trzeba byś zęgnął się z życiem tak jak to uczynił szach, niczym zwierzę doświadczalne oddane bezbożnym lekarzom?

- Przyjacielu, majaczysz...
- Nie! Gorgani porozumiał się z Zachodem, by przedłużyć twoje życie. Żyjesz jeszcze tylko dzięki tym urządzeniom, transfuzjom, kropłówkom! Gdzie jest ten, który w imieniu Islamu potępił „przeklętą medycynę europejską”?

- Wolałbyś, żebym umarł?

- Tylko Allah może decydować o chwili i warunkach, na jakich przywołuje nas do siebie! Programowana agonia to świętokradztwo! Rudollachu, o Rudollachu...

- Zabraniam ci zwracać się do mnie po imieniu!
- A czy to twoje imię ma jeszcze jakieś znaczenie? Byłeś tchnieniem i duchem Allacha! Więc to tak wygląda tchnienie Allacha? Pompy i tłoki, które nadymają twoje martwe płuca niczym worki? Nie, nie mogę w to uwierzyć.

- Do czego zmierzasz?

- Allah natchnął cię i wyznaczył mnie na swego następcę.

Wszystko skłania mnie, by już teraz zająć miejsce uwolnione przez twoją agonię. Nie uczynię tego jednak, gdyż jak długo choroba oszczędzi twoją świadomość i twój głos, pozostaniesz faghim i twoim głosem przemawiać będzie Allah.

- Czy uwolnisz amerykańskich zakładników?
- Powtarzam ci, że ich los nie zależy ode mnie, lecz od hezbollahów, którzy ich pilnują.
- Kłamiesz!

- Nieważne.
- Przysięgnij mi, że dopóki będę przy życiu, nie będziesz usiłował mnie zastąpić!
- Nie. Życie ma wartość jedynie wówczas, gdy dane jest przez Allacha. Nie jeśli amerykańscy lekarze sztucznie je przedłużają! Nie dbam o twoje życie, jeśli zachowują ci je ich sztuczki dla Gorganiego i jego ludzi! Lecz przysięgam ci, jesteś faghim i jestem ci to winien: jak długo będziesz w stanie wyrażać wolę Allacha, nie uczynię nic. Lecz jeśli Jego słowo miałoby w tobie zgasnąć, wówczas zapłonę ono we mnie. A wówczas nie będzie miało znaczenia, czy żyją twoje komórki, skoro głos będzie martwy!

Zardechani nie oczekiwali od faghiego żadnej odpowiedzi. Odwrócił się na pięcie i gwałtownie rozsunął poły namiotu, które opadły z trzaskiem.

Imam pozostał sam i echa tego trzasku długo jeszcze brzmiały mu w uszach. W jego skamieniałym ciele nie żyło już nic, lecz paraliż nie posunął się powyżej szyi. To, co było w głowie, pozostawało nienaruszone: świadomość, duch, wola, lęk i wszystko to się wznagało, niczym sura na membranie głośnika w czasie modlitwy.

Kilka godzin później szef państwa radzieckiego i jego główni współpracownicy zebrali się na Kremlu na tajnym posiedzeniu. KGB poinformowało ich o dramacie, jaki rozgrywał się w Dżamaranie. W nieznanej i odciętej od świata sali konferencyjnej wielkiego czerwonego pałacu opracowali strategię, która miała pozwolić ZSRR odzyskać wpływy w Iranie.

Postanowiono zapewnić ajatollahowi Zardechaniemu wszelką pomoc materialną, jakiej mógł potrzebować.

Radzieckie tajne służby od dawna przeniknęły otoczenie imama dzome z Khom. Dzięki „specjalnym doradcom” łatwo będzie ukryć rzeczywiste pochodzenie broni i środków finansowych, oddanych do jego dyspozycji. Zardechani bowiem nienawidził ZSRR i marksizmu, jako jeszcze bardziej ateistycznych i szatańskich niż Stany Zjednoczone.

Celem było manipulowanie Zardechanim tak, by nakłonić go do jak najszybszego przejęcia władzy. Egzekucja amerykańskich zakładników pod pretekstem szpiegostwa spowoduje międzynarodowy kryzys. Prze-

szkodzi Stanom Zjednoczonym w normalizacji stosunków z Iranem i zmusi je do wojskowej interwencji.

A wówczas, i dopiero wówczas, włączy się w sprawę Związek Radziecki, przychodząc z pomocą Islamowi zagrożonemu przez Za-

Spełni się pragnienie wszystkich carów i sekretarzy generalnych Partii: Związek Radziecki wreszcie osiągnie strategiczny dostęp do ciepłych mórz. Ponadto wpływy ZSRR w Iranie pozwolą mu na lepsze panowanie nad konsekwencjami rozprzestrzeniania się Islamu na jego własnym terytorium.

Sekretarz generalny Partii udzielił KGB wszelkich pełnomocnictw, by działać w tym kierunku.

- Rozmawiałem z Zardechanim - powiedział Haszemi Gorgani. - Powiedziałem mu, że Imam odbiera mu tytuł następcy.
- I co? - spytał Ahmad.
- Powiedział mi, że go to nie obchodzi. Twierdzi, że proces sukcesji jest już posunięty tak daleko, że jedynie faghi mógłby pozbawić go tytułu.
- No więc właśnie faghi mu go teraz odbiera!
- Ale musiałby to uczynić publicznie, lub przynajmniej przed zgromadzeniem ekspertów. Tymczasem nie możemy go pokazać nikomu w tym stanie niemal śmierci klinicznej. Zardechaniemu łatwo byłoby wykazać, że manipulujemy starcem, którego życie jest sztucznie podtrzymywane. Nie, jedyna rzecz, jaka jeszcze powstrzymuje Zardechanięgo, to jego obietnica złożona Imamowi: dopóki ten ostatni będzie mógł wyrażać swoje myśli, Zardechani nie przejmie władzy.
- Co na ten temat mówią lekarze?
- Według nich paraliż obejmie mięśnie kierujące przełykaniem i artykulacją za kilka godzin.
- Ale przecież ojciec jest już na kroplówce? - spytał Ahmad.
- Nie o to chodzi. Już wkrótce nie będzie w stanie mówić. Choroba postępuje zbyt szybko.
- A wówczas nie będzie już ważne, czy lekarze utrzymają go przy życiu, jak to robili z Franco, Bumedienem czy Tito, skoro nie będzie już w stanie wyrażać swojej woli...

- Tak - dodał przewodniczący Parlamentu. - Zardechani przejmie władzę. Każe rozstrzelać zakładników i Allah jeden wie, co z tego wyniknie...

Obaj mułowie umilkli, zastanawiając się nad możliwością kontr-ofensywy. Nic jednak im nie przychodziło na myśl, prócz czarnych i krwawych obrazów. Los amerykańskich zakładników zależał teraz od niepewnego oddechu umierającego. Los Republiki Islamskiej zależał od głosu starca, a za parę godzin głos ten miał zgasnąć niczym drżący płomyczek...

W mroku nocy rozległ się głos azama meczetu w Dżamaranie. Była czwarta rano.

KSIĘGA II

ROK WĘŻY

12 OKO IMAMA

- Cholerna pogoda! - warknął nieznajomy. - Biedny staruszek nie zasłużył sobie na to!

Christopher Beam odwrócił się. Czy był to jeden z tych nawiedzonych, uważających śmierć za święto, które celebrować trzeba w słońcu? Wokół nich deszcz smagał kupę ziemi wznoszącą się przy świeżo wykopanym grobie, wiatr przynosił zapach pól, zdawało się że przyroda naśladuje płacz ludzi. Było jednak gorąco i można by pomyśleć, że jest to kraj monsunowy raczej niż Kalifornia.

Sam Christopher nie znosił tego całego zboląłego udawania, że oto otwiera się przed zmarłym droga do lepszego świata. Myślał o nicości, poprzedzającej narodziny człowieka i do której wraca on po śmierci. To co jest po życiu, myślał, przypomina pustkę, jaka je poprzedzała, wszelkie inne przypuszczenia obrażają naukę o prawdopodobieństwie.

Cmentarz wznosił się tarasami ku szczytowi wzgórza. Poza zasięgiem białych krzyży, ku zachodowi, rozciągały się winnice. W oddali wzrok przyciągała dzwonnica hiszpańskiej misji, a za nią przestrzeń rozmywała się już pomiędzy niebem a Pacyfikiem.

Po przybyciu, Chris bezowocnie szukał ojca. Jego nazwisko widniało wprawdzie na wstędze przy jednym z wieńców, lecz były astronauta przesłał rodzinie Nicholasa Fultona jedynie bilecik z przeprosinami. Bilecik wysłany został z Ankary i Chris zastanawiał się nad tajemnicą tej podróży.

Beam przyjrzał się twarzom zgromadzonych wokół ludzi. Nie znał nawet jednej czwartej spośród nich. Nie było wdowy - Nicholas Fulton nigdy się nie ożenił-lecz na przedzie stały dwie siostry otoczone dziećmi. Nieco z tyłu trzymali się siostrzeńcy i siostrzenice, poubierani na czarno wbrew swej woli. Z jednej strony, delegacja Smith Kettlewell Institute. Z drugiej, kwiat uniwersytetu.

- Tak, obrzydliwa, cholerna pogoda! - powtórzył nieznajomy, otulając się podwójną pelisą.

To naleganie zmusiło Beama, by zaproponować mu miejsce pod parasolem.

- Nazywam się Edwin Langman - powiedział tamten. - Jestem szefem Narodowej Rady Bezpieczeństwa.

Chris przypomniał sobie, że przy wejściu na cmentarz dostrzegł ochroniarzy skupionych wokół czarnego Cadillaca.

- Czy był pan krewnym Fultona? - spytał.

- Nie. Przyszedłem spotkać się z panem.

- Z pewnością się pan myli, nazywam się Christopher Beam, w Pentagonie pracuje mój ojciec, James Beam.

- Wiem, że Narodowa Rada Bezpieczeństwa w przeszłości popełniła wiele głupstw, ale rzadko nam się zdarza pomylić osoby!

- Czego pan ode mnie chce?

- Pan uruchomił w szpitalu Hadassa w Jerozolimie *komputerowy system wspomagania inwalidów*, opracowany przez Nicholasa Fultona. Zgadza się?

- Tak.

- Czy ten system mógłby umożliwić komunikowanie się z dotkniętym paraliżem chorym, pozbawionym głosu i podłączonym do sztucznego płuca?

- To sporo nieszczęść jak na jednego człowieka, ale jeśli motoryka oczu pozostała niezakłócona i jeśli nie ma uszkodzeń kory mózgowej, odpowiedź brzmi „tak”.

- W takim razie mam dla pana nowego pacjenta.

Niezwykłość sytuacji zaskoczyła Christophera. Zbity z tropu usiłował zyskać na czasie, śledząc wzrokiem za autobusem Greyhonda, przejeżdżającym poniżej cmentarza szosą do Rutherford.

- Musi pan - odparł wreszcie - zwrócić się bezpośrednio do Hadassy, tam podejmą odpowiednie kroki.

Tamten wybałuszył oczy.

- Pan mnie nie zrozumiał - warknął. - Czy rozumie pan pojęcie racji stanu?
- Słyszałem o niej, przy okazji różnych łajdactw popełnianych w jej imieniu...
- Widzę, że ma pan dosyć akademicki światopogląd... Już czas powrócić do świata rzeczywistego. Innymi słowy, wzywa pana ojczyzna.
- Jakim prawem? O ile wiem, nie jesteśmy w stanie wojny.
- Nie chodzi tu o prawo, lecz o obowiązek. Obowiązek człowieka, w którego rękach spoczywa los czworga ludzi, a w perspektywie znacznie więcej...
- O kim do cholery pan mówi?
- O panu, Beam. O panu.

Ruchem głowy Langman nakazał Beamowi pójście za nim. Poprowadził go do samochodu, którego kierowca otworzył przed nimi drzwi. Kiedy znaleźli się sami w środku, za zaciągniętymi zasłonami, szef Narodowej Rady Bezpieczeństwa wyjaśnił młodemu człowiekowi sytuację.

Wysiadając Christopher Beam wiedział już, że musi natychmiast wracać do Tel Avivu, skąd specjalnie wycarterowany samolot następnego dnia zawiezie go do Teheranu. Tam czekał na niego pacjent... i racja stanu.

Prezydent podjął decyzję, by wobec środków masowego przekazu minimalizować tak długo, jak tylko się da, kwestię losu Janet Bowden i jej przyjaciół. Oficjalna wersja wydarzeń mówiła, że Amerykanie odbywający prywatną podróż do Teheranu popełnili przestępstwo w rozumieniu prawa irańskiego. Znajdowali się w areszcie tymczasowym i wkrótce islamski wymiar sprawiedliwości miał rozpatrzyć ich sprawę. Naturalnie Sekretariat Stanu podejmował wszelkie kroki drogą dyplomatyczną, by sprawa została jak najszybciej załatwiona.

Chodziło o to, by uniknąć skandalu prasowego wokół sprawy zakładników, co przysłużyłoby się zamiarom ajatollacha Zardechaniego. Wywołanie głośnej afery spowodowałoby, że w swoim kraju zostałby uznany za jedyne „twardego”, godnego zająć miejsce Imama, a także za kontynuatora drugiej rewolucji, rewolucji terroryzmu państwowego i wojującego Islamu.

Należało natomiast popierać wysiłki hojatoleslama Gorganiego, którego dojście do władzy dawałoby jedyną gwarancję pomyślnego rozwiązania kryzysu.

Innego wyjścia nie było.

W środowiskach zbliżonych do byłej cesarzowej i jej syna, Rezy Cyrusa Pahlaviego, żywiono ambicje by przywrócić w Iranie monarchię typu hiszpańskiego, lecz wszystko wskazywało na to, że marzenia te przerastają realne możliwości. Oczywiście monarchiści przewyciężyli swoje podziały skupiając się wokół czterech ludzi: Ali Aminiego, generała Arayany, admirała Madariego i byłego premiera Szapura Bachtiaara. Przy pomocy CIA utworzyli oni w Turcji obozy szkoleniowe. Wywołali zamieszki w Iranie. Zjednoczyli kontrrewolucjonistów. Pochłonęli miliony dolarów. Wszystko to na nic: nadal nie wskazywało, by ich ofensywa miała jakiegokolwiek szanse

Partia komunistyczna Tudeh, całkowicie rozbita wewnątrz kraju, mogła jedynie leczyć swoje rany w NRD lub w Afganistanie. Wreszcie jedyna wiarygodna siła opozycyjna wobec reżimu ajatollahów, mudżahedini ludowi - nielegalny ruch irańskiej lewicy - skompromitowali się kontaktami z irackim wrogiem i nie chcieli zrozumieć, że szybki powrót do świeckiego państwa był w Iranie mało prawdopodobny.

Toteż najlepsze karty w tej rozgrywce trzymał hojatoleslam Gorgani. Jemu też należało pomóc.

Kiedy dowiedziano się o stanie zdrowia Imama, w wyniku bezpośredniej rozmowy telefonicznej między prezydentem a hojatoleslamem, sekretarz Obrony wspomniał o pracach niegdyś prowadzonych przez Nicholasa Fultona w San Francisco i kontynuowanych obecnie przez Christophera Beama w Jerozolimie.

Szef Narodowej Rady Bezpieczeństwa zmuszony został do zaakceptowania decyzji, podjętej przez sztab kryzysowy przy prezydencie, lecz ani przez chwilę nie wierzył w jej realizację.

- Utrzymywanie Imama w stanie umożliwiającym dyktowanie swojej woli to niepotrzebne głupstwo - powiedział prezydentowi. - Gorgani manipuluje nami, wszyscy ci ajatollahowie są siebie warci!

Prezydent nie zmienił jednak zdania. Edwin Langman oczekiwał więc, że sprawa przerodzi się w poważny międzynarodowy kryzys. Dlatego też, kiedy tylko powrócił do Waszyngtonu, nakazał swoim służbom opracowanie tajnego planu akcji komandosów.

Źródła wywiadowcze ustaliły miejsce pobytu zakładników, przetrzymywanych w więzieniu Evin, niedaleko Teheranu. Komandosi pojechaliby do Larnaki na Cyprze, a następnie do amerykańskiej bazy wojskowej w Bahrajnie. Tu oddano by do ich dyspozycji helikoptery, dla których kwestie zaopatrzenia były przedmiotem odrębnego planu. Maszyny leciałyby w nocy, na małej wysokości, i komandosi zaskoczyli-
by ochronę więzienia w Evin przed pierwszą poranną modlitwą.

Najbliżsi współpracownicy Langmana ostrzegli go: był to najbardziej samobójczy plan, jaki opracowali wojskowi stratedzy od czasów generała Lee. Lecz szef pozostał nieugięty i nikt nie znał tajników jego rozumowania.

Langman wiedział, że jego plan pozostanie martwą literą, jak długo nie uzyska nań zgody prezydenta. Chciał jednak być gotów na wszelkie ewentualności. Z samego rana dowiedział się, że jeden z zakładników został zabity. Nie przeniknęła żadna wiadomość o jego tożsamości. Niepewność co do losu Janet dręczyła Langmana. Szef Rady Bezpieczeństwa Narodowego najpotężniejszego państwa świata ogarnięty był strachem, który spływał mu w postaci potu po plecach lodowatymi strużkami. Czuł, jak wzbiera w nim nienawiść i pragnienie zemsty. Jego zamiary były lepkie i zbrodnicze, był już całkowicie zaślepiony. Choć w jego zachowaniu nic nie zdradzało zmian, jakie w nim zaszły, Langman nie panował już nad sobą.

Kiedy zmarła jego żona, Edwin Langman sądził, że wygasło w nim wszelkie pożądanie, jakby jego świadomości ubył jeden wymiar. Aż któregoś dnia Janet ożywiła w nim tę cząstkę jego osobowości, o której myślał, że była już martwa. Był Łazarzem, a ona go wskrzesiła.

Teraz każdy wybieg będzie dla niego dobry, by ukryć potworny motyw wszystkich jego działań: życie Janet Bowden było dla niego ważniejsze, niż godność i szacunek dla siebie samego. W jego oczach Janet była cenniejsza, niż losy Ameryki; z pełną świadomością gotów był dla niej do zdrady, do wydania rozkazu masakry i do stawienia czoła piekłu.

Miłość do Janet uczyniła Langmana zdolnym do wszystkiego.

Z bijącym sercem Christopher Beam przekroczył kordon pas-daranów, otaczający dzielnicę Dżamaran. Eskortowali go inni strażnicy rewolucji; konwój tworzył kolumnę liczącą sześć samochodów: Mer-

cedes Beama, trzy Range Roversy wypełnione uzbrojonymi po zęby ludźmi, autobus z anteną paraboliczną i wieżyczką kontrolną do połączeń satelitarnych i ciężarówka z wyposażeniem elektronicznym. Oba ciężkie pojazdy przyjechały jednocześnie z Beamem w luku bagażowym Boeinga. Samolot wystartował z Tel Avivu i wylądował w Atenach, gdzie pozbawiono go wszelkich znaków identyfikacyjnych oraz wymazano z karty lotu wszelkie wzmianki o punkcie startu.

Dotarłszy do siedziby Imama Beam wysiadł z samochodu i kazał towarzyszącym mu dwóm technikom wylądować sprzęt z ciężarówki. Zdjęli plandekę i przenieśli do wnętrza domu zapieczętowane aluminiowe skrzynie. Beam zdjął buty i podążył za nimi. W hallu został zrewidowany, po raz czwarty od chwili przylotu. Skrzynie zostały otwarte i ich zawartość przejrzana przez pasdaranów, zanim można było przenieść je na górę. Na schodach zawodowe płaczki mamrotały wśród szlochów wersety z Koranu.

Przed wejściem na blok operacyjny Beam został przyjęty przez hojatoleslana Gorganiego i przez syna Imama. Jak to już wcześniej uczynił Edwin Langman, obaj mułłowie wyjaśnili mu, o jaką stawkę toczy się gra oraz potrzebę zachowania całkowitej tajemnicy. Beam odniósł wrażenie, że Ahmad przygląda mu się z mieszaniną rezygnacji i nieufności: przybysz z Zachodu uosabiał jednocześnie wroga i zbawcę, a dla mułły nie było bardziej nienawistnego przeciwnika niż ten, którego trzeba prosić o pomoc zapominając o własnej dumie.

Chris nie wiedział prawie nic o Iranie, lecz wszystko budziło w nim pragnienie śmierci człowieka, któremu miał teraz umożliwić utrzymanie się przy władzy. Jednakże kiedy wprowadzono go na blok operacyjny, gdzie pozostał sam na sam ze swoim pacjentem, ogarnęło go dziwne uczucie.

Starzec leżał w swojej kryształowej klatce, wszystkie jego funkcje życiowe były wspomagane sztucznie. W rogu pokoju ekrany wykazywały spokojne falowanie elektrokardiogramu i encefalogramu. Zawieszona na stojakach butelki połyskiwały płynami o spokojnych barwach. Chris podszedł bliżej. Twarz Imama była blada, z warg odpłynęła krew. Jego czarny turban leżał luźno na wychudłym czole. Beam zawsze widywał ajatollacha przepełnionego wrogością i fanatyzmem. Teraz miał przed sobą starca zagubionego gdzieś pomiędzy życiem a śmiercią, posąg w którym tlił się jeszcze mały płomyczek gotów lada chwila zgasnąć.

Przede wszystkim Beam przyjrzał się oku Imama. Gałka oczna była ruchoma, źrenica reagowała na światło, rogówka miała ładny, lśniącobrazowy kolor. Młody człowiek wyciągnął swoje przybory i zbadał siatkówkę. Były na niej dobrze zarysowane naczynia krwionośne. Odruchy motoryczne oka zachowały zaskakującą żywotność.

Z nagłym skurczem w żołądku Chris nagle zdał sobie sprawę, że dotąd nie wypowiedział ani słowa pod adresem chorego. Myśl o rozmawianiu z nim jak z ludzką istotą i o traktowaniu go jak człowieka była mu wstrętna. Był lekarzem i nigdy nie uznawał rozdziału między leczeniem ciała i leczeniem duszy. Wiedział, że wystarczy jedno spojrzenie, by nie było już dobra i zła, lecz tylko chory, któremu należy pomóc. Zresztą, czy należało do niego mówić „Wasza wielebność”, jak do biskupa? A może „Imamie”, czy „Wasza Świątobliwość” lub też po prostu „proszę pana”?

Beam przezwyciężył opory i spojrzał prosto w oczy Imama. To, co tam ujrzał, przypominało pustkę.

Z wszystkich cierpień Imama tym, które przysparzało mu najwięcej bólu była utrata głosu.

Poprzedniego dnia głos zaklinował się w jego gardle niczym mały gryzoń, który uwiązał w zbyt ciasnej norce. Teraz już go nie było, umarł zduszony mięśniami strun głosowych. Po raz pierwszy zdarzyło się, że najwierniejszy sojusznik opuścił Imama.

Sto razy głos ten bulwersował świat. To on wzniecił rewolucję, siłą kazań nagranych na kasety, których powódź nielegalnie zalewała Iran szacha. Jego głos, sam głos, zrobił z niego pogromcę złotego cielca, zwycięzcę Szatana, jedyną nadzieję uciśnionych, wikarego Islamu. Głos ten potrafił pieścić, czarować, budzić zachwyt, drgać lub też przeciwnie, grzmieć, huczeć i gromić słuchaczy. Głos ten wlewał bezpośrednio do serca ludu miód i gniew. Był to głos samego Mahdiego, rozbrzmiewający pośród ciszy.

I niegdyś, kiedy głos ten wykrzyknął: „Ja jestem Imamem”, pięciu pozostałych ajatollahów z Nadżaf, Teheranu i Khom nie potrafiło powstrzymać triumfalnego marszu człowieka, który po raz pierwszy w historii szyizmu, przybrał sobie tytuł zarezerwowany wyłącznie dla dwunastu pierwszych potomków Alego.

Ponieważ uważał, że istota człowieka wyraża się w jego głosie, faghi zabronił śpiewów kobietom, jako obrzydliwej formy rozpusty, w której uzewnętrzniało się wszystko to, co nieczyste i zepsute w tej płci.

Zresztą Imam zawsze wystrzegał się kobiet. W 1979 kazał wycofać z obiegu swój zbiorek trzydziestu pięciu sonetów i dwunastu ód, gdyż jego obecność na półkach księgarskich mogła sprawić, że autor uważany będzie za słabego i zniewieściałego. Podobnie nigdy nie używał henny do farbowania brody, podczas gdy zwyczaj ten, dopóki nie wprowadził jego zakazu, był bardzo popularny wśród irańskiego duchowieństwa.

Pozbawiony teraz głosu Imam stracił więc możliwość wyrażania swej woli; w przeciwnym wypadku natychmiast kazałby wyrzucić tego młodego człowieka z Zachodu, z włosami jak u kobiety, który kręcił się teraz przy nim.

Christopher Beam kazał rozpakować sprzęt i niezwłocznie przystąpił do jego montowania. Umieścił monitory encefalografu u węgłowia pacjenta. Przy pomocy niklowanych prętów bezpośrednio nad twarzą tego ostatniego zamocowano telewizor. Na zewnątrz domu dwaj technicy wspomagający Beama ustawili antenę paraboliczną w kierunku satelity. Christopher dokonał ostatnich podłączeń. Kilka godzin później wszystko było gotowe do pierwszego testu.

W tym czasie Imam, leżący jak kamień na łóżku, walczył z własnym ciałem. Jego płuca wypełniały się powietrzem niczym nadymany balon, jego serce biło jakby w rytm zegara, w jego żyłach krążyły różne płyny i mimo wysiłków nie potrafił powstrzymać tych wszystkich mechanizmów, które działały niezależnie od niego. Chciałby oddychać powoli, zwilżyć wargi lub poczuć jakąś nieregularność w biciu serca. Wydawało mu się, że nie jest już ludzką istotą, lecz swoistą hybrydą, człowiekiem i maszyną zarazem. Czuł się lekki, pozbawiony wszelkiej konsystencji poza czysto duchową. W ten sposób jego świadomość zbliżała się do idei doskonałości, a to graniczyło ze świętokradztwem, gdyż doskonałość jest wyłączną domeną Allacha.

Młody zachodni lekarz nadal krzątał się po pokoju. Imam nie był w stanie śledzić wszystkich jego ruchów, gdyż leżał poziomo i tylko pod kark miał podłożoną poduszkę. Widział jednak na tyle dużo, by

zrozumieć, że przygotowywano coś, w czym udział brali już także Ahmad, Gorgani i Batul - dobra Batul, która właśnie nadeszła z twarzą zalaną łzami.

Z duchowych wyżyn, po których błądziła jego świadomość, Imam rozmyślał nad swoją przeszłością.

Widział swego ojca - nie znał go prawie wcale - zamordowanego sześcioma pchnięciami nożem w trakcie bójki w której on, zwykły administracyjny pisarz, przeciwstawił się ziemskiemu posiadaczowi twierdzącemu, że został oszukany. Później, o wiele później, Imam dostrzegł jedynie zalety w rozpowszechniającej się plotce, według której to ojciec szacha zabił jego ojca.

Oskarżano go, że przynosi nieszczęście i jako dziecko do szesnastu lat był wychowywany przez ciotkę. Pamiętał jeszcze swoją pielgrzymkę do Mekki, po powrocie z której zetknął się z ideologią nazizmu i Braci Muzułmańskich.

Przed oczami przepływały mu inne obrazy z jego życia. W 1932 roku miała miejsce inauguracja pierwszego autobusu, zakupionego przez firmę transportową jego młodszego brata Mohammeda „Hindi”. Imam sam zainwestował w interes: wkrótce następne autobusy firmy jeździły po szosach łączących Khom, Arak i Chomejn, a wielki dom rodzinny, zamieniony w poczekalnię autobusową, warsztat naprawczy i noclegownię, pełen był kierowców i podróżnych.

Był też taki ekstrawagancki dzień, kiedy Ahmad przyjechał do domu ojca jako młody mułła i przywiózł ze sobą butelkę płynu po goleniu Paco Rabanne. Cała rodzina, z wyperfumowanymi brodami i włosami, rozkoszowała się zakazanym owocem kokieterii.

Imam wspominał także wszystkie dawne troski, wszystkie cierpienia jakimi Allah doświadcza tych, którzy Mu służą. Nie przerwał modlitwy kiedy powiadomiono go o śmierci Sajjedy, jego ulubionej córki, mającej wówczas zaledwie siedem lat. 21 października 1977 zmarł na atak serca jego najstarszy syn Mostafa. Lecz jego odejście posłużyło rewolucji, gdyż wszechwładna plotka spowodowała, że na jego nagrobku napisano: „Męczennik, zamordowany przez SAVAK w 1978”.

W bilansie życia Imama nie mogło zabraknąć więzienia, wygnania, poniżenia, aresztów domowych, zamieszek, manifestacji, zbiorowej żałoby na pamiątkę innej żałoby - która sama także upamiętniała wcześniejszą, i tak dalej - rewizji, ataków wojska, powrotu do Teheranu i rewolucji

Imam zadał sobie pytanie: dlaczego właśnie teraz obrazy te nachodziły jego umysł? I zrozumiał, że stanowiły one jedyne bogactwo, jakim mógł się cieszyć przed śmiercią; myśl ta uspokoiła go.

Wokół trwała krzątanina. Odpędził wspomnienia by skoncentrować się na chwili obecnej. Nad jego głową włączono telewizor. Młody człowiek z Zachodu podszedł do niego i przemówił

- Nazywam się Beam - powiedział - Christopher Beam. Chcę panu wytłumaczyć, co będziemy robili...

Christopher Beam przede wszystkim na samym sobie sprawdził prawidłowe działanie systemu. Jeden z asystentów umieścił mu na głowie trzy elektrody i młody człowiek koncentrując się pokierował wiązką linii ukazujących na monitorze kontrolnym jego impulsy wzrokowe. Następnie skupił się na ekranie, na którym w poszczególnych klatkach widniały arabskie litery. Daleko w Jerozolimie, na czwartym piętrze Hadassy, centralny komputer odbierał informacje wychwytywane przez elektrody z głębi mózgu Beama. Analizował je, a następnie rozpoznawał migotanie wybranego fonemu. Za pośrednictwem satelity wysyłał następnie polecenia do systemu syntezy mowy.

Syntetycznym, chropawym i bezosobowym głosem głośniki wydały dźwięk: Beam dostatecznie znał arabski, by rozpoznać sylabę, na którą patrzył.

Działanie to miało służyć jako przykład dla Imama. Twarz tego ostatniego była jednak nieruchoma i Beam zadał sobie pytanie, czy w ogóle będzie chciał wziąć udział w eksperymencie. Ahmad, Gorgani i Batul z niepokojem stali w głębi pokoju, tylko Chris miał wstęp do sterylnego obszaru.

Nie zdejmując turbanu, zgodnie z zaleceniem przewodniczącego Medzlisu, własnoręcznie umieścił elektrody na karku sajjeda. Pod palcami poczuł niemal nagą czaszkę.

- Dzięki temu systemowi będzie pan mógł wyrażać swoje myśli - powiedział. - Jedyne warunki to skoncentrować się, tak jak ja to zrobiłem, na klatkach odpowiadających dźwiękom, które chce pan wypowiedzieć.

Chris cofnął się o dwa kroki do tyłu. Za plastikową zasłoną Ahmad, Gorgani i Batul wstrzymali oddech.

Minęła niekończąca się chwila. Beam obserwował ekran elektroencefalografu. Krzywa wskazywała, że Imam bynajmniej nie usiłował się skoncentrować: falowała łagodnie, nie wyrażając niczego.

- Trzeba całą uwagę skupić na wybranych kratkach - nalegał zbity z tropu Chris.

Począł jeszcze, lecz nic nie nastąpiło, a obojętny wzrok ajatollaha wodził gdzieś poza ekranem, unikał go jak unika się grzechu, z którym się walczy.

Christopher ze zniechęceniem wyszedł ze sterylnej przestrzeni.

- Odmawia współpracy - powiedział do Ahmada i Gorganiego.

- Odwraca oczy od ekranu jakby się bał, że go oślepi. Nie mogę nic zrobić wbrew jego woli.

- Czy mogę mu coś powiedzieć? - spytał hojatoleslam.

- Oczywiście. Trzeba tylko założyć tę bluzę, płócienne buty, maskę i czapkę.

Mufla ubrał się i wszedł do strefy reanimacyjnej.

- Aga - wyszeptał łagodnie - chcesz połączyć się z Allachem, który cię kocha i przywołuje do siebie. Ale Republika Islamska potrzebuje jeszcze swego przewodnika i dlatego przytrzymuje cię, tak jak dziecko czepia się rękawa umierającego ojca. Podobnie jak ty brzydzę się tymi maszynami i bezbożnikami, którzy je obsługują. Ale czyż pradawna sżyicka zasada khody nie pozwala nam manipulować wrogami Islamu? Czyż dwulicowość nie jest dozwolona wobec wrogów? Rewolucja wzywa cię na pomoc. Błagam cię, uratuj ją zanim udasz się do Raju. Powiedz tak, na Allacha, powiedz tak!

W oczach faghiego pojawił się jakby cień wahania, pokusa usłuchania nalegań Gorganiego. Lecz ajatollah natychmiast opanował się i jego spojrzenie umknęło w bok, zatrzymując się na niewidzialnym horyzoncie, za którym nie było niczego.

Zrezygnowany Gorgani wycofał się i podszedł do Beama, Ahmada i Batul po drugiej stronie zasłony.

- Nie chce - powiedział. - To koniec.

Wówczas w drzwiach bloku operacyjnego pojawiła się sylwetka Husejny Ali Zardechaniego. Wszyscy zwrócili się ku niemu. Wszedł powoli, z poważną miną.

Poprzez plastikową przezroczystą zasłonę imam džome z Khom popatrzył na ciało Imama. Na jego twarzy pojawiła się rozpacz, w której nie było nic udawanego.

- Jeżeli to koniec - powiedział - trzeba skończyć z tą... rafinerią, bez zwłoki otworzyć testament faghiego i ujawnić nowego przedstawiciela Ukrytego Imama...

Pomiędzy uczestnikami tej sceny rosło ogromne napięcie. Beam cofnął się, ta sprawa go nie dotyczyła. Nie poniósł porażki, lecz jednocześnie Imam nie dał mu możliwości sukcesu.

- Otwórzmy testament! - nalegał Zardechani.

Twarze Ahmada i Gorganiego przybrały żałobny wygląd. Nagle z głośników dały się słyszeć trzaski, a w chwilę później głos, który zagrział:

- Nie!

Zaskoczony Zardechani zmartwiał. Innym mocniej zabiły serca.

- Nie! - powtórzył syntetyczny głos.

Zardechani wznosił oczy ku głośnikom, a potem spojrzął przez zasłonę w stronę Imama, który skupiał całą swoją uwagę na znakach świecących przed jego twarzą.

Zardechani zrozumiał, że wola Imama przewyciężyła niemoc jego ciała i że panowała teraz nad nimi wszystkimi. Była wokół nich, bardziej bezwzględna niż kiedykolwiek, niczym strumień fal dźwiękowych, w których brzmiał gniew Allacha.

I oto ów krzemowy głos, o brzmieniu zimniejszym niż powierzchnia mikroprocesora, z którego pochodził, rozległ się znowu.

- Allah jest wielki! Nie masz boga prócz Boga, a Mahomet jest jego prorokiem!

Zardechani wyglądał, jakby uderzył w niego grom.

Maszyna, będąca głosową protezą bezpośrednio sterowaną z mózgu Imama, wyrażała teraz za jego pośrednictwem wolę Allacha. Imam dzwone z Khom przypomniał sobie o swojej obietnicy. Aż się trząsł z rozczarowania. Rzucił w stronę Gorganiego i Ahmada płomiennie spojrzenie i warknął:

- Nadejdzie jeszcze czas!

Odwrócił się na pięcie i wyszedł wielkimi krokami.

Kiedy zniknął, napięcie panujące w bloku operacyjnym opadło.

A Imam mówił dalej:

Bóg poniża możnych,

Wycina w pień winowajców.

Jemu Hindi poświęca swą żarliwość,

Jemu i nikomu innemu...

Zaczynało go to wciągać, a maszyna mówiła za niego. Jego oczy prześlizgiwały się teraz sprawnie po szachownicy na ekranie. Dwa tysiące kilometrów dalej komputer posłusznie reagował na jego impulsy myślowe.

Ahmad zwrócił się do Christophera.

- To jeden z jego wierszy - powiedział w zaufaniu. - „Hindi” to jego pseudonim z czasów, kiedy pisał.

Muła umilkł na chwilę.

- Dziękuję panu... - wykrztusił w końcu.

Beam poczuł skurcz w sercu. Batul nałożyła czapkę i sterylne fartuch, by pójść do starca. Słowa, które płynęły teraz z głośników, już go nie dotyczyły. Jego zadanie w Teheranie dobiegło końca, skinął głową Ahmadowi i Gorganiemu na pożegnanie.

Był tak przejęty, że przez chwilę wydawało się, że zemdleje pod wpływem świeżego powietrza.

Na schodach zrozumiał jednak, że jego praca jeszcze niezupełnie się skończyła.

Christopher myślał o czymś, o czym inni nie wiedzieli: Imam mógł wyrażać swe myśli dzięki komputerowi, lecz w sercu maszyny tkwił pasożyt. Ktoś wdarł się do wnętrza systemu, który teraz utrzymywał w nietrwalej równowadze kompromis pomiędzy życiem a śmiercią zakładników, pomiędzy nadzieją a chaosem. Ten ktoś mógł jeszcze zniweczyć dotychczasowe dzieło i spowodować, że zamilknie głos Allacha utrzymujący pokój.

Świadomość istnienia pirata dręczyła Christophera Beama. Do Jerozolimy powrócił pełen niepokoju.

13 ARTUR

Nie zwracając uwagi na posłania, odwołujące się do jego dobrej woli, pirat wychodził z systemu jedynie trzy razy dziennie, zapewne na czas potrzebny do spożycia posiłków i przespania się. Ustalono, że przez cały dzie przeszukiwał zasoby pamięci centralnej. Buszował tam niczym speleolog w jaskini.

Podobnie jak ksiądz najpierw nazywa diabła zanim rozpocznie egzorcyzmy, Christopher uznał za konieczne nadanie przeciwnikowi imienia. Pomyślał o meteorologach, oswajających huragany poprzez nadanie im banalnych imion i wybrał dla pirata imię Artur.

Choć przestrzegano ścisłej tajemnicy na temat wydarzeń w Teheranie i choć nawet kierownictwo Hadassy wiedziało o nich jedynie częściowo, uzbrojeni ludzie postawieni zostali na straży przy pancernych drzwiach do sali centralnego komputera, a inni na dachu, obok parabolicznej anteny do transmisji satelitarnych.

Nadal podminowany spotkaniem w Teheranie, wycieńczony podróżą, z zapadniętymi policzkami i żołądkiem przeżartym nadmiarem kawy, Christopher Beam udał się do bufetu. Zjadł tam sałatkę z cykorii i ziemniaków.

Dookoła kłębił się tłum odwiedzających. Niekiedy przy stoliku lub w kolejce zajmowali miejsce turyści. Przychodzili falami, zgodnie z rytmem zwiedzania pobliskiej synagogi. Świątynia zajmowała kwadratowy budynek obok głównego wejścia. Była dumą Hadassy ze

względu na dwanaście witraży, na których Chagall wyobraził dzieje plemion Izraela.

To właśnie wywoływało u Beama, dziś bardziej jeszcze niż zazwyczaj, niemiłe uczucie: nie podobało mu się, że szpital, miejsce cierpienia, figurował obok kabaretów w broszurach biur podróży.

Do jego stolika dosiadł się Mel Philip. Był w towarzystwie dwóch mężczyzn. Jeden z nich podobny był do Mike'a Hammera, komiksowego inspektora, w filcowym kapeluszu i wystającą spod marynarki rękojeścią pistoletu. Drugi robił wrażenie, jakby małpował filmową mimikę Humphreya Bogarta. Były dyplomata przedstawił

- Charles Stroud przyjechał z Waszyngtonu - powiedział. - Kieruje wydziałem FBI wyspecjalizowanym w przestępczości informatycznej.

Nazwisko Strouda wydało się Beamowi znajome. Prasa specjalistyczna wspominała o nim w związku z różnymi aferami wirusów informatycznych, w których odznaczył się dużą skutecznością działania.

- A to Mordechaj Kiru - ciągnął Philip. - Izraelski minister spraw wewnętrznych polecił mu nadzorować działania policji w tej sprawie.

- Rząd federalny - wyjaśnił Stroud - powiadomił nas, że komputer Hadassy umożliwia komunikowanie się ze światem zewnętrznym chorego, którego milczenie zaszkoziłoby pokojowi.

- To prawda - odparł Chris.

- Czy naruszając zabezpieczenia systemu pirat mógłby zagrozić bezpieczeństwu pana Smitha? - spytał Mordechaj Kiru.

- Pana Smitha?

- Tak - wyjaśnił agent federalny. - Tożsamość pańskiego pacjenta stanowi tajemnicę. Znamy go pod pseudonimem Smith.

- A więc - powiedział Beam - program systemu Golden Gate zapisany jest w centralnej pamięci w strefie chronionej specjalnymi zabezpieczeniami: potrzebnych jest pięć kodów, które stanowią jakby kolejne ogrodzenia, bardzo trudne do przekroczenia. Ponadto wprowadziliśmy trochę redundancji...

- Redundancji? - spytał Izraelczyk.

- Tak, główne fragmenty programu zapisane są kilkakrotnie. W ten sposób uszkodzenie jakiegokolwiek części programu nie będzie miało fatalnych skutków dla całości.

- Jak zareagował pirat na wasze ostrzeżenia?

- W ogóle nie zareagował.

- Myli się pan, Christopher - wtrącił Philip. - Właśnie dziesięć minut temu odpowiedział. Dostaliśmy od niego list.

- I co pisze?

- Proponuje, żebyśmy poszli do diabła, tylko trochę innymi słowami.

- Co zamierzacie zrobić? - spytał Beam policjantów.

- Nie traciliśmy czasu - odparł Stroud. - Właśnie w tej chwili moje ekipy dokładnie przeszukują wszystkie środowiska, w których mógłby działać nasz człowiek: kluby informatyków, szkoły, znani piraci komputerowi... W ciągu dwudziestu czterech godzin na całym terytorium amerykańskim zatrzymano czterdziestu dwóch podejrzanych i połowie z nich udowodniono akty piractwa niezwiązane z naszą sprawą.

- Równie dobrze możnaby szukać skarbu „Titanica” opróżniając ocean łyżeczką - powiedział Beam. - W ten sposób do niczego nie dojdziemy, tym bardziej, że pirat może się znajdować w dowolnym miejscu na Ziemi.

- Ma pan rację - odparł Kiru. - Toteż nie zaprzestaliśmy dochodzenia na terenie Hadassy. Pirat wydaje się dobrze znać system. Przypuszczamy, że może chodzić o zemstę byłego pracownika zwolnionego z pracy...

- Albo o złośliwość nowego - uzupełnił Mel Philip.

- Macie jakiś ślad?

- Za wcześnie jeszcze o tym mówić. Sprawdzamy pewną hipotezę... Policjanci nie chcieli powiedzieć nic więcej. Beam pożegnał się. Wyszedł i wziął sobie kubek kawy z dystrybutora.

Kiedy popijając gorący napój przechodził z powrotem koło otwartych drzwi do pokoju, w którym rozmawiali trzej mężczyźni, dosłyszał nagle wypowiedziane półgłosem nazwisko Debory. Postanowił nie zwracać na to uwagi i skierował się do wyjścia.

Śledząc działania pirata wewnątrz systemu Christopher poznawał stopniowo jego zainteresowania i reakcje, wkradał się w jego wnętrze.

A przecież Artur naigrawał się z Chrisa. Kiedy ten ostatni usiłował zdemaskować go odkrywając stały algorytm, pojawiał się nagle jak diabeł, wyprzedzając myśliwego w miejscu zasadzki. Nieco później czekał na niego, by na jego oczach oddawać się zabawom elektronicznym, prawdziwym krzemowym piruetom, które zapierały Amerykani-

nowi dech. Christopher wściekał się widząc, jak jego podstępny obracają się wniwecz. Czasami wręcz podziwiał swego przeciwnika. Przyszło mu nawet do głowy, że wszystko to może ma na celu spodobanie mu się; ale odpędził tę myśl jako idiotyczną.

Niezależnie od tego, jakie motywy kierowały piratem, toczyła się walka na śmierć i życie. Artur fascynował go, co tym bardziej wzmagало pragnienie, by go zniszczyć. Intruz stał się jego Latającym Holendrem, była to walka Moby Dicka z kapitanem Achabem.

Debora skarżyła się, że ją zaniedbuje i protestowała głośno. Dużo pracowała i spędzała długie chwile w towarzystwie Dory Benari.

Tę ostatnią utrzymywała w napięciu tajemnicza egzaltacja. Stara kobieta porzuciła swoje drzewka bonsai, które więdły nie wywołując u niej śladu współczucia. Mel Philip chodził nerwowo jak tygrys w klatce, funkcjonariusze FBI pisali na klawiaturach. Atmosfera była przygnębiająca, wyczuwało się rosnącą nerwowość.

Ludzie z FBI narobili wiele hałasu wokół aresztowania pewnego studenta, który za pośrednictwem komputera Hadassy dostawał się do systemu uniwersyteckiego i tam z wielką hojnością poprawiał swoje stopnie egzaminacyjne. Aresztowano pewnego zdolnego człowieka z Tyberiad, który usiłował wszelkimi sposobami złamać zabezpieczenia komputera ministerstwa Obrony, by dostać się do tajnych planów pierwszej wyrzutni izraelskich satelitów. Lecz Artur pozostawał nieuchwytny.

Pod wpływem nalegań Debory Christopher wyznał w końcu cel swojej podróży do Teheranu. Mówiła mu o swoich obawach, by nie stracić Chrisa i błagała go, by uspokoił jej uczucie zazdrości, choćby za cenę tajemnicy, której ciężar z góry godziła się ponosić. Opowiedział jej więc o swym spotkaniu z ajatollachem i przyniosło mu to sporą ulgę.

Opisał jej twarz Imama, jego bezwładne ciało w świetle neonów bloku operacyjnego, drżące „nie” płynące z głośników, arogancję Zardechaniego i powiązanie losów Iranu z zamierzeniami pirata. Opowiedział jej o czwórce zakładników, których przy życiu utrzymywał jedynie głos starca.

Przytuliła do siebie swoją kotkę Aurorę - znajdowali się w jej mieszkaniu - i zauważyła, mówiąc o Imamie:

- Mówią, że zakazał wszelkiej muzyki

Uwaga ta, dotycząca zupełnie marginalnej kwestii, zbiła go z tropu.

- Uważa, że muzyka wypacza młodzież, tak jak opium - od powiedział. - W swoich przemówieniach mówił, że człowiek nie został stworzony dla rozrywki, lecz dla cierpienia i modlitwy. Dlatego uważa dowcipy i żarty za bezbożne. Pewnego dnia kazał zniszczyć jeden ze swoich oficjalnych portretów, na którym przedstawiony był z uśmiechem na ustach pod pretekstem, że Prorok nie uśmiechał się i przeklinał tych, którzy to czynili. Jego koncepcja Islamu zabrania także kąpieli

Debora nie kontynuowała dyskusji, co rozczerowało Beama. A przecież znał tę jej niepisaną zasadę, w myśl której unikała wszelkich tematów, w których mógłby się korzystnie zaprezentować. Nie chciała, by ulegał pokusie błyskotliwości, co czyniłoby z niego osobę obcą i Chris przypominał sobie, że jego matka postępowała tak samo wobec jego ojca.

Siedziała tak jak podczas ich pierwszego spotkania w tym samym miejscu, z podwiniętymi nogami na kanapie, papierosem w ustach i szklanką whisky w zasięgu ręki. Jak zwykle zasłony były zaciągnięte.

Milczeli przez chwilę.

Nagle wypuściła kotkę. Siedziała nieruchomo, porażona wspaniałym pomysłem, który przyszedł jej właśnie do głowy: przebierze się za mężczyznę i razem pójdą do meczetu Al Aqsa w muzułmańskich strojach. Zdejmą buty, wejdą i będą udawać modlitwę. Potem ukryją się gdzieś na uboczu i tam odda mu się potajemnie. W momencie zbliżenia, bez żadnych wątpliwości, wstąpią w nich dzinn i hurysa.

W grobowcu sam Chrystus uświęcił ich związek. Teraz trzeba było uzyskać błogosławieństwo Allacha. Później pomyśli się też o Buddzie, Konfucjuszu, Brahmie i innych pośledniejszych, tubylczych bóstwach.

Choć Christopher przekonywał ją o szaleństwie tego projektu, nic nie mogło wpłynąć na zmianę jej decyzji. Przewróciła szafy do góry nogami i wyjęła z nich jakieś zapomniane okrycia i pantofle. Następnie przeszła do łazienki by, jak powiedziała, przybrać twarz i fryzurę muzułmanina.

Siedział bezradnie w pokoju; przez uchylone drzwi podała mu szminkę.

Wtedy zauważył, na dole szafy wyglądającej jakby przeszedł przez nią huragan, japoński przenośny mikrokomputer.

- Czyj to komputer? - spytał.

- Aurory, oczywiście - śmiejąc się odpowiedziała przez drzwi łazienki. - Używa go do prowadzenia swoich kocich spraw.

Christopher wziął do ręki maszynę, pod którą leżało pudełko modemu.

- A modem? Czy używa go do łączenia się z bankiem kotów?
Obok niego kotka nerwowo drapała frędzle dywanu.

- Nie! - odparła Debora tonem, oznaczającym „dosyć tych żartów”. - To sprzęt, który używałam w czasie studiów, przed pracą w hotelu American Colony. Byłam na czymś w rodzaju kursów korespondencyjnych: dwie godziny dziennie połączeń z profesorem i innymi studentami za pośrednictwem modemu.

Wyszła z łazienki naga i bez makijażu, z mokrymi włosami ciasno przylegającymi do czaszki niczym czepek pływacki i podwiązanymi na karku w kok. Poczuł chęć, by brutalnie ją posiąść, rzucić na ziemię i zgwałcić, jakby była mężczyzną. Lecz ona objęła go wpół i szepnęła:

- Później, w meczecie...

Tak jak ustalili, udali się do meczetu Al Aqsa. Zaledwie zbliżyli się do kopuły, zaledwie dotarli na plac Haram es Szerif, a już Chris poczuł podniecenie, ostatecznie przewyciężające jego opory.

Meczet pełen był pielgrzymów z Arabii Saudyjskiej, przybyłych by obejrzeć najodleglejsze miejsce, do którego dotarł Prorok. W głębi wielkiej budowli przeszli do kaplicy Czterdziestu Męczenników.

Tu kochali się na stojąco, pod osłoną bawełnianych sukien, pod nosem zgromadzonych.

- Ona nie nazywa się Debora Kennedy! - wrzeszczał Mel Philip.

Christopher czuł, że za chwilę zemdleje. W co też był wplątany? Tamten chodził wzdłuż i wszerz biura niczym kadet z West Point na defiladzie.

- Wszystkie dane personalne, jakie podała przy przyjmowaniu jej do pracy, są fałszywe! - kontynuował Philip. - Pittsburgh, miejsce urodzenia: kłamstwo! Jej ojciec, pośrednik w handlu nieruchomościami w Seattle: kłamstwo! Jej matka, mieszkająca w Genewie: kłamstwo! Jej ojczym, dyplomata w FAO: kłamstwo! Słyszysz mnie pan? Kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo!

- Ale przecież ma jakiś paszport, ktoś go jej wydał...

- Fałszywy!

- Ale przecież musi mieć jakieś nazwisko, to można odnaleźć...

- Niczego! Jakby wyszła z morza. FBI nie odnalazło żadnego śladu, który by pozwolił na sprawdzenie, skąd się wzięła. Rozumie pan, że prowadzący śledztwo chcieliby ją teraz przesłuchać i nie byłiby zdziwieni gdyby odnaleziono jej dane w kartotece terrorystów!

- Pan bredzi! - zaprotestował Christopher. - Od początku czułem, że pan coś knuje! Pan jej po prostu nienawidzi, to wszystko!

- Dowody są oczywiste, Beam. Niech pan nie zaprzecza oczywistościom.

- Zabraniam panu ją niepokoić!

- A co pan o niej wie, żeby mi tego zabraniać? - spytał Philip z nagłą łagodnością.

Pytanie to przeraziło Chrisa. Było gorsze niż wszystkie wcześniejsze insynuacje, gdyż zawierało je wszystkie naraz. Tak, co właściwie o niej wiedział? Starał się zmusić do odpowiedzi na to pytanie. Wiedział, że wszystko zaczęło się w Hadassie po przyjęciu jej do pracy. Że posiadała mikrokomputer i modem. Że jej praca polegała na wpisywaniu danych do centralnego komputera szpitala i że w związku z tym miała mnóstwo czasu, by przełamywać zabezpieczenia bez zwracania czyjejkolwiek uwagi. I że teraz wiedziała, że ten kto uszkodzi system informatyczny Hadassy zmusi Imama do milczenia.

Zawrót głowy. Niezależnie od tego, jak brzmiało jej prawdziwe nazwisko, Christopher pomyślał, że kochał Deborę miłością, która zastępowała mu moralność i że być może pokochałby ją jeszcze bardziej, gdyby się okazało, że to ona jest Arturem. Lecz sam nie wierzył w to ani przez chwilę, gdyż oznaczałoby to, że go zdradziła, a to podważało wszystko. Zamierzał bronić jej aż do śmierci i postanowił uzbroić się w odwagę i przebiegłość, tak jak mormoni gromadzą broń i żywność po piwnicach w oczekiwaniu na Armageddon.

Kiedy właśnie zamierzał rozpocząć kontrofensywę ktoś wszedł do pokoju. Był to Victor Winsfield, jeden z jego współpracowników.

- Dziewięćset kilobajtów zniknęło z pamięci stałej w systemie analizy wydziału nuklearnego rezonansu magnetycznego! - wykrzyknął.

Beam i Philip pobledli. Być może oznaczało to początek katastrofy: piratowi nie wystarczało już zaspokajanie własnej ciekawości - tym razem po raz pierwszy zniszczył fragment centralnej pamięci komputera.

- Tego już za wiele! - warknął Mel Philip. - Gwarantuję, że jeszcze dziś wieczór znajdzie się w mamrze!

Christopher wrzucił kilka monet do automatu. Debora była w domu, tego dnia nie pracowała.

- Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć - wyszeptał. - Spotkajmy się przed muzeum Izraela. Nikomu nic nie mów i pośpiesz się.

Odłożył słuchawkę.

W chwilę później Chris wsiadał do swego Buicka na parkingu.

Ruszył i skierował się ku białej kopule muzeum.

Debora czekała na ławce. Wsiadł i bez słowa pocałował ją. Potem powiedział:

- Chodź!

- Dokąd jedziemy?

- Do mnie. Na razie...

- Co chcesz powiedzieć?

- Wsiadaj!

Ku jego wielkiemu zdumieniu podeszła do samochodu od strony kierowcy i siadła za kierownicą.

Pozwolił jej prowadzić. Ruszyli w stronę Ein Kerem. Pierwszą część drogi przejechali w milczeniu, jak gdyby słowa mogły zranić ich oboje. Droga prowadziła przez wzgórza Hadassy, po czym schodziła w dół ku niżej położonej wiosce.

Tu, na początku wielkiego zjazdu, zaczął zadawać pytania. Było to jakby otworzył się kran, z którego wylał się gorzki strumień wątpliwości i podejrzeń.

Słuchając bez odpowiedzi niekończącego się potoku pytań, Debora wrzuciła luz i wyłączyła stacyjkę. Samochód sunął teraz w dół cicho i powoli niczym łódź po wodzie. Debora zrećnie wchodziła w zakręty. Jednakże pod wpływem swego ciężaru i rosnącego spadku szosy Buick rozpędział się stopniowo, aż w końcu śmigał pomiędzy rosnącymi na poboczach krzakami niczym diabelska strzała. Od czasu do czasu mijali jadący w przeciwnym kierunku pojazd, który przelatywał koło nich z cichym sykiem.

Przerażony Christopher wrzasnął:

- Do cholery, zwariowałaś? Rozwalisz samochód przez te idiotyzmy!

Puściła kierownicę. Samochód pędził teraz z wielką szybkością w dół bez żadnej kontroli.

Chris wzdrygnął się i chwycił za kierownicę. Był cały spocony ze strachu. Spojrzenie rzucone na Deborę przekonało go, że jest ona jakby nieobecna, całkowicie obojętna wobec tej samobójczej jazdy.

Sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Sto sześćdziesiąt Sto siedemdziesiąt.

Zakręty stawały się coraz ciasniejsze. Zgięty w pół Chris gwałtownie zmieniał kierunek jazdy, powodując pisk opon.

Nagle przedni lewy błotnik z wielkim hałasem uderzył w słup sygnalizacyjny i samochód odbił w lewo. O włos rozminął się z motocyklistą jadącym z przeciwka i znalazł się o parę centymetrów od brzegu wąwozu. Ostрым szarpnięciem kierownicy Chris odzyskał kontrolę nad wozem.

Sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Sto dziewięćdziesiąt.

- Zatrzymaj! Błagam cię, zatrzymaj!

Nic nie skutkowało. Debora siedziała pogrążona w medytacjach i blokowała dostęp do pedałów.

W oddali Chris dojrzał konwój ciężarówek, przejeżdżający w poprzek szosy. Dwieście na godzinę. Katastrofa była blisko. W oczekiwaniu na uderzenie czuł już na wargach smak własnej krwi i pogruchotanych kości.

I nagle mocniej ścisnął kierownicę.

- Trzymaj się! - wykrzyknął.

Gwałtownym ruchem, powodując wycie opon, skręcił w prawo, wyrzucając samochód z szosy w kierunku idącego tu pod górę zbocza.

Rozległ się zgrzyt pękających blach. Kołpak jednego z kół potoczył się w kierunku krzaków. Młode drzewko wyrwało boczne lustro. Kolczaste krzewy smagały karoserię. Podrzucony uderzeniami o skały, z popękany zawieszonym, samochód tracił szybkość sunąc pod górę. Wreszcie zatrzymał się na gęstych krzakach i zapadła cisza.

Ciężko dysząc, rozstrojony nerwowo, Chris poczuł na karku chłodny dotyk zagłówek. Minęła dłuższa chwila. Czuł się jakby pozbawiony ciała i myśli, jakby zdarzenie to odebrało mu wszelką energię i masę. Zwrócił się do Debory siedzącej sztywno i obojętnie.

- Debora - wyszeptał - dlaczego? Dlaczego to zrobiłaś?

Sporzała mu prosto w oczy.

- Teraz wiesz, jaki efekt mają twoje pytania.

Odpowiedź ta przeraziła go. Wyprostował się i zacisnął pięści.

- Do cholery, co w tobie jest takiego o czym nie wiem, co zamienia cię w kamień, w muszlę, która się zamyka? Co to za tajemnica? Kim

jestes? A ja, jak ja teraz wyglądam? Czy pomyślałaś o mnie, o tym co czułem kiedy mi uświadomiono, że mnie okłamywałaś i że policja podejrzewa cię o przynależność do terrorystycznej siatki? Czy nie rozumiesz, że mnie to załamuje?

Milczała; przypomniał sobie pierwszy dzień, kiedy wyglądała jak dotknięta afazją.

Pomyślał chwilę. Potem zdecydowanie powiedział:

- Przedwczoraj z Waszyngtonu przyjechali ludzie z FBI. Przeprowadzili śledztwo, z którego wynika, że jesteś podejrzaną numer jeden w sprawie piractwa komputerowego w Hadassie. Wiem - a przynajmniej sądzę - że to absurdalne, ale oni trzymają się sprawy twojej fałszywej tożsamości i tego, że miałaś fizyczną możliwość włamania się do systemu i to im wystarczy.

- No to co? - odparła wyzywająco.

- Pomogę ci czy tego chcesz czy nie, nawet jeżeli to twoje milczenie ma mnie zniszczyć!

Zamienili się miejscami. Włączył stacyjkę i zawrócił. Samochód potoczył się po kamieniach i odpadło od niego jeszcze kilka kawałków blachy. Wkrótce znaleźli się z powrotem na asfalcie i skierowali się ku Ein Kerem.

- Zostaniesz u mnie - wyjaśnił jej. - Nikomu nie będziesz otwierać i z nikim nie będziesz rozmawiać.

- A ty?

- Ja mam dużo do zrobienia.

Więcej jej nie powiedział uważając, że teraz jego kolej na tajemnice. W chwilę później zajechali przed jego dom. Wysadził ją i natychmiast ruszył do Jerozolimy.

Christopher obszedł grobowiec pierwszy raz, bez skutku. Ruszył jeszcze raz, przyglądając się wszystkim kapłanom, których spotykał. Przez pomyłkę zagadnął jakiegoś metropolitę, podszedł do patriarchy i naraził się Ormianinowi.

Przed grobowcem stała kolejka turystów, zagradzająca drogę ku Pępki Świata. Jakiś mnich sprzedawał święte obrazki, przybrane wysuszonymi kwiatami. Nagle rozbrzmiały kantyki, basowe głosy przypominały dźwięk organów. Procesja ubranych na brązowo mniichów, zdążająca od strony ołtarza Świętej Magdaleny, sunęła mechani-

cznym i obojętnym krokiem maszerującej armii. Rząd pielgrzymów rozstał się przed nimi.

Christopher obszedł budynek kaplicy Anioła i grobu Chrystusa. W kaplicy Koptów, przytulonej do grobowca, nie większej niż strażnicza budka, znalazł starego egipskiego kapłana sprzedającego świece. Poprosił go o pomoc. Starzec doradził, by zwrócić się do greckiego Patriarchatu i wskazał mu drogę. Młody człowiek kupił jedną świecę i oddalił się.

W Patriarchacie został przyjęty przez milczącego biskupa. Mały datek przełamał pierwsze lody. Człowiek, którego szukał, był zapewne w swojej wspólnotce, modlącej się w kościele Świętego Jakuba od Greków.

Christopher pobiegł do wskazanej kaplicy. Około pięćdziesięciu prawosławnych duchownych pogrążonych było tu w modlitwie, wśród dymu kadzidła i lśnienia złożonych i srebrzonych brokatów. Chris chodził wzdłuż rzędów, wpatrując się w twarze i udając obojętność, niczym fizjonomista w kasynie.

I nagle rozpoznał kapłana, którego wtedy widział. Ten ostatni siedział pochylony nad brewiarzem, a czarne nakrycie głowy kołysało się w rytm modlitwy.

- Pst! - syknął Christopher.

Kapłan zerknął w bok i ponownie zagłębił się w modlitwie.

- Pst! Pst! - nalegał Christopher.

Dwadzieścia głów zwróciło się ku niemu z wyrzutem.

Zmienił taktykę i stanął na stopniu katedry, skąd zaczął dawać znaki rękami. Czuł, że wygląda groteskowo, lecz udało mu się ponownie zwrócić na siebie uwagę duchownego. Ten, zniecierpliwiony, wstał, przecisnął się do końca ławy potrącając swoich sąsiadów i ruszył ku wyjściu, gdzie poczekał na Beama.

- Ojcie, przepraszam, że przeszkadzam - powiedział Beam. - Muszę z ojcem porozmawiać.

Ruchem głowy kapłan nakazał mu iść za sobą. Przeszli do spokojnej kaplicy, w której spoczywa Józef z Arymatei.

- Zna ojciec młodą kobietę, która się nazywa Debora Kennedy... - zaczął Christopher.

- Nie - przerwał mu sucho kapłan.

- Być może znają ojciec pod innym nazwiskiem. Debora Kennedy to, jakby to powiedzieć... jej pseudonim! Chodzi o młodą kobietę, która

z ojcem rozmawiała w grobowcu siedem tygodni temu. Wyszła wtedy zrozpaczona, cała we łzach. Nie mógł ojciec o tym zapomnieć.

Obserwował kapłana. Jego broda lśniła tak mocno, jakby była wypomadowana. Zasłaniała grubo ciosane rysy twarzy. Spoglądające spod krzaczastych brwi oczy unikały bezpośredniego spojrzenia, były rozbiegane, czujne. W świetle oliwnych lampek jego cera wydawała się ziemista.

- Nie mógł ojciec o niej zapomnieć - nalegał Christopher.
- Nie wiem, o kim pan mówi - zaprzeczył kapłan.
- Proszę sobie przypomnieć! Rozmawialiście tak długo!
- Z pewnością myli mnie pan z kapłanem prawosławnym. To rozumiałe, jesteśmy do siebie bardzo podobni...
- Proszę mi wybaczyć, że nalegam...
- To zbyteczne.

Christopher zawahał się. Twarz kapłana zamknęła się, nic już z niego nie wydobędzie.

- A gdybym ojcu powiedział, że to kwestia życia i śmierci? - spróbował jeszcze.

- Pan mnie przecenia: te sprawy nie należą do mnie. A teraz proszę pozwolić mi powrócić do modlitwy.

Chris zrezygnował.

Wyszedł z kaplicy wściekły: rozpoznał kapłana z taką samą pewnością, z jaką rozpoznawał siebie samego w lustrze.

Powróciwszy do Ein Kerem Christopher nie zastał Debory. Bezskutecznie przeszukał okolice domu. Ogarnięty wściekłością i niepokojem, rzucił się do Buicka i ruszył z piskiem opon.

W ulicze Salh-ed-Din, gdzie mieszkała, obowiązywał zakaz ruchu. Pozostawił więc samochód u jej wylotu.

Kiedy ujrzał dom Debory, usłyszał syreny policyjne. Serce zabiło mu mocniej. Zaczął biec. Zobaczył zbiegowisko gapiów i gestykulujących policjantów.

W momencie kiedy nadszedł, w drzwiach pojawiła się Debora. Dwaj mężczyźni trzymali ją pod rękę i prowadzili do furgonu. Inni policjanci stali w pogotowiu nieopodal. Była blada i zachowywała się obojętnie, z godnością robiącą wrażenie na tłumie.

Christopher zbliżył się ze ściśniętym gardłem. W pobliżu stał Charles Stroud z FBI, Mordechaj Kiru i szef policji Jerozolimy. Wszędzie dookoła widać było amerykańskich oficerów w cywilu, rozpoznawalnych po jasnych garniturach i przeciwsłonecznych okularach Ray-Ban, którzy przyglądali się aresztowaniu.

Zachowująca się dotąd biernie dziewczyna nagle zaczęła się buntować. Ugryzła do krwi w nadgarstek policjanta po prawej, po czym uderzeniem kolana zmiażdżyła jądra mężczyzny trzymającego ją po lewej. Obaj policjanci, porażeni bólem, rozluźnili uchwyt.

Debora roztrąciła gapiów, przemierzyła tłum i rzuciła się w jakąś uliczkę. Biegła co sił w nogach. Dwudziestu izraelskich i amerykańskich policjantów rzuciło się w pościg. Debora zagłębiała się w labirynt starego miasta, którego przejścia i zaułki znała na pamięć.

Christopher pobiegł za wszystkimi.

Debora kierowała się w stronę krytego bazaru.

Stragany kupców i gęsty tłum kupujących hamowały posuwanie się policjantów, lecz młoda kobieta bez przeszkód prześlizgiwała się wśród zwalów mięsa, stosów suszonych owoców i dzieci grających w kości na gołej ziemi.

Dwóch policjantów poślizgnęło się na resztkach ryb łamiąc sobie zębra na kamiennych schodach. Biegący z tyłu Christopher nadrobił opóźnienie i zbliżał się do czoła pościgu.

Debora skręciła w lewo, w pustą uliczkę. Charles Stroud wyciągnął pistolet i wycelował w nogi. W nagłym przyptywie energii Christopher przyśpieszył i zrównał się z agentem, którego mocno potracił ramieniem. Strzał poszedł w bok. Kula odbiła się o ścianę i zniknęła pod sklepieniem. Stroud wykrzyknął przekleństwo i rzucił na Christophera mściwe spojrzenie.

Debora biegła daleko w przodzie.

Zobaczyli, jak skręca w ślepią uliczkę. Ruchem ręki szef policji izraelskiej pohamował swoich ludzi i zgromadził ich u wejścia do

Christopher trzymał się z tyłu. Debora zbyt dobrze znała stare miasto by w tak głupi sposób dać się osaczyć.

Na końcu zaułek zakręcał i nie było widać, co jest w głębi. Ludzie Strouda i Kiru ruszyli w zwartym szyku.

- Mamy rybkę w sieci - roześmiał się głośnie Stroud.

Nagonka szła do przodu.

Doszli do zakreću. Radość agenta FBI była przedwczesna: Debora zniknęła.

Przeszukali zaułek i wszystkie domy. Po Deborze Kennedy nie został najmniejszy ślad.

- Ona jest samym diabłem! - ryknął Charles Stroud. - Diabłem!

Christopher zawrócił, przygnębiony i przyszło mu do głowy, że być może tym razem agent FBI miał trochę racji.

14 ALBINOS

Pomimo wieczornego ciepła Christopher czuł, że lodowaty chłód przenika go aż do kości. Przeszedł go dreszcz. Zbyt wiele wydarzyło się od czasu pogrzebu Nicholasa Fultona. Niczym w przeciążonej maszynie jego wewnętrzne mechanizmy odmawiały posłuszeństwa.

Miniony dzień bardzo naruszył jego pozycję: dwukrotnie Deborze udało się ująć policji wyłącznie dzięki niemu. Po południu dał jej schronienie u siebie kiedy inspektorzy jechali na ulicę Salh-ed-Din. Później, kiedy sama rzuciła się w paszczę lwa, Chris uniemożliwił skuteczny strzał Charles'owi Stroudowi, celującemu jej w nogi.

Po tym ostatnim incydencie Christopher unikał ludzi. Zdawał sobie sprawę, że sam stał się podejrzanym i że jego zachowanie zaintrygowało Strouda.

Udawał, że ogląda wystawę antykwariusza. Dwóch policjantów stało na straży przed domem na Salh-ed-Din i zależało mu by wyglądać niepozornie. Na wystawie, pomiędzy menorą z posrebrzanego metalu i rzeźbioną w kości płytką pomalowaną jak perskie miniatury, zauważył rycinę przedstawiającą Orestesa walczącego z Furiami. Choć nie było mu do śmiechu, rozpoznał samego siebie, miotającego się pomiędzy Arturem, Deborą i FBI.

Na końcu ulicy rozległy się pijackie wrzaski. Zataczając się nadchodzili dwaj mężczyźni. Opierali się jeden na drugim. Nieznośnie

fałszując ryczele jakąś pijacką pieśń, której słowa mówiły coś o dziewicy i odszpuntowanej beczce.

Jeden z pijaków zrobił fałszywy krok i puścił swego kolegę, który upadł, wstał i zaczął wygrażać tamtemu pięścią. Wybuchła sprzeczka. Zaczęli się bić niczym dwa ociężałe niedźwiedzie.

Powstało zbiegowisko. Kątem oka Christopher obserwował policjantów. Ci wahali się pomiędzy obowiązkiem pilnowania domu a koniecznością przywrócenia porządku publicznego, jawnie pogwałconego na ich oczach.

Po krótkiej naradzie postanowili interweniować. Opuścili posterunek i zbliżyli się do awanturujących się pijaków.

Przesuwając się blisko ścian Chris wszedł w bramę i znalazł się na klatce schodowej. Z zewnątrz dobiegały jeszcze okrzyki. Pijacy udawali teraz oburzenie, a w programie był jeszcze atak epilepsji. Amerykanin z zadowoleniem pomyślał, że przedstawienie warte było wydanych osiemdziesięciu dolarów.

Trzeba było działać szybko. Po omacku szukał wyłącznika światła. W tym momencie otarła się o niego jakaś postać: ktoś zbiegał po schodach i kierował się ku wyjściu, ukradkiem, korzystając z ciemności. Dziwna sylwetka, pomyślał Christopher. Na ile mógł się po ciemku zorientować, postać należała do kobiety w ciąży. Miała na sobie ciemną sukienkę, naciągniętą na brzuchu i sięgającą do ziemi. Wydawało mu się, że miała wysoki kapelusz albo ekstrawagancką fryzurę, niczym na maskaradę. W prawej ręce niosła ciężki wiklinowy kosz, którego spłoty trzeszczały w sposób przypominający pisk myszy.

Palec Christophera napotkał wyłącznik. Światło włączyło się, nieznajoma zniknęła nie czekając aż zrobi się jasno. Pieszko wszedł na czwarte piętro.

Debora nienawidziła rutyny wspólnego życia. Zawsze starała się, by żadne z nich nie przyzywczało się do drugiego poprzez powstanie więzów wspólnej własności, jak choćby posiadanie wspólnych kluczy. Dlatego Chris miał ze sobą żelazny drut; kiedyś, w college'u, nauczył się sztuki otwierania zamków przy pomocy zwykłych biurowych spinaczy.

Trzy minuty później był w mieszkaniu Debory.

Uważał, by nie otworzyć zbyt szeroko drzwi, bojąc się że kotka Aurora skorzysta z tego i ucieknie. Ostrożność ta okazała się jednak zbyt uczynna: przemierzył całe mieszkanie, zaglądał pod poduszki i pod łóżko, lecz jej nie znalazł.

Przyszedł w konkretnym celu, toteż natychmiast podszedł do szafy. Jego dłoń przebiegła po półkach. Wsuwała się pod ubrania, pomiędzy stosy swetrów, wślizgiwała w jedwabie i nylony, przesiąkała zapachem ciała, jasnego tytoniu i wody kolońskiej. W trakcie tego przeszukania cały czas Chris myślał o ciele Debory. Jednocześnie czuł obrzydzenie do tej rewizji. Był na siebie wściekły: dręczyły go wyrzuty sumienia włamywacza i gwałciciela zarazem.

Kiedy bezskutecznie przeszukał wszystkie szafy, zdał sobie sprawę z oczywistości: japoński mikrokomputer i modem zniknęły. A przecież widział, jak Debora uciekała z pustymi rękami. Przez chwilę sądził, że to policja skonfiskowała oba przedmioty. Ale nie, to było niemożliwe: mieszkanie nie zostało jeszcze przeszukane.

Przypomniał sobie wówczas sylwetkę nieznajomej schodzącej ze schodów i walnął się ręką w czoło. Oczywiście! Ktoś był tu już przed nim i za kobietę w ciąży wziął cię grekokatolickiego kapłana! Duchowny, z charakterystycznym nakryciem głowy, wsunął komputer pod sutannę, a kotkę zamknął w wiklinowym koszyku. Jaką rolę odgrywał w tym wszystkim, co miał z tym wspólnego? Christopher poczuł, że kręci mu się w głowie.

Półgłosem wymówił imię Debory i imię to stało się jakby nazwą dręczącej go choroby. Stąd zapewne te przyływy gorączki i te majaczenia, w których dziewczyna grała główną rolę.

Ułożył rzeczy z powrotem w szafie i wyszedł. Cała jego wizyta trwała zaledwie kilka minut. Zamknął za sobą drzwi i zbiegł po schodach. Wyszedł na ulicę bez przeszkód: awantura na jezdni nadal absorbowała obu policjantów.

A tymczasem zapadła noc. Christopher postanowił udać się do szpitala, by wziąć tam trochę środków nasennych.

Następnego dnia rano Christopher Beam i Charles Stroud odbyli burzliwą rozmowę.

- Mógłbym pana kazać zamknąć za współudział! - ryczał agent FBI.

- Pastwi się pan nad niewinną osobą!

- Niewinne osoby nie noszą fałszywych paszportów i nie uciekają na widok policji. Mamy dobrych pięćdziesiąt powodów, żeby ją podejrzewać! Co do pana, Beam, to nie wiem jeszcze co pan knuje.

Podobno musimy zostawić pana na wolności, bo tylko pan potrafi obsługiwać system Golden Gate. Ale niech pan pamięta, że mam pana na oku. Proszę uważać: jeden fałszywy krok i dostanę pana!

Charles Stroud nie blefował: w jego spojrzeniu paliła się nienawiść.

Dziesięć lat wcześniej policjant wyspecjalizował się w przestępstwach informatycznych. Będąc sam nieudacznym informatykiem, bardzo przeżył, kiedy jego koledzy z roku na MIT rozpoczęli karierę programistów i odwrócili się od niego, ponieważ został gliną. Teraz miał okazję do rewanżu. Upowszechnienie się informatyki spowodowało powstanie nowych form przestępczości rozprzestrzeniających się po świecie. Większość ludzi nie zdawała sobie jeszcze z tego sprawy. By powstrzymać tę falę potrzebni byli teraz tacy, jak on.

Charles Stroud poprawił kapelusz i odwrócił się na pięcie.

Chris, zaniepokojony groźbami policjanta, poszedł do swego biura.

Artur każdego dnia coraz głębiej wciskał się w zasoby centralnej pamięci. Zachowywał się jak ranione zwierzę, albo jak kapryśne dziecko i bez skrupułów niszczył wszystko, co spotkał na swej drodze. Obcinał jakby maczetą szarą substancję komputera, jego przejście znaczone było szerokimi przecinkami, przypominającymi autostrady w dżungli

Za wszelką cenę trzeba było ratować program Golden Gate. Dlatego Christopher opracował system ratunkowy nazwany Pies o Trzech Głowach, w nawiązaniu do Cerbera, trójgłowego psa pilnującego piekła starożytnych Greków.

Każdy podprogram miał w komputerze swoją kopię. Redundancja ta pozwalała, by w przypadku uszkodzenia jakiegoś fragmentu systemu całość mogła dalej funkcjonować. Nic jednak nie stało na przeszkodzie, by Artur zabrał się za jakiś podprogram i przy okazji zniszczył jego kopię. Dzięki Psu o Trzech Głowach każde zniszczenie serii instrukcji pociągało za sobą natychmiastową reduplikację jej kopii. Dzięki temu żaden podsystem, pozbawiony swego bliźniaka, nie mógł zostać zagrożony.

Utworzono zaszyfrowane połączenie między biurem Christophera i ośrodkiem kierowanym przez syna Imama oraz hojatoleslana Gorganiego. W Dżamaranie Imam nadal podejmował podstawowe decyzje dotyczące jego kraju, a ajatollah Zardechani trzymał się na uboczu. O zakładnikach nie było wiadomości. Gorgani prowadził nieustające

rozmowy z wielkimi ajatollahami, z armią i z parlamentem, by pokrzyżować plany rywala. System Golden Gate działał doskonale, za jego pośrednictwem faghi recytował sury z Koranu i wiersze.

Inne zaszyfrowane połączenie przeprowadzono między Christopherem a Edwinem Langmanem, szefem Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Chris poinformował tego ostatniego że odtąd na straży projektu Golden Gate stoi Pies o Trzech Głowach.

- Cała policja izraelska poszukuje pirata - tłumaczył Edwin Langman prezydentowi.

- Wysłałem tam naszych najlepszych specjalistów od przestępczości informatycznej - dodał Lee Weaver, dyrektor FBI.

Prezydent z zadowoleniem popatrzył na sześciu ludzi, którzy po raz kolejny zasiedli przy stole Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Atmosfera była rozluźniona, czuło się, że nadchodzi rozwiązanie kryzysu.

- Są podejrzeni? - spytał.

- Sądzymy, że wiemy kim jest pirat - odparł Weaver. - To kobieta, która została przyjęta do pracy pod fałszywym nazwiskiem. Udało się jej uciec, ale wkrótce ją odnajdziemy.

- Co z Gorganim?

- Być może - powiedział Shawn Karmichael - niedługo będzie w stanie przejąć władzę i stanąć na czele rady powierniczej. Imam nie może już odwołać nominacji Zardechaniego, bo została ona zatwierdzona przez wszystkie kompetentne władze, lecz Gorgani stara się przekonać radę ekspertów, a także wielkich ajatollahów, o potrzebie wprowadzenia władzy kolegialnej pod przewodnictwem tendencji umiarkowanej. Sądzymy, że potrzeba mu jeszcze dwóch do trzech dni, by osiągnąć cel. Dla zachowania pozorów, wysunie wówczas pewne warunki finansowe w zamian za uwolnienie zakładników i sprawa będzie załatwiona.

- A co się stanie jeżeli pirat uszkodzi system Golden Gate?

- Zniszczenie programu oznaczałoby milczenie Imama. Zardechani przejąłby władzę natychmiast. Taka ewentualność miałaby dramatyczne skutki dla zakładników. Wiemy skądinąd, że Rosjanie popierają Zardechaniego. Marzą o tym, by sytuacja kryzysowa skłoniła nas do agresji na Iran, co pozwoliłoby im z kolei interweniować.

- Na szczęście - wtrącił Edwin Langman - otrzymałem wiadomość, że na pirata znaleziono lekarstwo.

- Czy wymyślono sposób, żeby uniemożliwić mu dostęp do Golden Gate?
- Niezupełnie, panie Prezydencie. Ale wszelkie szkody, jakie mógłby poczynić w programie, pozostaną bez efektu, bo jeśli dobrze zrozumiałem wówczas powstaną automatycznie kopie programu.
- Sekretarz Obrony Donald Parker poprosił o głos.
- Obawiam się, że mimo tego zabezpieczenia - powiedział - system Golden Gate jest zagrożony...
- Sześć twarzy zwróciło się ku niemu.
- Przecież właśnie powiedziałem, że... - zaprotestował Edwin Langman.
- Ale nie wie pan o jednym... - odparł tamten.
- Do rzeczy proszę! - rozkazał prezydent.
- Panie Prezydencie, to co mam do powiedzenia stanie się jaśniejsze, jeżeli zechce pan pojechać do Pentagonu na mały... pokaz.

Sekretarz Obrony i Edwin Langman szli pierwsi. Po dłuższym marszu - korytarze Pentagonu liczyły w całości ponad dwadzieścia osiem kilometrów - dotarli do serca budowli, składającej się z pięciu koncentrycznych pierścieni. Dochodząc do pierścienia „A” przeszli przez kilka pancernych służ. Wreszcie znaleźli się w sali przypominającej kaplicę, w której na miejscu ołtarza umieszczono ścianę luster.

- Czy zostałem skazany? - zażartował prezydent wskazując na coś w rodzaju krzesła elektrycznego, stojącego naprzeciwko luster.

Na znak Donalda Parkera, sekretarza Obrony, naukowcy w lotniczych mundurach poprosili go, by usiadł.

- To z pewnością czerwony dzień! - wykrzyknął wybuchając śmiechem.

Była to aluzja do dni, uznanych przez astrologa jego żony za niesprzyjające. Dnie sprzyjające były zielone, a nieokreślone - żółte. Odpowiednio do tych kolorów sekretarz generalny Białego Domu ustalał rozkład zajęć prezydenta, aż do dnia, w którym jeden z dawniej piastujących to stanowisko urzędników, opisał ten proceder w swoich pamiętnikach słowami, które sprawiły, że Ameryka płakała ze śmiechu.

Jeden z naukowców umieścił prezydentowi na głowie elektrody, podczas gdy Edwin Langman wyjaśniał mu działanie systemu Golden Gate.

Poproszono prezydenta, by skoncentrował się na elektroencefalograficznej krzywej mózgowego ośrodka wzroku i by sam kierował jej przebiegiem. Krzywa robiła się coraz bardziej płaska w miarę, jak prezydent się odprężał.

Oficer lotnictwa wcisnął przełącznik. Po drugiej stronie lustra rozjarzyły się światła i okazało się, że w rzeczywistości są to odblaskowe szyby. Za nimi, w półkolistej przestrzeni, znajdowała się kolonia małych reżusów. Było ich około pięćdziesięciu, zebranych na gałęziach wyschniętego drzewa.

- Boże! - wyszeptał prezydent. - Zupełnie jak w zoo w Bronxie!

W sterylnej atmosferze sali doświadczalnej, małpki wyglądały jak pluszowe zabawki, artystycznie rozmieszczone na bożonarodzeniowej wystawie przez dekoratora domów towarowych. Jadły banany, iskały się wzajemnie z czułością, niektóre sprzeczały się między sobą, choć przez szyby nie przenikał żaden dźwięk.

Oficer kierujący badaniami poprosił, by prezydent skupił uwagę na jednej z małych nie mówiących, którą wybrał. W chwili kiedy uzna, że osiągnął najwyższą koncentrację, prezydent miał wcisnąć guzik umieszczony w poręczy krzesła.

Donald Parker i Edwin Langman trzymali się z tyłu, by nie przeszkadzać w przebiegu doświadczenia.

Spojrzenie prezydenta skupiło się niczym obiektyw kamery. Soczewki jego oczu skupiły się na jednej z pluszowych zabawek. Palec prezydenta wcisnął guzik.

Dał się słyszeć wystrzał. Jedna z małych spadła z drzewa, na jej brzuchu widać było czerwoną plamę. Można było odgadnąć odgłos uderzenia jej ciała o podłogę, przypominający odgłos worka białizny uderzającego o ziemię. Odgłos miękki, obrzydliwy i dyskretny. Pozostałe małpy szczerząc zęby, rozbiegły się podniecone. Skakały z jednej gałęzi na drugą, potraçały się, ogarniała je panika: wyczuły śmiech. Rozwścieczony prezydent zwrócił się ku sekretarzowi Obrony.

- To obrzydliwe - wrzasnął. - Do cholery, Parker, co pana napadło?

- Chciałem, żeby pan zobaczył, jakie badania prowadzone są na bazie systemu Golden Gate. Nasi specjaliści starają się sterować systemem celowania bezpośrednio z mózgowego ośrodka wzroku. Chcielibyśmy, na przykład, żeby pilot myśliwca mógł strzelać celnie bez

możliwości pomyłki. System, w którym wzrok wystarczyłby do kierowania ogniem dawałby znaczną przewagę.

- Nie celowałem do tej małpy, tylko do innej, do tego małego albinosa, który siedzi na gałęzi z tyłu!

- Mamy jeszcze wiele do zrobienia.

- Ale jaki to ma związek z Imamem i z piratem z Hadassy? - spytał Edwin Langman.

- No więc - wyjaśnił Donald Parker - stary Nicholas Fulton, wynalazca Golden Gate, naturalnie nie przewidział takiego rozwoju swego systemu. Kiedy ustalono, że badania kontynuowane będą przez Christopera Beama do celów cywilnych, chcieliśmy sobie zapewnić wyłączność zastosowań wojskowych. Dlatego eksport programu Nicholasa Fultona do Izraela wymagał pewnych działań jednego z naszych informatyków.

- Jamesa Beama - dodał Langman.

- Byłego astronauty? - spytał prezydent.

- Tak, a ponadto ojca Christopera Beama.

- A jakie to było działanie? - spytał Langman.

- Wysłaliśmy Jamesa Beama do Jerozolimy. Tam wpisał do serca systemu Golden Gate podprogram, składający się z paru wierszy instrukcji. Ma on działanie powstrzymujące: uniemożliwia całemu programowi samozniszczenie. Gdyby przeciwnik, mając dostęp do systemu, dotknął się tej „bomby” starając się rozszyfrować program, wówczas nastąpi wymazanie wszystkiego z pamięci.

Langman zbladł. Prezydent natomiast jeszcze nie zrozumiał konsekwencji, wynikających z tego co mówił sekretarz Obrony.

- Don - powiedział błagalnie szef Narodowej Rady Bezpieczeństwa - czy chce pan powiedzieć, że w sercu systemu Golden Gate umieściliście minę?

- Tak, dokładnie tak. Minę gotową wybuchnąć i zniszczyć cały system jeśli ktoś się do niej dotknie.

Tym razem prezydent zrozumiał. Spojrzał przez lśniące szyby na trupa małej małpki z przestrzelonym brzuchem. Śmierć podążała śladami pirata, choć ten nie był tego świadomy i miała mu towarzyszyć aż do chwili, kiedy przypuści ostateczny szturm na Hadassę.

- Panie Prezydencie - powiedział Edwin Langman - wiemy, że pirat z każdą godziną głębiej wchodzi w system Golden Gate. Niedługo nastąpi katastrofa. Opracowałem plany interwencji komando-

sów, których zadaniem byłoby uwolnienie zakładników. Proszę o zezwolenie na wysłanie ich do Teheranu.

Prezydent myślał z kamienną twarzą. Rozpoczął się wyścig z czasem.

- Czy nie ma mniej ryzykownego sposobu? - spytał.

Langman odgadł, że prezydent myślał o katastrofie desantu, wysłanego przez Jimmy Cartera na odsiecz zakładników w ambasadzie amerykańskiej.

- Panie Prezydencie, nalegam. Musimy być przygotowani na zniszczenie systemu Golden Gate. Upadek Imama jest przesądzone. Jeżeli wówczas zakładnicy będą jeszcze w Teheranie, ich życie nie będzie warte złamanego grosza.

Szef Narodowej Rady Bezpieczeństwa zaciskał nerwowo palce. W sali, gdzie przepisy federalne zabraniały palenia, zapalał papierosa za papierosem. Na jego skroniach błyszczały krople potu.

- Co panu jest, Ed? Źle się pan czuje? - zaniepokoił się prezydent.

- To nic. Cała ta sprawa bardzo mnie niepokoi. Nie mogę znieść myśli o losie zakładników...

- A czy pan myśli, że ja to mogę znieść? Sądzę jednak, że powinniśmy wystrzegać się nieprzemyślanych decyzji. Nie chcę nowej sprawy Tabas. Co pan o tym myśli, Donald?

- Jest może inne wyjście... - powiedział niepewnie sekretarz Obrony.

- Niechże pan mówi! - rzucił Langman niecierpliwie.

- Czy nie sądzi pan, że jedynym człowiekiem, który nam może pomóc, jest właśnie ten, który podłożył tę minę w systemie Golden Gate?

- James Beam?

- Tak. Jeśli nie potrafi jej rozbroić, być może będzie w stanie zneutralizować pirata... To geniusz, jeden z najlepszych programistów na świecie.

Prezydent zamyślił się na chwilę. Następnie zdecydował:

- Ma pan rację, Donald. Proszę wysłać Jamesa Beama do Jerozolimy. Ponadto wezwę ambasadora Izraela: trzeba, żeby policja złapała tę kobietę, o której Lee Weaver mówił, że jest piratem z Hadassy.

- A co z komandosami? - spytał Edwin Langman.

- Postawcie jednostkę w stan pogotowia. Ale wyślemy ich tam tylko w ostateczności.

Szef Narodowej Rady Bezpieczeństwa zamarł. Pomyślał o Janet, o której nie wiedział nawet czy jeszcze żyje i oczyma duszy widział potop ognia i stali zwalający się na Iran.

Przed odejściem prezydent jeszcze raz spojrzął ku gałęziom wielkiego drzewa, uginającym się pod ciężarem stada małą. Mały trup zniknął, wyniesiony przez żołnierza.

Siedzący samotnie na czubku drzewa albinos zdawał się patrzeć prosto w oczy prezydentowi Stanów Zjednoczonych.

Ten ostatni pomyślał, że był to doprawdy czerwony dzień i ruszył ku wyjściu.

Kiedy sekretarz Obrony polecił swemu dyrektorowi gabinetu sprowadzić Jamesa Beama, przypomniawszy mu, że przed trzema tygodniami ten były astronauta złożył podanie o wcześniejszą emeryturę. Donald Parker, który całkowicie o tym zapomniał, własnoręcznie podpisał wtedy zgodę.

Do domu Beama wysłano oficera z bazy lotniczej MacDill w Tampie. Dom, znajdujący się w Boca Raton, był pusty. Sąsiedzi powiedzieli, że Beam wyjechał po tajemniczych przygotowaniach, wskazujących że zamierza udać się na daleką i niebezpieczną wyprawę.

Po przeprowadzeniu dochodzenia wśród rodziny Nicolasa Fultona ustalono, że James Beam przeprosił za nieobecność na pogrzebie swego starego przyjaciela w liście wysłanym z Turcji. Dokument zatrzymano jako dowód rzeczowy. Widniał na nim nagłówek hotelu National w Ankarze. Udał się tam agent CIA: tam też gubił się ślad Beama i dwóch ton sprzętu, które wioził w zaplombowanych kufrach.

15

ARKA ŚNIEGÓW

Christopher Beam wziął czystą kartkę i narysował na niej dziesięciostopniowe schody. Na ostatnim stopniu umieścił na czerwono podobiznę miny, pękaty talerz z zapalnikiem na wierzchu: była to bomba informatyczna, którą ojciec ukrył w sercu systemu Golden Gate. Ocenił też obecną pozycję Artura wynikającą z jego postępu w labiryncie centralnej pamięci: gdzieś pomiędzy szóstym a siódmym stopniem. Kiedy pirat postawi stopę na czerwonym talerzu, wybuch zniszczy wszystko, nastąpi jakby mała Hiroszima, której skutki odczuje Jerozolima, Teheran i Waszyngton.

Chris pomyślał, że na swój sposób narysował rodzaj skali sejsmograficznej. Przypiął pinezką kartkę do ściany i wyszedł.

Zajrzał do domu, mając cały czas nadzieję na znalezienie wiadomości od Debory w skrzynce na listy, albo na automatycznej sekretarce. Nie było jednak niczego. Tylko pustka, która go raniła.

Telegram od Edwina Langmana zawiadamiał go, że CIA nie była w stanie odnaleźć w Turcji śladu jego ojca. Czy nie posiadał żadnej informacji, która mogłaby pomóc w poszukiwaniach?

Christopher przypomniał sobie pobyt ojca w Jerozolimie parę tygodni wcześniej. Pamiętał mistyczną egzaltację, przepelniającą byłego astronautę. Któregoś dnia śledził go idąc za nim po starych uliczkach Mea Szearim, przyglądał się jego dyskusjom z chasydami, a nawet widział go też wchodzącego do talmudycznych seminariów.

Wsiadł w samochód i pojechał do dzielnicy żydowskich integrystów. Zaparkował Buicka na parkingu niedaleko placu Mandelbauma i pieszo ruszył ulicą Mea Szearim, by wkrótce zagłębić się w płataninę bezimiennych uliczek.

Pięćdziesiąt metrów z tyłu podążali za nim dwaj ludzie z FBI, śledzący go od poprzedniego dnia na rozkaz Charles'a Strouda. Szybko przyzwyczaił się do ich obecności, byli jego aniołami stróżami. Chris obawiał się tylko jednej rzeczy: by Debora, próbując z nim się skontaktować, nie wpadła w ich ręce.

Dzielnica przypominała środkowoeuropejskie getto. Mężczyźni poubierani byli w szare kaftany i spodnie przypominające bryczesy. Na głowach nosili tradycyjne futrzane sztreemmele; powiązane wstążkami pejsy zwisały im wzdłuż policzków, okolonych gęstymi brodami. Wracające z chasydzkiej synagogi Beit Jaakow dzieci trzymały się za ręce. Miały na sobie kapelusze, krótkie spodnie, czarne pończochy i zapinane na klamry trzewiki. Kobiety, o ogolonych pod zawiązaną chustką głowach, robiły przedszasbasowe zakupy: był piątek i kiedy pojawi się pierwsza gwiazda na niebie, życie zatrzyma się. Staną windy, zamilkną porzucone domowe sprzęty elektryczne: nic, co może przypominać wysiłek - nawet związany z naciśnięciem wyłącznika światła - nie będzie dozwolone. Kupcy pozamykają sklepy, a samochody, przyłapane w ten dzień modlitwy i odpoczynku w czasie jazdy na ulicy zostaną obrzucone kamieniami.

Christopher zadawał pytania wszystkim, którzy od niego nie uciekali. Kupcom. Przechodniom. Woźnemu sądu rabinackiego. Kaliografowi pochylonemu nad torą. Kabalistom. Jemeńskim fanatykom. Czy widzieli Amerykanina, z tego zdjęcia? Dwóch czy trzech go rozpoznało. Pytał ich o drogę. To było kilka tygodni temu. Szukał domu pewnego Nature Karta, który nazywał się Saul Stein.

Stein mieszkał przy ulicy Dawida, której zgodnie z miejscowym zwyczajem żadna tablica nie wyróżniała spośród innych. Chris przyspieszył kroku. Wreszcie znalazł się przed domem Nature Karta. Na ścianie, wryty w kamieniu, widniał napis: Ten dom nie może zostać sprzedany ani ofiarowany aż do przybycia Prawdziwego Mesjasza. Christopher podwinął rękawy koszuli. Ekstremiści z sekty Nature Karta nie wahali się przed używaniem przemocy. Podszedł do drzwi i uderzył parę razy kołatką.

Otworzył się judasz, za którym pojawiło się czarne oko. Chris czuł, że jest obserwowany. Wynik musiał być pozytywny, gdyż mężczyzna uchylił drzwi. Amerykanin zastanawiał się, czy nie będąc Żydem powinien wchodząc ucałować mezuzę, ów mały okrągły pojemnik z drewna sykomora przymocowany do framugi, zawierający modlitwę wykaligrafowaną na pergaminie? Nie musiał jednak rozwiązywać tego problemu, gdyż pozostał w progu.

- Czego pan chce? - spytał Stein.

Na ile Chris mógł ocenić, był to mały arogancki człowieczek o wojowniczym profilu i wielkim brzuchu notabla. Jego ciemne ubranie zlewało się z mrokiem panującym w przedpokoju.

- Szukam mojego ojca - powiedział Chris pokazując zdjęcie. - Odwiedził pana przed swoim zaginięciem. Chciałbym go odnaleźć. Niech mi pan pomoże!

- Czy nie rozmawiał pan o tym z policją? - spytał z gardłowym akcentem Stein.

Amerykanin przypomniał sobie wszystko, co wiedział o sekcje Naturę Karta.

- Nie, nie mam zaufania do izraelskiej policji!

Twarz jego rozmówcy rozjaśniła się.

- Ma pan rację! Izrael nie istnieje! Izrael to jedno wielkie kłamstwo! Rzucili wyzwanie Bogu i pożąłają tego wszyscy ci, którzy utworzyli to państwo przed przybyciem Prawdziwego Mesjasza!

- Tak - zgodził się Beam dla świętego spokoju. - A teraz proszę mi powiedzieć czego chciał mój ojciec.

- Ten człowiek jest natchniony przez Najwyższego! Mówił mi o Arce.

- Arce Przymierza?

- Nie. Arce Noego. Ja jestem tylko skromnym kupcem ziarna i orzeszków, ale kiedyś opublikowałem na ten temat artykuły i książkę o podstawowym znaczeniu.

- Czego oczekiwał od pana?

- Przechowuję pewne archiwa, o których twierdzi się, że zostały zniszczone w czasie rewolucji rosyjskiej 1917 roku...

- O czym pan mówi?

- Chodzi o sprawozdania patrolu lotniczego, wysłanego przez Mikołaja II celem odnalezienia wraku...

- Wraku?

Christopher nie wierzył własnym uszom. A przecież pamiętał słowa swego ojca: „Niebo i ziemia spotykają się, góry to słupy podtrzymujące niebo!”.

- Chce naukowo udowodnić - kontynuował Stein - że święte teksty należy odczytywać dosłownie i że nie jest to bynajmniej zbiór metafor. To wszystko. Teraz pan już wie. A teraz niech pan szuka ojca tam, gdzie się znajduje: na górze Ararat!

Chris miał uczucie, jakby jakieś szaleństwo ogarnęło świat, zalewając go w przyśpieszonym tempie niby błyskawiczny przypływ morza. Uciekał rozpaczliwie przed przybierającą wodą, lecz ta była szybsza i w każdej chwili groziło mu zatopienie, tak jak to już się stało z Deborah, Arturem, irańskimi mułami, greckim prawosławnym kapłanem i byłym astronautą pogrążonym w mistycyzmie.

Kiedy Christopher powrócił do Hadassy, Artur doszedł już do siódmego stopnia. Centralna pamięć komputera rozsypywała się całymi segmentami. Opróżniała się z zawartości tak, jak wykrwawia się umierające ranne zwierzę.

Wraz z ekipą programistów Chris usiłował zaradzić złu. Lecz zaledwie udało im się coś osiągnąć w jednym miejscu, w innym następowała katastrofa. Artur posuwał się naprzód szybciej od nich, nieuchronnie zbliżał się do krytycznego miejsca, gdzie znajdował się podprogram Jamesa Beama.

Tego samego wieczoru, siedząc przy swoim terminalu, Chris uczył nagle jakby potężny cios w klatkę piersiową. Gdzieś pośrodku ekranu, wśród kabalistycznych znaków stanowiących mowę komputerów, znalazł zdanie równie przystające do otoczenia, co kwiatek do kożucha: „Chciałbym się w tobie rozpuścić”.

Czyżby przywołał przez pomyłkę jakiś postronny dokument? A może przypadkowo podłączył się do banku danych leksykograficznych? Zaskoczony kontynuował pracę.

Parę chwil później na ekranie pojawił się nowy komunikat:

„Chciałbym, jak na starym filmie, zostać zmniejszony do mikroskopijnych rozmiarów i w maleńkiej łodzi podwodnej popłynąć twoimi żyłami, przez twoje tętnice, dostać się aż do twego serca i tam stawić czoło burzy”.

Christopher przetarł oczy: nic nie uzasadniało ani nie tłumaczyło pojawienia się tych zdań na ekranie. Pomyślał o owych paranormalnych zjawiskach zwanych poltergeistami, wywoływanych pod wpływem obecności bardzo silnych indywidualności. Myśli te jednak nie rozbawiły go; powrócił do pracy.

Nieco dalej cała strona, nad którą pracował, została nagle wymazana i oczom jego ukazał się piracki tekst:

„Wniknąłbym głęboko w ciebie. Odkryłbym tam, niczym badacz jaskiń we wnętrzu ziemi, ruch twoich atomów, najtajniejsze ruchy twojej materii. I niczym tonący nurek zagubiłbym się w labiryncie twoich płuc...”

Brednie te nie miały końca. Czując zawrót głowy, Chris usiłował powstrzymać potok słów, lecz był bezsilny i przyszedł mu na myśl tamten zalew, przyływ galopującego szleństwa zalewający świat.

Zdenerwowany Christopher wyłączył komputer. Ekran zgasł. Ujął głowę w dłonie i zaczął płakać. Dziecko, ukryte w jego dorosłym ciele, czuło się zagubione w ciemnym lesie z bajki. Podobnie jak w latach dzieciennych lęków, Christopher czuł się bezradny. Maszyny zaczynały mówić językiem ludzi, ludzie powoływali się na bogów. Świat wokół się zmieniał i nikt nie chciał mu powiedzieć jaką sztukę będą grali w tych nowych dekoracjach.

Coś głęboko w nim było Deborą i kiedy chciał przezwyciężyć zewnętrzne trudności, tam właśnie szukał schronienia. Przyszło mu na myśl, że podobnie w komputerze było też coś takiego, co nazywało się Artur i że to coś wywoływało w maszynie słowa miłości.

Takie właśnie słowa pragnęły usłyszeć od Debory, lub samemu je mówić. Choć wszystko w nim buntowało się przed uznaniem jej za mordercę - a tym przecież powoli Artur się stawał - zaczął odczuwać przyjemność w wyobrażaniu sobie, że przemawia ona do niego z ekranu: niewinne oszustwo, pozwalające na kontynuowanie miłosnej historii. Długo się nad tym zastanawiał. W końcu zmorzył go sen.

W trakcie swego porannego obchodu Dora Benari znalazła go śpiącego na klawiaturze. Potrząsnęła nim. Wyprostował się. Sądząc, że jest ogarnięty rozpaczą po ucieczce Debory, szepnęła mu:

- Nieobecność ukochanych osób czasem panuje nad nami mocniej, niż ich obecność.

Chris nigdy nie słyszał jej mówiącej takie rzeczy. Ale też nigdy nie widział, by komputer mówił o miłości. Może właśnie na tym polegało szaleństwo: nie być już w stanie rozpoznawać ludzi po tym, co mówią.

Jako członek NATO Turcja zgodziła się, by jej wojska brały udział w poszukiwaniach Jamesa Beama.

Wkrótce ustalono, że najął on tragarzy w Erzurum, wielkim mieście na wschodzie kraju. Stąd udał się do Karakose, najął górskich przewodników i kontynuując marsz w kierunku granicy irańskiej założył obóz o dwadzieścia kilometrów od wsi Dogubayazit.

Nieregularny stożkowaty szczyt góry Ararat, sięgający 5.165 metrów, dotykał pułapu chmur. Biel śniegu zlewała się z nimi i James Beam czuł, że rozpiera go radość: tak długo już marzył o ujzeniu tego widoku... Po raz pierwszy od czasu pobytu w kosmosie czuł się ponownie współnikiem Stwórcy, uprzywilejowanym adresatem Jego dobrodziejstw.

Od czasów Marco Polo byli tu inni. Flamandzcy, angielscy i niemieccy podróżnicy widzieli wrak arki. Rosjanie, Francuzi i Amerykanie organizowali ekspedycje. Wyprawa Francuza Navarry przywiozła dębową belkę sprzed pięciu tysięcy lat, wyrwaną z lodowca.

James Beam ani przez chwilę nie wątpił, że potop rzeczywiście miał miejsce. Świadczyło o tym ponad sto starożytnych opowieści, w większości bez związku z tradycją biblijną. Były astronauta twierdził, że dawne Morze Mongolskie w Azji Środkowej wylało na skutek trzęsienia ziemi.

Beam i jego towarzysze potrzebowali trzech dni, by pokonać pierwsze cztery tysiące metrów. Nie spieszyli się, zachowując siły na wydobywanie fragmentów arki, które miały stanowić dowód sukcesu ekspedycji. Mieli szczęście: chmury odpłynęły, nie musieli stawić czoła burzy.

Na wysokości czterech tysięcy ośmiuset metrów osiągnęli wielkie jezioro Kop, ogromną taflę błękitnej emalii oprawioną w skały. Nad jego brzegiem rozbili obóz. Nieco wyżej, nazajutrz, mieli napotkać inne zamrożone jezioro, mniejszych rozmiarów: tam spoczywały resztki statku Noego.

James Beam śnił o arce. Ukazała mu się ona w postaci, w jakiej znalazły ją pierwsze ekspedycje, na początku XIX wieku: zakuta w lód, ze sterczącym dumnie dziobem. Miała pięćdziesiąt metrów długości, dwadzieścia pięć szerokości i piętnaście wysokości. Jej trzy pokłady, do których można było przejść przez wielkie drzwi otwierające się w burcie,

podzielone były na komórki, w których Noe, mający sześćset lat, poumieszczał pary zwierząt.

Już nazajutrz były astronauta miał udowodnić światu prawdziwość biblijnej opowieści.

Nad ranem wojskowy helikopter, korzystając z pomyślnych warunków meteorologicznych, wylądował nad brzegiem zamrożonego jeziora. Łód trzeszczał, lecz nie pękł. Z maszyny wysiadło dwóch żołnierzy i oficer armii tureckiej oraz agent CIA, podczas gdy wielkie łopaty wirnika kręciły się nadal, wzbijając w górę tumany śniegu.

James Beam wyszedł z namiotu i rozpoczęła się dyskusja. Agent CIA i były astronauta nie zgadzali się ze sobą. Hałas silnika helikoptera zagłuszał treść rozmowy. James Beam odmawiał wycofania się: był tak blisko celu. Jego rozmówca wyjaśniał mu rację stanu, sytuację zakładników i kłopoty jego własnego syna. Pozostało to bez efektu, Beam był nieugięty.

Wówczas obaj żołnierze chwycili starego człowieka pod ramiona i unieruchomili go. Agent CIA wyciągnął z kieszeni metalowe pudełko, z którego wyjął strzykawkę.

Były astronauta krzyknął coś, co zostało zagłuszone przez wiatr. Tamten wbił mu igłę w ramię. W ciągu paru sekund Beam poczuł, że jego wola oporu zanika. Był jakby pozbawiony własnej woli. Pozwolił się zabrać bez dalszych protestów.

Zmęczony ciągłym uciekaniem od przekazów, które niezależnie od jego woli pojawiały mu się na ekranie, Chris zmienił taktykę i zaczął sam ich szukać. Chciał poznać rządzące nimi prawidłowości.

„Uwielbiam, kiedy upajasz mnie swoimi słowami. Są mi cenne, a przecież wiem, że nie zawsze szczere. Słowa nas mamiają, trzeba się ich wystrzegać.”

Nauczył się składać razem te słowa, które pojawiały się w bezładzie, porzrucane w różnych miejscach i stopniowo nauczył się uzupełniać puste miejsca. Zaczął odczuwać przyjemność czytając bez końca te teksty pochodzące z głębin komputera, z owych przepaści, w których mieszkał Artur.

„Twoja tyrania jest mi słodka, jest mi potrzebna. Czuję się opuszczony kiedy, wskutek zapomnienia lub słabości, wyzwalam się z niej na chwilę...”

Owo „coś”, co pisało te teksty, nieustannie wyrażało te same uczucia. Takie niekończące się afirmacje przypominały majaczenie. Christopher pomyślał, że jest to charakterystyczne dla języka wszystkich zakochanych.

Lecz tymczasem Artur kontynuował swoją pracę. Na wykresie wiszącym na ścianie Christopher postawił krzyżyk na ósmym stopniu.

- Niedługo - rycał James Beam - zacznie się sezon lawin! Lody jeziora stopnieją i trzeba będzie czekać do następnego roku! Przez wasze kretynizmy stracę rok! Byłem już tak blisko celu!

- Jak się uspokoisz - powiedział Christopher do ojca. - to daj mi znać i zabierzemy się do pracy. Ale nie zwlekaj zbyt długo jeśli chcesz powrócić do tego swojego wymarzonego Titanica śniegów!

- Ale czy ty rozumiesz, że mnie porwano! Tak, porwano! Złożę protest, zwrócę się do Komisji Praw Człowieka!

- Ta twoja wyprawa to absurd - rozżłościł się Chris. - Mam już dość tych wszystkich natchnionych wariatów, narkotyzujących się mitami jakby to była heroina!

- Natchnionych wariatów?

- Tak. Ty i twoja mityczna arka. Ajatollah i jego dwunastu imamów. Debora i te przedstawienia w miejscach kultu. Dora Benari i jej kretynizmy o języku prebabelskim. Czy już tylko ja zachowałem trzeźwe spojrzenie na świat?

- „Moja” arka, jak mówisz, nie ma w sobie nic mitycznego. Są świadkowie, którzy ją widzieli. Inni przywieźli jej fragmenty. Udowodnię, że rzeczywiście istnieje, pogrążona w lodowcu.

- To twoja sprawa. Ale dzisiaj czy mam cię błagać, żebyś przez chwilę pomyślał o mnie? Dotąd Bóg czekał. Czy nie może jeszcze poczekać paru dni? Czyja też nie mam prawa do ciebie? Chyba jesteś mi to winien!

Twarz Jamesa Beama nachmurzyła się.

- Ja ci to jestem winien? - powiedział, drżąc z wściekłości. - A niby skąd ten dług?

- Doskonale sam wiesz.

- Dobry Boże! Już czas przeciąć ten wrzód, który wyrósł między nami przez dwadzieścia pięć lat! Nic ci nie jestem winien! Wbij to sobie do głowy: nic ci nie jestem winien!

- A moje dzieciństwo bez ojca i matki? Było koło ciebie dziecko, zdychające z samotności, ale ty o to się nie troszczyłeś. Nigdy o tym nie wiedziałeś. Ty żyłeś w gwiazdach, nie potrzebowałeś nikogo. To inni musieli wznieść się ku twojemu pustemu i lodowatemu światu, ty nigdy nie zniżyłeś się do ich poziomu!

- To nieprawda! Zawsze troszczyłem się o innych!
- Ale nie na tyle, żeby własną żonę utrzymać w domu!
- To ona odeszła!
- Rzuciła cię! A ja zostałem sam, jeszcze bardziej sam.
- To nie była moja wina.

- A czy nie było twoją winą zaproszenie tego inżyniera z NASA, którego przyprowadziłeś na mój ślub i który dziesięć dni później wyjechał z Mary-Ann?

- Miał o czterdzieści lat więcej od ciebie. Wcześniej czy później Mary-Ann też by cię rzuciła dla kogoś takiego jak on!

- W sumie oddałeś mi przysługę! Bardzo dziękuję!

Christopher, który dotąd chodził nerwowo po biurze, postanowił skończyć z tą kłótnią. Usiadł w fotelu, zarzucając jedną nogę na boczne oparcie.

- Jesteś taki sam jak ja - powiedział jeszcze James Beam.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Nie należysz do tego świata, tylko że ty o tym jeszcze nie wiesz.

Christopher nie podjął tematu. Przeciwnie, czuł się w doskonałej symbiozie ze światem, w którym żył. Żadna inna epoka nie wydawała mu się lepsza od obecnej, za żadną cenę nie zamieniłby swoich czasów na inne.

Jego ojciec, stojący twarzą do okna, wydawał się już spokojny. Nigdy dotąd Christopher nie wyraził głośno swoich zarzutów. Ale w duchu James myślał o źródle tej goryczy. Gdzieś na dnie jego nieczystego sumienia wyrósł tajemny nowotwór, który się czuje, lecz o którym nigdy się nie mówi. Dziś wreszcie porozmawiali. Tylko słowa, myślał stary astronauta, mogą zabić nienawiść.

- Więc co zrobimy? - spytał Christopher. - Chodzi mi o Golden Gate.

- Nie mogę rozbroić bomby logicznej, którą podłożyłem - odpowiedział James Beam. - Musimy więc za wszelką cenę przeszkodzić piratowi w dotarciu do niej.

- W jaki sposób?

- Środkami ostatecznymi. Chirurgią.
 - Chirurgią?
 - Tak, chirurgią. Zrobimy operację temu twojemu komputerowi.
- Operację na otwartym sercu....

Operacja przeprowadzona została w samym sercu systemu informatycznego Hadassy, w obecności Mela Philipa i Samuela Penchasa.

Uroczyście otwarto pancerne drzwi, które na czwartym piętrze dawały dostęp do centralnego komputera. Maszyna zajmowała przestrzeń stu pięćdziesięciu metrów kwadratowych. Wyglądała jak zestaw ażurowych metalowych szaf, lecz błękitne światło jarzeniówek, stały nawiew z systemu chłodzenia i czysta gładkość ścian i podłogi nadawały jej groźny wygląd, który mroził krew w żyłach.

Komputer Hadassy składał się z połączonych czterech maszyn Digital Equipment Corporation modelu VAX 8800. Jako że każda z nich obejmowała dwie jednostki centralne, pośrodku sali stało osiem wielkich szaf.

Na ten widok Christopher poczuł, że ściska mu się żołądek. Podobnego uczucia doznał w obliczu megalitów w Stonehenge. Stalowe kształty komputera, lśniące w błękitnym świetle niczym ostrza, przypominały mu święte kamienie naszych przodków.

Przed totemami tłoczyło się teraz ośmiu kapłanów. James Beam chodził tam i z powrotem, wydawał polecenia, niczym chirurg nadzorujący przygotowania przy stole operacyjnym. Kiedy wszystko było gotowe, kazał pozostałym cofnąć się.

Asystent wcisnął guzik na konsoli koło wejścia. Przed szafami, kryjącymi zranioną świadomość komputera, otworzyła się w podłodze kłapa i spod niej wysunął się słup wysokości jednego metra. W kilku ruchach James Beam zdjął pokrywające go chromowane blachy, odsłaniając pulpit najeżony gniazdkami i kolorowymi lampkami.

Każde gniazdko odpowiadało wejściu lub wyjściu z systemu. Z tego pulpitu wychodziły wszystkie połączenia komputera ze światem zewnętrznym.

- Kolejno będę odłączał wszystkie wejścia i wyjścia - wyjaśnił James Beam. - Pozostawimy na miejscu tylko połączenie z pewną wiązką satelitarną, której jak niektórzy z was wiedzą, przerwać nie

można. Naturalnie w niczym nie przeszkodzi to korzystaniu z komputera przez wewnętrzne służby Hadassy. Mel Philip przełknął ślinę.

- A co zrobisz potem? - spytał.

- Kiedy komputer będzie już odcięty od świata, jak serce odłączone od żył i arterii, przetestujemy kolejno każde połączenie. W ten sposób ustalimy, gdzie jest „przeciek”. Nie pozwoli nam to jeszcze na zidentyfikowanie lub umiejscowienie pirata, lecz wystarczy wówczas poświęcić jedno połączenie by ochronić pamięć centralną do czasu, aż policja wykona swoją robotę.

- Czy taka operacja została kiedykolwiek przeprowadzona na systemie tej wielkości? - spytał Philip.

- Nie. Nigdy.

- Jakie jest ryzyko?

- Może nastąpić przeciążenie pamięci centralnej. Ale nie mamy wyboru. Więc, jeżeli nie zmieniliście zdania, proponuję żeby od gadania przejść do działania...

Pochylił się nad pulpitem i rozpoczął odłączanie pierwszego połączenia. Wystarczyło w tym celu przesunąć dźwignię, przerywając przepływ prądu. Odpowiednia lampka zgasła. Gdzieś w przestrzeni satelita przestał otrzymywać z Hadassy zakodowane informacje, które normalnie przekazywał dalej.

Nie licząc połączenia satelitarnego z Teheranem, zainstalowanego przez Narodową Radę Bezpieczeństwa, było dwadzieścia linii zewnętrznych. James Beam kontynuował swoją pracę, ręce mu nie drżały, choć pot zraszał czoło. Wszyscy wstrzymywali oddech, obawiając się w każdej chwili katastrofy całego systemu.

Stary astronauta bez problemów doszedł do dziesiątego obwodu. Jak się zdawało, komputer pozostawał całkowicie obojętny na jego skomplikowane działania. W jego wnętrzu przelatywały w każdej sekundzie miliony impulsów, znacząc tyleż jednocześnie wykonywanych operacji matematycznych.

Piętnaście obwodów. Osiemnaście. Dziewiętnaście.

James Beam zawahał się chwilę, po czym przesunął ostatnią dźwignienkę. Wokół panowała absolutna cisza.

Ostatnia lampka na pulpicie zgasła. Operacja udała się.

Wszyscy obecni zaczęli głośno wyrażać swoją radość. Mel Philip gorąco dziękował Beamowi.

Tylko Christopher, który powrócił do swego biura, nie uczestniczył w tych wylewnościach.

- Teraz trzeba - powiedział James Beam - ponownie odtworzyć każde połączenie bez pozostałych... Opracowałem system, który pozwoli na wykrycie wszelkich przeciążeń na którymkolwiek z nich.

Nagle do sali wpadł błąd jak ściana Christopher.

Zapadła cisza i wszyscy zwrócili się ku niemu.

- Pirat nadal działa - wyszeptał załamany.

- To niemożliwe! - mruknął ojciec. - Przecież sam widziałeś, że nie ma już żadnego połączenia.

- Mówię ci, że on działa - nalegał Christopher. - Zaszedł jeszcze dalej i wszędzie na swojej drodze pozostawił te nic nieznaczące zdania...

- Mój syn zwariował! - wykrzyknął Beam.

Sprawdził jednak sam.

Choć całkowicie odizolowany od świata zewnętrznego, system nadal opróżniał się ze swojej zawartości!

- O Boże! - krzyknął James Beam. - To tak, jakby program sam się pożerał!

Sprawa była jednak prostsza. Dotąd sądzili, że pirat znajduje się na zewnątrz systemu. James Beam udowodnił właśnie, że w rzeczywistości znajdował się on wewnątrz!

16

PUSTE KRZESŁO

Hormoz nigdy nie uważał istnienia swojej osoby za wiele ważniejsze, niż istnienie ziarnka piasku na pustyni: uważał, że żyje na tym świecie wyłącznie po to, by przyczynić się do większej anonimowości tłumów. Niedyś, jakby był przedmiotem, zabrano go z Lorestanu, gdzie spędził dzieciństwo. W biednej dzielnicy Teheranu znalazł go wówczas pewien elokwentny marksista, który bez kłopotu uzyskał nad dzieckiem psychologiczną władzę. Mały Hormoz nosił listy, doręczał wywrotowe pisemka, przewoził ukryte na dnie taczki z sianem materiały wybuchowe, oddając w ten sposób usługi partii Tudeh, dla których nie warto było ryzykować życia dorosłego. Później jego matka sprzedała go wojsku, w zamian za kilka kartek żywnościowych. Jego przełożeni bez skrupułów skierowali go na zaminowane pola bitewne. Udało mu się ująć śmierci i wrogowi, lecz nie ludziom ajatollacha Zardechaniego. Ci załatwili mu posadę kierowcy w Parlamencie i kierowali nim z daleka, nie troszcząc się o niego bardziej niż o posłuszne zwierzę.

Hormoz zawsze robił to, co życie mu przyniosło; jego ciałem i losem sterowała wola innych, a nie jego własna.

Teraz wszystko się zmieniło. On, który zawsze wart był tylko tyle, ile inni potrafili z niego wyciągnąć, otrzymał nagle kawałek władzy nad życiem osób powierzonych mu pod straż. Nie był już ziarnkiem soli w bezkresie oceanu, był teraz samą falą. Uczynił to dla niego Allah i serce Hormoza nabrzmiało było z dumy.

Sandy Fisher rozumiała rozterki, z których wyniknęła egzaltacja młodego Irańczyka. Kilka razy dziennie kazał on wyprowadzać Janet na zewnątrz, by móc zamknąć się w celi sam na sam z Sandy. Kilka słów po angielsku, których nauczył się kiedyś w okolicy Szukuf-e-Nou, parę zdań po persku, które ona rozumiała wystarczyły im, by się porozumiewać.

Opowiadał jej o lasach Lorestanu, o rannym dziku, który niemal go zatratował, o cesarskich polowaniach i sarnach zabijanych z karabinów maszynowych na zielonej trawie leśnych polanek. Opowiadał o Szukuf, o jego kurwach i księżniczkach, o alfonsach którzy chcieli i jego sprostytuować. Opowiadał jej wreszcie o rewolucji, która zrobiła z niego człowieka: mógłby teraz, w imieniu Allacha i Islamu, zacząć ją torturować w tej celi, w której się znajdowali i nikt nie miałby temu nic do zarzucenia.

Sandy słuchała go z uwagą i politowaniem zarazem. Powoli, nie zdając sobie z tego sprawy, dostawała się pod jego przemożny wpływ, a kiedy Janet wracała do celi, opowiadała jej o nowych powodach, dla których skłaniała się na stronę młodego Irańczyka.

- To już nie współczucie, to współludział!- protestowała Janet. - Jesteś zaślepiona, ale to, że nie nosi brody i że jest dobrze zbudowany jeszcze nie oznacza, że jest inny niż wszyscy! - Właśnie, takich jak on są miliony ludzi, którym dopiero rewolucja dała świadomość własnego istnienia!

- Ale czy świadomość istnienia musi opierać się na barbarzyństwie? Szlag mnie trafia, jak sobie przypomnę, że brałam udział w manifestacjach przeciwko szachowi kiedy byłam na studiach!

- Tak może mówić tylko amerykańska drobnomieszczanka! Nie chodziło o wybór między szachem a Imamem, jak myślą kretyni na całym świecie: szach pociągał za sobą Imama. Poparcie dla tyrana przez tyle lat wywołało przebudzenie Islamu. Bardziej od Irańczyków, my sami jesteśmy odpowiedzialni za to, co się stało!

Oburzona Janet bezskutecznie usiłowała opanować swoją złość: jej ręka błyskawicznie wyprostowała się niczym uwolniona sprężyna; wymierzony z całej siły policzek spowodował, że Sandy odrzucona została na ponad dwa metry w tył.

Cała we łzach podniosła się i padła Janet w objęcia.

- Wybacz mi - jęknęła szlochając -już sama nie wiem co się ze mną dzieje. Ten chłopiec jest taki miły, że zupełnie się zagubiłam, czuję się jakbym nie była sobą...

- Uspokój się, to nic poważnego. Specjaliści twierdzą, że zawsze nadchodzi moment, kiedy zakładnicy stają po stronie swoich prześladowców. Kiedy już będziemy w domu, będziesz mogła na ten temat wygłaszać odczyty!

Pocieszona Sandy zdobyła się na uśmiech, położyła się na brudnym materacu i zasnęła.

Stopniowo Hormoz zaczął widzieć w Janet, która stała na przeszkodzie jego stosunkom z Sandy wroga, którego należało zniszczyć. Najpierw postanowił doprowadzić ją do obłądu.

Niekiedy, pośrodku nocy, Janet budziły jakieś hałasy. Siadała gwałtownie na swoim legowisku i nasłuchiwała. Hałasy dochodziły zawsze zza drzwi celi, tuż obok. Słyszała skrzypienie skórzanych butów, dźwięk ostrzenia noży, brzęczenie łańcuchów. Potem wszystko milkło.

Nasłuchiwała dalej, czujna, z wytężoną uwagą, lecz nie dochodził jej już żaden dźwięk. Wątpiła wówczas nawet, czy w ogóle cokolwiek słyszała. Spoglądała na Sandy, spokojnie śpiącą obok. Czasami podejrzewała, że jej przyjaciółce dano środki nasenne. Kiedy kładła się z powrotem, by zasnąć, w mroku nocy dawał się słyszeć szept. Grobowy głos monotonicznie śpiewał za drzwiami bezustannie te same słowo „Lulu korchore cię zje... Lulu korchore cię zje...”

Potworna dziecinna piosenka świdrowała jej czaszkę.

„Lulu korchore cię zje... Lulu korchore cię zje...”

Ponownie słycać było ostrzenie noży, jakby rytmiczny podkład, na tle którego śpiewana była piosenka. Ociekająca potem Janet, napięta do ostatnich granic, czuła że narasta w niej milczący krzyk, że wracają i przenikają jej ciało wszystkie strachy z dzieciństwa i okresu późniejszego.

Kiedy nadchodziła godzina porannej modlitwy, wszystko milkło. Później, kiedy więźniowie powrócili z husejnije, za oknami słycać było odgłosy przygotowań. Ustawiano krzesła, na oparciu których wisały opaski dla skazańców. Kreślono linię, wzdłuż której ustawić się miał pluton egzekucyjny. Janet sądziła, że nadeszła jej ostatnia godzina, lecz nieco później wszystko było już uprzątnięte.

Ludzie sądzą, że boją się śmierci, myślała Janet, lecz w rzeczywistości boją się jedynie wyobrażenia, jakie o niej mają. Kaci wiedzą o tym

i dlatego aranżują i sztucznie przedłużają obcowanie skazanych z przygotowaniem do ich zejścia z tego świata.

Hormoz był architektem tych moralnych tortur. Wzbudzenie strachu u innych sprawiało mu rozkosz, potrafił przedłużać swoją przyjemność: znał tajemnice zmian napięcia lęku i działał systematycznie, kolejno nasilając i łagodząc presję. Wiedział, że już wkrótce Janet załamie się pod wpływem kolejnych ataków strachu i że sama odda się śmierci, że będzie jej pragnąć jako ostatecznego uwolnienia duszy i ciała.

Korzystając z pomocy syna Imama, hojatoleslam Gorgani naciskał na siedemdziesięciu dwóch ekspertów, którzy w lipcu 1986 zatwierdzili ajatollacha Zardechaniego na stanowisku następcy faghiego. Starł się o powołanie rady mędrców, składającej się z Zardechaniego, Ahmada, prezydenta Republiki i niego samego, która by rządziła krajem po odejściu Imama.

Ze swej strony Zardechani działał w przeciwnym kierunku. Korzystał z niewiedzy całego społeczeństwa na temat rzeczywistego stanu zdrowia Imama. Przestrzegano ścisłej tajemnicy, zgodnie z ustaleniami podjętymi kiedyś przez samego Imama w sprawie zapewnienia po nim następstwa. W niczym interesie nie leżało zdradzenie tajemnicy, co pozwalało Zardechaniemu powoływać się na zaufanie Imama, które w rzeczywistości utracił, jego przeciwnikom zaś - niemogącym przecież publicznie pokazać Imama uzależnionego od aparatury zachodnich lekarzy - na zyskanie na czasie.

Kontrofensywa Zardechaniego sprawiała, że każdy głos zdobyty przez przewodniczącego Parlamentu mógł już nazajutrz przerzucić się na imama dzome z Khom. Gorgani odnosił jedynie niepewne zwycięstwa i to uzależnione od obietnicy przywilejów.

Los był dla niego łaskawszy w przypadku wielkich ajatollahów, z których wszyscy byli zgrzybiałymi starcami. Co najmniej dwóch spośród nich kiedyś zostało urażonych wzrostem potęgi Imama, który wcześniej był im równy: byli to Szariatmadari i Golpajegani. Dla nich przeciwstawienie się woli Imama w sprawie sukcesji posiadało same zalety. Dwaj inni, Nadzafi i Khomi, bez sprzeciwu podporządkowali się poglądom hojatoleslama.

Natomiast pierwszy z wielkich ajatollahów, Abol-Khassem Kho'i, mający dziewięćdziesiąt osiem lat, pozostał głuchy na wyjaśnienia

emisariuszy Gorganiego. Twierdził, że nic nie rozumie z tego, co się szykuje i wyglądało na to, że nie jest to jedynie kokieteria. Zażądał, by przewodniczący Parlamentu osobiście przyjechał do niego do Nadżaf, irackiego świętego miasta, w którym mieszkał.

Czasu było mało, a kaprys starca nie ułatwił Gorganiemu zadania. Musiał potajemnie udać się na terytorium wroga, narażając się na pojmanie przez Irakijczyków i ostateczną utratę zaufania zarówno narodu irańskiego jak i zagranicy. Nie mógł jednak uniknąć niebezpiecznej misji, gdyż uzyskanie przyzwolenia Kho'i ostatecznie uświęciłoby jego zamiary, zamieniając je w obowiązujące prawo.

Wkrótce Haszemi Gorgani mógł uznać, że wystarczająco umocnił swe pozycje w łonie zgromadzenia ekspertów, by zaatakować ostatnie gniazdo oporu. Miał w wywiadzie ludzi całkowicie mu oddanych: kazał im przygotować swoją podróż do Iraku. Najpierw miał pojechać do Mekki. Stąd, korzystając z tajnego poparcia Arabii Saudyjskiej, udałby się na lotnisko Badanah gdzie miał czekać na niego mały samolot, który z kolei zawiózłby go do Nadżaf. W ten sposób uniknąłby konieczności przekraczania granicy iracko-irańskiej.

Wyprawa była niebezpieczna i Haszemi Gorgani zastanawiał się, co oprócz przekonań politycznych pchało go do działania. Wówczas przypomniał sobie upokorzenie jakie stanowił dla niego fakt, że nigdy nie awansował w szyickiej hierarchii wyżej tytułu hojataleslama. Przypomniał sobie wszystkich tych ajatollahów z minami pełnymi wyższości, którzy niezliczone ilości razy usiłovali przeszkodzić mu w politycznej karierze. Wyrzucany na margines wielokrotnie, dawał swoim rywalom satysfakcję poniżania człowieka o większych, niż ich własne, zdolnościach tylko dlatego, że brakowało mu odpowiednich

Naturalnie Gorgani też miał swoje przewagi. Przede wszystkim bogactwo. W przeddzień rewolucji, jako doświadczony spekulant i główny eksporter orzeszków ziemnych, hojataleslam dysponował osobistym majątkiem wartości czterdziestu milionów franków.

Później szansę dała mu rewolucja. Stanął na czele komitetu organizującego strajki nafcjarzy i wyróżnił się jako jeden z autorów klęski szacha.

I wówczas, 28 czerwca 1981, stał się cud. Wybuchła bomba w siedzibie Partii Republiki Islamskiej. Zginęło ponad siedemdziesięciu duchownych, a wśród nich wielu z tych ogarniętych manią wielkości

dygnitarzy. Hekatomba spowodowała pustkę na wielu szczeblach władzy i hojatoleslam Gorgani wyniesiony został wyżej, niż by to wynikało z posiadanych przez niego tytułów teologicznych.

Przewodniczący Medżlisu w głębi duszy był przeświadczony, że jego marsz ku górze nie zakończył się jeszcze i że rachunki przeszłości nadal pozostały niewyrównane.

Wrzucił do walizki pistolet, parę bawełnianych okryć, w których mógł wyglądać jak człowiek z ulicy i przybory toaletowe. Wkrótce był gotów do wyjazdu.

Był pewien, że potrafi przekonać wielkiego ajatollacha Kho'i, przewyciężając w ten sposób ostatnią przeszkodę na drodze do władzy i ostatni symbol przywilejów hierarchicznych, przeciwko którym walczył przez całe życie.

Tego ranka na placyku pod oknami ustawiono tylko jedno krzesło. Kaci urozmaicając przedstawienie, pomyślała Janet. Zapewne chodziło im o to, by stałej myśli o bliskiej śmierci towarzyszyła zakładnikom męka niepewności. Janet usiłowała wytłumaczyć sobie, że jest to tylko kolejna inscenizacja i że za godzinę, jak zwykle, krzesło zniknie.

Lecz w godzinę później krzesło stało nadal.

Minęło pół godziny, po czym zaintrygowane Janet i Sandy ujrzały jak na podwórzu wjeżdża samochód irańskiej telewizji. Technicy ustawili kamerę Betacam na linii wyrysowanej dla plutonu egzekucyjnego. Zamontowano też reflektory i inne urządzenia.

Do celi wpadła wówczas grupa podnieconych i rozczochranych hezbollahów. Popychali się wzajemnie, rozgorączkowani jak narkomani i w zamieszaniu wyciągnęli obie kobiety na zewnątrz.

Na podwórzu stał Hormoz, a z nim oddział pasdaranów i dwaj towarzysze Janet i Sandy. Vincent i William usiłowali się uśmiechać, by dodać sobie odwagi. Janet szybko pojęła, że nie czuli się pewnie. Z przerażeniem rozpoznała obok nich mułę, zajmującego się nadzorowaniem egzekucji.

Hormoz wyjaśnił, że jedno z nich miało dla telewizji wygłosić deklarację, w której wyrzekło się Ameryki. Miał nadzieję, powiedział, że zrobi to Sandy.

Janet modliła się w duszy, aby Sandy znalazła w sobie dość siły, by oprzeć się upokorzeniu. Lecz Sandy spokojnie wystąpiła do przodu,

poprawiła włosy, jak aktorka przed wejściem na scenę i ustawiła się przed obiektywem. Janet rozplakała się. Nie poznawała swojej przyjaciółki. Vincent i William stracili ochotę do uśmiechów.

Sandy opowiedziała o swoim życiu. Jej religią była przyjemność, mówiła, jej filozofią bogactwo, a jedyną myślą polityczną pogarda dla świata zewnętrznego. Czyniła sobie wyrzuty za swoje zaślepienie propagandą szacha i za nieczułość na minione cierpienia narodu irańskiego. Istniały jednak dla niej okoliczności łagodzące: od dzieciństwa wychowywana była pod wpływem imperialistycznej ideologii amerykańskiej. Dopiero dziś rozumiała jak bardzo Republika Islamska zasługuje na sprawiedliwą ocenę.

Sandy wypowiedziała to wszystko z wyrazem szczerości, jaki miewają aktorzy całkowicie utożsamiający się z osobowością kreowanej postaci. Rzucona wbrew własnej woli w wir tragedii znalazła w niej dla siebie rolę: współczucie. Wywoływała u siebie tak wielką litość, że jej własne nieszczęście nie wystarczało już na jej wykorzystanie. Potrzebowała jakiejś sprawy dla jej nadmiaru. A pod ręką była tylko jedna: sprawa Hormoza i Islamu.

Operator zatrzymał kamerę. Hormoz uśmiechał się, zadowolony. Nie było to jeszcze przyznanie się do szpiegostwa, lecz kasetą, pokazaną w wieczornym programie ogólnokrajowym, wywrze doskonałe wrażenie na ludności

Vincent i William zaciskali szczęki. Janet ukryła twarz w dłoniach, by uniknąć spojrzenia Sandy w oczy.

Przedstawienie jednak nie było jeszcze zakończone. Rozchylając nieco palce, Janet patrzyła na puste krzesło, ze zwisającą z oparcia przepaską na oczy, wyglądającą jakby pozostawił ją tam malarz pragnący skomponować martwą naturę.

Operator przesunął kamerę ustawiając ją nieco z boku, tak by móc objąć zarówno krzesło jak i linię, na której miał stanąć pluton egzekucyjny.

Ośmiu uzbrojonych ludzi stanęło na linii. Hormoz podszedł do Amerykanów. Przeszedł przed nimi raz i drugi, powoli, z błyszczącymi wargami, jak klient wybierający w restauracyjnym akwarium homara, którego zamierza zjeść. Zatrzymał się przed Janet. Przyjrzał się jej, jego spojrzenie przesunęło się po niej obleśnie jak obmacująca dłoń. Nagle zdecydował się, pstryknął palcami i dwóch hezbollahów pochwytyło młodą kobietę.

Wszystko stało się bardzo szybko. Związano jej ręce i nogi w kostkach. Oczy zakryto przepaską. Zrobiło się ciemno i zimno, zaczęła drzeć, była jakby w przedpokoju śmierci.

Ściany podwórza odbiły echo rozkazów oficera. Słychać było trzaśnięcie obcasów. Brzęknęły odwodzone zamki. Zapadła wreszcie krótka cisza, poprzedzająca salwę.

W całkowitej pustce, w jakiej znalazła się Janet, wybuchnął nagle gejzer wspomnień. Płynęły przemieszane bezładnie obrazy z dzieciństwa, lęki i marzenia z okresu dorastania, twarze ukochanych osób. Starła się to wszystko zebrać razem: będzie to jej wiatyk na wielką podróż.

Cisza przedłużała się. Wyobraziła sobie żołnierzy, pozujących dla telewizji, z dumnym spojrzeniem i policzkiem starannie przyłożonym do broni.

Uplłynęło jeszcze kilka sekund. Chciałaby, żeby czas płynął szybciej, żeby wyzwolić się wreszcie od tego oczekiwania na krawędzi śmierci, oczekiwania gorszego niż sama śmierć. Zamiast tego pozwalali by czas, niczym ostatni wróg, naigrawał się z niej, podczas gdy ona nie mogła już dłużej czekać.

Dowódca wykrzyknął rozkaz. Janet napięła wszystkie mięśnie, jakby pragnąc uodopornić je na kule.

Lecz zamiast wyzwolenia nastąpiło kolejne odroczenie.

Żołnierze wybuchnęli głośnym, ohydny śmiechem, który wkrótce udzielił się hezbollahom i mułom zgromadzonym wokół. Wojskowi odstawili broń na ziemię: słychać było uderzenie kolbami o bruk. Następnie zrobili w prawo zwrot i równym krokiem odeszli do koszar.

Janet powinna uczuć ulgę: wszystko to było jedynie maskaradą. Czuła się jednak źle, jakby sfrustrowana oddaleniem się śmierci, która była już tak blisko. Pozostawiono ją przy życiu, lecz jakby raz już umarła, nic odtąd nie będzie takie, jak dawniej.

Ktoś podszedł do niej i odwiązał jej przepaskę. Był to Hormoz. Spojrzał na nią wyzywająco. Splunęła mu w twarz. Młody Irańczyk wybałuszył oczy, ogarnięty wściekłością i uniósł rękę, zamierzając uderzyć kobietę.

Nie zdążył jednak zadać ciosu. Raptownym szarpnięciem Vincent Romano uwolnił się od przytrzymujących go ludzi i z pochyloną głową rzucił się w jego kierunku. Hormoz otrzymał straszliwe uderzenie prosto w pierś. Vincent ważył dziewięćdziesiąt kilo, rozłożonych na ciało liczące metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, i siła zderzenia powaliła by wołu.

Hormoz padł, z mostkiem wgniecionym niczym blacha pod prasą. Pluł, kaszłał, charczał, z nosa i ust leciała mu krew. Wydawało się, że w jego płwocinach powinny znajdować się kawałki kości.

Janet była przerażona prawdopodobnymi następstwami zdarzenia. Hormoz unosił już ku Vincentowi okrwawioną twarz, a jego spojrzenie zapowiadało Amerykaninowi, iż wkrótce pożałuje, że się w ogóle urodził. Vincent z patetycznie niewinną twarzą wyglądał jak dziecko, oczekujące kary.

Dwóch ludzi pomogło Hormozowi wstać; odprowadzili go do pomieszczenia. Załamani Amerykanie powrócili do swych cel. Hezbolachowie z wolna rozchodzili się.

- Ed, chciałbym pokazać panu kasetę - powiedział Steve Raymond, dyrektor CIA. - Dotyczy naszej sprawy irańskiej. Chce ją pan obejrzeć w Langley, czy mam ją panu przysłać?

Edwin Langman, szef Narodowej Rady Bezpieczeństwa, miał umówioną rozmowę z prezydentem i nie miał czasu jechać do Agencji. Kasetę przywieziono godzinę później; obejrzał ją samotnie, w Białym Domu, w swoim biurze w zachodnim skrzydle.

Codziennie, w regularnych odstępach, do szefów CIA docierały raporty stacji nasłuchu elektronicznego Agencji. Stacje te, rozmieszczone na całym świecie, przechwytywały, sortowały i analizowały wszystkie sygnały przechodzące przez ziemską atmosferę: satelitarne rozmowy telefoniczne, przekazy radiowe na wszystkich pasmach i programy telewizyjne.

Syntetyczne sprawozdania pozwalały DCI (Director of Central Intelligence) orientować się we wszystkim, co światowe stacje radiowe i telewizyjne przekazywały swoim odbiorcom.

Kaseta przywieziona Langmanowi zawierała nagranie irańskiego dziennika telewizyjnego z poprzedniego wieczoru. Załączono do niej kilka kartek papieru, na których specjaliści z CIA przetłumaczyli treść komentarza.

Szef Narodowej Rady Bezpieczeństwa wsunął kasetę w otwór magnetowidu i wygodnie zasiadł w fotelu. Na ekranie początkowe białe kreski na czarnym tle ustąpiły i pojawił się spiker w ciemnym garniturze, z rozpiętym kołnierzykiem koszuli, bez krawata.

Według notatek z tłumaczeniami, pierwszy reportaż dotyczył prac odbudowy na froncie irackim.

Następnie pokazano dokument omawiający konieczność szybkiego wydawania za mąż dziewczynek, które osiągnęły stadium dojrzałości płciowej. Jak powiedział spiker, faghi niegdyś podkreślił, że jest szczęściem mężczyzny, kiedy jego córka ma swoją pierwszą miesiączkę nie w domu rodzinnym, lecz w domu męża.

Nieco dalej pojawiał się ajatollah Zardechani i wypowiadał się w tym samym duchu. Jest sprzeczne z prawem boskim, mówił, by przeszkadzać dojrzałym płciowo chłopcom czy dziewczynom w zawieraniu związku małżeńskiego przed osiągnięciem pełnoletności. Imam dżome z Khom dodał do tych rozważań kilka ciężkawych żartów, z których wynikało, że wczesne małżeństwo pozwalało, dla jej własnego dobra, kontrolować popęd płciowy każdej dziewczynki, która osiągnęła wiek dojrzałości, ustalony na dziewięć lat. Wszystko to nie interesowało Edwina Langmana. Przewinął dłuższy kawałek taśmy i zatrzymał się dopiero ujrawszy wielki napis, naśladujący tytuły z gazet: „Zeznania amerykańskich szpiegów”.

Langman skoncentrował się: całość, zmierzona przez CIA, liczyła jedynie dwie minuty i siedem sekund, lecz to wystarczyło, by dogłębnie naruszyć równowagę jego i tak zachwianej już psychiki.

Film ukazywał najpierw kilka ogólnych zdjęć więzienia. Następnie widać było zbliżenie na twarz Sandy Fisher, która wyznawała swe grzechy i wychwalała Republikę Islamską. Wreszcie kamera pokazywała panoramiczny widok stojących obok siebie Vincenta Romano, Williama Allena i Janet.

Langman ucieszył się: a więc to Nathaniela „Johna” Huguesa, a nie Janet, rozstrzelali Irańczycy. Trudno byłoby sprawić mu większą ulgę. Nie był w stanie opanować uczucia szczęścia: chętnie ucałowałby ekran, obmyłby go własnymi łzami, gdyby tylko pozwoliło mu to dotknąć obrazu Janet.

W dalszym ciągu filmu zobaczył puste krzesło ustawione przed plutonem egzekucyjnym. Wydarzenia następowały jak w starannie opracowanym scenariuszu: było teraz logiczne, że Sandy Fisher, po przyznaniu się do winy, zostanie skazana i rozstrzelana.

Lecz na ekranie zamiast Sandy ukazała się Janet w czadorze; skierowała się ku krzesłu. Ktoś zawiązał jej na oczach przepaskę. Pluton egzekucyjny wycelował broń i oficer wydał rozkaz.

Salwy nie było słychać, obraz przechodził w czerń tuż przed nią.
Jednakże Edwin Langman usłyszał strzały, czuł się tak, jakby kule przechodziły przez jego własne ciało, jego własne serce.
Siedząc samotnie w swoim biurze, nie roniąc jednej łzy, pogrążył się w suchym, promieniującym bólu, czując w swoim wnętrzu jakby kamień, którego ostre krawędzie raniły mu serce i gardło.
Teraz nie liczyło się już dla niego nic prócz zemsty.
Godzinę później błagał prezydenta o udzielenie zgody na wysłanie do Iranu komandosów.
- Pomimo tego, co zaszło - odparł prezydent, mając na myśli egzekucję drugiego zakładnika - nadal nie uważam za wskazane rozwiązania wojskowego, które pan proponuje. Proszę sobie przypomnieć ośmiu zabitych na słonej pustyni w Tabas...
- A jeśli zabiją wszystkich zakładników? Czy pomyślał pan o wewnętrznych reperkusjach politycznych takiej sytuacji?
- Nie. Bogu dzięki, nie pomyślałem o nich, Edwin. A gdybym tak zrobił, nie byłbym z tego dumny.
Prezydent wyraźnie zarzucał mu niskie pobudki. Langman, niezrażony, nalegał.
- Panie Prezydencie, rozumiem pańskie opory. Dziś wieczór jedzie pan na swoje ranczo w San Bernardino. Chciałbym tylko, by upoważnił mnie pan do wysłania komandosów, gdyby podczas pańskiej nieobecności wymagała tego sytuacja.
- Gdyby wymagała tego sytuacja, zawsze mogę sam podjąć taką decyzję i ją panu przekazać...
- Proszę pamiętać, że nie będzie pan cały czas wolny. Ma pan uczestniczyć w uroczystościach na uniwersytecie Berkeley i wygłosić przemówienie... Ponadto będzie pan w Disneylandzie, z dziennikarzami z CNN, z okazji krajowego dnia walki z miopatią...
- Ed - powiedział prezydent - chciałbym zadać panu pytanie. Głos prezydenta zmienił się, stał się łagodniejszy i jakby tajemniczy.
- Bardzo proszę, panie Prezydencie - odpowiedział Langman.
- W sprawie wysłania tych komandosów przejawia pan tyle energii, że niektórzy zadają sobie pytanie czy nie wchodzi tu w grę czynniki osobiste.
Langman nie zbladł ani nie zadrżał: nauczył się, najpierw w Korei, później przy różnych stołach negocjacyjnych, nie ujawniać swoich emocji.

- O jakie czynniki osobiste miałyby chodzić? - spytał.
- Tego właśnie nie rozumiem - przyznał prezydent. - Zapytałem dla porządku, Ed. Nie lubię ukrywać swoich wątpliwości, gdy chodzi o przyjaciół.
- Zapewniam pana, panie Prezydencie, że leży mi na sercu wyłącznie troska o naszych zakładników i o prestiż naszego kraju.
- Byłem tego pewien, Ed.
- Czy pozwoli mi pan także zadać jedno pytanie?
- Tak.
- Kto sprawił, że zwątpił pan we mnie?
- Nikt, Ed. Powtarzam panu, że nie wątpiłem w pana. Ani przez chwilę.

Kiedyś Langman był wydawcą w Bostonie, specjalizował się w książkach z zakresu strategii. Wydawał Sun Tzu i Clausewitza, Scharnhorsta i księcia de Guibert. Od tamtej pory głosił zasadę, zaczerpniętą z dzieł tych wielkich autorów, w myśl której żadna sytuacja nie kryje w sobie bogatszych możliwości taktycznych niż przegrana. Nie bawiąc się w fałszywą skromność nazwał tę zasadę „twierdzeniem

Wyobrażał sobie, co się wydarzyło. Dla porządku Steve Raimondi polecił CIA przeprowadzić dochodzenie na temat każdego z teherańskich zakładników. Idąc śladem Janet Bowden agencji musieli natrafić na cień szefa Narodowej Rady Bezpieczeństwa.

Należało do obowiązków dyrektora CIA snucie domysłów na temat związków uczuciowych różnych ludzi. Miał w zwyczaju kazać obserwować bary i burdele, nic bardziej go nie pobudzało niż tajemnice łóżkowe. Z takiego czy innego powodu Raimondi założył istnienie związku między Janet i Langmanem. Ostrzegł więc prezydenta przed subiektywnym naświetleniem, w jakim szef Narodowej Rady Bezpieczeństwa przedstawi mu sytuację w Iranie.

Zrozumiawszy skąd pochodzi atak, Langman uznał, że czas sprawdzić własne twierdzenie.

Postanowił oprzeć swoją taktykę na fakcie, że prezydent nie cierpiął zachowywać się nieprzyjemnie wobec osób mu bliskich. Wolał bowiem pozwalać przykrym sytuacjom nabrzmiewać, niż szczerze wygarnąć prawdę podejrzanemu o coś współpracownikowi. Swoje tchórzostwo maskował zamieniając je w cnotę. Chciał, by uważano, że pokłada

w ludziach wielkie zaufanie, które pewnego dnia przyczyni się do jego kanonizacji.

Langman podjął ofensywę.

- Panie Prezydencie, dał pan przed chwilą do zrozumienia, że mógłbym przed panem ukryć jakiś osobisty fakt dotyczący sprawy irańskiej. Nie mogę przystać na brak zaufania z pańskiej strony.

- Niechże się pan uspokoi, Ed - zaprotestował prezydent. - Niczego takiego nie dawałem do zrozumienia!

- Takie podejrzenie jest dla mnie krzywdzące. Biorąc wszystko pod uwagę myślę, że chwila jest odpowiednia by zaproponować panu moją dymisję.

- Nie ma mowy! Pan traci rozum, Ed! Wyobraża pan sobie ten skandal? Narodowa Rada Bezpieczeństwa ponownie pozbawiona szefa z powodu Iranu? Poza tym nie ma żadnego powodu do takich decyzji! Nie przyjmuję pańskiej dymisji! To wszystko nie ma sensu. W tej chwili rozmawiamy o niczym.

Edwin Langman rozkoszował się prawdziwością swojego twierdzenia.

- Wobec tego proszę zrozumieć, panie Prezydencie, że mam prawo odczuwać odmowę podpisania tego upoważnienia, które ma charakter formalny, rutynowy i ograniczony do czasu jednego weekendu, jako osobistą obrazę.

Langman wstrzymał oddech.

- W porządku - zgodził się prezydent. - Nie chcę plamić „obrazą” naszej starej przyjaźni! Ale niech pan uważa, Ed, zaczyna pan mówić jak aktor. Niech pan nie zapomina, że jednego aktora już w Białym Domu mieliśmy!

Prezydent wybuchnął śmiechem i położył przyjacielowi rękę na ramieniu, skłaniając go do dzielenia jego dobrego humoru.

Następnie, jakby to był okólnik bez większego znaczenia, podpisał dokument przygotowany przez Langmana.

Hormoz pojawił się znowu następnego ranka, niesiony przez dwóch hezbollahców na noszach, cały w gipsie, z usztywniającym kołnierzem na szyi.

Czworo Amerykanów wyciągnięto z cel i zawleczono na podwórze. Kiedy Vincent Romano zobaczył, w jakim stanie jest ciało Hormoza, zrozumiał że Irańczyk powrócił, by zastosować prawo „oko za oko”.

Janet, Sandy i William Allen zostali unieruchomieni na ziemi. Wszyscy troje drżeli o los przyjaciela, który patrzył na nich z rozpaczą.

Poprzedniego dnia, po dramatycznych wydarzeniach, Vincent zdążył im wyznać, że nie jest zbyt odważny. Płakał w kinie. Mdliło go na widok krwi. Kiedy był dzieckiem na sam dźwięk słowa „duchy” biegł pod spódnicę swojej matki. Powiedział też, że pozostawało mu wiele rzeczy do poznania we własnej osobowości i że Irańczycy z pewnością dadzą mu po temu okazję.

Przywiązano go do słupa, z rękami związanymi z tyłu. Ktoś zerwał z niego koszulę.

Szmer przeszedł wśród hezbollahów: nigdy dotąd nie widzieli takiego ciała. Lata treningu rozwinęły i wyrzeźbiły każdy mięsień: przed Irańczykami stał teraz nagi posąg atlety.

Skóra Vincenta Romano, opalona i napięta wokół mięśni, lśniła w słońcu niczym wilgotna glina. Widok tego atletycznego ciała, jakby żywcem przeniesionego z mitologii, ranił spojrzenie Hormoza i jego towarzyszy. Nauczono ich nienawidzić swego ciała i umartwiać je, a teraz Vincent ukazywał im nieznosnie obsceniczny widok cielesnej doskonałości.

Młody człowiek natychmiast zrozumiał, że jego nabrzmiałe mięśnie i napięte ścięgna stanowiąc będą dla jego katów prowokację. Wiedział już, że każą mu za to zapłacić.

Jego ciało było tym, co w życiu udało mu się najlepiej. Inni, myślał, dopracowują się kariery, bogactwa, władzy. On wyrzeźbił tylko swoje ciało. Zrobił z niego dzieło sztuki. Miał nadzieję, że w fizycznym pięknie wytworzy się harmonia formy i funkcji i że w ten sposób zbliży się do idealnego obrazu samego siebie, którego nigdy nie dosięgnie. Przydał mięśni swojej duszy, że swego ciała uczynił sposób przynależności do świata.

Vincent poświęcił dla swego ciała swój czas, swoje wysiłki i swoje pragnienia. Przestrzegając ascezy często odmawiał sobie przyjemności i nabijał sobie mięśnie żeliwem i ołowiem. Za cenę tych poświęceń miał obecnie najpiękniejsze ciało, jakie można sobie wyobrazić, jakby żywy posąg obrażający Islam.

Ze swych noszy Hormoz rzucił rozkaz swoim ludziom. Dwóch z nich podeszło do Vincenta. W ich dłoniach błyszczały lakierowane kije base-ballowe, na których widniał napis:

„TEHERAN - American Embassy”.

Pierwsze uderzenie zламаło mu prawy obojczyk.

Edwin Langman uporządkował swoje papiery, pozamykał szuflady biurka i wrzucił do młynka kilka plików kompromitujących dokumentów. Kiedy tylko powiadomiono go o odlocie prezydenckiego samolotu do Kalifornii, przeszedł do działania.

Miał sześć godzin czasu - tyle potrzebował prezydent, by dolecieć do bazy lotniczej Edwards.

Już od dwóch dni prowadził rekrutację komandosów. Ze względu na opory w łonie armii utworzył grupę dwunastu najemników o najwyższych kwalifikacjach, dostarczonych przez międzynarodową agencję. Ludzie ci poprzedniego dnia znaleźli się na Cyprze i oczekiwali na instrukcje z Waszyngtonu, podobnie jak kierownictwo bazy amerykańskiej w Bahrajnie, które miało dostarczyć im helikoptery i wszelką pomoc techniczną.

Ze stanowiska dowodzenia Narodowej Rady Bezpieczeństwa Edwin Langman wysłał do Larnaki i do Bahrajnu, w imieniu prezydenta, rozkazy zezwalające na tajny desant na więzienie w Evinie. Upoważnił dwunastu najemników do zabijania według własnego uznania.

Langman nadużył zaufania prezydenta, popełnił oszustwo. Cokolwiek miało się dalej wydarzyć, jego kariera była skończona. Zasiadł samotnie za stołem w siedzibie Rady i czekał.

Kiedy samochód prokuratora Ładżewardiego zatrzymał się pośrodku więziennego podwórza, wśród hezbollahców zapadła całkowita cisza.

Prokurator wysiadł z wozu. Szttywnym krokiem, rozglądając się groźnie podszedł do Hormoza, leżącego na noszach postawionych na ziemi.

Nieco dalej, nadal przywiązany do swego słupa, Vincent Romano stracił przytomność. Jego pokryte sińcami, zakrwawione i porozszarpywane ciało przypominało paletę, na której malarz rozrabiał kolory.

Ladżewardi stanął przed Hormozem. Patrzył z góry na młodego człowieka leżącego w gipsie. Hormoz starał się uniknąć jego wzroku.

- Pańskie rozkazy są bezprawne! - wykrzyknął prokurator. - Ani pan, ani pańscy przyjaciele nie macie prawa wymierzania sprawiedliwości w tym kraju!

Hormoz milczał.

- Nie będzie pan więcej pełnił straży nad więźniami!

Ladżewardi odwrócił się nie czekając na odpowiedź i wrócił do samochodu, który odjechał z piskiem opon.

Kiedy tylko znalazł się poza murami więzienia, prokurator kazał kierowcy jechać do Teheranu. Zaczynał się zastanawiać, jaką rolę mu powierzono w tej sprawie i chciał to wyjaśnić. Chętnie poradziłby się samego Imama, lecz od kilku dni ten ostatni nie przyjmował odwiedzin. Twierdzono, że ma gripę i musi leżeć w łóżku.

Prokurator Ladżewardi postanowił bezzwłocznie widzieć się z ajatollachem Zardechanim, który z pewnością potrafi wyjaśnić mu sytuację.

Przez ten czas na podwórzu więzienia Hormoz kazał odwiązać Vincenta Romano, dla którego przyniesiono nosze.

Wtargnięcie prokuratora przerwało egzaltację, panującą dotąd wśród hezbollahów. Janet, Sandy i William Allen bezsilnie przyglądali się męczeństwu Vincenta. Podobnie jak jej towarzysze Janet zmusiła się, by nie odwracać wzroku. Mieli nadzieję, że ich współczucie i być może błysk miłości w spojrzeniu pomoże torturowanemu młodemu człowiekowi, przynosząc mu choćby minimalną ulgę, jak kropla miodu na wargach konającego.

Dwóch ludzi chwyciło nosze Hormoza. Kazał się zanieść do pomieszczenia z telefonem. Hezbollahowie postawili nosze na ziemi, podali Hormozowi aparat i wyszli.

Hormoz wykręcił numer jednej z tajnych linii ajatollacha Zardechaniego. Znał go na pamięć, gdyż używał go bardzo często kiedy zdradzał przewodniczącego Parlamentu i jego palec automatycznie trafiał na kolejne otwory w tarczy.

Mężczyźni, który podniósł słuchawkę - agentowi ajatollacha - młody Irańczyk opowiedział o przyjeździe prokuratora Ladżewardi i jego groźbie pozbawienia hezbollahów nadzoru nad więźniami.

Jego rozmówca poszedł skonsultować się z imamem dżome z Khom.

Trzeba się spieszyć, rozkazał po powrocie. Więźniów należało natychmiast przewieźć. Z Teheranu za chwilę miał wyjechać kurier wiozący oficjalny dokument, zwalniający więzienie w Evin od odpowiedzialności za zakładników. W ciągu godziny więźniowie musieli zostać przewiezieni w bezpieczne miejsce.

Hormoz odłożył słuchawkę. Bez pytania wiedział, o jakie „bezpieczne miejsce” chodziło.

Godzinę później furgon wyjechał z więzienia w Evin i skierował się w stronę Teheranu. Towarzyszyły mu trzy samochody wypełnione hezbollahami, a z przodu jadący dziupem dwaj pasdarani torowali drogę.

W tym samym momencie specjalny samolot US Air Force lądował w Bahrajnie; wysiadło z niego dwunastu ludzi w panterkach, z których usunięto wszelkie znaki identyfikacyjne. Ich sprzęt załadowany został do trzech helikopterów Bell Cobra o zwiększonym zasięgu, pomalowanych w barwy armii irańskiej.

Klucz helikopterów wystartował w kierunku Teheranu kiedy na czarnym niebie pojawiły się pierwsze oznaki szarości. Maszyny przeleciały nad Zatoką Perską. Raporty Narodowej Rady Bezpieczeństwa, przekazane komandosom, informowały o martwych polach w systemie obserwacji lotnictwa irańskiego. W okolicy Nay Band.

Piloci bez przeszkód dostali się nad terytorium Republiki Islamskiej.

Lecieli na małej wysokości, zostawiając od zachodu wysokie góry wznoszące się na północ od Sziraz. Po trzech godzinach znaleźli się na południe od Isfahanu. Zgodnie z planem wylądowali w miejscu oznakowanym dla nich przez wcześniej wysłanych tu ludzi. Pod stertą naciętego drewna, tak jak było umówione, znaleźli zapasy paliwa konieczne do zatankowania.

Kiedy ruszyli dalej na północ, przelatując o parę kilometrów od dawnej stolicy safawidzkich królów, słońce już wstało, a jego promienie odbijały się od złocen i ceramiki kopuł i minaretów.

Po dalszych dwóch godzinach w oddali ujrzeli przedmieścia stolicy. Ominęli ją i wkrótce znaleźli się w okolicy Evinu. Zobaczyli więzienie, potężną budowlę okoloną murem.

Na tarasie stanowiącym dach budynku garnizonowego obsługa działka przeciwlotniczego zauważyła nadlatujące helikoptery. Jeden

z żołnierzy skierował na nie swoją lunetę, lecz maszyny nosiły znaki irańskiego lotnictwa.

Wartownicy nie mieli wiele czasu na zastanawianie się: rakietą wyrzuciona z pierwszego helikoptera rozwalila taras zanim zdolali podnieść alarm.

Plan był prosty. Sześć lub siedem dalszych rakiet wystarczyło, by zniszczyć antenę nadawczą i stanowiska obrony więzienia. Następnie, po rozpoznaniu sytuacji z powietrza, piloci mieli przelecieć parę razy nad podwórzem i oczyścić je wiązkami granatów. Wówczas, mieli wylądować pod osłoną serii z karabinów maszynowych.

Dalszy ciąg operacji miał polegać na uwolnieniu zakładników, zabraniu ich na pokład i powrocie do Bahrajnu tą samą drogą.

Rozpoczęła się walka i wszystko odbyło się zgodnie z planem. Z dwoma wyjątkami, z których jeden skazał ekspedycję na niepowodzenie, a drugi na katastrofę.

Pierwszym był brak zakładników.

Drugi przybrał postać burzy, która rozpełtała się w drodze powrotnej tuż przed Isfahanem. Z powodu warunków atmosferycznych helikoptery zboczyły z drogi. Piloci zgubili się i musieli wykonać kilka przelotów zanim odnaleźli punkt zaopatrzenia. Zabrakło im jednak paliwa i musieli wylądować o trzy kilometry od oznakowanego miejsca.

Tymczasem wiadomość o napaści na Evin dotarła do komendanta wojskowego Isfahanu. Wkrótce w okolicy, w której najemnicy nadal poszukiwali swego paliwa, pojawiła się kolumna pancerna.

Amerykanie unieśli ręce na znak poddania się. Lecz oficer kierujący kolumną przypomniał sobie, zgodnie z zaleceniami propagandy, że ludzie ci działali z błogosławieństwem Szatana. Pozwolił im podejść. Kiedy znaleźli się w zasięgu kul, wydał rozkaz strzelania.

Po zlikwidowaniu komandosów Irańczycy wysadzili helikoptery w powietrze. Następnie przy pomocy miotaczy ognia spalili ciała najemników, by móc przedstawić jako wypadek egzekucję, której dokonali bez rozkazu przełożonych.

Kiedy było już po wszystkim, na bezmiarze szarego piasku otaczającym królewskie miasto pozostały tylko gorące jeszcze zgliszcza i dwanaście zwęglonych, czarnych ciał.

Irański oficer wydał rozkaz do odwrotu. W drodze powrotnej pomyślał, że przed śmiercią Amerykanie zobaczyli Isfahan, który jest

połową świata. Być może ujrzeli nawet z góry Meczet Królewski i Drżące Minarety.

Los był dla nich przed śmiercią łaskawszy, pomyślał oficer, niż byli tego godni jako niewierni.

Edwin Langman wiedział, co pozostało mu do zrobienia.

Tak jak to często czynił, wsiadł w wahadłowy samolot linii Eastern Airlines do Nowego Jorku. Doleciawszy na miejsce pojechał taksówką do domu towarowego Macy's, przy Siódmej Alei. Wszedł do środka i wyszedł od strony Herald Square, w ten sposób gubiąc agenta CIA, któremu Steve Raimondi kazał go śledzić. Wsiadł do innej taksówki, która zawiozła go do World Trade Center.

Zanim rzucił się w stodziesięciopiętrową przepaść, Edwin Langman pomyślał jeszcze, że wszyscy będą sądzili iż popełnił samobójstwo na wieść o tragedii pod Isfahanem. A przecież nie żałował niczego.

Myśli jego wypełniał obraz Janet. Młoda kobieta siedziała na krześle dla skazańców. W czadorze wyglądała jeszcze piękniej i jeszcze bardziej tajemniczo niż zwykle.

Za chwilę kształt jej twarzy rozplynie się w mroku. Za chwilę dźwięki rozbrzmiewające wokół niej ustąpią miejsca ciszy, tuż zanim rozbrzmi huk salwy. Za chwilę wreszcie pociski przeszyją jej ciało, pozostawiając po sobie krwawiące otwory.

W chwili, kiedy się to stanie, ciało Edwina Langmana roztrzaska się na betonowej płycie.

Będzie to ostatnie świadectwo miłości.

17

ROZMOWA

Stojąc w oknie ostatniego piętra Dora Benari nie wierzyła własnym oczom.

Dwa tysiące żołnierzy piechoty otaczało Hadasę. Od rana stalowe kozły z drutem kolczastym porozstawiane na szosach uniemożliwiały turystycznym autobusom dojazd do szpitala. Członkowie rodzin nie byli już wpuszczani do pokoi pacjentów. Studenci, stażyści, dostawcy, pośrednicy ubezpieczeniowi, jednym słowem wszyscy ci, którzy nie musieli tu przebywać z powodów zdrowotnych, natykali się na opór strażników firmy Greilsammer.

Krąg żołnierzy zacieśniał się. Operacją kierowali generał i kilku podoficerów, siedząc w pojazdach terenowych poruszających się wokół otaczającego terenu. W pewnym momencie szereg oblegających rozerwał się, tworząc mniejsze kręgi wokół piętnastu głównych budynków szpitala. Większość z nich miała łączniki: ustawiono w nich na każdym piętrze po dwóch ludzi, którzy mieli uniemożliwić przejście z jednego budynku do drugiego.

Kiedy w ten sposób odizolowano każdy z budynków, rozpoczęto przeszukania. Prowadzono je metodycznie, bezwzględnie, niczym nagonkę. Żołnierze szli korytarzami, otwierali drzwi, sprawdzali sale chorych, zaglądali do szaf, dokonywali rewizji w laboratoriach i sprawdzali tożsamość wszystkich napotkanych osób. Pakamery, przewody wentylacyjne, prasowalnie, zsypy na śmieci, kotłownie - niczego nie pominięto.

Niektóre ściany, wyglądające podejrzanie, przewiercono i osłuchano. Wszędzie poszukiwano przy pomocy odpowiedniego sprzętu elektronicznego nielegalnych kabli. Na rurach umieszczono wykrywacze drgań i mikrofony wysokiej czułości.

Dora Benari służyła w wojsku: przeszukanie Hadassy przypomniało jej rewizje, dokonywane w wioskach palestyńskich, gdzie podejrzewano, że przechowuje się materiały wybuchowe.

Od stóp do głów przebiegł ją dreszcz niczym wstrząs elektryczny. W jednej chwili zdecydowała się przyłączyć do korpusu ekspedycyjnego. Wybiegła ze swojej wieży, spragniona uczestniczenia w walce, jak za czasów swej młodości.

- Plutonowa Benari, czwarta brygada piechoty! - wykrzyknęła do generała salutując. - Ot a Hagvura, Magen Jeruzalaim, Itur Hamofet i Itur Haoz!

- Niech pani spokojnie odetchnie - odparł tamten uprzejmie. Nie patrzył na twarz Babel, lecz na klapę jej kurtki.

- Oczywiście - roześmiała się stara kobieta - nie noszę ich na tym mundurze!

Miała na myśli odznaczenia, które wcześniej wymieniła, order „za odwagę”, medal obrony Jerozolimy, order „męstwa wojennego” i medal „za brawurę”.

Generał potarł podbródek, lecz Babel nawet nie przyszło do głowy, że może jej nie dowierzać. Widziała tylko jedno: człowiek ten nosił mundur Tsahalu, kochała go więc jak siostra kocha brata.

- Proszę spojrzeć, coś panu pokażę! - powiedziała z tajemniczą miną dziecka, oddającego przysługę dorosłemu.

Wyciągnęła z wewnętrznej kieszeni kurtki stary, wytarty portfel. Otworzyła go i podała generałowi zdjęcie.

Po chwili, przestudiowawszy je i najwyraźniej pod wrażeniem, generał oddał jej dokument. Po czym nagle, uroczyście, stanął przed nią na baczność.

Roześmiała się, jak kobieta, której ktoś prawi komplementy, pomimo że jej uroda dawno przekwitła. Gest generała przepełnił ją radością, miała ochotę rozplakać się ze szczęścia.

Schowała z powrotem do portfela zdjęcie, przedstawiające ją podczas Wojny Sześciodniowej na Synaju, razem z generałem Rabinem. W tle widoczne były trofea wojenne plutonowej Benari: dwadzieścia wraków egipskich czołgów, z których wydobywał

się jeszcze dym po materiałach wybuchowych, oleju i spalonym ludzkim mięsie.

Generał zaprosił Babel do swego dżipa, w którym siedziało już dwóch adiutantów. Pojechali na oddział stomatologiczny, kolejny etap inspekcji.

Wszędzie dookoła, podobnie jak na terenie całego szpitala, żołnierze w połowych mundurach chodzili wszędzie, oglądali każdy centymetr kwadratowy i rewidowali personel.

- Można by pomyśleć, że to terytorium okupowane po ofensywie!
- mruzczała stara kobieta, upojona szczęściem. - To jednak cholernie przyjemny dzień!

Z odległych przestrzeni, gdzie znajdowały się jego witalne ośrodki, komputer wysyłał niejasne informacje, niekompletne i pełne interferencji.

Wobec tych zagadkowych przekazów Christopher czuł się tak bezradny, jak gdyby odcyfrowywał hieroglify. Wydawało się, że maszyna cierpi na logoreę - zaburzenie chorobowe przejawiające się nieprzerwanym potokiem słów.

Niekiedy na ekranie pojawiały się jedne lub więcej akapitów o spójnej treści. Mowa w nich była o namiętności i gorączce, o potępieniu i wyrzutach sumienia. Lecz najczęściej czytelność tekstu była ograniczona z powodu luk, przerw lub bezładnego przemieszania wyr. Jednakże pirat posuwał się naprzód w labiryncie centralnej pamięci - Christopher postawił krzyżyk pomiędzy ósmym a dziewiątym stopniem swoich symbolicznych schodków - i w miarę jego postępów majaczenia komputera robiły się bardziej zrozumiałe. Wyglądało to, jakby wszystkie pozostałe jej siły, maszyna przeznaczyła na podtrzymanie dziwnego języka bredni.

Christopher analizował ten las znaków w poszukiwaniu wskazówek, które przecież gdzieś musiały się znajdować. Odnalazł kilka jaśniejszych miejsc. W majaczeniach Artura nieustannie powracały pewne stałe wątki. Należały do nich muzyka, architektura i moralność.

Siedząc za swoim pulpitem, w sercu obłązonego szpitala, Christopher palił papierosa za papierosem. Zaczął palić nagle, pomimo że dotąd głośno podkreślał swój wstręt od tego nałogu. Zakochał się w kimś,

o kim niczego nie wiedział, kroczył nad przepaścią nie zdając sobie z tego sprawy: teraz, za pośrednictwem swego ciała, karał swoją duszę za takie zaślepienie. Rujnował sobie płuca i z radością myślał o zniszczeniach, jakie powoduje we własnym aparacie oddechowym.

Drukarka rejestrowała całą twórczość Artura, a jednocześnie wszystko było nagrane na taśmę magnetyczną. Posługując się programem analizy tekstu, Christopher postanowił spróbować systematycznego badania danych, zgromadzonych w ciągu ostatnich dni.

Kiedy luki w tekście zostały uzupełnione, anarchia w działalności komputera poskromiona, a ład zajął miejsce bałaganu, Christopher wydał okrzyk triumfu: poznał jedną z tajemnic Artura!

Było to pierwsze zwycięstwo.

Ujął głowę w dłonie, jakby w celu lepszego uzmysłowienia sobie prawdy, tak długo dla niego niedostępnej i którą teraz odkrył:

Artur nie prowadził monologu, lecz dialog!

W tym momencie do biura wszedł James Beam. Podniecony Christopher odwrócił się ku niemu i wyjaśnił mu swoje odkrycie: w głębi tej studni, z której dna docierały do nich jedynie strzępy niekończącej się rozmowy, wypowiadali się dwaj rozmówcy a nie tylko jeden.

- Majaczysz - odparł były astronauta. - Zostało sprawdzone, że żaden inny pirat oprócz tego, którego ochrzciłeś „Artur”, nie włamał się do systemu!

- To znaczy, że jest ktoś naprzeciwko Artura, ktoś kto gra pewną rolę, ktoś kto mu odpowiada...

- „Ktoś”?

- Ktoś albo... coś...

- No, mów dalej, chcę żebyś wypowiedział tę brednię, zanim stąd wyjdę! Śmiało! Przecież nie możesz wytrzymać!

- Ktoś albo coś, kto logicznie rzecz biorąc, może być tylko...

- No kim? Kim?

- Samym komputerem!

- Brawo! Mój syn zwariował, już czas żebyś stąd wyjechał!

- Wyjechał?

- Tak. Zrobiłem to, o co mnie proszono. Teraz wasz ajatollah może już odwalić kite, nie przeszkodzi mi to w trawieniu! Poza tym nie mam wyboru. Muszę wracać w góry przed sezonem lawinowym! Kiedy się znów zobaczymy, synu, będę tym, który odnalazł arkę!

Christopher uśmiechnął się do ojca.

- Zachowaj dla mnie kawałek masztu, zrobię sobie przycisk do papierów!

- Żegnaj, synu - powiedział James Beam, uśmiechając się również. Christopher poczuł, że coś się między nimi zmieniło, coś czego dotąd nie miał czasu zauważyć, lecz co teraz wzbudzało w nim pragnienie uściskania ojca. Powstrzymywał ich wstyd, niczym ściana, po obu stronach której tak długo pozostawali. Spojrzenie Chrisa napotkało wzrok ojca.

Stary człowiek wyciągnął ramiona. Christopher rzucił mu się w objęcia.

Wydarzenia rozgrywające się wokół odmłodziły Dorę Benari. Na okres jednego dnia odnalazła swoją rodzinę, a to zmieniało jej spojrzenie na świat. Jej martwe oko z kalectwa stało się symbolem, a na jej piersi żołnierze widzieli nie znaczek firmy Greilsammer, lecz pieczęć sławy.

Z całego serca Babel uczestniczyła w przeszukiwaniu. Bardzo aktywna, wskazywała tu na dobrą kryjówkę, tam - na ukrytą klapę, gdzie indziej - na zapomniany korytarz. Zachowywała się jak pani domu oprowadzająca po mieszkaniu dalekich krewnych.

Podobnie jak żołnierze, stara kobieta nie знаła prawdziwej stawki całej operacji. Powiedziano jej o podejrzeniu, że terroryści ukryli gdzieś w szpitalu bombę zegarową. Prawda nie była od tej wersji zbyt odległa, tyle że groziła nie eksplozja, lecz katastrofa.

Samuel Penchas, Mel Philip, Charles Stroud i Mordechaj Kiru utworzyli sztab kryzysowy i przejęli na ten cel pomieszczenie bufetu. W regularnych odstępach czasu, podoficer przychodził meldować o stanie zaawansowania rewizji.

Stroud, agent FBI, zajadał pączki powtarzając niezmiennie:

- Nie może nam się wymknąć. Szuka jej dwa tysiące ludzi! Nie, ta kurwa nam nie ujdzie!

- Niech pana Bóg wysłucha! - odpowiadał Mel Philip, któremu pozostała już tylko modlitwa.

Czas uciekał, a kolejne meldunki napływały monotonicznie, ciągle takie same: nic nowego.

Niekiedy dzwonił telefon: telefonował z Waszyngtonu Lee Weaver, dyrektor FBI, by otrzymać najnowsze informacje, które miał przekazać prezydentowi. Od niego dowiedzieli się, że szef Narodowej Rady

Bezpieczeństwa zginął w wypadku i że od tej pory prezydent osobiście będzie śledzić wydarzenia w Jerozolimie, z podziemnego biura pod zachodnim skrzydłem Białego Domu.

Poza Christopherem Beamem nikt w szpitalu nie znał wszystkich bez wyjątku faktów. Każdy - Philip, Stroud, Kiru i pozostali - znał tylko niektóre z nich: istnienie tajemniczego pacjenta, istnienie programu Golden Gate, wtargnięcie pirata do systemu informatycznego Hadassy. Nieznajomość całości sprawy, osobiste zainteresowanie nią prezydenta najpotężniejszego państwa świata, opanowanie szpitala przez wojsko, wszystko to sprawiało, że obawiali się, by niebezpieczeństwo nie okazało się większe, niż mogli sobie to wyobrazić.

Mel Philip poprosił o pozwolenie zamknięcia się na chwilę w kaplicy Chagalla. Choć był katolikiem, synagoga była lepszym miejscem na skierowanie modłów do Najwyższego.

Dialog Artura z nieznajomym brzmiał tak prawdziwie, że Chris czuł się chwilami skrępowany, jakby podsłuchiwał intymną rozmowę dwojga ludzi z krwi i kości. A przecież wiedział, że tak nie było: nieznajomy był jedynie chimera, postacią fikcyjną, której rolę odgrywał komputer.

Artur nigdy nie nazywał swego rozmówcy. Chris ochrzcił go mianem „Gościa”. Nieznajomy bowiem zachowywał się rzeczywiście jak gość, który przyszedł i zamierza odejść. Jego prawdziwym terytorium była nieobecność, a do tej Artur nie miał dostępu.

Pirat - Artur, lubił filozofować i miał młodzieńczy temperament. Wysławiał się z elegancką nonszalancją absolwenta Ivy League i spoglądał na świat okiem nieskorym do nadawania rzeczom większej rangi niż ta, która im przysługuje. Gramatyka jego wypowiedzi wskazywała, że jest to mężczyzna. Nie dowodziło to jednak niczego: mogła to równie dobrze być kobieta, przeżywająca kryzys tożsamości.

Gość posługiwał się niepewną angielszczyzną. Na zmianę używał zaimków męskich i żeńskich. Musiał więc być albo obojnakiem, albo cudzoziemcem, lecz Christopher tu i ówdzie wychwycił błędy składniowe, wskazujące raczej na tę drugą możliwość.

Gość twierdził, że kiedyś wykonywał zawód architekta. Był cały oddany swojej pracy, jego dzieła znaleźć można było na pięciu

kontynentach. Czubki jego wieżowców sięgały chmur. Most na Orinoko nosił jego imię. W Brazylii wznosił strzelistą katedrę. W Hong Kongu ustawił w równowadze sześćdziesiąt pięter na jednym jedynym słupie z betonu i stali, wbitym w skałę niczym banderillo.

Choć ich osobowości i temperamenty różniły się całkowicie, Artur i Gość wydawali się żywić podobną skłonność do namiętności. Oddawali się wszystkim jej mękom: okrucieństwu, zazdrości, gwałtowności i goryczy. Ich rozmowa toczyła się jakby poza światem zewnętrznym, płynęła niczym potok lawy. Marzyli o bezkompromisowym absolutie, z ochotą poświęciliby ludzkie życie gdyby od zbrodni zależało, by świat stał się czystszy, a ludzkość szlachetniejsza. Rzeczywistość wzbudzała w nich obrzydzenie, nad nią przedkładali utopię. Pewnego dnia, twierdzili, odizolują się razem na obrzeżu innego świata, tam gdzie żyć mogą tylko wtajemniczeni. Na zawsze pozostaną na jakiejś Atlantydzie, sami ze sobą, wolni od zgubnego wpływu upływającego czasu.

Ich rozmowa, dotycząca filozofii, metafizyki i estetyki, wznosiła się na eteryczne wyżyny subtelności. Jednakże zdarzało się, że wymiana zdań schodziła na bardziej przyziemne tematy: z zaangażowaniem komentowali najnowsze wyniki zespołów Broncos z Denver i Cowboys z Dallas. Christopher odkrył, że Artur połączył komputer Hadassy z maszyną amerykańskiej Federacji Futbolowej.

To stałe przechodzenie od subtelności do codzienności, od czułości do gwałtowności, od rozumowania do szaleństwa fascynowało Christophera. I kiedy tak Artur i Gość łączyli się w słownych uściskach, kiedy pieścili się słowami tak jak pieści się ciało kochanki, młody człowiek zastanawiał się, czy on także byłby zdolny do podobnych przeżyć.

Zdarzało się, że Gość nie reagował tak, jak Artur tego oczekiwał. Wyglądało to tak, jakby w pewnych chwilach nie wystarczał mu już status postaci wytworzonej przez komputer, lecz jakby domagał się inicjatywy i autonomii.

Wyskoki takie denerwowały Artura. Buntował się i czynił tamtemu wyrzuty:

- Nie możesz się tak zachowywać! - mówił - Już cię nie poznaję!

Jego protesty jednak pozostawały bez echa, miały w sobie coś patetycznego. Dowodziły, że Artur miał o Gościu wyidealizowane wyobrażenie, odpowiadające nie wiadomo jakiemu określone mu modeli, lecz że wymykało mu się coś nad czym nie miał już kontroli.

Christophera ogarniał też niepokój. O ile Artur budził w nim szacunek, należy do zdolnemu przeciwnikowi, o tyle wobec Gościa czuł się nieswojo. Różnica ta wynikała z faktu, że pierwszy był fizyczną osobą - choćby i bardzo tajemniczą - podczas gdy drugi stanowił jedynie wytwór ludzkiego umysłu.

Christopher coraz bardziej skłaniał się do hipotezy, że Artur ukształtował Gościa na podobieństwo istniejącego człowieka, co tłumaczyło jego wściekłość kiedy tamten odbiegał od obrazu, jaki został mu przypisany.

Jakkolwiek miały się sprawy, najbardziej niewiarygodne było to, że piratowi nie tylko udało się sforsować bariery strzegące systemu informatycznego Hadassy, lecz że dokonał także niesamowitego wysiłku w zakresie programowania jedynie w tym celu, by móc porozmawiać z chimerą!

Motywacja taka była całkowicie szalona; przyprawiało to Chrisa o zawrót głowy.

Przeszukanie Hadassy zakończyło się fiaskiem.

- Co za marnotrawstwo - żalił się Mel Philip. - Chorzy są wściekli, personel w panice, szpital zamienił się w poligon. I wszystko na nic!

- Jeszcze nie wszystko stracone - powiedział niepewnie generał. - Pozostaje nam jeszcze do przeszukania budynki szkoły pielęgniarek...

- Niczego tam nie znajdziecie - ryknął Charles Stroud. - Osobiście kierowałem tam rewizją dziś rano!

- Moglibyśmy także - ciągnął generał - przeszukać plac budowy nowych bloków operacyjnych, na którym musi być więcej kryjówek niż piasku na pustyni! Co pani o tym myśli?

Babel, którą szacunek generała nagle postawił w rzędzie decydentów, machnęła ręką z rezygnacją.

Nikt nie wątpił, że spośród wszystkich obecnych na naradzie ona znała teren najlepiej. Niezliczone obchody, jakie przeprowadzała tu przez wiele lat, pozwoliły jej poznać najdrobniejsze szczegóły każdego zakątka szpitala. Jej kompetencja nie ulegała wątpliwości: przestali więc rozmawiać o placu budowy.

Christopher, wskazany pozostałym przez Strouda jako podejrzany o współudział, nie został zaproszony na zebranie.

Charles Stroud wymamrotał kilka słów na temat rozczarowania, jakim była dla niego porażka wojskowych. Samuel Penchas nabił fajkę. Mel Philip popatrzył wokół z poczuciem beznadziejności. Generał ujął głowę w dłoń w geście przygnębienia.

Byli w ślepej uliczce.

Zaskoczony Christopher zdał sobie sprawę, że jego przeciwnik był doskonale poinformowany o wszystkim, co działo się w szpitalu.

Kiedy Artur powracał do systemu po krótkim okresie rozłączenia, przede wszystkim opisywał swemu rozmówcy gorączkowy nastrój panujący wokół:

„Nieładnie tu dzisiaj wygląda. Jak okiem sięgnąć widziałem tylko mundury.

- Policja?

- Nie, wojsko. Pochlebiają nam.

- A Amerykanin?

- Facet z FBI nałożył na niego kwarantannę. Myślę, że uważnie śledzi nasze rozmowy.

- Brakowało mi ciebie... - Parę minut... A co ja mam powiedzieć, ja którego tak dobrze nauczyłeś jak boli nieobecność?

- Rób tak jak ja, Alamo. Wokół pustki, jaka zostawała po twoim odejściu, budowałem pałace. Czciłem próżnię, opracowałem dla niej całe liturgie."

Niczym detektyw zbierający drobne resztki ziemi lub kurzu by na tej podstawie prowadzić dochodzenie, Chris zauważył, że Gość czasami nazywa Artura Alamo. Zamyślił się. Ten poufały przydomek budził w nim jakieś dawne wspomnienia, których nie potrafił skonkretyzować. Zrezygnował z dociekań.

Nieco później Gość poruszył temat sporny. Zarzucał Arturowi, że w czasie któregoś z poprzednich dialogów zbyt otwarcie wyznał uczucia, które jego zdaniem, nie powinny być wyrażane na piśmie.

Pismo, twierdził, może odzwierciedlać najsubtelniejsze uczucia jedynie kalając je, gdyż jest materialne. Tchnienie słów natomiast pieściło najszlachetniejsze rzeczy nie plamiąc ich, gdyż ulatywało nie pozostawiając śladu.

Christopher współczuł Arturowi z powodu jego upokorzenia. Pomyślał o własnych sporach z Deborą. Od ich pierwszego spotkania

dziewczyna wpajała mu, niczym truciznę, przekonanie, że jest od niej gorszy: nigdy nie będzie w stanie wznieść swej duszy na jej poziom. Przypomnił sobie noc, kiedy kompleks ten sprawił, że poraziła go impotencja.

Uwagi Gościa zgnębiły Artura. Zaczął się bronić. Nie można było wątpić, iż usiłuje on uszlachetnić swą duszę, zgodnie z przykładem dawanym przez Gościa, lecz jego kultura cechowała się przewagą tradycji ustnej. Jego korzenie usprawiedliwiały go. Artur złożył wówczas przysięgę, której dziwaczność zaszokowała Christophera:

„Jeśli tego pragniesz, będę mówić i będę śpiewać. I jak to niegdyś uczynił Jack Wilson dla swoich bliskich, zatańczę dla ciebie taniec duchów...”

Christopherowi pociemniało przed oczami.

Kim był ów Jack Wilson, ze swoim tańcem duchów, który wydawał się wzięty prosto z fantastycznej powieści Lovecrafta? Dlaczego Artur chciał tańczyć dla nieznajomego? Jakże więzy ich łączyły? Co to wszystko miało znaczyć? Pytania rodziły pytania, można było zwariować.

A jednak, choć elementy, którymi dysponował wydawały się absurdalne i bez związku, Chris niejasno czuł, że Artur niechcący dał mu wskazówkę. Nie wiedział jeszcze gdzie znajdowało się rozwiązanie, lecz intuicja mówiła mu, że gdzieś tutaj, między ostatnimi słowami pirata, leżał klucz do zagadki.

Christopher wziął kartkę papieru i przepisał ostatnie słowa jakie pojawiły się na ekranie:

„Będę mówić i będę śpiewać. I jak to niegdyś uczynił Jack Wilson dla swoich bliskich, zatańczę dla ciebie taniec duchów...”

Chris włożył kurtkę, wsunął kartkę do kieszeni i ruszył do drzwi. Podejrzewał coś i musiał to sprawdzić w centralnej bibliotece Uniwersytetu Hebrajskiego, gdzie mieli pokazać liczbę amerykańskich książek. Tam być może znajdzie potrzebne informacje.

Na korytarzu rozległ się wówczas donośny hałas.

Chris pomyślał o ludziach, którym Charles Stroud powierzył misję pilnowania go. Agent FBI uważał, że jeżeli, jak to podejrzewał, Beam był współnikiem Debory Kennedy, ta ostatnia ukryta gdzieś na terenie szpitala z pewnością będzie próbowała się z nim skontaktować.

Dlatego też jeden policjant bezustannie chodził za Chrisem, w odległości paru metrów. Drugi przeszukiwał miejsca, do których Chris

chodził sam - na przykład toalety - by upewnić się, że nie spotkał tam rozmówcy, który by przyszedł tam wcześniej. Trzeci funkcjonariusz pełnił wartę w pobliżu jego biura.

Chris usłyszał, jak trzech mężczyźni nawołują się. Zabrzmiało głuchy odgłos jak gdyby dwa ciała padły na dywan. Wkrótce słychać też było stuk kroków, prawdziwą kawalkadę ludzi nadbiegających na pomoc.

Chris wybiegł z biura. Zdarzyło się to, czego się obawiał.

Debora, przebrana za pielęgniarkę, bez przeszkód przekroczyła główną bramę szpitala. Stojący przed windami amerykański policjant w cywilu rozpoznał ją ze zdjęcia, które zostało rozdane rano. Przepuścił dziewczynę i przez radio zawiadomił kolegów stojących na piętrach.

Wychodząc z windy Debora wpadła na strażnika. Udawała rozluźnioną, niby przeglądając dokumenty, które trzymała w ręku, jak prawdziwa pielęgniarka studiująca kartę gorączki chorego.

Dziewczyna znalazła się pomiędzy strażnikiem a policjantem pilnującym biura Christophera.

Chris ujrzał Deborę leżącą na ziemi i unieruchomioną przez policjanta, który wykręcił jej rękę na plecy i przyciskał kolanem do

Nadbiegł Charles Stroud z kilkoma agentami. Pojawili się też Mel Philip oraz Mordechaj Kiru, Samuel Penchas, Babel i generał.

Chris cierpiał patrząc, jak traktują Deborę niczym zwykłą kryminalistkę. Dziewczyna patrzyła na niego ze łzami w oczach, jakby błagając o pomoc, której nie mógł jej udzielić.

Charles Stroud triumfował z miną inkwizytora: miał swoją czarownicę, teraz trzeba było już tylko wznieść stos. Kiedy patrzył na Deborę, w jego oczach pojawiał się błysk zadowolenia myśliwego, lecz kiedy spoglądał na Chrisa, w jego wzroku była arogancja zawodowej zemsty.

- Chciałam ci powiedzieć...- wykrztusiła Debora do Chrisa.

Hałas zagłuszał jej głos. Jedni gratulowali drugim, każdy zadawał jakieś pytania, komentował zwycięstwo, puszył się. Sprawa była nareszcie zakończona, pirat pojmany i szpital ocalony.

- Co? - spytał Chris.

Popatrzyła wokół na stłoczoną i wrogą ciżbę ludzi, którzy zaprzysięgli jej zgubę.

- Nie! Później! - odpowiedziała łkając.

Babel stała z boku, dziwnie wyniosła, jak monolit. W jej oku nie było triumfu. Charles Stroud zwrócił się do niej.

- Czy poznaje pani osobę, która napadła na panią dwa miesiące temu? - spytał.
- Babel zawahała się, wydawała się walczyć z pokusą.
- Nie! - odparła wreszcie.
- Chce pani powiedzieć, że jest wykluczone by Debora Kennedy mogła być napastnikiem?
- Nie. Tego nie powiedziałam. Po prostu nie mogę jej rozpoznać.
- Więc to mogłaby być ona.
- Tak, ale nie twierdzę tego.
- Chris aż kipiał, oburzony tym dialogiem.
- To absurd! - krzyknął. - Stroud, Babel mogłaby pana rozwalić o ścianę jednym uderzeniem pięści. Proszę na nią spojrzeć, to olbrzymka! W jaki sposób Debora mogłaby ją pozbawić przytomności? To mógł zrobić tylko mężczyzna!
- Stroud zdał sobie sprawę, że fizyczna słabość Debory uzasadniała ten argument.
- Tak czy inaczej - odpowiedział - nic nie wskazuje, że istniało jakieś powiązanie między napadem, o którym mówimy a piractwem komputerowym w Hadassie. A wszystko wskazuje na to, że pani Kennedy - niezależnie od jej prawdziwego nazwiska - jest piratem, którego właśnie poszukujemy. Przesłuchania pozwolą na wyjaśnienie spraw, które dotąd są niezrozumiałe.
- To nieprawda! - wrzasnęła Debora.
- Z przyczyn politycznych zniszczyła pani częściowo system informatyczny!
- Nie!
- Jest pani członkiem terrorystycznego ugrupowania! Należy pani do tych, którzy postanowili wykorzystać sieci komputerowe jako słaby punkt krajów demokratycznych. Po co brać zakładników, podkładać bomby w supermarketach albo wykolejać pociągi, kiedy można zdeorganizować życie na planecie przy pomocy wirusów informatycznych wprowadzonych do komputerów, albo luk wykonanych w pamięciach centralnych!
- Nie zrobiłam tego! Pan kłamie!
- To pani kłamie! Od początku ukryła się pani za zasłoną bajeczek!
- Charles? - odezwał się cicho Mel Philip.
- Tak?
- Czy możemy chwilę porozmawiać na osobności?

- Oczywiście. Podnieście ją i założcie kajdanki. Spotkamy się w sali konferencyjnej.

Podczas gdy policjanci odprowadzali Deborę, a przygnębiony Christopher wyciągał ku niej ręce, obaj mężczyźni stanęli koło okna. Niedaleko nich stał pracownik firmy Greilsammer, młody stażysta któremu powierzono służbę przy głównym wejściu szpitala.

- Co takiego? - spytał Stroud.

- Ten strażnik twierdzi, że widział Deborę Kennedy jak wchodziła do szpitala niecałe pół godziny temu...

- To niemożliwe! Przecież pan wie, że pirat działał wewnątrz szpitala!

- To fakt. Ale jest świadectwo tego człowieka...

Stroud zwrócił się do pracownika firmy ochrony.

- Proszę opowiedzieć, co pan widział!

Tamten, zdenerwowany, zrobił wysiłek żeby się skupić.

- Widziałem jak ta kobieta wchodziła do szpitala. Miała na sobie ubranie pielęgniarki. Zaczekała, aż pod izbę przyjęć podjedzie karetka. Kiedy noszowi wyciągnęli chorego z samochodu, podbiegła do noszy i chwyciła butelkę do kroplówki. Wszyscy myśleli, że to jest jej praca i że jej tożsamość była już sprawdzana. Weszła do budynku przy wózku z chorym, trzymając wysoko butelkę. To wszystko.

Charles Stroud był wściekły.

- Przez pana tracę czas! - warknął.

- Naprawdę ją widziałem - zaprotestował strażnik.

- Śmierdzi od pana alkoholem!

- Nie! Co pan insynuuje? Wypiłem tylko pół butelki wina do obiadu! Niech pan nie próbuje mnie wrobić w pijaństwo!

Stroud wbiegł do sąsiedniego laboratorium, gdzie wisiała tablica. Chwycił kredę i wrócił na korytarz. Na podłodze narysował długą, dziesięciometrową linię prostą.

- Niech się pan przejdzie po tej linii! - rozkazał.

Strażnik chodził do kina: wiedział, że jest to metoda amerykańskiej policji na sprawdzanie trzeźwości podchmielonych kierowców.

Bardzo się starając ruszył więc wzdłuż linii. Po przejściu dwóch metrów stąpnął krzywo. Potem, nieco dalej, zdarzyło się to powtórnie. W dzieciństwie w wyniku nieszczęśliwego upadku jego zmysł równowagi poważnie i nieodwracalnie ucierpiał. Został nawet z tego powodu

zwolniony ze służby wojskowej, lecz było jasne, że policjant nie będzie chciał o tym słyszeć.

Stroud uznał, że wiarygodność strażnika jako świadka została podważona. Uniósł ręce do nieba w geście rozpaczony i wraz z Melem Philipem opuścił korytarz. Biedny strażnik, nie zdając sobie sprawy, że już poszli, nadal kroczył powoli wzdłuż białej linii niczym linoskoczek, chwiejnym nieco krokiem.

Christopher wrócił do biura. Przez chwilę stał bez ruchu: prześladował go widok zatrzymanej i upokorzonej Debory.

Włączył swój komputer, wstukał kod użytkownika i uzyskał dostęp do systemu. Jak zwykle przeszedł procedurę, mającą go zaprowadzić do pirata. Lecz zamiast powodzi słów, do jakiej tamten ostatnio go przyzwyczał, ujrzał jedynie pusty ekran.

Przyszło mu na myśl, że gdyby istniał optyczny odpowiednik ciszy radiowej, można było powiedzieć, że pirat przestał nadawać!

Odkrycie było przytłaczające i ani przez chwilę nie wątpił, że pirat wycofał się z premedytacją. Wkrótce, w chwili którą sam sobie wyznaczy, Artur powróci do systemu i tym razem będzie mógł do końca zrealizować swój szaleńczy zamysł. Nikt nie będzie się tego spodziewał, gdyż jego zniknięcie w tym czasie będzie potwierdzać hipotezę o winie Debory. Plan był szatański i potwierdzał to, o czym Christopher już wiedział wcześniej: Artur znał każdy jego krok i był doskonale poinformowany o tym, co działo się w Hadassie.

Christopher sięgnął do kieszeni marynarki po papierosy. Jego ręka natrafiła na kartkę papieru i przypomniał sobie: „będę mówić i będę śpiewać. I jak to niegdyś uczynił Jack Wilson dla swoich bliskich, zatańczę dla ciebie taniec duchów...”

Dlaczego był przekonany, że rozwiązanie zagadki kryło się w tych dwóch zdaniach? Dlaczego styl pirata wydawał mu się chwilami dziwnie znajomy? Dlaczego wypowiedzi Artura kojarzyły mu się tak bardzo z ideą doskonałości? Dlaczego wreszcie rozpoznawał w nich coś własnego? Przypomniał sobie o bibliotece Uniwersytetu Hebrajskiego i wybiegł na zewnątrz.

Samochód wystartował z piskiem opon.

Kwadrans później szedł już wzdłuż bibliotecznych półek.

Kiedy Christopher wrócił do szpitala nie mógł sobie darować, że wcześniej nie domyślił się kim był Artur. Wydawało mu się to teraz tak oczywiste, że chętnie by się wychłostał, by ukarać się za głupotę.

Tylko jedna osoba była zdolna, technicznie i intelektualnie, do realizacji planu opracowanego przez Artura.

Tylko jedna osoba mogła to zrobić.

Również tylko jedna osoba mogła wspominać o Jacku Wilsonie i nosić przydomek Alamo...

Christopher pomyślał o grożącej katastrofie. Prześladowały go stale te same wspomnienia: Imam naszpikowany cewnikami, przemawiający metalicznym głosem z głośników, czworo zakładników oczekujących egzekucji, Debora wleczone po ziemi i dogorywający komputer.

Teraz zdawał sobie sprawę, że tylko jedna osoba na świecie mogła zapobiec katastrofie, albo ją przyspieszyć.

Raz jeszcze przebiegł w myślach to, o czym od początku wiedział. I to, co dopiero zrozumiał...

KSIĘGA III

TANIEC DUCHÓW

18

ARS MAGNA

Słońce prażyło niemiłosiernie. Gorące powietrze drgało nad spaloną trawą. Bizony dusiły się, umierały setkami, a ich mięso było twarde jak drewno i nie nadawało się do jedzenia.

Od terytoriów Przeciętych Nosów po ziemie Żółtych Noży, od kraju Ludzi Gór po obszar Zajęcy ziemia była spękana i wyschnięta. Widząc to Jack Wilson odczuwał ból w sercu.

Po raz pierwszy, w plemienu Tragarzy, ujrzał kobiety w żałobie noszące na ramionach, zgodnie z tradycją, spalone szczątki zmarłych mężów. Niektóre miały zawieszony na plecach płócienny worek, w którym grzechotały wśród popiołu resztki kości niestrawione przez ogień. Inne pozbierały i powiązały przy pomocy łyka całe kości, jedynie osmalone przez płomień; nosiły teraz tak powstałe naszyjniki, klekoczące głucho w rytm ich kroków.

Jack Wilson miał trzydzieści dwa lata. Miał już okazję się przekonać, że śmierć była zarazem szlachetna i obrzydliwa. Obrzydliwe były wnętrzności bizonów gnijące na słońcu i rozrywane dziobami padlinożernych ptaków. Szlachetna była czułość, okazywana przez kobiety Tragarzy pamiętkom po mężach.

Wilson był synem proroka Siuksów. Los chciał, że w dzieciństwie utracił rodzinę i wychowywany był przez blade twarze, które nadały mu dziwne nazwisko Jack Wilson. W rzeczywistości nazywał się Wowoka, co znaczyło „Dawca Życia”.

Tego dnia Wowoka zrozumiał, że śmierć - nie własna, lecz bliskich - stawia ludzi w obliczu jedyne go doświadczenia, w którym pozostają sami ze sobą: nieobecności. Odgadł, a w przyszłości miało się to potwierdzić, że doświadczenie to było męką zbyt trudną dla zbyt słabej ludzkości. Jeżeli Bóg istniał, dlaczego nie wymyślił bardziej znośnego cierpienia, dlaczego nie umocnił bardziej ludzkich serc? Fakt ten wskazywał na niesprawiedliwość przeznaczenia, oznaczał, że dzieło Stworzenia nie było zakończone.

Przed nadejściem wieczoru słońce schowało się, a samotny wśród przerażonych Białych, Wowoka nie czuł zaskoczenia.

Kiedy czarna tarcza zakryła słoneczny krąg, czas zatrzymał się i Wowoka miał widzenie. Zostało mu przekazane, że pewnego dnia powódzie wypędzą Białych z ziem, które zagarnęli. Narody indiańskie odzyskają niepodległość. Na prerii znów pojawią się liczne bizony. Lecz przede wszystkim nadejdzie Duch, który wskrzesi umarłych. Ci, którzy odeszli zostaną przywrócić do życia, a Historia toczyć się będzie dalej. Zmartwychwstanie było blisko, każdy mógł przyspieszyć nadejście Ducha.

Kiedy słońce uwolniło się od swej czarnej opończy i skończyła się ekstaza Wowoki, ludzie otaczający Indianina ujrzeni, jak tańczy. Uderzał o ziemię obcasami, rytmicznie, jakby przyzywając duchy spod ziemi. Obracał się powoli, jego ramiona zataczały szerokie kręgi przecinając powietrze niczym skrzydła wiatraka. Wyglądał, jakby walczył z niewidzialnym wrogiem, z samymi siłami śmierci.

A przecież jego taniec nie miał w sobie nic z żałoby. Kiedy duchy, jeden po drugim, przyłączyły się do tańca, rytm uległ przyspieszeniu, kroki i skłony stały się płynniejsze. Przywołane do życia na czas tańca duchy natchnęły Wowokę: odtąd stał się ich prorokiem.

Minęły lata. Wowoka zmarł w 1932 roku. Taniec duchów poznał w 1890: roku zaćmienia. Później taniec rozpowszechnił się przez prerie aż po Góry Skaliste, jak pożar suchych traw.

Dzięki tańcowi Indianie mogli teraz przewycięzać strach przed ciemnością i przywoływać z zaświatów ukochane osoby zabrane im przez śmierć.

Brat Wowoki miał córkę, która sama także urodziła córkę, a ta z kolei została matką Davida Sullowaya.

David Sulloway dopiero w wieku dwudziestu lat dowiedział się o swoim pokrewieństwie z prorokiem Wowoką.

Po ucieczce z rezerwatu przydzielonego jej plemieniu, babka Davida zamieszkała na Wschodnim Wybrzeżu, w początkach dwudziestego wieku. Epoka wielkich żądań i manifestacji rasowych miała dopiero nadejść, lecz ona nie mogła o tym wiedzieć i jej pochodzenie było dla niej źródłem wstydu. Pragnęła tylko jednego: zmieszać swą indiańską krew z krwią białego, by po paru pokoleniach stało się niemożliwe dociec jej genealogii. Powodowała nią miłość do dzieci, nie pogarda dla własnej rasy: chciała, by jej synowie mieli prawo, na równi z silniejszymi, do korzystania z praw jakie federalne Państwo przyznawało swoim obywatelom odwrotnie proporcjonalnie do stopnia brązowości ich skóry.

Bardzo pragnęła syna, lecz z jej związku z człowiekiem z bostońskiego establishmentu narodziła się córka.

Dziewczyna z kolei wyszła za mąż za Białego nazwiskiem Sulloway, kierującego w Pittsburghu przemysłowym konsorcjum. Krzyżówka udała się znakomicie: przyszło na świat dziecko o indiańskich rysach lecz jasnej skórze. Nazwano go David.

Dużo później David Sulloway zainteresował się genealogią. Zaczął wypytywać rodziców. Wyjawili mu jego pochodzenie niechętnie, gdyż w konserwatywnym kręgu ich znajomych zaledwie tolerowano mieszaneć.

Młody człowiek był wzruszony: marzenie Wowoki było najpiękniejszą opowieścią, jaką kiedykolwiek usłyszał.

David Sulloway odbył studia w Massachusetts Institute of Technology. Był bostończykiem w każdym calu i nikt w Cambridge nie mógłby domyślić się, że płynie w jego żyłach trochę indiańskiej krwi. Lecz on eksponował swoje pochodzenie niczym szlachecki rodowód. Pomieszanie ras dało mu fizyczne piękno i zaskakującą inteligencję.

Kilka lat później David Sulloway wysłany został przez swój uniwersytet na staż do Smith Kettlewell Institute w San Francisco. Było to zapewne wynikiem pomyłki, gdyż młody człowiek pasjonował się budową systemów dla psychiatrii. Tego typu badania miały mało wspólnego z analizą wzroku, stanowiącą podstawowy przedmiot badań Instytutu.

Nicholas Fulton zarekomendował Sulloway'a Christopherowi Beamowi, który właśnie przyjął propozycję szpitala Kiriat Hadassa w Jerozolimie by podjąć badania nad możliwościami zastosowań informatyki w neurologii.

David spodobał się Beamowi. Zaangażował go więc jako asystenta i utworzył w swoim oddziale sekcję modeli psychiatrycznych, powierzając ją Sullowayowi.

Pewnego dnia Christopher Beam wyjechał z Jerozolimy. Tego dnia prawnuka proroka Wowoki czekało trudne przeżycie.

Scenka rozegrała się na ostatnim piętrze Hadassy. Zanim wszystko się zaczęło, Sulloway stał przez chwilę w oknie, opracowując swoją strategię i patrzył na bezkresne przestrzenie pokryte drzewkami oliwkowymi i białymi domkami, na oślepiającą biel dzwonnicy Muzeum Izraela i w oddali na mury obronne Sulejmana Wspaniałego. Nie był to jednak odpowiedni moment do marzeń: trzeba było zaczynać.

Młody człowiek postanowił zaatakować rozmówcę banalnym pytaniem:

- Dzień dobry. Jak się pan dziś czuje? - spytał.
- Dobrze - odparł tamten. - Dziękuję, doktorze. Ale wątpię, by szczerze interesował się pan stanem mojego zdrowia.
- Myli się pan. Jestem tu po to, by panu pomóc.
- Przepraszam. Czuję się tak, jakby wokół byli sami wrogowie.

Dlaczego oni mnie tak nienawidzą? Wie pan, doktorze, w sercach ludzi jest tylko zawiść, nic więcej i to ona dyktuje im ich postępowanie.

David Sulloway zawahał się chwilę. Miał zamiar postawić pytanie o zasadniczej wadze na tym etapie rozmowy. Miało ono zakwestionować same podstawy osobowości jego rozmówcy. Sulloway ryzykował, powinien zachowywać się mądrze; był jednak młody - miał dwadzieścia pięć lat - i niezbyt ostrożny.

- Dlaczego miałoby panu czegoś zazdrościć? - spytał w końcu.

Tamten zwlekał z odpowiedzią. Dla niego implikacje pytania były straszne. Rzeczywiście, czego też mógł mu zazdrościć świat zewnętrzny? Inteligencji, wrażliwości, szczęścia? Co posiadał cennego, co mogłoby wzbudzać zawiść? Zadając to pytanie Sulloway otwierał mu pod nogami przepaść. Groził, że zetrze go na proch.

David Sulloway przestraszył się. Jego rozmówca był paranoikiem najwyższego stopnia, a on właśnie przycisnął go do muru.

- Mogą mi zazdrościć... - powiedział tamten wreszcie.
- Czego?

Sulloway wytworzył blokadę. Zasadnicze znaczenie miało to, by pacjent potrafił z tego wybrnąć.

- Mogą mi zazdrościć... - powtórzył ten ostatni - mogą mi zazdrościć... no.... mojej zdolności wywoływania pańskiego uczucia i zainteresowania, doktorze. Nie ma pan ich przecież dla byle kogo, prawda? A to oznacza, że moja osoba i moja sytuacja mogą budzić

- To całkiem logiczny wywód - odpowiedział młody lekarz z ulgą.
- Żeby uwolnić się od tych, którzy panu zazdroszczą, potrzebna jest panu obecność osób bliskich. Co by pan powiedział, gdybym zaproponował panu odwiedziny rodziny?

- Niech pan nie próbuje mi narzucać ich przyjazdu tutaj. Na samą myśl czuję wstręt.

- Nalegam.

- Niech pan przestanie! Jest pan obrzydliwy, stara się pan mnie dotknąć, zranić mnie. Dobrze widzę pańską grę. Nienawidzę pana i tej pańskiej twarzy ociekającej dobrą wolą i słodyczą!

- Proszę się nie obawiać, pańska rodzina się tu nie wybiera. Chciałem tylko wykazać panu, że nie jest pan w stanie przyjąć ich odwiedzin. Pański brak pewności siebie jest straszny. Kiedy ponownie uwierzy pan w siebie, będzie pan mógł stawić czoło rzeczywistości.

Nastąpiła chwila milczenia. Potem pacjent powiedział:

- Zastawił pan na mnie pułapkę. Oszukał mnie pan. Od początku stara się pan mi zaszkodzić. Czy pan sądzi, że nie widzę co pan knuje? Wie pan, jakie jest moje największe pragnienie?

- Nie. Proszę mi powiedzieć.

- Zabić pana.

- Pański problem jest w panu, nie we mnie. Zabicie mnie niczego nie zmieni.

- Chce się pan wywinąć tak słabymi argumentami? Zabiję pana!

- Że pan tego chce, to jedna sprawa. Wprowadzenie tego w czyn, to coś zupełnie innego, co postawiłoby pana wobec własnych sprzeczności. Nie byłby pan w stanie posunąć się do ostateczności.

- Wyzywa mnie pan! Niech będzie! Powtarzam panu, że pana zabiję! Słyszysz pan? Zabiję pana! Tak, zabiję! Zabiję!

Choć był absolutnie przekonany, że tamten w żadnym razie nie będzie w stanie spełnić swojej groźby, David Sulloway poczuł, że po grzbiecie przelatuje mu dreszcz.

- Zabiję, zabiję, zabiję, zabiję, zabiję... - wrzeszczał teraz pacjent Nagle jego głos załamał się i cichy trzask obwieścił wyłączenie się systemu syntezy mowy. W tym samym momencie zielone litery na ekranie monitora ułożyły się w napis:

„Wyłączam się. Do widzenia, doktorze.”

Sulloway z triumfem odwrócił się ku dwóm osobom, które w głębi pokoju śledziły test: byli to Nancy Collins, kierowniczka wydziału systemów i Arnold Kean, jeden z dwóch specjalistów wysłanych przez administrację federalną z Waszyngtonu, by zmniejszyć koszty działania oddziału. Młody lekarz wyczuł, że seans zrobił na nich wrażenie, lecz jednocześnie wydawali się jakby skrepowani, zachowując dystans.

- David - odezwała się Nancy Collins, by przerwać rosnące zakłopotanie - czy mógłby pan pokazać panu Keanowi, w jaki sposób system analizuje swoje własne reakcje?

- Naturalnie.

Sulloway wystukał kilka poleceń na klawiaturze. Na ekranie pojawił się dialog, który wcześniej prowadził z komputerem, a przy każdej wypowiedzi widniał komentarz.

- Widzi pan - powiedział młody człowiek. - Oskar - Tak go nazwałem - najpierw próbował traktować mnie jako wroga. Zbity z tropu moją dobrocią skierował się przeciw całemu światu. Ponieważ jedno z moich pytań zmusiło go do samooceny, popadł w paranoję. Najpierw wywołało to u niego uczucie wstydu, a potem gniewu. Wreszcie odczuł strach i to pozwoliło mu na wywołanie konfliktu ze mną. W tym momencie sytuacja była już zablokowana: doprowadzony do ostateczności Oskar mógł już tylko się wycofać, rejestrując upokorzenie jakie uważał, że przeżył i wzmacniając swoją

- Pięciu zawodowych psychiatrów przetestowało system - dodała Nancy Collins. - Wszyscy sądzili, że mieli do czynienia z prawdziwym chorym.

- Oskar ma pewną przeszłość - powiedział Sulloway - przeżył doświadczenia seksualne, przyjemne i nieprzyjemne, jego stosunki z rodzicami przeszły przez całą serię kryzysów, frustracji i radości. Naturalnie te parametry można zmieniać dowolnie...

David Sulloway urwał nagle. Facet z Waszyngtonu miał powątpiewający wyraz twarzy i wyglądał, jakby czuł się nieswojo...

- System można też odwrócić - kontynuował młody człowiek w nadziei, że przekona rozmówcę. - Może on przyjąć na siebie rolę doświadczonego psychiatry i może wówczas rozmawiać z chorym. Najbardziej wstydlivy pacjent nie ma zahamowań wobec maszyny!

Kean, agent rządu federalnego, otarł czoło i powiedział w końcu:

- Panie Sulloway, nie chcemy podważać wartości pańskich badań ani ich kompletności. Ale niezależnie od tego, jak doskonały byłby pański system, nigdy nie będzie w stanie odwzorować dwóch doświadczeń, bez których żadnego modelu psychiatrycznego nie można uznać za pełny.

- Tak? - spytał Sulloway.

- Miłości. I samotności - odparł Kean.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Potrafię to - rzucił młody człowiek.

- Co?

- Sprawić, żeby... system był „pełny”, jak pan powiedział.

Kean wstał. Nancy Collins również. Agent z Waszyngtonu popatrzył na Sullowaya wzrokiem pełnym politowania.

- To bezcelowe spekulacje. Miłość i samotność to jedyne ludzkie doświadczenia, których nie da się zalgorytmizować. Nie można stworzyć ich modelu, Panie Sulloway. Niezależnie od tego, Oskar to doskonały system. Gratuluję panu osiągnięć. Pańskie prace w tej dziedzinie uznajemy za zakończone. Z przykrością muszę pana poinformować, że nie będziemy mogli przeznaczyć dotacji budżetowej dla pana w tym roku.

Był to cios ostateczny. Sulloway skierował na Nancy Collins zrozpaczone spojrzenie.

- Naprawdę bardzo mi przykro, David - powiedziała Nancy, po czym wyszła za Keanem.

Młody człowiek został sam. Czuł się, jak gdyby poinformowano go o rychłej śmierci przyjaciela cierpiącego na nieuleczalną chorobę. Powstrzymał łzy cisnące mu się do oczu. Miał żal do Beama, swego nauczyciela i przyjaciela, że porzucił go i wyjechał w chwili takiego zagrożenia. Miał żal do Oskara, że nie zdobył uznania. Miłość! Czy ten Kean w ogóle sam miał okazję ją poznać? Samotność! Czy kiedykolwiek doświadczył tego uczucia w całej jego ponurej okropności? Sulloway miał także żal do siebie samego za to, że uzależniony jest od administracji, która niszczy jego badania.

Młody człowiek zgasił światło i przygotował się do wyjścia. Jednak zauważył zielone światełko ekranu, który dotąd nie został wyłączony. Sulloway podszedł do niego, usiadł i zaczął stukać w klawiaturę. Po chwili na ekranie pojawiły się słowa:

„Czy naprawdę chcesz zniszczyć dane z dysku twardego?”

Wypisał:

„Tak”

„Dane dysku twardego są zabezpieczone przed zniszczeniem. Podaj hasło”.

„Ars magna”.

„Potwierdź polecenie zniszczenia”.

„Potwierdzam”.

„Niszczę dane z dysku twardego...

Polecenie wykonane”.

Drżąc lekko David Sulloway wstał i ruszył ku drzwiom. Na progu odwrócił się, spojrzął na jarzący się nadal ekran i szepnął:

- Widzisz, Oskar, to ja ciebie zabiłem!

19

Z KOR!

Kiedy Christopher powrócił z Kalifornii, przywożąc ze sobą projekt zainstalowania w Jerozolimie systemu Golden Gate, spotkał na korytarzu Davida Sullowaya, pierwszą ofiarę biegłych księgowych z Waszyngtonu. Przypominał sobie słowa, wypowiedziane wówczas przez asystenta:

- W moich żyłach płynie indiańska krew. Jestem prawnikiem proroka Siuksów Wowoki.

Chris przypomniał sobie, że wzruszenie Davida, który był na skraju łez, głęboko go poruszyło, dużo bardziej niż cięcia budżetowe poczynione przez rządowych wysłanników.

Dużo później przydomek Alamo, używany przez Gościa wobec pirata, obudził w Chrisie jakieś odległe wspomnienia: powinien był sobie przypomnieć, że Sulloway był tak nazywany przez przyjaciół, gdyż słowo to nawiązywało do mitycznego świata westernów.

Ale na właściwą drogę naprowadziła Chrisa dopiero wzmianka o Jacku Wilsonie i tańcu duchów. Notatka znaleziona w encyklopedii, w centralnej bibliotece Uniwersytetu Hebrajskiego, pozwoliła mu dowiedzieć się, że Wilson było przybranym nazwiskiem proroka Wowoki. W ten sposób odkrywała się prawda o Arturze, którym był sam David Sulloway.

Teraz łatwiej było zrozumieć pewne sprawy, dotąd niejasne. Jako asystent Christophera, David Sulloway mógł znać jego hasło dające

dostęp do centralnej pamięci komputera. Tylko on miał możliwości niezbędne do przełamania wszystkich zabezpieczeń systemu. Tylko on, wreszcie, był w stanie przekształcić komputer w maszynę pracującą całkowicie na potrzeby tworzenia owej dziwacznej postaci, którą Beam nazwał Gościem. Czyż wcześniej nie opracował programu modelowania psychiatrycznego, który nadawał komputerowi wszelkie reakcje chorego psychicznie? Wszystko wskazywało na to, że Sulloway opracował nową wersję swego programu i że tym razem udało mu się stworzyć prawdziwe arcydzieło.

Naturalnie policja przeprowadziła dochodzenie na temat wszystkich pracowników zwolnionych w ciągu paru miesięcy przed pojawieniem się pirata. Lecz Sulloway odszedł z Hadassy z własnej woli, składając dymisję zanim zwolniono by go z powodów ekonomicznych.

Te wskazówki nie rozwiązywały jeszcze jednak całej zagadki. Trzy serie pytań pozostawały bez odpowiedzi i Chris zapisał je na kartce papieru by lepiej móc się nad nimi zastanowić:

1) Jakie były motywy Sullowaya? Co było takiego w postaci Gościa, co uzasadniałoby zaangażowanie całej mocy komputera?

2) Gdzie znajdował się David Sulloway? W jaki sposób udało mu się ukryć w czasie przeszukiwania szpitala? Czy był jeszcze czas na powstrzymanie jego postępu w kierunku miny logicznej, o której istnieniu nie wiedział i która miała wkrótce wybuchnąć?

3) Co miała sobie do zarzucenia Debora? Dlaczego zachowywała się tak podejrzanie? Czy łączyło ją cokolwiek z piratem, czy też przeciwnie, może to ona sama miała jakąś tajemnicę, której nie mogła wyjawić, niezwiązaną z informatycznym piractwem? Czy rzeczywiście należała ona do grupy terrorystycznej, a jeżeli tak, to czy Chris nie popełnił przestępstwa wyjawiając jej stan w jakim znajdował się Imam?

Chris ponownie przeczytał pytania. Było w nich coś, od czego opadały ręce. Odgadując kim był pirat sądził, że zbliżył się do rozwiązania, lecz teraz widział, że przed nim nadal rozpościerała się

Spojrzał na schodki wyrysowane na ścianie: przed przerwaniem działalności pirat osiągnął dziewiąty stopień....

Choć jego praca w Hadassie dawała mu wystarczające dochody, David Sulloway zawsze żył jak student. Z wiolonczelistką z orkiestry

filharmonii izraelskiej dzielił mieszkanie w Beit Zait, niedaleko góry Herzl.

Wiolonczelistka miała na imię Simone. Miała tłuste włosy, powłóczyła nogami i nosiła okulary. Ramiona jej okrywał zwykle szal z dzianiny. Wyglądała jak postać z filmu Woody Allena, jakby zesła na chwilę z ekranu Purpurowej Róży z Kairu, by odbyć przechadzkę po świecie rzeczywistym.

- Kiedy odszedł ze szpitala - powiedziała - David był rozczarowany, choć miał nadzieję, że będzie mógł kontynuować swoje badania gdzie indziej. Ale przede wszystkim chciał wszystko przemyśleć. Postanowił, że zafunduje sobie roczny urlop. Chciał spędzić go w Chinach, bo Charley chciała zobaczyć Świątynię Nieba.

- Charley?

- Tak. David spotkał ją dwa lata temu. Wkroczyła w jego życie i myśle, że już z niego nie wyszła...

- To dziewczyna?

- Tak, nosi męskie imię, tak jak Alexis w tym amerykańskim serialu....

- Mieszkała tutaj z wami?

- Tak. Niedługo potem, jak się poznali, przyniosła tu swój plecak i poukładała po swojemu poduszki na kanapie. To znaczyło, że będzie tu mieszkać. Mnie to nie przeszkadzało: lubiła wiolonczelę, zwłaszcza pierwszą suitę Bacha.

- Jakie były ich stosunki?

- Nigdy ich nie rozumiałam. Czasami robili wrażenie kinowych kochanków, którzy rzucają w siebie talerzami, wrzeszczą i biją się, a w chwilę potem obejmują się i zaczynają się kochać jęcząc z rozkoszy. Kiedy indziej zachowywali się jak brat i siostra utrzymujący kazirodcze stosunki, wyglądali jakby istnieli tylko dla siebie.

- Gdzie można spotkać Charley?

- Słucham?

- Chciałbym się z nią zobaczyć.

- Więc pan nic nie wie?

- O czym pani mówi?

- Charley nie żyje. O tym mówię.

- Co się stało?

- W przeddzień ich wyjazdu do Pekinu Charley była w Tel Avivie. Miała przyjechać po Davida i mieli razem pojechać na lotnisko. Po

drodze słuchała muzyki, właśnie ten kawałek Bacha, o którym panu mówiłam. Lubiła go słuchać na cały regulator, zwłaszcza kiedy prowadziła w nocy. Kiedy wyprzedzała jakiś samochód, głośna muzyka zagłuszyła klakson ciężarówki nadjeżdżającej z przeciwka bez świateł. Zobaczyła ją za późno. Było czołowe zderzenie, jej samochód rozpląszczył się na TIR-ze. Zginęła na miejscu.

- Co zrobił David?

- Kiedy tylko go powiadomiono, pojechał na miejsce wypadku, w okolicy Szaar Ha Gai. Strażacy jeszcze nie zdążyli wyciągnąć ciała z wraka samochodu. Policja aresztowała pijanego kierowcę ciężarówki.

Później David opowiadał, że ciało Charley było nienaruszone, że nie było na nim ani kropli krwi i że widział tylko maleńkie białe nacięcie na nosie. Twierdził, że wypadek jej nie zabił. Trzymał ją za rękę, była jeszcze ciepła.

Przód samochodu był całkowicie zniszczony. Ale nadal słychać było muzykę: katastrofa nie dotknęła Bacha. Magnetofon miał automatyczne odwracanie taśmy: kasetę grała w przeciwnym kierunku za każdym razem, kiedy kończyła się jedna strona. To spowodowało u Davida pierwsze urojenia...

- Urojenia?

- Uważał z całą pewnością, że lekarze mylą się twierdząc, że śmierć spowodowana była urazem czaszki. Z powodu korków przy wyjeździe z Jerozolimy pomoc nadjechała dopiero parę godzin po wypadku. David twierdził, że to muzyka Bacha zabiła dziewczynę. Później nigdy nie chciał przyjąć do wiadomości, że mogła umrzeć z innego powodu.

- Mówiła pani o pierwszych urojeniach. Były następne?

- W następnych dniach David siedział przygaszony, oparty o parapet okna. Wpatrywał się w kolumnę muzeum Holokaustu, naprzeciwko. Co pewien czas szeptał: „To nie wystarczy”...

- O co mu chodziło?

- O napis na szczycie kolumny: „Zkor”.

- Zkor?

- To znaczy: „pamiętaj”... Zaczął potem opowiadać o tańcu duchów i o czymś co robi dla Charley. Jego przyjaciele zrozumieli, że cierpienie prowadzi go do szaleństwa. Chcieli mu pomóc i ukartowali spotkanie z lekarzem specjalistą od depresji. Ale zanim zorganizowano spotkanie David zniknął.

- Nie można tak po prostu zniknąć.

- Owszem, znika właśnie tak tysiące ludzi rocznie. Nic się na to nie poradzi, jeżeli nie ma śladów przestępstwa: policja odmawia wszczęcia poszukiwań.

- A pani, czy pani go szukała?

- Tak, a wraz ze mną inni przyjaciele i jego rodzina w Stanach Zjednoczonych: dziwni ludzie, trochę „yuppies”, trochę metysi... ale nic to nie dało, po prostu zniknął.

Christopher wiedział już dość. Pożegnał się.

Na zewnątrz słyszał jeszcze, jak dziewczyna gra na swoim instrumencie początek suity Bacha. Temat rozwijał się niczym spirala i powracał znowu, pod nieco zmienioną postacią, bez końca. Chris znał ten utwór na pamięć. Nic, nawet najgłębsza czerń nocnego nieba, nie wzbudziło w nim tak, jak ta muzyka, poczucia nieskończoności. I za każdym razem kiedy smyczek wydobywał niski dźwięk, Chris czuł jakby ukłucie w sercu.

Być może David Sulloway tańczył taniec duchów w takt tej muzyki. W każdym razie przepowiednia proroka Wowoki spełniła się: Charley wstała z martwych, a David ofiarował jej na siedzibę komputer Hadassy.

Za kierownicą swego Buicka Chris przejechał u stóp wzgórza Pamięci i rzucił okiem na górującą nad nim kolumnę. Zkor, pamiętaj: pomyślał, że gdyby miał kiedyś stracić Deborę tak, jak David utracił Charley, to nie, z pewnością to by nie wystarczyło.

Na czternastym piętrze drapacza chmur przy alei Jarkon w Tel Avivie na podwójnych wyściełanych drzwiach widniała miedziana tabliczka:

PFEIFER, ROSE, SALLINGER, LOWE
I S-KA
ARCHITEKCI

Lowe było nazwiskiem Charley.

Chris został przyjęty przez jednego ze wspólników, który nie uznał za stosowne się przedstawić. Zapewne, pomyślał Chris, wspólnicy uważali, że są wzajemnie wymienialni i reprezentują firmę na równi.

Mężczyzna był wysoki, dobrze zbudowany, brodaty i tryskający zdrowiem, byłby z niego wspaniały leśnik.

- Jestem lekarzem - powiedział Chris. - Zamierzam zbudować klinikę i słyszałem o Charley Lowe...

Tamten chrząknął.

- Muszę panu ze smutkiem powiedzieć - odparł - że nazwisko Charley Lowe znajduje się na naszej tabliczce tylko przez wzgląd na pamięć o niej.

- Wiem. Słyszałem o wypadku. Ale sądziłem, że inni wasi architekci być może pracują w jej stylu, opierają się na tym co zbudowało jej reputację...

- Uważaliśmy, że była spośród nas najlepsza.

- Czy ma pan jakieś dokumenty, makiety albo plany, na których mógłbym zapoznać się z waszymi pracami?

- Oczywiście. Mamy makiety w sąsiednim pokoju. Pozwoli to panu wyrobić sobie opinię.

Okna pokoju wystawowego wychodziły na Morze Śródziemne. Słońce w zenicie odbijało się w wodzie jak od falistej blachy. Chris odwrócił głowę, jego wrażliwe oczy nie znosiły silnego światła.

Na plastikowych stojakach stało około pięćdziesięciu makiet, każda pod osłoną z plexiglasu.

Firma Pfeifer, Rose, Sallinger, Lowe i S-ka uprawiała architekturę typowo amerykańską, o czystej linii, z wyraźnej inspiracji Francka Lloyd Wrighta raczej niż Bauhausu czy postmodernizmu.

Najlepsze prace i paradoksalnie najbardziej męskie, należały bez wątpienia do Charley Lowe.

Młoda kobieta stworzyła kształty śmiałe i napięte, betonowe łuki, szklane sklepienia o metalowym szkielecie oparte na lekkich słupach. Christopher przyglądał się długo wieżowcowi w Hong Kongu, przypominającemu strzykawkę wbitą w ziemię, brazylijskiej katedrze, nad którą iglica strzelała prosto w niebo, wreszcie bibliotece w Canberze, niby obszernej kryształowej koronie przepuszczającej światło ze wszystkich stron.

W rogu pokoju skupiono makiety mniej ważnych budynków: szkoła w Bombaju, dom mieszkalny w Paryżu, muzeum w Australii oraz budynek, którego kształty wydały się Christopherowi znajome.

Zaskoczony cofnął się o krok. Ta wielka futurystyczna bryła o zaokrąglonych rogach, nad którą rozpościerał się jakby zawieszony w powietrzu dach, to przecież był budowany obecnie zespół nowych bloków operacyjnych Hadassy!

Na makiecie mała karteczka obwieszczała:

BUDYNEK SZPITALNY
OŚRODEK KIRIAT HADASSA, JEROZOLIMA
ARCHITEKT: CHARLEY LOWE

Dla Christophera było to jakby objawienie. Nowe elementy łamigłówek wskazywały na swoje miejsca jeden po drugim. Zapewne David Sulloway poznał Charley w Hadassie. Chris wyobraził sobie ich spotkanie w pobliżu placu budowy. David, metys z Bostonu, w jednym ze swoich nieskazitelnych garniturów od Sacksa, podchodził do Charley, noszącej gumowce i umazanej odpryskami cementu. Stając przed nią młody człowiek nagle utracił swą śmiałość. Czuł się jak sparaliżowany. Na szczęście Charley wykazała przedsiębiorczość i ratowała go z opresji!

Lecz przed oczami Christophera pojawiły się nagle inne obrazy.

Przypomnił sobie tę noc, kiedy ujrzał na rusztowaniu placu budowy tańczący cień. Taniec duchów!

Przypomnił sobie także Babel, która tyle razy skłamała w tej sprawie: najpierw twierdziła, że nie widziała napastnika, potem nie wykluczyła możliwości, że mogła uderzyć ją Debora; wyraziła przypuszczenie, że cień koło dźwigu mógł należeć do jakiegoś złodziejaska oraz odciągnęła od placu budowy uwagę policjantów i żołnierzy przeszukujących Hadassę. Przypomnił sobie, jak stała kiedyś nad umywalką w jednym z laboratoriów, przyłapaną na gorącym uczynku zmywania z kurtki śladów wapna.

Nie było żadnych wątpliwości. David Sulloway ukrywał się gdzieś na placu budowy i tylko jedna osoba mogła zaprowadzić do niego Chrisa: Babel!

Christopher zatrzymał się po drodze na stacji benzynowej, by wypić kawę; było to niedaleko miejsca wypadku Charley Lowe. Automat sprzedawał pączki. Chris od rana nic nie jadł, czas naglił. Obżarł się w ciągu dwóch minut.

Kiedy wsiadał do samochodu, zauważył po drugiej stronie stacji mężczyznę w beżowym garniturze, noszącego okulary Ray-Ban. Agent federalny - bo był nim bez wątpienia - udawał, że się opala, oparty o drzwi swego dodge'a.

Chris ruszył. Gliniarz siadł za kierownicą i pojechał za nim. Chris zatrzymał się. Tamten uczynił to samo. Sprawa była jasna: Charles

Stroud, mimo woli poruszony zeznaniem strażnika firmy Greilsammer podejrzewał, że Chris należy do tej samej grupy terrorystycznej co Debora. Nie mógł jednak kazać go aresztować, gdyż Beam zajmował kluczową pozycję w łonie systemu, pozwalającego na wyrażanie swych myśli tajemniczemu pacjentowi, którego tożsamości nie znał.

Po przyjeździe do Hadassy Chris wystukał na klawiaturze hasło: Pirat - teraz już można było mówić David Sulloway - nie podjął działalności.

Wychodząc z biura Chris spotkał dwóch programistów, niosących filiżanki z czekoladą i pliki papierów. Porozmawiał z nimi. Mel Philip wydał im polecenie niezwłocznie przystąpić do odbudowy pamięci centralnej.

- Prawdziwa chirurgia plastyczna! - zażartował jeden z nich oddalając się.

Na oddziale napięcie ustało. Pirat milczał: świadczyło to dobitnie o winie Debory. Po co więc utrzymywać presję psychiczną, ciężącą na całym personelu od tygodni niczym ołowiana pokrywa?

Chris pomyślał o przepowiedniach różnych Kasandr głoszących, że pewnego dnia, ponieważ ludzkość utraciła naturalną odporność na pewne zanikające choroby, jacyś generałowie rozrzuca nad nieprzyjacielem zapomniane zarazki, dotąd trzymane w lodówkach.

Potwierdzając swoim zniknięciem tezę o winie Debory i osłabiając w ten sposób samego Chrisa, David Sulloway zniszczył tych kilka ostatnich barier, które chroniły jeszcze serce systemu Golden Gate.

I tak jak w czasie wojny biologicznej, następny cios przeciwnika uderzy w bezbronny już organizm.

- Dlaczego, Babel, dlaczego? - spytał Chris.

Stara kobieta popatrzyła na niego zmęczonym, lecz wdzięcznym spojrzeniem. Ciężar był zbyt duży, by dłużej go sama unosiła. Musiała się z kimś podzielić. Przynajmniej Chris sam odkrył tajemnicę: ona jej nie zdradziła.

- Podczas gdy wszyscy kpili z moich badań lingwistycznych, David traktował mnie poważnie - wyjaśniła. - To prawda, że nie noszę białego fartucha, ale czy pan sądzi, że wojna nie wystarczy, żeby człowiek nauczył się myśleć? David mnie szanował. Rozmawiał ze mną jak z kimś,

z kim miał coś wspólnego, jakaś ciekawość popychała nas oboje w tym samym kierunku...

Powiedział mi, że moje prace nie są bezużyteczne ani śmieszne. On także pragnąłby, żeby język przestał dzielić ludzi, żeby wreszcie zaczął ich łączyć.

David twierdził, że większość tych, którzy mówią tym samym językiem niekiedy rozmawia między sobą językami bardziej różniącymi się niż angielski i hiszpański albo chiński i niemiecki. Myśl, że niezrozumienie może w ten sposób dzielić ludzi była mu nieznośna. Podział ten, jak mówił, separuje nas nawet od tych, których kochamy, przypomina śmierć, która oderwie nas od nich pewnego dnia.

Kiedy David odszedł, popłakałam się.

- Kiedy go pani widziała ostatni raz?

- Po śmierci Charley Lowe. Była noc, a on chował się w cieniu żeby nikt poza mną go nie rozpoznał. Opowiedział mi o swoim projekcie.

Byłam poruszona i postanowiłam mu pomóc.

Chris miał ochotę uściskać starą kobietę, lecz nie była teraz pora na wzruszenia. Czas naglił.

- Rozumiem panią, Dora - powiedział łagodnie - i domyślam się, co się później stało. David zamieszkał gdzieś na terenie szpitala i mógł swobodnie się po nim poruszać w nocy dzięki kluczowi, który mu pani dała. Żeby usprawiedliwić przed dyrekcją zniknięcie klucza, umówiliście się, że pozbawi panią przytomności, co zrobił dość niezdarne: ślady po uderzeniu dowodziły, że musiała pani widzieć napastnika.

David splądrował szpital, żeby zdobyć sprzęt komputerowy i elektryczny, którego potrzebował. Żeby mieć co jeść ogołocił chłodnię wydziału żywienia. Nieco później włamał się do centralnego komputera i zaczął opróżniać jego pamięć, zastępując powoli jego dane duchem Charley Lowe...

Któregoś dnia zauważyłam jakiś cień, tańczący na rusztowaniach placu budowy...

- To właśnie był on. Często to robił: wychodził z ukrycia, z walkmanem na uszach i tańczył w ciemnościach. Wypominałam mu tę nieostrożność, która mogła go zdradzić. Nigdy nie zrozumiałam, dlaczego odczuwał taką potrzebę.

- Być może wierzył w legendę, która mówi, że pewien taniec pozwala żywym przywoływać umarłych. Ale jednego jestem pewien: w międzyczasie znalazł lepszy sposób, by Charley zmartwychwstała...

- Czy wybaczy mi pan to, co zrobiłam?
- Co pani ma na myśli?
- Chodzi o Deborę... Żeby chronić Davida, musiałam pozwolić, żeby ją oskarżono, choć wiedziałam, że jest niewinna...

Chris spojrział na Babel. Stara kobieta, wzruszona, zamknęła oczy. Nigdy nie widział jej w takim stanie. Jej pełna twarz, pozbawiona teraz asymetrii chorego i zdrowego oka, lekko połyskiwała w świetle lampy. Chris pomyślał o rzeźbach Henry Moore'a, których gładkie powierzchnie przyciągają dłoń.

Milczeli, wszystko już zostało powiedziane.

Christopher wyjaśnił Babel konieczność przerwania tańca duchów. Ruszyła przed nim. Wyszli z budynku i udali się w kierunku placu budowy nowych bloków operacyjnych.

Chris przypomniał sobie czerwony krzyżyk, postawiony na dziewiątym stopniu jego papierowych schodów. Oby tylko nie było za późno.

Wkrótce potem Mel Philip i Charles Stroud wpadli do biura Chrisa.

- Wyszedł! - wykrzyknął pobladły Philip.
- Śledzi go jeden z moich ludzi - odparł agent FBI. - Za chwilę zamelduje o jego miejscu pobytu.

Mel Philip podszedł do ściany, na której wisiała kartka Chrisa ze schematem pokazującym postępy pirata.

- Boże, dopomóż nam... - wyszeptał.

Pirat na nowo podjął swoją działalność. Znajdował się teraz gdzieś pomiędzy czerwonym krzyżykiem a przepaścią, w którą miał pociągnąć za sobą wszystkich.

Zapadał wieczór, na horyzoncie za wzgórzami słońce zachodziło, skąpane we krwi.

20 KRÓLEWSKIE MIASTO

Prokurator Ladżewardi czuł się oszukany. Amerykańscy zakładnicy opuścili więzienie w Evin zanim zdołał uzyskać zezwolenie na przejęcie straży nad nimi. Nietykalność hezbollahów odczuwał jako osobisty afront. Zmniejszyła ona jego autorytet, lecz rozmowa z ajatollachem Zardechanim wykazała mu, że ten ostatni popierał ludzi z „Partii Boga”.

Imam nie pojawiał się już od wielu dni. Nie widząc innego rozwiązania prokurator udał się do hojatolesłama Gorganiego. Ten dał mu do zrozumienia, że wkrótce rozpocznie się nowa era i że nadszedł czas by wybrać, w czym się chce być obozie. Wydarzenia w Evin wybrały za niego: w zamian za gwarancje na przyszłość obiecał posłuszeństwo przewodniczącemu Parlamentu.

Umowa zależała od wykonania zadania, które otrzymał Ladżewardi: odnaleźć zakładników i wykraść ich spod kontroli siepaczy Zardechaniego.

Assadollah Ladżewardi posiadał biuro na teherańskim „Kremlu”, obok dawnego Pałacu Marmurowego. Parlament, biura prezydenta Republiki i Premiera oraz liczne urzędy zostały zgrupowane w jednej dzielnicy zamienionej w fortecę, opróżnionej z dotychczasowych mieszkańców i niedostępnej dla spacerowiczów. Utworzenie tego kompleksu polityczno-administracyjnego pozwoliło na ożywienie historycznego i handlowego centrum, zagrożonego obumarciem z powodu przesunięcia się życia codziennego na północ stolicy.

Prokurator siadł za stołem i rozłożył przed sobą plan Teheranu. Wyglądził go ręką by wyrównać zagniecenia i zaczął uważnie studiować. Uważał się za człowieka subtelnego i przebiegłego, być może więc uda mu się, bazując na samej logice, odnaleźć właściwy trop.

Od razu wykluczył południową część miasta: było mało prawdopodobne, by hezbollahowcy ukryli tam zakładników, gdyż tamtejsza ludność skora była do wybuchów i egzaltacji, a z pewnością umieszczenie tam czwórki Amerykanów odbiłoby się głośnym echem po wszystkich dzielnicach.

Okolice Dżamaranu i Szemiranu chronione były przez licznych żołnierzy, oddanych hojatoleslamowi Gorganiemu i Hormoz oraz jego towarzysze nie ryzykowaliby zapuszczenia się tam. Podobnie unikali z pewnością okolic „Kremla”, co wykluczało zachód i centrum.

Kiedy prokurator określił w ten sposób zakres poszukiwań, zdał sobie sprawę z bezcelowości takiego postępowania: miasto było ogromne, w pozostałych dzielnicach można było ukryć więcej zakładników, niż wszystkich, kiedykolwiek pojmanyh terrorystów razem wziętych. Assadollah Ladżewardi pomyślał, że czas zmienić metodę.

Janet, ze związanymi rękami i nogami, rozejrzała się wokół.

Miejsce, gdzie zamknięto ją z towarzyszami mogłoby uchodzić za stację metra. Sklepienie tunelu zamknięte było nad rowem, w którym biegły tory. Lampy jarzeniowe rzucały ostre odbłaski na wyłożone kafelkami ściany. Na ścianach widniały tablice z napisem „Szachestan Pahlawi”, na których niedokładnie zamazano drugi wyraz.

Jednakże, jeżeli nawet było to metro, z pewnością nie obsługiwało ono ludzi: pomiędzy rozkręconymi szynami biegały szczury, ogromne betonowe pierścienie tworzące tunel oddzielone były szczelinami, a perony były nierówne i popękane.

Dla zabawy Janet często zadawała sobie pytanie, co stanie się z Nowym Jorkiem za dwa tysiące lat i czy przyszli archeologowie uznają ruiny World Trade Center za nowe piramidy. To, co miała teraz przed oczami, wyglądające na przedwcześnie zrujnowaną budowlę, wyraźnie wskazywało, że nowoczesne konstrukcje leżące bezużytecznie przypominają trupy.

A przecież stacja Szachestan Pahlawi nie rozsypywała się ze starości: tron szacha upadł przed jej ukończeniem. Miała stać się

centralnym punktem królewskiego miasta, nowego i pomyślanego na wielką skalę ośrodka miejskiego, który miał stanowić ukoronowanie rozwoju stolicy w kierunku północnym. Lecz betonowe marzenie szachinszacha zatrzymało się na alei Abbas Abad. Pozostały po nim zaledwie cztery porzdewiałe dźwigi, z oznaczeniami firmy Bouyges, nieistniejące metro i kilka porzuconych betonowych skorup.

Janet i jej towarzysze umieszczeni zostali w rogu peronu. Zmęczeni, z podkrążonymi oczyma i obolali, nie wiedzieli czy jest dzień czy noc. Odcięci od świata bardziej niż kiedykolwiek dotąd, utracili wszelkie poczucie czasu.

Na początku wierzyli, że ich kraj robi wszystko, by ich uwolnić. Lecz powoli ogarnęły ich wątpliwości. Nic nie wskazywało, by ktokolwiek na świecie wiedział o ich losie. A może rząd amerykański zrezygnował i postanowił zaniechać działań w imię racji stanu? Przez całe życie informacji dostarczały im telewizja, radio i prasa. Teraz, będąc ich pozbawieni, poznawali ich prawdziwą wartość. Niewiedza była koszmarem większym niż niekończąca się noc, niż przemoc, której byli ciągle poddawani.

Vincent nie rozmawiał już, spomiędzy warg ciekła mu strużka śliny. Przy najmniejszym wysiłku tracił przytomność. Jego przyjaciele obawiali się, że od uderzeń doznał jakiegoś urazu wewnętrznego.

William Allen postradał zmysły. Majaczył w gorączce, negocjował umowę z jakimś wymagowanym rozmówcą. Janet zrozumiała, że pod wpływem szaleństwa wyobrażał sobie, że tak jak kiedyś pracuje, u Lloyda i że omawia z diabłem wysokość stawki własnego ubezpieczenia na życie.

Sandy oddała się Hormozowi. Wziął ją w odległym kącie stacji, szybko, jakby chcąc pozbyć się pokusy. Z goryczą przeżyła brutalność młodego Irańczyka: miała wrażenie, jakby ją gwałcił. Od tej pory Hormoz zarzucał jej, że go skalała, że była demonem sprowadzającym wiernych z drogi wytyczonej przez Allacha. Wychłostał ją do krwi skórzanym pasem, po czym sam sobie okaleczył plecy.

Janet widziała, jak jej przyjaciółka wraca do niej nieszczęśliwa i zawstydzona, jakby po dłuższym rozstaniu. Sandy powoli odzyskiwała dawną osobowość i Janet czuła się dzięki temu mniej osamotniona.

Hezbollahowcy stali o pięćdziesiąt metrów od Amerykanów. Tworzyli grupę jakby wyrzeźbioną przez artystę: niektórzy stali z karabinem maszynowym założonym za kark i przewieszonymi przez lufę

i kolbę rękami; inni, kucając, czytali gazety; inni jeszcze, siedząc na ziemi, podawali sobie jakieś pojemniki. Wydawało się, że czas zatrzymał się dla nich, jak w filmach wyświetlanych w zwolnionym tempie.

W świetle jarzeniówek brody wyglądały jak czarne dziury, w których niknęły rysy twarzy. Oczy błyszczały dzikim płomieniem.

W tym bezruchu dał się słyszeć hałas silnika. Rozleniwieni wojownicy przybrali bardziej wojskowe postawy, a pijący herbatę wstali i zakrzętnęli się wokół.

Z głębi tunelu nadjeżdżała ciężarówka, niczym monstualnych rozmiarów mechaniczny kret wylaniający się z czarnej otchłani. Jej reflektory oświetlały szyny, po których nigdy nie przejechał żaden pociąg. Ciężarówka zatrzymała się tuż przed stacją, w ciemności, tam gdzie nie docierało jeszcze światło jarzeniówek.

Kilku hezbollahców podeszło do niej i zaczęli odwiązywać plandekę. Janet była zmęczona, lecz wydawało się jej, że wyciągają jakieś sznury.

Zakładnicy popatrzyli po sobie. Janet spuściła wzrok. Zrozumiała.

Gdyby ktoś spytał go, co teraz czuje, Imam odpowiedziałby, tak jak to uczynił kiedyś wobec francuskiego dziennikarza, w samolocie wiozącym go do Teheranu: „Nic”.

Dziennikarz pomyślał wtedy, że był to błąd w tłumaczeniu. A przecież w owej chwili, kiedy upadł szach i zatriumfował Islam, Imam nie czuł niczego.

Podobnie było dzisiaj. Allah obdarował go zdolnością do niepoddawania się emocjom. Oczywiście pragnął śmierci, lecz nie po to, by uniknąć cierpienia z powodu niszczenia jego dzieła przez rywalizujących ze sobą następców, lub by porzucić swe nieomagające ciało. Pragnął jedynie, by Miłosierny udzielił mu nieco Swego światła.

Co dwie godziny ajatollah Zardechani odwiedzał faghiego. Obok ciała Imama mruczały diabelskie maszyny. Imam dżome z Khom zadawał za każdym razem sparaliżowanemu starcowi to samo pytanie: „Czy duch Allacha jest jeszcze w Tobie, aga?”

Imam unosił wzrok ku ekranowi nad łóżkiem i wśród syczenia pomp i bulgotania płynów w pojemnikach rozlegało się metaliczne „Tak”. Zardechani odchodził, powróci później, powróci jeszcze raz, aż do chwili kiedy nie usłyszy już odpowiedzi na swoje pytanie, kiedy odpowie mu jedynie szum sztucznego płuca.

Żaden głos, żadna natchniona świadomość nie przeszkodzi mu już wówczas, by ogłosić się faghim na większą chwałę Islamu.

Tragiczna klęska amerykańskich komandosów, przybyłych zwolnić nieobecnych już zakładników z więzienia w Evin, zniweczyła wysiłki hojatoleslama Gorganiego.

Gorgani z wściekłością zdał sobie sprawę, że wszystko musi zacząć od początku, podczas gdy znalazł się już tak blisko celu. Członkowie Zgromadzenia ekspertów i wielcy ajatollahowie uznali, że amerykańska agresja dodawała wagi argumentom twardogłowych, a w szczególności ajatollaha Zardechaniego. Tym samym, ten ostatni w jednej chwili odzyskał ich poparcie, gdy Gorganiemu trzeba było tyle czasu by mu je odebrać.

Wraz z synem Imama przewodniczący Medżlisu ruszył więc ponownie do boju. Potrzebował jednak czasu, a tego właśnie najbardziej mu brakowało.

W tej sytuacji postanowili zmienić metodę: wysłali morderców, by zlikwidować popleczników Zardechaniego.

W Stanach Zjednoczonych nie można było już dłużej ukrywać przed opinią publiczną sprawy teherańskich zakładników, ani łagodzić jej opisu. W związku z tym w całym kraju miały miejsce liczne antyirańskie manifestacje. Środki masowego przekazu wzywały rząd, by nie popełniał starych błędów i jak najszybciej użył siły.

Władze amerykańskie nie bardzo wiedziały, jak reagować na te naciski. Edwin Langman popełnił dwie zbrodnie: zdradę i samobójstwo. Jego zdrada nasuwała podejrzenia co do odpowiedzialności samego prezydenta za katastrofę pod Isfahanem, a samobójstwo na zawsze wykluczało możliwość udowodnienia, że takiej odpowiedzialności nie było. Śmierć Edwina Langmana ponadto, w najmniej odpowiednim momencie, pozbawiła kierownictwa Narodową Radę Bezpieczeństwa.

Prezydent był w rozterce.

Jego obóz doszedł do władzy kiedy administracja Cartera, w całym podobnej sprawie zakładników, z powodu swej słabości utraciła całkowicie poparcie opinii publicznej. Prezydentowi przyszło na myśl, że zajmował swój urząd w Białym Domu jedynie dlatego, że jego ludzie

w tamtych dniach skutecznie wykorzystali okoliczności. Lecz teraz, kiedy znajdował się w równie mało godnej pozazdrosczenia sytuacji co Jimmy Carter, prezydent pojął co znaczy bezradność.

Raporty CIA wskazywały, że w Teheranie rozgorzała walka o władzę. Na najwyższym szczeblu pretendenci jeszcze się trochę powstrzymywali, z wyrachowania lub z szacunku dla Imama, przed skakaniem sobie do gardła na oczach świata. Lecz na niższych szczeblach przelewała się krew. Wydawało się, że klan Gorganiego - przedstawiany prezydentowi jako „umiarkowani” - w ostatnich dniach zdziesiątkował szeregi zwolenników ajatollacha Zardechaniego.

Prezydent, podobnie jak jego doradcy, nie rozumiał wiele z niuansów irańskich perwersji i niesnasek między mułłami. Z całego serca współczuł zakładnikom, lecz czuł się bezsilny.

Wierzył w Boga i pozostawała mu jeszcze modlitwa.

A jeśli sam Bóg nie zechce wspomóc hojatoleslame Gorganiego przed śmiercią Imama, jeżeli nie uda mu się uratować czwórki zakładników przed mordercami z klanu Zardechaniego, wówczas będzie jeszcze czas, by rozpętać nad Iranem piekielne ognie.

Od dwóch dni bliskowschodnie zgrupowanie amerykańskich okrętów płynęło ku Zatoce Perskiej.

Z biegiem czasu prokurator Ladżewardi utworzył sieć informatorów, której nie zniszczyło rozwiązanie większości komitetów. Niedawno jeszcze komitety islamskie, wybierane bezpośrednio i spontanicznie przez ludność, prowadziły w poszczególnych dzielnicach rządy terroru. Niektóre skazywały kobiety, których winą było pokazywanie się bez czadoru, inne zwalczały taghutich, dochowujących wierności staremu porządkowi.

Służby prokuratora zorganizowały najbardziej godne zaufania komitety w siatkę wywiadowczą. Sto razy dziennie każdy teherańczyk nie podejrzewając niczego natykał się na informatorów Ladżewardiego. Wielu z nich pracowało w komunikacji miejskiej, w autobusach lub zbiorczych taksówkach; szczególną uwagę poświęcali rozmowom pasażerów. Inni, pracujący jako dozorczy w domach mieszkalnych, donosili przedstawicielom prokuratora na lokatorów. Inni jeszcze spędzali czas na spacerowaniu po alejach i parkach, nawiązując rozmowy z nieznanymi w nadziei, że uda się ich na czymś przyłapać.

Prokurator Ladżewardi polecił swoim ludziom sprawdzenie wszystkich raportów, złożonych przez donosicieli w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

Trzydziestu ludzi przystąpiło do pracy. Mieli trzy godziny na przejrzenie ponad trzech tysięcy kart. Najczęściej chodziło o oszczerstwa lub czyste wymysły. Niekiedy drobnostki przybierały rozmiary zbrodni przeciwko Islamowi. Kiedy indziej niejasna wypowiedź miała wskazywać, że jej autor jest pachołkiem szacha. Jednakże całość dawała dosyć dokładny obraz jednego dnia życia w stolicy. Nie brakowało niczego, ani przeprowadzki notabla, ani sprzeczek dzielącej rodzinę na dwa obozy, ani nawet szczegółów z życia intymnego takiego czy innego kupca z bazaru.

Kiedy prokurator otrzymał syntezę opracowaną przez swoich współpracowników, jego uwagę zwrócił jeden fakt: pewien mułła mieszkający w okolicach Szachestan Pahlawi zauważył nagły wzrost liczby zgłoszonych mu czasowych małżeństw.

Assadollah Ladżewardi zamyślił się. Hezbollachowie, pilnujący zakładników byli w większości młodymi mężczyznami, których służba przy amerykańskich więźniach od wielu dni pozbawiła możliwości życia płciowego. Czy było możliwe, że nadmiar czasowych małżeństw związany był ze zgrupowaniem hezbollachów w jednej dzielnicy?

Wbrew potocznym opiniom powtarzanym na Zachodzie Islam szyicki nie powstrzymuje życia seksualnego. Czuwa jedynie nad tym, by życie to odbywało się w dozwolonych i nadzorowanych ramach. Dlatego też w Iranie dopuszczano tak zwane „małżeństwa czasowe”.

Były to prawdziwe małżeństwa, lecz ograniczone w czasie, przy czym okres był swobodnie ustalany przez zainteresowane strony, od jednej godziny do wielu lat. Kilku mułłów zajmujących się sutenerstwem proponowało chętnym, oczywiście odpłatnie, skontaktowanie ich z młodymi kobietami, które traktowały tę praktykę jako źródło dochodów. Mułłowie ci oficjalnie sankcjonowali związek małżeński, po czym rozwiązywali go w godzinę później. Nigdy żaden duchowny nie poddał tego postępowania w wątpliwość, toteż istniało ono oficjalnie ku powszechnemu zadowoleniu jako rodzaj zaworu bezpieczeństwa, chroniący przed gwałtami i wszelkimi nieuporządkowanymi rozrywkami seksualnymi.

Prokurator raz jeszcze obejrzał plan miasta. Sporządził spis możliwych miejsc ukrywania się w okolicy Szachestan Pahlawi i zdał sobie

nagle sprawę, że na miejscu hezbollahów wybrałby na więzienie właśnie świątynię, w której szach pragnął uczcić własną potęgę.

Prokurator natychmiast podpisał nakazy, zezwalające siłom porządkowym podległym hojatoleslamowi Gorganiemu na przeczesanie porzuconego placu budowy przy Szachestan Pahlawi.

Pod numerem 2 ulicy Dzierżyńskiego w Moskwie otworzyła się ciężka brama, wpuszczając czarną limuzynę o przyciemnionych szybach.

Kilka chwil później wysiadł z niej mężczyzna i udał się do swego biura w sercu masywnego budynku. Pod pachą ścisnął kopertę, zawierającą egzemplarz planu riposty radzieckiej na ewentualną agresję Stanów Zjednoczonych przeciwko Iranowi. Prezydent a zarazem sekretarz generalny właśnie zatwierdził ten dokument.

Za granicą towarzysz prezydent - sekretarz generalny rozpoczął właśnie okres odprężenia. W kraju hasła głośności i pierestrojki stanowiły temat licznych publikacji i spowodowały upadek wielu ludzi, o których sądzono, że są nietykalni.

Lecz niezależnie od zmian, narzuconych radzieckiemu aparatowi, prezydent nie zrezygnował z wielowiekowych ambicji, wspólnych dążeniom dyplomacji carów i sekretarzy generalnych. Było to ogromne, historyczne marzenie: pewnego dnia podróżnik będzie mógł wyruszyć z lodów morza Białego i dotrzeć do ciepłych wód mórz południowych nie opuszczając radzieckiego terytorium! Cesarstwo rozciągać się będzie od bieguna po zwrotnik, wielki plan zostanie zrealizowany.

Dyrektor KGB - bo o nim tu mowa - wsunął do magnetowidu kasetę, zawierającą syntezę amerykańskich dzienników telewizyjnych. Od Filadelfii po San Diego, od Houston po Chicago naród amerykański domagał się wysłania korpusu marines, który przywróci Ameryce honor, choćby za cenę życia zakładników.

Szef najpotężniejszej organizacji w łonie radzieckiego państwa zatarł ręce z zadowoleniem: właściwa chwila nadchodziła...

Rozkaz wypłynięcia dotarł do zgrupowania bliskowschodniego kiedy znajdowało się ono w bazie Berbera, na wybrzeżu somalijskim, gdzie dysponowało zapleczem naprawczym i zaopatrzeniem. Toteż

pierwsze okręty pojawiły się na horyzoncie Ras el-Had o wiele szybciej, niż gdyby flota wypłynęła z głównej bazy na wyspie Diego Garcia, pośrodku Oceanu Indyjskiego.

W kierunku Zatoki Perskiej płynęła prawdziwa armada. Wokół okrętu flagowego La Salle sunęły cztery niszczyciele i siedemnaście jednostek wspierających. Za parę godzin w tym rejonie pojawić się miał lotniskowiec America w towarzystwie krążownika rakietowego, trzech niszczycieli, ośmiu eskortowców oraz dwóch podwodnych okrętów nuklearnych.

O dwa tysiące pięćset kilometrów stąd, na Diego Garcia, postawiono w stan pogotowia eskadrę bombowców B-52. Żołnierze kilku pułków marines 7 Korpusu ćwiczyli na cztero- i pół kilometrowym pasie startowym, niedawno wybudowanym przez

Za kilka godzin, już tylko od decyzji prezydenta Stanów Zjednoczonych zależeć będzie, czy wybrzeże Iranu zamieni się w rozżarzoną pustynię.

Janet i jej towarzysze - oprócz Vincenta, zbyt słabego by się unieść - ze zgrozą patrzyli na przygotowania trwające w tunelu.

Hezbollahowcy pracowali szybko. Stojąc na skrzyni ciężarówki kilku z nich przerzuciło przez wysoko zawieszoną pod sklepieniem metalową szynę cztery liny. Z jednej strony przywiązali końce lin do zaczepów na boku ciężarówki. Z drugiej pozostawili zwisające pętle.

Hormoz, z całej siły pociągając za liny, wypróbował solidność węzłów. Kierowca uruchomił silnik i sprawdził, na jaką odległość będzie musiał odjechać, by unieść zakładników w powietrze. Wreszcie jeden z hezbollahowców rozśmieszył kolegów udając konającego wisielca.

Kiedy wszystkie te przygotowania zostały ukończone, hezbollahowcy powrócili na peron i zajęli się herbatą. Czas egzekucji jeszcze nie nadszedł.

Janet wiedziała, że stryczki zostały przygotowane dla nich. Tym razem nie będzie to tylko przedstawienie na postrach...

21

DAVID SULLOWAY

Pierwsza szła Babel. Christopher z trudem podążał za nią wśród stosów betonowych płyt i stalowych prętów tryskających z ziemi niczym fontanny. Zachodzące słońce barwiło na purpurowo kratownice dźwigów i ogromną betoniarkę szarą i nieruchomą.

Wkrótce miała zapaść noc. Trzeba było się spieszyć.

Ostatnie blaski dnia rzucały długie, ruchome cienie na opuszczony plac budowy. Najmniejsze przedmioty nabierały w tym świetle nowych, gigantycznych wymiarów.

Niedokończony budynek wyglądał jak jaskinia tytana. Składał się z pierścienia zewnętrznego, w którym miały się mieścić izby przyjęć, sale anestezjologii i właściwe bloki operacyjne, oraz z części środkowej zawierającej stację zasilania, system rozdziału gazów oraz urządzenia do sterylizacji i klimatyzacji.

Chris i Babel, minawszy pierścień zewnętrzny, znaleźli się w części środkowej. W miarę jak posuwali się naprzód, robiło się coraz ciemniej. Wchodzili po drabinach, szli po rusztowaniach, jechali windą towarową. Wreszcie wydostali się na zewnątrz, na taras budynku.

Chris pełną piersią wciągnął powietrze. Chłód wieczoru działał ożywczo. Nie miał jednak czasu rozkoszować się dłużej świeżym powiewem. Babel oddalała się. Dach, na którym się znajdowali, stanowił jakby betonowy plaster oparty na trzech słupach. Pośrodku

otwierał się właz, podobny do pokrywy ulicznej studzienki kanalizacyjnej.

Babel ze zreżnością zaskakującą u kobiety w jej wieku wskoczyła do otworu. Chris poszedł w jej ślady, choć nie poszło mu to tak sprawnie.

Kobieta zapaliła silną latarkę elektryczną.

Znajdowali się na pomoście, uczepionym wewnętrznej ściany gigantycznej hali, stanowiącej wnętrze środkowej części budynku. Pomosty na poszczególnych piętrach połączone były metalowymi ażurowymi schodami, przypominającymi schody pożarowe w amerykańskich domach.

- Mam nadzieję, że nie ma pan lęku wysokości! - wykrzyknęła Babel niezbyt zachęcającym tonem.

Skierowała latarkę na dno wielkiej studni, nad którą się poruszali. Chris nie był na tyle masochistą, by wychylić się przez poręcz, lecz mimo wszystko popatrzył w dół. Światło latarki oświetlało dno studni pięćdziesiąt metrów niżej, gdzie zakotwiczone były fundamenty.

Następnie zaświeciła w kierunku otworu, widniejącego w przeciwległej ścianie. Otwór miał przekrój kwadratowy i był przeznaczony na kable elektryczne.

- To tam - powiedziała poważnie Babel.

- Widać tylko jakiś tunel...- odpowiedział Chris.

- Trzeba będzie się czołgać. Po drugiej stronie jest więcej miejsca. Tam się ukrywa. Jest przyzwyczajony do moich odwiedzin. Jeśli pan pozwoli, pójdę pierwsza.

Ruszyli i Babel włożyła sobie latarkę między zęby, po czym wsunęła się do tunelu. Przed nią tańczyła żółta plama światła, niby uciekający chochlik. Tunel był bardzo niski, lecz dostatecznie szeroki by pomieścić dwie osoby obok siebie. Jednakże zgodnie z umową Chris pozostał nieco z tyłu.

Czołgali się tak około dziesięciu metrów. Na końcu przejście zamknięte było blaszaną płytą. Babel zastukała trzy razy, potem dwa, potem znowu trzy. Po drugiej stronie dał się słyszeć hałas.

Ktoś zbliżał się. Blacha została przesunięta. Babel wysunęła się z tunelu i wstała. Chris, leżący nieruchomo, słyszał jak mówi:

- David, musiałam przyprowadzić kogoś. Błagam, niech mi pan wybaczy, ale uważam, że musiałam to zrobić...

Chris, który od tak dawna czekał na ten moment, czuł jak serce wali mu w piersi. Nie wiedział, jak David zareaguje na jego przybycie. Mógł okazać się gwałtowny.

Nic takiego jednak nie nastąpiło, David czekał na ukazanie się gościa bez żadnych wyrzutów ani protestów.

Chris wyczołgał się, wstał i rozwarł oczy ze zdumienia.

David stał przed nim, postarzały, wychudły, jego bawełniana kurtka wisiała na nim jakby należała do starszego brata. Był blady, policzki miał zapadnięte, lecz jednocześnie na jego twarzy malował się taki spokój jak u postaci z obrazów Watteau. W jego wzroku Chris nie dostrzegł śladu wrogości.

W swoim pomieszczeniu, liczącym parę metrów kwadratowych, David zgromadził zapasy wystarczające na przetrzymanie długotrwałego oblężenia. Nie brakowało niczego: były tam lampy, telewizor, magnetowid, zamrażarka, radio, zapasy żywności, skrzynki butelek bordeaux, kuchenka mikrofalowa, książki, telefon, a przede wszystkim mnóstwo sprzętu elektronicznego i narzędzi. Młody człowiek dysponował dwoma komputerami, drukarką laserową, modemem i paroma monitorami. W głębi pomieszczenia znajdowała się tablica rozdzielcza, z której spływały wiązki kabli: tu łączyły się wszystkie pirackie połączenia, które zainstalował.

- Dzień dobry, Christopher - powiedział David rzeczowo. - Jak się panu podoba moja mała instalacja?

Babel przesunęła na miejsce blachę zagrządzającą wejście i przeszła w głąb pomieszczenia, by nie przeszkadzać im w rozmowie.

- Jestem pod wrażeniem - odparł Chris. - Jeśli tego właśnie pan chciał, to nie ma wątpliwości: wygrał pan!

- Bogu dzięki straciłem już ochotę by komukolwiek imponować! Cieszę się, że pana widzę, Chris! Zastanawiałem się, ile czasu panu zajmie odnalezienie mnie....

- Najpierw musiałem zrozumieć, co się dzieje.

- A zrozumiał pan?

- Tak, David. Zrozumiałem. Poszedłem za śladem, a po drodze znalazłem Wowokę, taniec duchów... i Charley Lowe.

Na wzmiankę o niej David zagryzł wargi.

- W każdym razie Chris, jak pan widzi, nie wystarczy odciąć mi fundusze, żeby się mnie pozbyć!

- Powiem o tym naszym przyjacielom z Waszyngtonu.

- Tak. Niech pan to powie temu facetowi, wie pan...
- Arnoldowi Keanowi?
- Tak. Temu sukinsynowi. A propos, zapomniałem: czy przyszedł pan sam?
- Tak. Zdaje się, że jest pan świetnie poinformowany o tym, co się dzieje. Wie pan więc, że policja uważa sprawę za zamkniętą...
- I pomyśleć, że tych kretynów też pan sprowadził z Waszyngtonu...
- Ja z tym nie miałem nic wspólnego! Nie lubię ich bardziej niż pan i mam wrażenie, że z wzajemnością.

David wskazał mu krzesło i sam usiadł za stolikiem, na którym stał komputer. Z głębi pokoju dobiegł brzęk szkła: Babel przygotowywała drinki Christopherowi wydawało się, że śni. Nie zdając sobie z tego sprawy David doprowadził świat na brzeg katastrofy, a teraz jak dżentelmeni mieli popijać aperitif jak gdyby nigdy nic!

Chris rozejrzał się. Widząc ekran zrozumiał, że David ponownie połączył się z pamięcią centralną. Zbladł: być może najgorsze już się stało. Nie chcąc atakować Davida otwarcie, pogratulował mu:

- Dokonał pan rzeczy niewiarygodnej, David. Prawdziwy majstersztyk!
- Naprawdę pan tak myśli?
- Oczywiście!
- A ja nie.
- Jak może pan mówić coś takiego?
- Nie udało mi się.
- Jak to! Nikt nieuprzedzony nie mógłby się domyślić, że nie ma do czynienia z drugim żywym człowiekiem. Śledząc wasze rozmowy sam czułem się, jakbym podsłuchiwał rozmowy kochanków. I nie znając jej przywiązałem się do Charley Lowe. Tak, bez wątpienia osiągnął pan wielki sukces. Nie ma na świecie programisty ani psychologa, zdolnego do powtórzenia tego wyczynu!
- Powtarzam panu, że mi się nie udało!
- Niech mi pan to wyjaśni.
- Charley wcale taka nie była... Widzi pan, Chris, zacząłem od tego, że stworzyłem program, który miał wprowadzić do komputera kompletny opis Charley. Trzeba było tygodni, żeby uwzględnić parametry społeczne, kulturalne, zawodowe, uczuciowe, emocjonalne, nawet neurotyczne, które sprawiały, że Charley była Charley a nie kimś innym. Komputer znał jej przeszłość, jej reakcje, jej powiedzonka, jej wady, jej

kompleksy i zahamowania. Wiedział wszystko o jej zwyczajach intelektualnych i seksualnych. Wkrótce mogłem już rozmawiać z komputerem tak jak to robiłem z samą Charley. Odpowiadała mi, rozmawiała ze mną wykazując tę samą złą wolę, z tymi samymi aluzjami, tą samą grą słów. To mnie poruszyło: miałem wrażenie, że rzuciłem wyzwanie naturze. Zapewniam pana, że coś z Charley przeszło do maszyny. Rozbudowałem program. Zakres był już tak wielki, że musiałem zdobyć więcej miejsca w pamięci centralnej. Potem trzeba było jeszcze więcej i jeszcze. Więc robiłem to miejsce i to prawda że robiłem to bez skrupułów. Musiał uznać mnie pan za wampira i za wroga. Mogę teraz powiedzieć, że żyłem z Charley nawet po jej śmierci. Ale to nie trwało długo. Niebawem komputer zaczął się opierać.

- Jak to opierać?

- Tak. Zaczęło się niewinnie. Na jakieś pytanie, zupełnie banalne, czy na jakąś uwagę, Charley odpowiadała jakby to był ktoś inny. Zaczęła mówić jak ktoś inny. Zmieniał się jej charakter. Zaczynała przejawiać charakterystyczne objawy rozdwojenia jaźni. A przecież ja sam wprowadziłem wszystkie dane charakteryzujące w sposób niewątpliwy Charley Lowe a nie kogoś innego! Niekiedy naprzeciwko siebie miałem już obcą osobę.

Dzisiaj zdaję sobie sprawę, że komputer bardzo szybko wyzwolił się z tego, co życie zrobiło z Charley. Maszyna dysponowała tym samym bagażem danych na wejściu, z których życie uczyniło pewną indywidualną historię, ale zorganizowała te dane inaczej. Być może taka właśnie była prawdziwa Charley, wyzwolona z wszystkich doświadczeń, które nas deformują. Charley z komputera, wyciągnęła z życia inne wnioski niż ta moja. Nie kochałem jej.

Właściwie wolałem wspomnienie, jakie pozostało mi po Charley, choćby niedoskonałe, wyblakłe, od żywego i sztucznego obrazu jaki dawał mi komputer.

Dlatego Chris, uważam, że mi się nie udało... Może przeceniłem swoje możliwości.

- Nie swoje, ale raczej komputera. Komputery nie znają wrażliwości, inteligencji i moralności. Są oschłe, bez polotu. Tak czy inaczej cieszę się, że zdecydował się pan przerwać to szaleństwo...

Dawid wytrzeszczył oczy.

- Dlaczego miałbym cokolwiek przerywać?

- Sam pan przyznał, że się nie udało!

- Tym bardziej trzeba pracować dalej. Mam zamiar wszystko rozpocząć od zera!

- David, muszę panu wytłumaczyć dlaczego to niemożliwe. Pańskie przedsięwzięcie jest wspaniałe, ale musi pan je przerwać. Jak pan wie, komputer Hadassy zarządza systemem Golden Gate...

- Tak. No więc?

- Niszcząc pamięć główną naraża pan cały system. Tak się składa, że przejście władzy po pewnym szefie państwa zależy od systemu Golden Gate!

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że miałby dla mnie być ważniejszy jakiś szef państwa od osoby, którą najbardziej kochałem? Pewien pisarz francuski powiedział kiedyś, że gdyby miał wybierać pomiędzy sprawiedliwością a swoją matką, wybrałby matkę. A ja między Charley a światem wybieram Charley!

- Niech pan posłucha, David, porozmawiajmy jak odpowiedzialni ludzie...

Gwałtownym ruchem ręki Sulloway nakazał mu milczenie.

- Słyszał pan? - spytał.

- Co?

- Jakiś hałas. Jakby coś ocierało o ścianę tunelu!

Nie miał już czasu na dalsze pytania. Błacha zamykająca wejście do tunelu wyskoczyła jak korek z butelki szampana. Uzbrojeni mężczyźni wpadli do pomieszczenia i otoczyli pirata.

David zrozpaczonym wzrokiem spojrzął na Chrisa.

- Nie! - wrzasnął ten ostatni. - Niech pan tak nie myśli, David! Śledzili mnie, ale ja o tym nie wiedziałem! Nie okłamałem pana!

Z tunelu wychodzili coraz to nowi ludzie. Wśród nich znajdował się Charles Stroud.

Kieliszek Davida stał przy klawiaturze. Wyciągnął rękę, by go chwycić. Kula wystrzelona przez Strouda powaliła go, zanim nawet zdążył go dotknąć.

Sulloway padł na klawiaturę. Pocisk przeszył klatkę piersiową tuż pod sercem. Chris rzucił się w kierunku swego byłego asystenta.

David coś szeptał. Chris przysunął ucho do ust konającego:

- Piraci giną podczas abordażu, prawda?

Serce przestało bić. David nie żył.

Zapadła cisza. Nagle Chris z pochyloną głową rzucił się na Strouda, który chował pistolet. Policjant padł z połamanymi zębami.

Christopher odwrócił się.

Babel, która bezgłośnie podeszła do ciała Davida, pochylała się teraz nad nim. Kiedy uniosła twarz, na jej lewym policzku, pod zdrowym okiem, spływała łza, samotna i pełna.

Po raz pierwszy Christopher zauważył, że twarz Babel miała dwa profile: szkło i ciało, wojna i czułość. Jedna strona dla umarłych, druga dla żywych.

Ona zaś balansowała na krawędzi tych dwóch światów, między którymi David Sulloway na próżno usiłował przerzucić pomost.

W Hadassie nie było już pirata, wszystko mogło powrócić do normy. David połączył się z Charley. W pewnym sensie spełniło się jego najgorętsze życzenie.

22 *PETRUS PECCATOR*

Napięcie w Hadassie opadło.

Pirata już nie było, lecz jego imię wymawiano z podziwem. David był lubiany. Mówiono teraz o nim, że udało mu się to, o co ludzie dotąd jedynie ocierali się za pośrednictwem wielkich mitów: przybliżenie ducha i materii. Zapewne był najlepszym programistą na świecie, geniuszem, jedną z tych spadających gwiazd, które przesywają atmosferę i spalają się zanim ktokolwiek zdola docenić ich piękno.

Grupa specjalistów nieustannie pracowała nad odbudowaniem pamięci głównej komputera i zabezpieczeniem systemu Golden Gate.

Charles Stroud chodził z obandażowaną klatką piersiową. Każdy oddech sprawiał mu ból i poprzysiągł zemstę Beamowi, lecz było jasne, że jeżeli tylko nadarzy się okazja, ten ostatni go zabije, tak bardzo dotknęła go śmierć Davida Sullowaya.

Dla Charlesa Strouda wina Sullowaya, obecnie uznana za udowodnioną, nie świadczyła bynajmniej o niewinności Debory Kennedy. Niedawne wydarzenia w niczym nie naruszyły jego przekonania, że na terenie Hadassy działała międzynarodowa siatka terrorystyczna. Debra Kennedy zbyt wiele ukrywała przed prowadzącymi śledztwo, by można było odstąpić od oskarżenia o współudział.

Christopher buntował się:

- Zamordował pan Davida! A teraz pastwi się pan nad Deborą! Znamy już tożsamość pirata, jego metody i motywy! Czego chce pan więcej?

- W jednym się pan myli, Beam.
- To znaczy?
- Nic nie wiemy o jego motywach!
- Przecież wyjaśniłem panu, że po śmierci Charley Lowe...
- Beam, jak może pan być taki naiwny, żeby wierzyć w te bajeczki?

Jest pan naukowcem, w pewnym sensie idealistą. Ludzie tacy jak pan stanowią wymarzony cel naszych przeciwników...

Położył mu rękę na ramieniu. Ten gest ojcowskiego protekcjonalizmu oburzył Chrisa.

- Proszę mnie nie dotykać!
- Jest jasne - ciągnął Stroud zabierając rękę - że David Sulloway zamieszany był w machinacje dużo poważniejsze, niż bajeczka, w którą pan uwierzył! Zresztą, w najlepszym przypadku możemy przyjąć, że był manipulowany przez innych...
- Jakich innych?
- Na przykład Deborę Kennedy i jej przyjaciół.
- Pan bredzi! Teraz już rozumiem: pan jest paranoikiem, Stroud!

Pan potrzebuje, żeby świat pełen był spiskowców, żeby pozbyć się odpowiedzialności za pańskie własne frustracje! Jest pan otoczony wrogami, a wraz z panem cały wolny świat, prawda? Ty sukinsynu, myślisz, że cię nie przejrzałem!

Stroud pobladł. Bardziej niż kiedykolwiek, Beam symbolizował teraz wszystko to, czego nienawidził: klan tych, którym się powiodło i którzy hojnie rozdzielają lekcje moralności. Przyszedł mu do głowy pomysł.

- Niech mi pan udowodni, że ona jest niewinna - powiedział.
- W końcu tylko pan ją trochę zna. Nie będzie się przed panem miała na baczności tak jak przed inspektorami, którzy nadaremnie przesłuchują ją od dwóch dni, a pan posiada zapewne pożyteczne informacje. Więc chwilowo zapomnijmy o naszych różnicach, dla dobra sprawy...

Christopher zawahał się. Stroud z pewnością zastawiał na niego pułapkę. Lecz jego pragnienie ponownego spotkania z dziewczyną było tak wielkie i tak bardzo chciał rozwiać wątpliwości, że powiedział cicho:

- Zgoda. Niech mnie pan do niej zaprowadzi. Porozmawiam z nią, ale pod jednym warunkiem.
- Słucham.
- W zamian za moją pomoc da mi pan czas do szóstej na udowodnienie, że jest niewinna.

Stroud spojrział na zegarek: było południe. Zgoda -powiedział. -
Chodźmy.

Debora Kennedy przetrzymywana była w specjalnie przygotowanej willi, służącej jako areszt tymczasowy dla palestyńskich terrorystów. Beama przewieziono tam zawiązawszy mu przedtem oczy. Wydawało mu się, że samochód policyjny specjalnie kluczył po drogach, żeby uniemożliwić mu odtworzenie drogi z pamięci.

Prośba o ekstradycję wystosowana przez rząd amerykański pozostała bezskuteczna ze względu na niemożność ustalenia obywatelstwa młodej kobiety.

Christopher spotkał się z nią w pokoju o bielonych wapnem ścianach, bez okien, do którego światło wpadało jedynie przez oszklony sufit.

Debora milczała. Siedziała na ławie, wyprostowana i nieruchoma. Chris przemówił do niej łagodnie, lecz nie odniosło to skutku: wyglądała jak autystyczne dziecko, którego cała działalność umysłowa skierowana jest do wewnątrz tak, że nic nie przenika do otaczającego je świata.

Chris spostrzegł, że przestała przyjmować pokarmy. Głodówka sprawiła, że była biała i wychudzona. Poczul się nieszczęśliwy i bezsilny.

Jedyną reakcją, którą udało mu się u niej spostrzec, było zaciśnięcie szczęk kiedy wspomniał o kotce Aurorze. Wiedział, że reakcja ta była u niej oznaką strachu. Lecz kiedy powiedział, że być może tajemniczy ksiądz prawosławny zabrał zwierzę ze sobą, twarz Debory rozpozgodziła się.

Niczego więcej nie uzyskał. Dziewczyna była zimna jak posąg. Chris wstał i wyszedł, a ona nawet na chwilę nie przestała patrzeć prosto przed siebie.

Po raz trzeci Chris udał się do grobowca.

Po godzinie poszukiwań zobaczył, jak prawosławny ksiądz wychodzi z Kaplicy Obelg. Pod pachą duchowny niósł ogromną świecę.

Chris ruszył za nim. Tamten kierował się w stronę środkowej części budowli, odgradzonej barierami i rusztowaniami. Prace remontowe trwały tu od lat, opóźniane z powodu braku porozumienia między poszczególnymi wspólnotami wyznaniowymi. Robotnicy dawno już

opuścili plac budowy i status quo utrzymywał się ku ogólnemu zadowoleniu.

Książdz przecisnął się między barierkami i podszedł do miejsca z tablicą, na której widniało słowo Omphalos, Pępek Świata. Tu ukląkł, położył świecę przed sobą i wyciągnął spod sutanny sprężynowy nóż. Wyskoczyło ostrze. Z jubilerską dokładnością zaczął w wosku ryc jakiś napis. W jego ręce nóż połykiwał wokół świecy, z której spadały białe wiórki.

Kiedy ukończył swoją pracę, postawił świecę na Omphalos i zapalił zapalkę, którą przysunął do knotu. Blask płomienia oświetlił jego twarz tajemniczym złotym światłem, które przyniosło sławę obrazom La Toura. Chris stał jak sparaliżowany: w tym nowym oświetleniu, nagle rozpoznał na twarzy kapłana rysy, które dobrze znał i na które wcześniej, pod wpływem okoliczności poprzednich spotkań, nie zwrócił uwagi.

Drżące i ciepłe światło płomienia podkreślało wystające kości policzkowe. Łagodziło twarde rysy i sprawiało, że oczy, zwykle rozbiegane, teraz skupione były na jednym punkcie. Blask płonącej zapalki odbijał się w rogówce i dzięki temu twarz kapłana wyglądała jakby ogarnięta gorączką, jakby to same oczy płonęły własnym ogniem.

Ten ogień, ten płomień, Chris rozpoznawał je teraz wyraźnie!

Zauważył, że o dwa metry od niego stoi inny duchowny, także prawosławny i przygląda się całej scenie. Podszedł do niego.

- Zna go ojciec? - spytał.

- Tak. Nazywają go ojciec Teopulos. Robi to co tydzień od dwudziestu lat... I zawsze dokładnie w miejscu Omphalos.

- Czy to miejsce ma szczególne znaczenie religijne?

- Tak. Księga Ezechiela opisuje je jako epicentrum, z którego Zbawienie, połączone ze wstrząsem sejsmicznym, ogarnie całą ziemię kiedy nadejdzie koniec świata.

- Co on tam wyrył w wosku?

- Nikt nigdy nie odczytał napisu.

- Dlaczego?

- Bo to niemożliwe. Niech pan sam zobaczy.

Chris odwrócił się w stronę Omphalos. Duchowny wstał. Starannie schował nóż i zapalki pod sutannę i wyszedł.

Chris przyjrzał się świecy: napis wyryty był w górnej części. Wosk już się topił, gorący płomień nadzerał litery. Za kilka sekund nie pozostanie z nich nic.

Bez wahania przeskoczył barierkę i podbiegł do Pępka Świata. Obrócił w palcach świecę i zanim napis został zalany przez płynący воск, odczytał napis:

Sześciu milionom dusz
Petrus Peccator

Chris usiłował opanować myśli. Poczł, że ktoś na niego patrzy i odwrócił się.

U wejścia do grobowca stał prawosławny duchowny i patrzył na pierwszego człowieka, który przejrzał jego tajemnicę. Jakby się zawahał, po czym podszedł do Christophera.

- Nazywam się Peter Balke, jestem Niemcem - wyszeptał. - Długo błądziłem zanim zrozumiałem, że moje poszukiwania kończą się tutaj: to jedyne miejsce na ziemi, gdzie od dwóch tysiącleci ohyda sąsiaduje z łaską.

- Nie rozumiem - powiedział Christopher.

- Grobowiec i Omphalos. W jednym gmachu miejsce zbrodni i miejsce odkupienia. Pomyślałem sobie, że jeśli wyklęty znajdzie schronienie w tym sanktuarium, będzie pierwszym, który osiągnie zbawienie kiedy nadejdzie czas. Tak blisko źródła nie może nie otzr:- Jak to się stało, że uszedł pan klęsce i Historii?

- Zostawmy to. Wytlumaczy panu Metropolita. Proszę mu powiedzieć, że uwalniam go od przysięgi. Zrozumie.

- Przed chwilą, kiedy obserwowałem co pan robi i płomień świecy oświetlił pana twarz, wydawało mi się że rozpoznaję...

- Luizę - uzupełnił duchowny ze ściśniętym gardłem. - Pan jeszcze tego nie wie, ale ma na imię Luiza. Chciałem, żeby najdroższa mi osoba symbolizowała moją pokutę. Dlatego ja, Kananejczyk pokonany przez Izrael, zmieniłem jej imię na Deborę. Ale o tym także opowie panu Metropolita. Teraz muszę pana zostawić.

- Nie, bardzo pana proszę - powiedział błagalnie Chris. - proszę mi pomóc uniewinnić Deborę.

- Czy już tego nie uczyniłem? I czy sam pan nie zrozumiał przyczyn jej milczenia?

- Proszę mi chociaż powiedzieć...

- Tak?

- Wtedy, pierwszy raz. Widziałem, jak cała we łzach wychodzi z grobowca gdzie się z panem spotkała. Od tej pory prześladowuje mnie widok jej tak zrozpaczonej.

- Luiza była po spotkaniu z panem. Przez ostrożność tak długo zmuszałem ją do milczenia, że niepostrzeżenie uczyniłem z niej więźnia. Tego dnia, zapewne z pana powodu, powiedziała mi, że nic nie jest gorsze od tego cienia, w którym oboje jesteśmy zamknięci. Błagała mnie, żebym oddał się w ręce polujących na mnie ludzi. Moja pokuta miała stanowić lekcję dla ludzkości. Opowieść o mojej podróży w krainie zła, o której opowiedziałbym z całkowitą szczerością, wzbogaciłaby ludzi o lepsze poznanie demonów, które na nich czyhają. Byłby to mój dar dla nich.

- Co pan odpowiedział?

- Stchórzyłem. Odmówiłem.

- Jak mógł pan dopuścić, by była ścigana i aresztowana za ochranianie pana?

- Sądziłem, że prawda wyjdzie na jaw sama i uniewinni Luizę. Zrobiłem wszystko, żeby nie była w nic zamieszana... Wiedziała, że ją podejrzewają i poprosiła, żebym zabrał z jej mieszkania sprzęt, który mógłby potwierdzać tezę o jej winie.

- Ale dzisiaj Debora nadal jest uważana za winną! Czy będzie pan tak milczał w nieskończoność?

- Jest już za późno. Czy pan wierzy w przeznaczenie, panie Beam?

- Nie, z pewnością nie.

- Tak się złożyło, że ja wierzę.

Zanim Christopher zdążył poprosić, by wyjaśnił co ma na myśli, odwrócił się, jakby zawahał, po czym uciekł w kierunku wyjścia.

Christopher ruszył za nim.

Na zewnątrz, na stopniach przed grobowcem, Charles Stroud rozmieścił uzbrojonych ludzi. Przepuścili duchownego nie zwracając na niego uwagi. Lecz kiedy zobaczyli, że Chris biegnie za nim, sami też rzucili się w pościg.

Duchowny miał sporą przewagę. Biegł w kierunku Via Dolorosa, pomiędzy straganami kupców. Wkrótce dotarł do Nowej Bramy i opuścił stare miasto. Pościg posuwał się za nim.

Ulicą Hativat Hatzanhanin nadjeżdżał z dużą szybkością Mercedes ministerstwa turystyki. Duchowny odetchnął głęboko i wyęzając wszystkie siły, jakie mu pozostały, wybiegł naprzeciw samochodowi.

Uderzył w maskę z wielką siłą. Jego ciało odrzucone zostało o ponad dziesięć metrów i tam pozostało nieruchome: uderzenie złamało mu kręgosłup.

Christopher zbliżył się i ujął jego dłoń. Znał go zaledwie kilka minut lecz zdążył go polubić.

Kiedy zgodził się przygarnąć byłego zbrodniarza wojennego w łonie wspólnoty greckokatolickiej, metropolita Jerozolimy zagwarantował mu dotrzymanie tajemnicy. Śmierć Petera Balke uwalniała go od milczenia.

Na podstawie jego zeznań oraz akt odnalezionych w Międzynarodowym Ośrodku Żydowskim w Wiedniu możliwe było odtworzenie drogi Petera Balke.

Po upadku Berlina schronił się we Włoszech. Jako bibliotekarz znalazł schronienie w pewnym klasztorze niedaleko Neapolu. Dwa lata później pojechał do Grecji, gdyż znał język. Urządził się w Atenach i zbił majątek na spekulacji na rynku oliwek i cytrusów.

Dużo później polujący na nazistów ludzie z Wiednia, odnaleźli jego ślad. Uciekł więc dalej na Wschód, gdzie przeznaczenie zesłało na niego wyrzuty sumienia. Przygarnął go kościół greckokatolicki: był dobrym materiałem na księdza.

Z okresu ateńskiego pozostało mu wspomnienie po kobiecie, która zginęła w katastrofie lotniczej oraz córka o imieniu Luiza, za którą oddałby życie. Znajomości, jakie zachował na Zachodzie pozwoliły mu na zmianę jej tożsamości. Luiza Balke stała się Deborą Kennedy. Powierzył opiekę nad dzieckiem amerykańskiej niańce, sam uchodząc za opiekuna dziewczynki, aż pewnego dnia wszystko jej wyznał.

Deborą, której jedyną winą było pragnienie ochrony ściganego ojca, została uwolniona jeszcze tego samego dnia.

Odwiedziła Chrisa u niego w mieszkaniu. Tak jak pierwszego dnia, kochali się bez słowa. Odnaleźli się powoli, nadzwyczaj ostrożnie, tak jak nurek z dużej głębokości wychodzi na powierzchnię etapami, dając czas organizmowi na przyzwyczajenie się do zmian.

Na zewnątrz zachodziło słońce. Przez otwarte okno Chris widział na szczycie wzgórz budynek Hadassy. Zmrużył oczy: był pewien, że wśród wieczornych czerwonych odblasków dostrzegł cień tańczący na rusztowaniu...

Christopher miał wrażenie, jakby anioł dotykał go swym skrzydłem. Debora była go spragniona. Prowadziła go ku tej chwili, w której przestaje istnieć świat i śmierć, niepokój i tęsknota, ku owej wiecznej sekundzie, w której połączą się bezgranicznie.

Oślepiła ich światłość. Leżeli jak porażeni jeszcze długo po zapadnięciu nocy.

EPILOG

Najpierw płataninę podziemnych korytarzy wypełnił huk eksplozji. Potem pojawiła się mgła, nadciągająca z głębi tunelu.

Hezbollahowcy popatrzyli po sobie niepewnie. Ten, który siedział za kierownicą ciężarówki kiedy prowadzono zakładników ku stryczkom, padł pierwszy. Pozostali usiłovali wstrzymać oddech, lecz było za późno: ogarniał ich bezwład i powalał na ziemię jednego po drugim. Janet straciła przytomność ostatnia. Czuła, jak jej kończyny robią się jak z waty. Jej umysł stawał się jakby lepki w miarę jak gaz wypełniał przestrzeń stacji Szachestan Pahlawi.

Zanim całkowicie straciła przytomność, Janet zdążyła jeszcze dostrzec w półmroku pojawienie się strażników rewolucji wysłanych przez prokuratora Ladżewardiego, którzy w maskach gazowych wyglądali jak owady obserwowane pod mikroskopem.

Kiedy gaz wprowadzony przez otwór kanalizacyjny rozwiął się, pasdarani zdjęli maski. Pochwycili ciała hezbollahowców i załadowali je na ciężarówkę.

Następnie rozwiązano zakładników i odwieziono ich do więzienia w Evin.

Dzięki systemowi Golden Gate, Imam był w stanie dyktować swoją wolę aż do chwili, kiedy hojatoleslamowi Gorganiemu udało się zawrzeć sojusz z armią, porozumieć się z dygnitarzami reżimu i zneutralizować swego rywala Zardechaniego.

Czwórka amerykańskich zakładników została wówczas uwolniona i odstawiona na granicę turecką. Był to ostatni rozkaz, jaki wydał Imam przed odejściem z tego świata.

Pomimo środków ostrożności podjętych przez Gorganiego przejęcie władzy po faghim wywołało poważne zamieszki w całym kraju. Porachunki przerzedziły szeregi pretendentów do najwyższych stanowisk. Porwany przez wydarzenia młody Hormoz, kierujący oddziałem hezbollahów, który więził zakładników, został zabity w więzieniu Evin na rozkaz prokuratora Ładżewardiego.

Z Turcji amerykańscy zakładnicy przewiezieni zostali do bazy amerykańskiej w pobliżu Bonn w RFN. Poddani tam zostali licznym badaniom lekarskim i psychologicznym, oraz musieli odpowiedzieć na wiele tradycyjnych pytań zadawanych przez specjalistów wysłanych tam przez CIA i Pentagon.

Janet spotkała się w Baltimore ze swoją córką Barbarą. Naznaczona na całe życie doświadczeniami, które były jej udziałem, rozpoczęła podróżę po świecie działając w imieniu organizacji dobroczynnej. Pewnego dnia, kiedy przeminą tragiczne wspomnienia, powróci do domu i będzie mogła rozpocząć normalne życie.

Sandy usłuchała rady przyjaciółki: postanowiła zarobić na własnej słabości i poświęciła jej liczne odczyty, książki i dyskusje telewizyjne.

Vincent Romano poddany został w New York State Hospital operacji usunięcia jednej nerki, uszkodzonej w wyniku pobicia w Evin. Potrzebował pełnego roku, by powrócić do zdrowia. Stracił jednak dwadzieścia kilo i odkrył, że jego ciało straciło swój boski wygląd. Jednakże jego bliscy stwierdzili, że młody mężczyzna był piękniejszy niż kiedykolwiek: w jego spojrzeniu pojawiło się coś, czego wcześniej nigdy nie było.

William Allen objął u Lloyda dyrektorskie stanowisko. Wspecjalizował się w sprawach związanych z aktami terrorystycznymi.

W uznaniu zasług Christophera rząd federalny zgodził się, by jego towarzyszką otrzymała obywatelstwo amerykańskie. Urząd stanu cywilnego zezwolił jej na zachowanie nowego imienia, na którym zależało jej jako na pamiątce po skrusze ojca.

Dwa miesiące później Debora Balke wyszła za mąż za Christophera Beama. Wkrótce miało narodzić się dziecko, któremu pragnęli nadać

imię David. Jego starszym bratem miał zostać Izaak, tetraplegiczne dziecko, którego rodzice zginęli i które młode małżeństwo postanowiło zaadoptować.

James Beam, były astronauta, ledwo pokazał się na chwilę na ślubie, który odbył się w Jerozolimie i natychmiast odleciał do Ankary. Jego poprzednia wyprawa zakończyła się fiaskiem. Arka czekała nadal, lecz on nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

Każdego wieczoru na ostatnim piętrze Hadassy w jednym z okien paliło się światło.

W biurze Christophera ktoś włączał komputer i kolejno wystukiwał na klawiaturze nazwisko, hasło, kilka enigmatycznych poleceń i wreszcie pytanie:

„Charley, jesteś tam?”

A komputer odpowiadał:

„Dobry wieczór. Czekałam na ciebie. Czy chcesz jeszcze porozmawiać o Davidzie?”

Wówczas Christopher Beam szeptał z czułością do siedzącej obok niego starej kobiety, której palce przebiegały po klawiszach:

„Widzi pani, Babel, to takie łatwe...”

PRZYPISY

PIRAT

7 grudnia 1986 policja miasta Bremy, w Niemczech Zachodnich, wykryła trzydziestodwuletniego bezrobotnego, który od czterech miesięcy przebywał w ukryciu na strychu Instytutu Medycyny Nuklearnej.

Zostało ustalone, że ów młody człowiek posługując się wytrychem wykrał sprzęt komputerowy wartości 80.000 marek, przy pomocy którego włamał się do systemu informatycznego Instytutu. Kiedy badający go psychiatrzy spytali o przyczynę, wyjaśnił im, że czuł się niekochany. Nigdy nie spotkał towarzysza bardziej wyrozumiałego od swego komputera.

HADASSA

Ośrodek szpitalny Kiriat Hadassa, największy na Bliskim Wschodzie, znajduje się w Ein Kerem, koło Jerozolimy.

Założona w 1912 roku przez Henriettę Szold organizacja Hadassy liczy w Stanach Zjednoczonych ponad 370 tysięcy członków.

Organizacja prowadzi działalność szkoleniową i informacyjną, pomaga młodym imigrantom w Izraelu oraz zajmuje się leczeniem.

Szpital organizacji w Jerozolimie posiada dwa ośrodki, jeden w Ein Kerem, uruchomiony w 1961 roku, a drugi, starszy, na górze Scopus, w północnej części miasta.

W szpitalu Kiriat Hadassa znajduje się synagoga, ozdobiona dwunastoma słynnymi witrażami Marca Chagalla, które powstały w 1962 roku dla uczczenia pięćdziesięciolecia organizacji Hadassy.

SYSTEM GOLDEN GATE

System wspomagania niewidomych poprzez podłączenie końcówek komputerowych do ośrodka wzroku w mózgu pacjenta opracowany został przez Ericha Suttera w Smith Kettlewell Institute for Visual Sciences w San Francisco. System działa dokładnie tak, jak to opisano w niniejszej książce.

OSKAR

System modelowania do celów psychiatrycznych, działający według zasad opisanych w rozdziale 18, opracowany został pod nazwą „Parry 2” przez profesora Kennetha Colby'ego, jednego z pionierów zastosowań sztucznej inteligencji w psychologii, w ramach jego pracowni na uniwersytecie Los Angeles (UCLA).

ARKA

Były astronauta James Irwin usiłował odnaleźć na północnej ścianie góry Ararat resztki arki Noego; wedle jego własnych słów okazało się to „fatalnym niewypałem”.

WOWOKA I TANIEC DUCHÓW

Prorok Siuksów Wowoka (1858-1932) żył naprawdę. Wychował się jako Jack Wilson w białej rodzinie; w 1890 miał widzenie, które ukazało mu „taniec duchów”, mający później stać się jednym z najbardziej rozpowszechnionych rytuałów mistycznych wśród indiańskich plemion wielkich prerii.

SPIS TREŚCI

Księga I

CHRISTOPHER BEAM

1	DZIEWCZYNA O ZIELONYCH OCZACH	3
2	TEA FOR TWO	9
3	HADASSA	18
4	RĘKA IMAMA	33
5	ASZURA	43
6	WYJAZD	58
7	DUCH W SZPITALU HADASSA	78
8	HERBATA SZATANA	95
9	PIRAT	112
10	WIĘŹNIOWIE EVINU	126
11	WĘŻE DŻAMARANU	139

Księga II ROK WĘŻY

12	OKO IMAMA	151
13	ARTUR	164
14	ALBINOS	178
15	ARKA ŚNIEGÓW	188
16	PUSTE KRZESŁO	200
17	ROZMOWA	219

Księga III

TANIEC DUCHÓW

18	ARS MAGNA	237
19	ZKOR!	245
20	KRÓLEWSKIE MIASTO	255
21	DAVID SULLOWAY	264
22	PETRUS PECCATOR	271
	EPILOG	279
	PRZYPISY	282